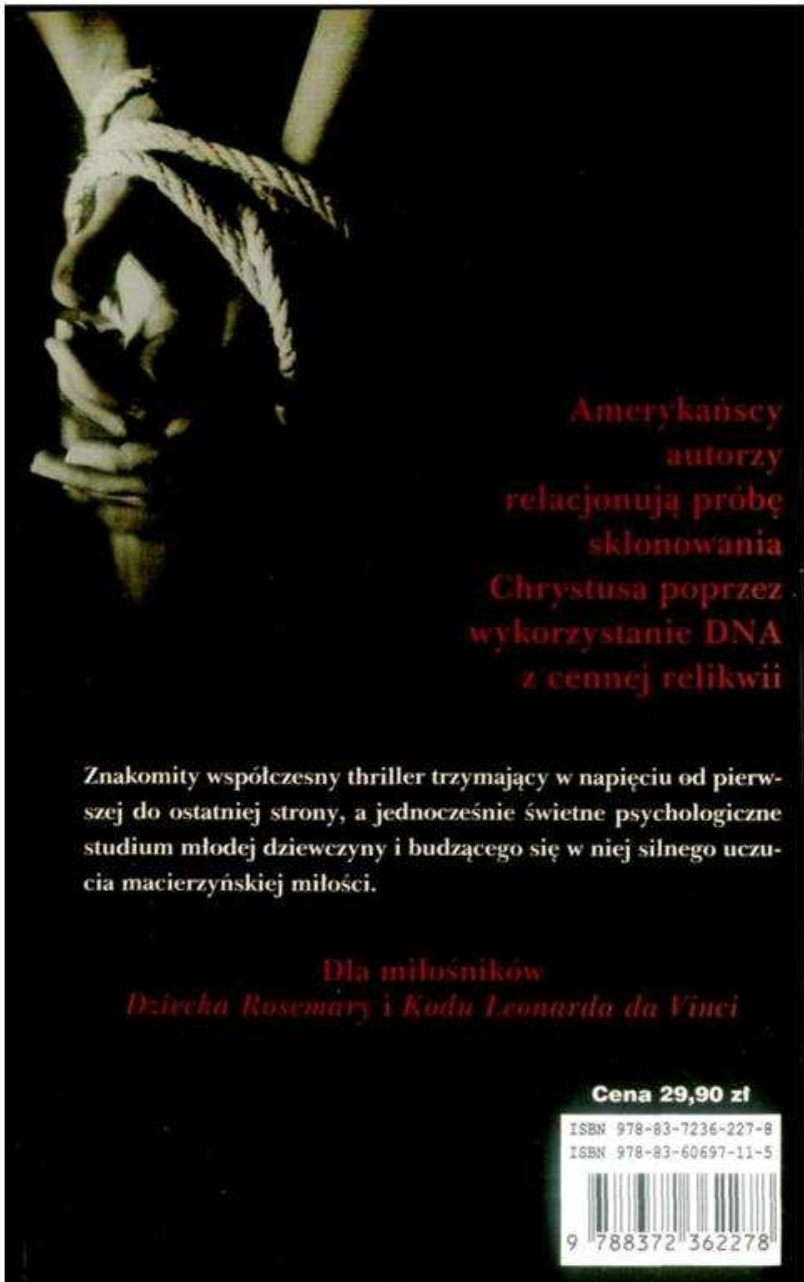


Eksperyment genetyczny  
który przywołuje  
sily dobra i zla

# Catun z Ovideo

Leonard Foglia • David Richards



Amerykańscy  
autorzy  
relacjonują próbę  
sklonowania  
Chrystusa poprzez  
wykorzystanie DNA  
z cennej relikwii

Znakomity współczesny thriller trzymający w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, a jednocześnie świetne psychologiczne studium młodej dziewczyny i budzącego się w niej silnego uczucia macierzyńskiej miłości.

Dla miłośników  
*Dziecka Rosemary i Kodu Leonarda da Vinci*

**Cena 29,90 zł**

ISBN 978-83-7236-227-8

ISBN 978-83-60697-11-5



9 788372 362278

Leonard Foglia, David Richards

# **Całun z Oviedo**

*Philip Wilson*

*Tytuł oryginalny:*  
The Cloth of Oviedo

Copyright © by Leonard Foglia i David Richards  
Copyright © na polskie wydanie Philip Wilson Warsaw Sp. z o.o. 2008,  
© Libertas Sp. z o.o., 2008

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część ani całość nie może być reprodukowana  
bez. wcześniejszej zgody Wydawcy.

*Tłumaczenie:*  
Kinga Dobrowolska

*Projekt okładki:*  
El Orfanato

*Zdjęcie na 1 str. okładki:*  
fot. Lotne Resnick, © Getty Images

*Redakcja:*  
Barbara W<sup>7</sup>alicka

*Korekta:*  
Małgorzata Pośnik

*Redakcja techniczna:*  
Aleksandra Napiórkowska

CIP - Biblioteka Narodowa

Foglia, Leonard  
Całun z Oviedo / Leonard Foglia, David Richards ;  
[tł. Kinga Dobrowolska]. -Warszawa : Philip  
Wilson, cop. 2008

ISBN 978-83-7236-227-8

ISBN 978-83-60697-11-5

Philip Wilson Warsaw Sp. z o.o.  
ul. Gagarina 28A, 00-754 Warszawa  
[pwilson@p.pl.pl](mailto:pwilson@p.pl.pl); [wynv.philipwilson.pl](http://wynv.philipwilson.pl)

Dystrybucja:  
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks 0-22 721 30 00, sekretariat: 0-22 721 30 11  
zamówienia internetowe: 0-22 721 70 07 lub 09  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład i łamanie: *Małgorzata Brzezińska*

Druk i oprawa: ZG ABEDIK SA, Poznań

# Rozdział 1

(siedem lat wcześniej)

Jakimż był dotąd szczęściarzem! Ostatnie czterdzieści lat kapłaństwa spędził przy katedrze, wśród złoconych rzeźbień, strzelistych luków i monumentalnych maswerków, którym czas nadał fakturę szarego aksamitu. Całe to piękno nie mogło go nie wzruszać.

Ale właśnie w tym jednym dniu, co roku, don Miguel Alvarez nieodmiennie przypominał sobie, iż, zaprawdę, los mu pobłogosławił.

Był to dzień, w którym wydobywano na światło dzienne bezcenną relikwię, aby ukazać ją oczom wiernych. Na jedną, jedyną chwilę arcybiskup unosił ją wysoko nad ołtarzem, by tłum, wypełniający szczelnie środkową nawę, mógł ujrzeć ją na własne oczy, nadzieić się jej boskiemu pochodzeniu i ukorzyć się przed jej świętością. Zazwyczaj w czasie mszy czter-nastowieczną budowlę wypełniały odgłosy pokasywań, echo kroków i szuranie przyklękających lub powstających z klęczek wiernych. Jednak co rok na tę jedną minutę w kościele zapadała wszechogarniająca cisza.

Już na samą myśl o tym poczuł, jak dreszcz przebiega mu po krzyżu.

Kiedy msza dobiegała końca, biskup całował srebrną ramę, na której rozpięta była relikwia, po czym oddawał ją don Miguelowi, który odnosił ją w bezpieczne zacisze zakrystii. Pełnienie przy niej straży, dopóki wierni nie opuścili świątyni, było dla kapłana zarówno obowiązkiem, jak i nie lada zaszczytem. Lecz to jeszcze nic w porównaniu z zaszczytem, jaki go czekał potem, kiedy zgromadzenie wiernych rozeszło się do domów, wrota kościoła zamknięto, a światła, zalewające ołtarz płynnym, żółtawym światłem, pogasły.

Albowiem wówczas don Miguel zabierał relikwię do miejsca jej stałego spoczynku, w Camara Santa — świętej komnacie — „jednym z najświętszych miejsc całej wspólnoty chrześcijańskiej”, jak z lubością informował zwiedzających. Czasem nawet ponosiła go pycha i mówił wtedy o „najświętszym miejscu”.

Już od czterdziestu lat odbywał swoją roczną wędrówkę, niosąc najszacowniejszą z relikwii, jego stopy tak dobrze znały układ płyt posadzki w przykościelnych krużgankach, że mógłby ją odbyć nawet z zamkniętymi oczyma. Chłodny powiew o zapachu ziemi wystarczył, by zorientował się, że za chwilę zbliży się do kutych w żelazie wrót, które strzegły wstępu do Camara Santa.

Widząc, iż się zbliża, stojący przed wrotami odzwierny, ruszał odmykać rygle i pozwalał don Miguelowi wejść do środka. Wewnątrz zaczynała się klatka schodowa; starzec skręcał w lewo, potem jeszcze raz w lewo, aż wreszcie schodził do pomieszczenia, które było kresem i celem jego podróży. W ciągu długich wieków miliony pielgrzymów, nie wspominając już o królach i papieżach, przechodziły tą trasą, żeby choć zerknąć na gablotkę, w której kryło się to, co trzymał właśnie w rękach.

Don Miguel dobiegał osiemdziesiątki, jego członki od dawna trapił artretyzm. Lecz nigdy w tym miejscu — nigdy, kiedy trzymał w dłoniach relikwię. W takich momentach ogarniał go przedziwny, niebiański zachwyty

i kapłan niemal unosił się w powietrzu nad wydeptanymi schodami.

Podszedł do kolejnej kraty, zza. której wyzierały różne skrzynie i kasetki, kryjące większość katedralnych skarbów. Odźwierny otwierał również i tę furtę, potem wycofywał się na górę schodów, aby ksiądz mógł dopełnić swych obowiązków w samotności i spokoju.

Jak już wiele razy wcześniej, don Miguel umieścił relikwię na okutej srebrną skrzyni przed sobą i ukląkł do modlitwy. W zasadzie powinna spocząć w złoczonej gablotce zawieszanej na ścianie, lecz księdzu niełatwo było tak prędko się z nią rozstać. Chwile, jakie spędzał przy tej najświętszej z relikwii, kontemplując jej cudowną obietnicę, należały do najbardziej wzniosłych momentów jego życia.

Przez pusty plac przed katedrą, na którym nie rosło ani jedno drzewo, przeleciał podmuch ciepłego wiatru. Ostatni wierni, gwarząc między sobą, rozchodzili się do własnych domów, gdzie czekała na nich ulubiona filiżanka kawy. Lecz święta komnata, cicha i chłodna, pozostawała jakby poza czasem, poza zasięgiem codziennych niepokojów.

Tutaj otaczały don Miguela wszystkie symbole jego wiary. Uświęcony „Krzyż z aniołami” - przepiękny złoty krucyfiks, kwadratowy, wysadzany klejnotami i wspierany przez postacie dwóch klęczących aniołów — był nie tylko symbolem katedry, lecz i całej krainy, w której ksiądz się urodził i spędził całe swe długie życie. W skrzyni po prawej w aksamitnych woreczkach kryły się kości apostołów - a właściwie ich uczniów. W szafce przechowywano sześć cierni, pochodzących rzekomo z korony cierniowej Chrystusa. Jak również podeszwę z sandała świętego Piotra.

Lecz wszystkie one błakły w obliczu wagi tego, co powierzono jego pieczy. Czymże sobie zasłużył, on, prosty ksiądz, nawet nieuczony, a teraz w dodatku stary, na taki uśmiech losu?

Przymknął oczy.

Nagle na ustach poczuł dłoń w rękawicy. Próbował się odwrócić, żeby zobaczyć, kto to, lecz czyjś uścisk unieruchamiał go jak imadło. Poczł zapach skóry, po chwili w nozdrza uderzył ostry smród. Kiedy z trudem łapał oddech, druga para rąk ponad jego ramieniem sięgnęła po relikwię.

- No, no, lo toques! - usiłował krzycheć. - Estás loco? Cómo se te ocurre que puedas tocarlo.

Dotknąć relikwii? Czy ten ktoś oszalał?! Dłoń w rękawiczce zdusiła wszelkie krzyki. Osłabłe ciało księdza nie mogło stawiać napastnikom zbyt wielkiego oporu, ponadto od ostrej woni zakręciło mu się w głowie. Mógł tylko patrzeć w niemym przerażeniu, jak drugi intruz wyciąga z kieszeni kurtki skalpel. Don Miguel już tylko czekał na ostry błysk bólu, który będzie oznaczał, że ostrze przejechało mu po gardle. Jednak ten ktoś, tylko przysunął się bliżej okutej srebrem skrzyni i pochylił się nad nią, aby się przyrzeć relikwii.

Ksiądz przeklął się w duchu. Powinien był jak najszybciej wykonać zadanie i natychmiast wracać do katedry. Przez jego samolubne pragnienie, aby pozostać samotnie w Camara Santa, dokonało się to okropne świętokradztwo. Wydawało mu się, że „Krzyż z aniołami” topnieje mu przed oczyma, a szmaragdowe i rubinowe klejnoty zmienione w śluz spływają teraz po skrzydłach klęczących u podstawy aniołów. Uświadomił sobie, iż pozbawiony tlenu zaczyna mieć halucynacje.

Teraz mógł myśleć już tylko o tym, jak straszliwie zawiódł. Na to, co Bóg powierzył jego opiece, żaden człowiek nie powinien spoglądać inaczej, jak tylko z nabożną czcią. A teraz, z jego winy, świętą relikwię zbezczeszczone. Ogarnęło go uczucie strasznego wstydu.

Bóg nigdy mu tego nie wybaczy.



## Rozdział 2

**H**annah Manning czekała na znak. Na coś, co by jej powiedziało, co powinna zrobić ze swym życiem - co by nią pokierowało. Czekwała tak już od miesięcy.

Gapiła się na złotą gwiazdę na szczycie choinki i myślała o Trzech Królach, którzy podążyli za nią dawno, dawno temu. Nie była na tyle głupia, aby przypuszczać, że znak, jaki się jej ukaże, będzie równie spektakularny, a jej los równie wzniosły. Kimże była? Zwykłą kelnerką. Przynajmniej na razie, choć przecież nie na zawsze. Dopóki nie otrzyma swego znaku. Pomyślała teraz, że to nawet nie musi być znak. Wystarczy mały kuksaniec lub lekkie pchnięcie. Tak jak Trzej Królowie, wiedziałyby instynktownie, co ono oznacza.

Już dostatecznie długo unosiła się bezwolnie na fali życia.

- Dasz wiarę? Siedem nędznych dolarów, dwadzieścia trzy centy i kanadyjski dwudziestak. - W małej kabince na zapleczu jadłodajni Teri Zito robiła bilans napiwków z tego wieczora. - Wszyscy wrócili już do zwyczajowego sknerstwa.

- Mnie też nie poszło najlepiej - odparła Hannah.

- Ech, a czego się można spodziewać w tej mieścinie, gdzie mieszkają same kutwy? - Teri wepchnęła pieniądze do prawej kieszeni obszytego falbanką fartuszka w biało-brązową kratkę, jaki stanowił część ubioru służbowego kelnerki w jadłodajni „Błękitny Świt”. - Tutaj tylko w święta się zdarza, że człowiek dostanie przyzwoity napiwek. A te nędzne siedem dolarów i dwadzieścia trzy centy to jak urzędowe obwieszczenie, że święta już minęły.

Hannah, stojąc na drewnianym stołku, ostrożnie zdejmowała ozdoby z wysokiego, niezbyt bujnego stojącego w jadłodajni drzewka, które bez światełek i bombek wypełniających przestrzeń między gałęziami wyglądało jeszcze marniej. Sięgnęła do złotej gwiazdy i jednym szarpnięciem ściągnęła ją z czubka. Jaskrawe światelka, odbite od metalicznej folii, zasypały sufit plamkami brokatu.

Dwa zdarzenia jakby zmówiły się, by wyrwać Hannah z letargu, w jakim tkwiła. Jesienią większość z jej szkolnych kolegów i koleżanek wyjechała z Fall River, aby studiować lub pracować w Providence albo w Bostonie. Z każdym mijającym miesiącem poczucie, że pozostała w tyle, stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Uświadomiła sobie, że przez cały czas trwania nauki w szkole średniej tamci przygotowywali się do swego przyszłego życia, a ona - nie.

Potem, w grudniu, w rocznicę śmierci rodziców, uświadomiła sobie, że nie ma ich już od siedmiu lat. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie potrafi przypomnieć sobie ich twarzy. Rzecz jasna, przechowywała w pamięci ich obraz, lecz pochodził on już tylko z fotografii. Żadne ze wspomnień nie było z pierwszej ręki. Pamiętała tylko zdjęcia roześmianej mamy i ojca wygłupiającego się na podwórku za domem. Nie słyszała już śmiechu matki ani nie czuła dotknięcia

ojcowskiej ręki, kiedy tato poderwał ją gwałtownie z ziemi i dla zabawy wyrzucił wysoko w powietrze.

Nie może już do końca życia być dziewczyną, która straciła rodziców. Teraz jest już dorosła.

Prawdę mówiąc, Hannah Manning niedawno skończyła dziewiętnaście lat, a wyglądała o kilka lat młodziej. Miała ładną twarz, wyglądającą trochę dziecinnie z zadartym nosem oraz idealnym łukiem brwi nad jasnoblękitnymi oczyma. Trzeba było uważnie się przyjrzeć, aby dostrzec bliznę, która rozdzielała na pół lewą brew - skutek upadku z roweru w wieku lat dziewięciu. Miała długie włosy koloru pszenicy, które ku nieustannej irytacji Teri, skręcały się w naturalne pukle.

Wzrost Hannah - metr sześćdziesiąt osiem - oraz jej wysmukła sylwetka także stanowiły przedmiot zawiści Teri, która po urodzeniu dwóch synów nie odzyskała swej, jak to określała, bojowej formy. Teri ważyła teraz dobre dziesięć kilo więcej niż dla jej niedużej postury wyznaczał ideał Jenny Craig, lecz pocieszała się myślą, że jest też o dobre dziesięć lat starsza od Hannah, która w wieku dwudziestu dziewięciu lat najpewniej nie będzie wcale taka wiotka.

Gdyby ta dziewczyna zrobiła sobie jakiś lekki makijaż, byłaby z niej prawdziwa laska, rozważała w duchu Teri. Jednak Hannah jakoś nie interesowali chłopcy. Teri nie zauważyła, żeby jakiś jej amant pojawił się kiedykolwiek w jadłodajni, a zwykle ma dobre oko do mężczyzn.

- Przypomnij sobie, jak to było, kiedy Boże Narodzenie oznaczało coś więcej niż pieniądze! - westchnęła Hannah, starannie zawijając gwiazdę w bibułkę i odkładając do

kartonowego pudełka. - Człowiek nie był w stanie w nocy zmrużyć oka, bo się bał, że Mikołaj przegapi jego dom. Potem budził się o szóstej i widział te wszystkie paczki pod choinką, a na dworze padał śnieg. Ludzie śpiewali kolędy, urządzali bitwy na śnieżki i w ogóle. Było cudownie.

- To tylko reklama, którą widziałas w telewizji - odrzekła Teri, która przeszukiwała właśnie prawą kieszeń fartucha na mało prawdopodobną okoliczność, iż przeoczyła tam jakiś rachunek albo dwa. - Święta nigdy tak nie wyglądały. Może w twoim wyimaginowanym dzieciństwie, ale nie u mnie! Och, przepraszam. Nie chciałam...

- Nic się nie stało.

To także powinno się już skończyć, pomyślała Hannah. Wszyscy obchodzą się z nią jak z jajkiem, ponieważ ona nie ma rodziców, wszyscy starannie dobierają słowa, żeby przypadkiem nie zranić jej uczuć.

- Myślę, że nie powinno być choinek - oznajmiła głośno, schodząc ze stołka, potem przyglądała się przez chwilę kruchemu, wysuszonemu drzewku, odartemu już z papierowych łańcuchów i plastikowych aniołków. - Ścinamy drzewko, które samo jest wystarczająco piękne, tylko po to, żeby na te parę tygodni obwiesić je śmieciami, a potem, kiedy wszystko się skończy, wyrzucamy je na śmietnik. To marnotrawstwo.

Nigdy nie przyznałaby się Teri do podobnych myśli, lecz odczuwała coś w rodzaju empatii do nieszczęsnego świerczka, który ucięto przy korzeniu i ustawiono przy wejściu do jadłodajni „Błękitny Świt”, gdzie stało, ignorowane przez większość bywalców, z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy jakieś dziecko próbowało ściągnąć którąś z ozdób i dostawało

za to od rodziców po łapie. Świerczek wyglądał tak żałośnie, tak samotnie, że czasem wprost miała ochotę się rozplakać.

Święta to był bardzo ciężki okres - wielka gra w udawanki z ciotką i wujem: musiała udawać, że jej zależy, kiedy jej nie zależało, udawać, że czuje się szczęśliwa, kiedy się nie czuła, musiała udawać, że jest z nimi w bliskim związku, w jakim nigdy nie była. Te wszystkie mistyfikacje sprawiały, że potem czuła się jeszcze bardziej smutna i samotna.

Temu też należało położyć kres. Jeśli w ogóle ma zamiar dojść do ładu z własnym życiem, będzie musiała się wyprowadzić z domu wuja i ciotki.

- Daj spokój - rzuciła Teri. - Nie mam zamiaru stać i patrzeć, jak się użalasz nad jakimś głupim drzewkiem. Zróbmy mu pogrzeb jak należy.

Chwyciła świerczek za pień, Hannah złapała za czubek i obie zaczęły manewrować drzewkiem w stronę tylnego wyjścia, pozostawiając za sobą mnóstwo zbrązowiałych igiełek.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Teri krzyknęła w stronę kuchni, gdzie Bobby - kucharz i szef drugiej zmiany - korzystając z chwilowej nieobecności klientów, pochłaniał właśnie hamburgera.

- Znajdziesz chwilkę, żeby otworzyć nam te drzwi?

Bobby ostentacyjnie odgryzł kolejny kęs hamburgera.

- Słyszałeś, leniwy pierdoło?

Otarł usta z tłuszczu papierową serwetką.

- Tylko nie za szybko, bo jeszcze ci pikawa stanie.

- Taaa? Pogłaszcz tutaj, wtedy co innego mi stanie - odparł, obleśnie wypinając ku niej biodra.

Teri cofnęła się z udanym przerażeniem.

- Czekaj, tylko poszukam pincetki.

Kobiety wytaszczyły drzewko na pusty parking, otoczony zaspami brudnego śniegu. Powietrze było tak zimne, że aż szczypało w policzki. Hannah widziała, jak jej oddech zmienia się w obłoczek pary.

- Nie rozumiem, jak wy możecie codziennie tak do siebie gadać - odezwała się.

- Skarbie, to jest właśnie sens mojego życia: świadomość, że kiedy co rano wstaję, mogę tu przyjść i powiedzieć temu gnojnkowi, co o nim myślę. Nie potrzebuję porannej gimnastyki, żeby podnieść sobie ciśnienie, starczy mi widok tych rzednących włosów, podwójnego podbródka i tej włochatej gąsienicy nad wargą, którą nazywa wąsami.

Wbrew sobie Hannah wybuchnęła śmiechem. Słownik Teri czasem ją szokował, lecz podziwiała przebojowość starszej od siebie kobiety, pewnie dlatego, że sama miała jej tak niewiele. Nikt nie będzie rządził Teri.

Przy śmietniku na chwilę położyły drzewko na ziemi, żeby chwilę odpocząć.

- No, to na raz-dwa-trzy - instruowała Teri. - Gotowa? Raz, dwa, trzyyyyy... - Drzewko śmignęło w powietrzu, zawadziło o krawędź kontenera i wylądowało w środku. Teri energicznie klasnęła w dłonie na rozgrzewkę. - Zimno jak w psiarni.

Kiedy po własnych śladach wracały przez pusty parking, Hannah podniosła wzrok na kobaltowoniebieski neon z napisem „Jadłodajnia Błękitny Świt”. Za literami rozchodziły się promieniście migające, niegdyś żółte, teraz ziemistoszare rurki, które miały imitować wschód słońca.

Szyld zdawał się obwieszczać świt na jakiejś odległej planecie, a w jego niebieskawej poświacie śnieg wyglądał jak radioaktywny opad.

Czy wschodzące słońce i migoczące promienie, to właśnie ten znak, który powie, że zaczął się dla niej nowy dzień, że istnieje jakiś inny świat poza tym tutaj, coś innego niż długie godziny pracy w jadłodajni, gburowaci klienci przy stolikach z czerwonego winylu, nędzne napiwki oraz Teri i Bobby, skaczący sobie do oczu jak dwa dzikie koty?

Zaraz przywołała się do porządku. Nie, to tylko stary neon z łuszczącą się farbą, który widywała już tysiąc i jeden raz.

Teri trzęsła się z zimna na progu jadłodajni.

- Pakuj się do środka, skarbie. Przeziębisz się na śmierć.

Hannah wśliznęła się za stół umieszczony przy wejściu na zaplecze, który nieoficjalnie zarezerwowany był dla pracowników i ustępowany klientom tylko w niedzielne poranki, tuż po mszy, kiedy w „Błękitnym Świecie” interes kręcił się najzwawiej. Teri zwykle tutaj rozwiązywała krzyżówki i, choć nie powinna, ukradkiem, kiedy nikogo nie było w pobliżu, paliła papierosy - co tłumaczyło obecność brudnej popielniczki. Było to dość przytulne miejsce, gdzie po długiej i męczącej zmianie można było nareszcie wygodnie usiąść. Hannah próbowała odprężyć ciało i oczyścić myśli.

Zerknęła na dzisiejszą krzyżówkę, zobaczyła, że jest do połowy rozwiązana. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie spróbować dokończyć. Teri nigdy nie miała nic przeciwko temu, by ktoś jej pomógł. Potem dojrzała umieszczony niżej napis.

## **Czy jesteś kimś wyjątkowym i odpowiedzialnym?**

Zaciekawiona, uniosła gazetę w stronę światła.

**Możesz doznać prawdziwego spełnienia!  
Podaruj dar prosto z serca.**

Przypominało to reklamę walentynkową, z serduszkami w każdym rogu i radośnie gulgoczącym anielskim niemowlakiem na środku. Ale walentynki już minęły. Hannah czytała dalej.

**Z Twoją pomocą może powstać szczęśliwa rodzina.**

**Zostań zastępczą matką.**

**Po bliższe informacje dzwoń do**

**„Partnerstwo w rodzicielstwie”, Inc.**

617 923 0546

- Popatrz na to - odezwała się, kiedy Teri postawiła przed nimi dwa kubki gorącej czekolady i wśliznęła się za stół naprzeciwko niej.

- Na co?

- To ogłoszenie w dzisiejszym „Globe”.

- A, to. Dostaje się za to sporo pieniędzy.

- Kto dostaje?

- No, te kobiety. Zastępcze matki. Widziałam kiedyś coś o tym w telewizji. Jak dla mnie, to jest trochę dziwne. Jak już człowiek zada sobie tyle trudu, żeby przez dziewięć miesięcy nosić bachora we własnym brzuchu, to potem chyba powinien móc go sobie zatrzymać. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go komuś oddać. To tak jakby się było piekarzem. Albo właściwie



piecem. Ty pieczesz, a ktoś zabiera sobie ten chleb do domu.

- Jak myślisz, ile one mogą dostawać?

- W talk show Oprah Winfrey występowała jedna taka, co dostała siedemdziesiąt pięć tysięcy. Ludzie dziś zrobią wszystko, żeby mieć dzieciaka. A ci bogatsi są nawet gotowi zapłacić prawdziwą fortunę. Choć gdyby wiedzieli, co to znaczy mieć dziecko, nie byłiby tacy skorzy. Ciekawe, co będą mówić, gdy się przekonają, że już zawsze w całym domu będą mieli bałagan.

- Starczy już tego paplania, dziewczyny - dobiegł głos z kuchni.

Światła pogasty.

- Mogę wziąć twoją gazetę?

- A bierz sobie. I tak nigdy nie wpadnę na to, co to jest 26 pionowo.

W drzwiach Hannah pożegnała koleżankę szybkim cmoknięciem w policzek i pognęła przez parking do swego sfatygowanego chevroleta nova. Kiedy znalazła się w środku, Bobby wyłączył neon nad wejściem. Chmury zakrywały księżyc, a bez niebieskawego światła szyldu miejsce wydało jej się jeszcze bardziej opuszczone niż zwykle.

Kierując się w stronę wyjazdu, zatrzymała krótko. Teri odtrąbiła ze swego samochodu, a Bobby, który zamykał właśnie frontowe drzwi, zdobył się na gest i nieznacznie pomachał jej ręką.

Przez całą drogę do domu gazeta spoczywała na przednim siedzeniu obok Hannah. Choć drogi były świeżo obsypane piaskiem i raczej pustawe, prowadziła ostrożnie. Zobaczyła, że daleko przed nią światło zmieniło się na czerwone, więc

ostrożnie wcisnęła hamulec, by samochód nie wpadł w poślizg.

Czekając na zmianę świateł, rzuciła okiem na gazetę. W ciemności nie mogła odczytać liter, lecz dokładnie pamiętała treść ogłoszenia. Kiedy opuszczała skrzyżowanie, nieomal słyszała głos, który szeptał: „Możesz doznać prawdziwego spełnienia”.

## Rozdział 3

**S**tojąc na straży wrót, odźwierny przestąpił leniwie z nogi na nogę. Katedra miała zostać otwarta ponownie dopiero późnym popołudniem, więc jego myśli pobiegły już w stronę zimnego piwa, jakim zamierzał się uraczyć już za parę minut.

Zdawało mu się, że w cieniach bocznej nawy kątem oka dostrzega jakiś nagły ruch. Jednak wcale mu się nie spieszyło, by to zbadać. Długoletnie doświadczenie nauczyło go, że błyski światła wpadającego przez witraże lubią płać figle jego zmęczonym oczom. Dawno także przywykł już do pomruków i pojękiwań, jakie dobywały się z kamieni i drewna, kiedy kościół pustoszał. Jego żona mawiała, że to święci ze sobą rozmawiają i że dom Boży nigdy nie bywa całkiem pusty. On sam jednak doszedł do wniosku, że to po prostu odgłosy starzejącej się budowli.

Czyż jego własne kości nie strzelają od czasu do czasu”?

Tyle, że dźwięk, jaki dobiegł go w tej chwili, był nieco inny. Był to szelest szepczanych słów, pospiesznie składanej supliki. Po chwili dostrzegł kolejny nagły ruch, więc odsunął się od bramy, żeby mieć lepszy widok. Rzeczywiście, przed ołtarzem de la Inmaculada — który należał do świetniejszych ozdób tej świątyni i przedstawiał nadnaturalnych rozmiarów postać Maryi, otoczoną wieńcem złocistych promieni, które świadczyły

o jej świętości - modliła się na klęczkach jakaś kobieta.

Kobieta utkwiała wzrok w delikatnie rzeźbionej twarzy, która z niewyczerpaną wyrozumiałością spoglądała w dół, na szukających jej łaski wyznawców. Widocznie kobieta zatopiona w myślach nie zwróciła uwagi, że katedrę zamknięto.

To nie pierwszy ani ostatni taki przypadek, pomyślał odźwierny. Wielka liczba bocznych kapliczek sprawiała, iż w czasie zamykania nietrudno było przeoczyć jakąś nieszczęsną duszyczkę. Zazwyczaj obchodził wszystkie dwukrotnie i podobnie uczyniłby dzisiaj, gdyby nie miał obowiązku towarzyszyć księdzu do Camara Santa — świętej komnaty.

Zbliżył się do kobiety powoli, nie chcąc jej przestraszyć. Miał nadzieję, że odgłos jego kroków na kamiennej posadzce wystarczy, aby zwrócić jej uwagę. Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że nie była Hiszpanką. Słomiana torba i modna, skórzana kurtka świadczyły o tym, że była turystką. Choć turyści zwykle robili kilka zdjęć i znikali, a ta kobieta modliła się równie gorliwie, co niektóre stare chłopki z okolicznych parafii.

- Señora - szepnął.

Kobieta modliła się jeszcze gorliwiej.

- ... wszyscyśmy jeno Twoimi sługami. Bądź woła Twoja...

Odźwierny zorientował się, że modlitwa jest po angielsku. Obejrzał się przez ramię w stronę Camara Santa. Nie chciał, aby stary ksiądz, zszedłszy po schodach, przekonał się, że wrota są niestrzeżone, lecz kobietę należało koniecznie wyprowadzić z świątyni.

Dotknął leciutko jej ramienia.

- Señora, la catedral está cerrada.

Odwróciła się i spojrzała na niego bez zrozumienia. Nie był nawet powien, czy go widzi. Powoli pokręciła głową.

- Przepraszam, co?  
- Señora, la catedral estd... - Przez chwilę szukał w myślach właściwego słowa. - Zamknięty, señora. Kościół jest zamknięty.

Twarz kobiety oblała się nagle szkarłatnym rumieńcem zażenowania.

- Zamknięty? Och, nie zdawałam sobie sprawy. Musiałam... stracić poczucie czasu... Perdón... Perdón, por favor.

Odźwierny pomógł jej wstać, podniósł jej słomkową torbę i odprowadził kobietę do wyjścia. Kiedy szli wzdłuż głównej nawy, nieustannie się oglądała, jakby chciała raz jeszcze zobaczyć Najświętszą Panienkę.

- To naprawdę jedno z najświętszych miejsc na ziemi - powiedziała, kiedy odźwierny otwierał główne wejście. Oczy kobiety znów zapłonęły blaskiem, a jej dłoń zacisnęła się mocniej na jego przedramieniu. - Tak właśnie się tutaj poczułam, więc to musi być prawda. Powiadają przecież, że to święta ziemia, czy nie tak?

Nie mając pojęcia, o czym mówi, odźwierny przytaknął energicznym skiniem głowy, po czym zamknął za nią drzwi na klucz.

Zerknął na swój zegarek kieszonkowy. Czy mu się tylko wydaje, czy don Miguel modli się dłużej niż zazwyczaj? Niezwłocznie ruszył w stronę Camara Santa, gotów wyjaśnić, co sprawiło, że zszedł z posterunku. Lecz już w połowie drogi dojrzał leżącego na ziemi księdza. Staruszek leżał na plecach, z nogami wykręconymi na bok; rozrzucone ręce przypominały zwiniętą na kamiennej posadzce linę. Wyglądał, jakby zasnął w trakcie modłów.

Odźwiernego ogarnęła panika. Relikwia! Co się stało z relikwią?!

Nic! Leżała sobie na okutej srebrem skrzyni, nietknięta. Podniósł ją ostrożnie i zamknął starannie w gablocie w głębi krypty. Dopiero wtedy, spojrzawszy uważnie na don Miguela, zorientował się, że stary ksiądz nie żyje.

Odźwierny przeżegnał znakiem krzyża skurczone ciało. Jeśli serce starszka musiało stanąć, to jakże stosownie się stało, że przestało bić akurat tutaj. Stary ksiądz niezmiernie kochał to miejsce. Był mu bezgranicznie oddany. A teraz wygląda tak spokojnie.

Z pewnością odbiera już swoją nagrodę w niebie.

Co za szczęściarz!

## Rozdział 4

**R**anny ptaszek się z ciebie - mruknęła Ruth Ritter, kiedy powłócząc nogami, wtoczyła się do kuchni. - Już trzeci raz w tym tygodniu wstajesz wcześniej ode mnie. Co się z tobą dzieje?

Hannah podniosła wzrok znad okrytego ceratą stołu, przy którym kontemplowała właśnie jajko sadzone na grzance.

- Chyba nie jesteś chora, co?

Ruth obrzuciła siostrzenicę spojrzeniem z ukosa. Zawsze chęłpiła się zdolnością odczytywania ludzkich uczuć. Była spostrzegawcza, a drobne kłamstewko potrafiła wyczuć na milę.

- To ostatnia rzecz, jakiej nam tu potrzeba: żeby cię coś rozłożyło! - oznajmiła. - Jeden chory w zupełności wystarczy. Wujkowi znów dokuczają wrzody.

Matka Hannah mawiała, że kiedy dorastały, to Ruth była tą ładniejszą z sióstr Nadler, tą bardziej żywiołową, otoczoną wielbicielami. Teraz trudno byłoby w to uwierzyć. Hannah nie potrafiła sobie wyobrazić ciotki inaczej, niż tylko jako krępej, wiecznie niezadowolonej kury domowej w zrobionej na szydełku podomce, która zmierzała teraz w stronę

ekspresu do kawy po dawkę kofeiny, żeby zacząć kolejny, pełen rozczarowań dzień.

- Już zrobiłaś kawę? - spytała zaskoczona Ruth.

- Wcześniej wstałam.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Dlaczego zawsze musi być taki zgrzyt, zastanawiała się Hannah. W świecie Ruth nie istniały takie formuły jak „dziękuję” czy „jak to miło z twojej strony”. Każdemu uczynkowi towarzyszył jakiś ukryty motyw. Ludzie albo próbowali wziąć ją na litość, albo zamydlić jej oczy. Nikt niczego nie robił ot, tak po prostu. Wszyscy mieli swoje określone powody.

Ruth uniosła filiżankę do warg i siorbnęła głośno.

- O której wróciłaś wczoraj z jadłodajni?

- O tej, co zwykle. Jakiś kwadrans po północy.

- I wstałaś o pierwszym brzasku? - Znów spojrzenie z ukosa. - Czemu mi nie powiesz, o co chodzi?

- O nic, ciociu Ruth, słowo!

O nic - poza tym, że tydzień temu zadzwoniła do „Partnerstwa w rodzicielstwie”. Pani, która odebrała telefon, powiedziała, że wysłała jej kilka broszur informacyjnych, a Hannah bez zastanowienia podała jej adres Ritterów. Dopiero później uświadomiła sobie, że powinna była podać adres jadłodajni.

- Jak długo mieszkasz w tym domu i korzystasz z naszej gościnności - nie omieszkała przypomnieć jej Ruth - nie ma mowy o żadnych sekretach.

Jeśli na firmowej kopercie z „Partnerstwa w rodzicielstwie” widnieją takie same serduszka i niemowlęta jak przy ogłoszeniu, Hannah musiałaby się gęsto tłumaczyć. Tak więc co rano przez cały tydzień wstawiała wcześniej, aby w porę



przejąć pocztę. Dotąd jednak nie otrzymała żadnego listu.

Dziewczęta w jej wieku powinny raczej myśleć o chłopaku i o tym, że pewnego dnia wyjdą za mąż i założą własną rodzinę. Zatem dlaczego pomysł, by urodzić dziecko dla bezdziejnej pary, tak bardzo przemówił jej do wyobraźni? Hannah przyszło do głowy jedynie to, że musi to mieć coś wspólnego z jej matką. Matka należała do osób, które dzielą się ostatnią koszulą, i wierzyła, że pomoc ludziom, którym wiodło się gorzej, należy do podstawowych obowiązków człowieka. „Ilekróć zaczynasz tonąć we własnych problemach - mawiała - to znak, iż najwyższy czas pomyśleć o kimś innym”. Ta lekcja wyryła się bardzo wyraźnie w pamięci Hannah, choć teraz łagodny głos matki słyszała w myślach słabiej niż kiedyś.

Ruth wyjęła z piekarnika talerz gorących cynamonowych bułeczek i przyjrzała im się badawczo, aby wybrać tę, która najmniej ją rozczaruje.

- Zdawało mi się, że w tym tygodniu miałaś pracować rano - rzuciła.

- To prawda, ale mamy za mały ruch. Po świętach chyba wszyscy siedzą w domu.

- Nie daj się tej Teri wyrolować ze wszystkich najlepszych zmian.

Ruth popiła bułeczkę resztką kawy, po czym sięgnęła do lodówki po karton z jajkami.

- Mam nadzieję, że twój wujek nie ma zamiaru przespać całego ranka. Idź, powiedz mu, że śniadanie na stole.

Skwapliwie korzystając z okazji, by wyrwać się z kuchni, Hannah zawołała u podestu:

- Wujku Herb? Ciocia Ruth mówi, że śniadanie gotowe.

W odpowiedzi usłyszała jakiś niewyraźny pomruk.

- Już idzie - przekazała odpowiedź ciotce i wyrzała przez okno w pokoju dziennym. Tak jak się spodziewała, ulicą szedł listonosz. Przygotowała się w duchu na ziąb i wymknęła się przez frontowe drzwi, aby spotkać go w połowie ścieżki do domu.

- Chciałaś mi oszczędzić tych kilku kroków, co? - zawołał listonosz wesoło. Sięgnął do torby i podał jej luźno związany sznurkiem pakiecik.

Szybki rzut oka wystarczył, aby się przekonać, że był to zwykły zestaw rachunków, gazet i reklam. Kiedy dochodziła do ganku, dostrzegła kopertę z nadrukiem „Partnerstwo w rodzicielstwie” i już miała schować ją do kieszeni, kiedy dobiegł ją rozszłoszczony głos.

- Co ty znowu wyprawiasz? Ogrzewasz całą okolicę? Czy masz pojęcie, ile kosztuje ogrzewanie domu? - W otwartych drzwiach stał Herb Ritter, w piżamie i szlafroku, jego rzadkie, siwe włosy były jeszcze potarganymi od snu.

- Przepraszam. Wyskoczyłam tylko na sekundkę.

- Ja to wezmę. - Herb wyrwał jej z rąk pakiecik i szurając nogami, ruszył do kuchni, gdzie zajął zwyczajowe miejsce u szczytu stołu.

Hannah postawiła przed nim filiżankę kawy i czekała, aż przejrzy pocztę, która to czynność w najmniejszym stopniu nie przyczyniała się do poprawy jego humoru. List do niej znajdował się na samym spodzie. Róg koperty sterczał spośród innych na tyle, że w adresie zwrotnym zdołała odczytać słowo „partnerstwo”. Sięgnęła mu przez ramię i wyciągnęła list ze sterty.

- Hej, co robisz?

- Wydaje mi się, że to do mnie. Na kopercie jest moje nazwisko.

- Kto do ciebie pisze? - zainteresowała się Ruth.

- Nikt.

- List sam się napisał?

- To prywatna sprawa, ciociu Ruth, jeśli pozwolisz.

Oburzony głos ciotki gonił za nią po schodach.

- Ile razy mam ci powtarzać, moja panno? W tym domu nie będzie żadnych sekretów.

Hannah weszła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi, odczekała, aż jej oddech się uspokoi, potem ostrożnie rozerwała kopertę.

## Rozdział 5

**K**siądz nie żył już od dwóch dni, kiedy odźwierny otrzymał rozkazy z biura arcybiskupa. Jego Eminencja, wraz z „kilkorgiem gości” zamierzał dziś wieczorem odwiedzić Camara Santa. Odźwiernego poinstruowano, aby po zamknięciu kościoła zajął stanowisko przy wejściu do kapliczki, w odpowiedniej chwili otworzył kluczem bramę i pozostał na straży przez cały czas trwania tej wizyty.

Jedyne, co mogło mu w tej sytuacji przyjść do głowy, to myśl, iż wizyta musi mieć coś wspólnego ze śmiercią starego księdza, tyle że policja z Oviedo obejrzała już miejsce zdarzenia i nie znalazła tam nic podejrzanego. Zrobiono zdjęcia ciała księdza, zanim zostało zabrane. Wszystkie relikwie w Camara Santa pieczołowicie zbadano i odnotowano, wykluczając możliwość kradzieży.

Odźwierny już kilkakrotnie opowiadał władzom zwierzchnim o całym zdarzeniu. Nie było tam zresztą wiele do opowiadania. Tego dnia ksiądz nie wykazywał żadnych oznak choroby, nie miał też najmniejszych trudności z wchodzeniem po schodach. Przypomnił sobie, że wymienili ze sobą jakies uprzejmości, lecz nic szczególnie znaczącego. Potem, odczekawszy jakies dwadzieścia minut — tak, był raczej pewien, że to było dwadzieścia

minut - odźwierny wyruszył na poszukiwanie księdza. Znalazł go martwego. I to już było mniej więcej wszystko.

Szelest sutann i szemranie cichych głosów ostrzegły go, że zbliża się arcybiskup z towarzyszącymi mu osobami. Z całej trójki gości odźwierny rozpoznawał tylko tego najwyższego - przyjechał z Madrytu i, o ile go pamięć nie zawodzi, chyba także był arcybiskupem. Dwóch pozostałych otaczała taka sama aura powagi. Ściągnięte surowo twarze mówiły wyraźnie, że zjawili się tutaj w bardzo istotnym celu.

Szczególne odwiedziny w Camara Santa planowano zawsze z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, zawsze też informowano go wcześniej, kim są zaproszeni goście, aby mógł zaplanować jakieś szczególne środki ostrożności, jeśli okazałyby się konieczne. Ta wizyta jednak przebiegała w ścisłej tajemnicy.

Wsunął w dziurkę masywny klucz, potem rozwarł ciężkie wrota i pomknął w dół po schodach, wyprzedzając czterech mężczyzn. Grzebał przy tym po kieszeniach w poszukiwaniu drugiego pęku kluczy, którym otworzy kratę strzegącą samej Camara Santa. Poczuł, że w okolicach krzyża zbiera mu się wilgotny pot.

— Déjanos — powiedział półgłosem arcybiskup, kiedy wkroczył do sanktuarium. — Proszę nas teraz zostawić.

Nikt go nie ponaglał, tylko jeden z gości niecierpliwie składał i rozkładał ręce, jakby lepily się od smoły. Odźwierny zastanawiał się w duchu, czy oni zdają sobie sprawę, że stoją dokładnie w tym samym miejscu, w którym upadło ciało księdza? Ściagały go odgłosy ożywionej rozmowy, lecz kiedy dotarł do głównego wyjścia, nie dało się już rozróżnić brzmienia słów. Wydawało mu się jednak, że słyszał kilkakrotnie powtórzone słowo „falta... falta... „. Brakuje? Czego tam może brakować? Wszystko w Camara Santa sprawdzono i odnotowano.

Minuty upływały tak wolno, że w pewnej chwili potrząsnął energicznie zegarkiem w przekonaniu, iż stanął.

Odźwierny przedtem nie widział powodu, by wspominać, że opuścił na kilka minut stanowisko, aby odprowadzić do wyjścia samotną kobietę. Zastanawiał się teraz, czy może to jego niedomówienie nie zostało w jakiś sposób odkryte. Im dłużej czekał, tym silniejszy ogarniał go niepokój, poczuł skurcz w żołądku.

Minęło półtorej godziny, zanim usłyszał, że wołają go po imieniu. Pospieszył więc, by odemknąć kratę przy kaplicy. Arcybiskup i jego goście w milczeniu pokonywali stopnie schodów, a twarze mieli jeszcze poważniejsze niż przedtem. Kiedy doszli do wejścia, pomocnik zatrzaskał za nimi potężne wrota i przekręcił klucz w zamku, lecz gdy się odwrócił, spostrzegł, że stoi za nim arcybiskup.

- Klucze - rozkazał, wyciągając przed siebie prawą dłoń.

Odźwierny poczuł nagle, że jego serce zrobiło się ciężkie jak z ołowiu. Pozbawiają go stanowiska. Z czego teraz utrzyma rodzinę? Wiedział, że w tych okolicznościach to bardzo samolubna myśl, ale do tego to się wszystko sprowadzało. Podał arcybiskupowi oba pęki kluczy.

- Nie, nie, tylko te do Camara Santa - sprostował dostojnik. - Obawiam się, że będzie musiała pozostać zamknięta aż do odwołania. Prasę poinformujemy, że konieczne są pewne prace renowacyjne. Tyle też wolno panu przekazywać turystom.

Wetknąwszy klucze za sutannę, arcybiskup rzucił krótkie „Buenas noches”, po czym ruszył w ślad za swymi gośćmi.

Odźwierny poczuł gwałtowną ulgę, aż ugięły się pod nim kolana. Jednak byt ma nadal zapewniony. Rzecz jasna, przypilnowanie starego księdza należało do jego obowiązków, lecz przecież należało do nich także

strzeżenie katedry i jej skarbów przed zwiedzającymi, którzy pozostawali w niej poza wyznaczonymi godzinami. Zresztą oddalił się dosłownie tylko na moment.

Uświadomił sobie, że jeśli będzie milczał, nikt się nie dowie o tamtej kobiecie. Tak jak stary ksiądz, zabierze ze sobą do grobu tych kilka ostatnich minut.

## Rozdział 6

To, co uważałam za jedno z największych cierpień w życiu, stało się źródłem mojej największej radości. Życie nieustannie nas zaskakuje, prawda? - Letycja Greene sięgnęła po chusteczkę higieniczną, by delikatnie osuszyć oczy, w których kącikach zalśniły łzy. - Dzień, w którym zabrałam Ricky'ego ze szpitala, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. W życiu, które wtedy nieomal rozłaziło się w szwach. Hal i ja - Hal to mój mąż - byliśmy bliscy rozvodu. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli wtedy z tego wyjść cało. Nie sądzę, abym ja sama mogła wyjść z tego cało.

Hannah odczekała chwilę, aż kobieta za antycznym biurkiem z różanego drzewa trochę się pozbiera. Wyglądała na osobę pod pięćdziesiątkę, a choć miała na sobie eleganckie i drogie ciuchy, jej sposób bycia sprawiał, że Hannah nie czuła się przy niej skrepowana.

- Wyobrażasz sobie? Po piętnastu latach, w ciągu których wierzyłam, że już nigdy nie będę matką, ta... ten anioł wkroczył w nasze życie. Miała na imię Isabel i ponownie nas zjednoczyła. Tak, zupełnie nam obca dziewczyna! Chciała pomóc, ale wydaje mi się, że nawet nie była gotowa na wszystkie



nagrody, jakie otrzymała za ten czyn. Zjednoczyła nas na nowo i sprawiła, że znów staliśmy się rodziną. Pamiętam dokładnie ten dzień, kiedy zabierałam Ricky'ego ze szpitala. A przy okazji, to jego zdjęcie.

Na biurku stała oprawiona w złoczone ramki fotografia rudego, piegowatego siedmiolatka. Kobieta przesunęła ją tak, by Hannah mogła lepiej zobaczyć.

- Rozsadzała mnie radość. Prawie nie do zniesienia. I z dnia na dzień było tej radości coraz więcej. Mówiłam do Hala: „Co ja mam począć z tą całą radością?” Jestem pewna, że wtedy w ogóle nie miał pojęcia, jak głęboki skutek wywrze na mnie jego odpowiedź. Ale zwrócił się do mnie...

Letycja pochyliła się ku Hannah, jakby chciała, by nikt inny nie mógł ich podsłuchać. Srebrny amulecik, który wisiał jej na szyi, również wysunął się naprzód, zalśnił w promieniach słońca. Wyglądał na kosztowny.

- Wiesz, co mi powiedział? - Zawiesiła dramatycznie głos.

- Nie - odparła Hannah. - A co powiedział?

- Powiedział: „Podziel się nią. Podziel się tą radością z innymi, Letycio!” Poczułam się tak, jakby uderzył we mnie piorun. - Słowa zdawały się same wyrwać z ust kobiety. - Co mam począć z całą tą radością? Muszę się nią podzielić z innymi, to jasne. Tak więc po czterech latach jestem tu, gdzie jestem, i pomagam innym bezdzietnym parom znaleźć te bardzo szczególne osoby, które pomogą im zyskać więcej szczęścia.

Z dumą wskazała na fotografie wiszące na ścianie za biurkiem, po obu stronach lustra w złoczonej ramie. Na fotografiach dzieliły się swoim szczęściem z obiektywem

uśmiechnięte pary oraz urocze niemowlęta. Obok niektórych wisiały oprawne w ramkę listy, przepelnione wdzięcznością i dające świadectwo skuteczności misji Letycji Greene.

Hannah obrzuciła je pełnym szacunku spojrzeniem. I pomyśleć, że niewiele brakowało, a wcale by tu nie przyszła. Niełatwo było manewrować wśród krętych uliczek miasta, więc kiedy wreszcie udało jej się zlokalizować Revere Street, króciutką przecnicę, oraz zaparkować samochód, była już spóźniona o dziesięć minut. Biura „Partnerstwa w rodzicielstwie” mieściły się na drugim piętrze dziewiętnastowiecznej ceglanej kamienicy, a wiodąca do nich klatka schodowa była tak brudna i kiepsko oświetlona, że Hannah przez chwilę zastanawiała się, czy nie zawrócić i nie ruszyć z powrotem do domu.

Kiedy jednak otworzyła drzwi, jej wrażenia uległy całkowitej zmianie. Biuro było jasno oświetlone, ładnie umeblowane, wyglądem bardziej przypominało pokój dzienny niż pomieszczenie biurowe. Podłoga była pokryta beżową wykładziną. Po obu stronach niskiego stoliczka do kawy stały zwrócone do siebie dwie kwieciste sofy w wesołych kolorach. Na półkach biblioteczki porozstawiano artystyczne bibeloty, zaś na odrębnym podeście stała kompozycja z jedwabnych kwiatów. Biurko pani Greene oraz stojące przed nim złożone krzesło, na którym siedziała teraz Hannah, stanowiły chyba jedyne użytkowe meble w tym pomieszczeniu, a przecież trudno je było uznać za typowe wyposażenie biura.

- Nazwałam naszą grupę „Partnerstwo w rodzicielstwie”, bo tak to właśnie postrzegam - ciągnęła Letycja Greene. - Ludzie wyciągają do siebie ręce, dzielą się na dziejami i

możliwościami, żeby razem stworzyć nowe życie. Trzeba sobie zdać sprawę, panno Manning, że nasze zastępcze matki tworzą nowe życie na kilka sposobów. Tym najbardziej oczywistym jest, rzecz jasna, dziecko. Ale dajecie także nowe życie mężczyźnie i kobiecie, którzy wcześniej często czuli się załamani i niepełnowartościowi. Darowujecie im przyszłość. Stajecie się ich zbawcami.

Hannah czuła, że im dłużej słucha Letycji Greene, tym silniej wzbierają w niej emocje. Pasja tej kobiety, jej zapał w dążeniu do celu napełniały ją niezwykłą żywotnością. Pomyślała o własnej ciotce i wuju, którzy zamknęli się przed sobą nawzajem, o tym bezsensownym zrządzeniu, które wypełniało ich dni. Pomyślała też o ponurych klientach jadłodajni, przemykających od posiłku do pracy i znów do posiłku, tam i z powrotem, bez końca. Nawet Teri, choć pocziwa, tak głęboko zapędziła się w ślepią uliczkę pracy, że ulgę przynosiła jej tylko pełne wzajemnych obelg spory z Bobbym. Wszyscy wiedli takie nieznaczące, ograniczone życie.

Potem zaczęła zastanawiać się nad własnym - najmniej znaczącym i najbardziej ograniczonym ze wszystkich. Była niczym w porównaniu z tą kobietą tak pełną energii życiowej i motywacji do działania.

- Przepraszam, że tak się rozgadałam, ale chyba widać, że kocham swoją pracę - dodała Letycja Greene przeproszającym tonem i roześmiała się. Włożyła okulary i przez chwilę przyglądała się formularzowi zgłoszeniowemu, jaki przedstawiła jej Hannah. - Chyba trzeba wrócić do pracy. Nie może pani siedzieć i wysłuchiwać mnie przez resztę popołudnia. Jak już wspominałam, sytuacja każdej rodziny jest odmienna i każda z zastępczych matek to ktoś szczególny.

Będziemy starali się wybrać jak najlepszą dla pani możliwość - rodzinę klientów, która będzie dla pani najodpowiedniejsza, a także ustalimy, jak bliski chce pani nawiązać z nimi kontakt. Czy chce pani, aby byli obecni przy porodzie? Czy chciałaby pani, żeby przysyłali zdjęcia dziecka, w miarę jak będzie dorastało? Tego typu sprawy. Wszystko to należy ustalić z góry i za obopólną zgodą. Stawki... cóż, jestem pewna, że uznaje pani za godziwe. Letycja Greene odwróciła formularz na drugą stronę i przebiegła wzrokiem od góry aż do samego dołu.

- Wygląda na to, że odpowiedziała pani wyczerpująco na wszystkie nasze pytania - stwierdziła z aprobatą. - Chcemy też dać pani możliwość zadania wszelkich nurtujących panią pytań, teraz lub nieco później. Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, iż zachodzi konieczność wykonania pewnych badań lekarskich. Nie ma się jednak czym przejmować. Chodzi o to, żeby się upewnić, że jest pani tak zdrowa, na jaką wygląda.

- Tak, oczywiście. Wszystko, co będzie konieczne.

- A skoro pani już tu jest ze mną w biurze, chciałabym, jeśli można, zadać kilka osobistych pytań. Może to wyglądać na naruszenie prywatności, lecz rozmawiamy tu o zobowiązaniu, które siłą rzeczy jest bardzo intymne i osobiste. Bardzo ważne, abyśmy wszyscy jak najlepiej się poznali. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

- Tak, proszę. Może pani pytać, o co pani zechce.

Letycja Greene wróciła do poprzedniej pozycji, a srebrny amulecik opadł z powrotem na mostek.

- W zgłoszeniu wyczytałam, że nie jest pani mężatką.

- Nie jestem.

- A jak się na to wszystko zapatruje pani chłopak?

- Nie mam chłopaka.
- A kiedy ostatnio była pani w związku?  
Hannah poczuła na twarzy gorący rumieniec.
- Ja nigdy... wychodzę gdzieś czasem z kolegami... Tylko że... nigdy to nie było na tyle poważne, żeby można to było nazwać związkiem, tak mi się wydaje.
- Rozumiem. Czy jest pani lesbijką?
- Co takiego?! Nie, nie. Podobają mi się chłopcy. Tylko nie spotkałam jeszcze nikogo, kto... - Poczuła, że ciężko jej wykrztusić z siebie słowa. Był przecież niejaki Eddie Ryan, który mieszkał przecnicę dalej i od czasu do czasu zabierał ją do kina, poza tym przez wszystkie lata szkoły regularnie się w kimś podkochiwała, choć zwykle biernie i z daleka. Teri mawiała, że dziewczyna czasem musi wykazać się inicjatywą, ale Hannah jakoś nigdy nie mogła się zmusić, aby wykonać pierwszy krok.
- Czy mieszka pani jeszcze z rodzicami?
- Nie, mieszkam z wujem i ciotką.
- Tak? - Letycja Greene podniosła na nią wzrok znad szkieł okularów.
- Oboje rodzice nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam dwanaście lat.
- Tak mi przykro. Musiało być pani bardzo ciężko. Pewnie nadal jest ciężko.
- Tak. - Tyle tylko zdołała wykrztusić w odpowiedzi.
- Czy chciałaby mi pani o tym opowiedzieć? - Już od tak dawna nikt nie zadawał jej tego pytania, że Hannah nieoczekiwanie poczuła się wzruszona. Większość ludzi unikała tego tematu lub zakładała z góry, że Hannah pozostawiła przeszłość za sobą i postanowiła żyć dalej. A jednak Letycja Greene chyba naprawdę się zainteresowała.

- To było w wigilię Bożego Narodzenia – zaczęła ostrożnie Hannah. - Wróciliśmy z domu ciotki Ruth. Tam właśnie teraz mieszkam. Zwykle spędzaliśmy razem wigilię, bo byli oni... a raczej są... jedyną rodziną, jaką mam. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Duxbury. Zasnęłam na tylnym siedzeniu i pamiętam tylko, że rzuciło mnie na podłogę, a matka gwałtownie krzyknęła. Pytała, czy nic mi nie jest i kazała się nie ruszać, mówiła, że pomoc już do nas jedzie. Po jej głosie poznałam, że musi bardzo cierpieć. Kiedy starałam się przesunąć, żeby na nią popatrzeć, krzyknęła: „Nie, zostań tam, gdzie jesteś! Nie patrz tutaj”.

Hannah poczuła ścisk w gardle i przerwała na chwilę, żeby wziąć głęboki wdech.

- To było takie straszne: leżeć i czekać na karetkę, nie śmiejąc ruszyć się z miejsca. Potem uświadomiłam sobie, że mama nie chciała, abym zobaczyła ojca. Zginął na miejscu. Zderzyliśmy się z ciężarówką, którą zarzuciło na nasz pas jezdni. Padał śnieg, kierowca zasnął za kierownicą i...

Zaskoczyło ją, że tak wyraźnie pamięta każdy szczegół. To było tak, jakby wypadek zdarzył się siedem dni, a nie siedem lat temu. Ruth i Herb ani razu z nią o tym nie rozmawiali, zachowała więc dla siebie wszystkie te okropne wspomnienia. Odniosła teraz dziwne wrażenie, jakby opowiadała tę historię po raz pierwszy w życiu i to komuś całkowicie obcemu. Ale tego kogoś przynajmniej to obchodziło.

- Ciężarówka uderzyła w nas od strony siedzenia kierowcy, dlatego ojciec zginął na miejscu. Został zmiążdżony przez ciężarówkę. Ludzie mówili, że nawet nic nie poczuł. Mnie jakimś cudem nic się nie stało. W drodze do szpitala matka zapadła w śpiączkę. Tydzień później zmarła na skutek

wewnętrznych obrażeń. „Przepraszam, kochanie” - to były ostatnie słowa, jakie od niej słyszałam. „Tak strasznie mi przykro”.

- Rodzice musieli bardzo panią kochać.

- Tak, myślę, że tak. - Znowu poczuła dławiący ścisk w gardle.

Już od dawna Hannah nie myślała o miłości. Miłość to było coś, co należało do tamtych odległych czasów sprzed wypadku, który wszystko odmienił. Pamiętała szuranie stopami wśród opadłych liści, mocny uścisk dłoni matki, której nie chciała za nic puścić, bo takie były razem szczęśliwe tamtego słonecznego dnia.

- Ej, wy dwie! - wołał tato, udając, że jest zazdrosny. - Po prostu nie da się was rozdzielić.

Hannah nagle zdała sobie sprawę, że w biurze zapadła cisza. Uświadomiła sobie, że dała się ponieść fali wspomnień. Letycja Greene, z pełnym zrozumieniem przyglądała się jej cierpliwie, przechyliwszy lekko głowę. Nie była taka jak inni, którzy kulili się i umykali, dostrzegłszy objawy jej uczuć. Akceptowała je całkowicie w taki sposób, że Hannah nie czuła najmniejszego zażenowania.

Letycja Greene wyciągnęła do niej rękę ponad blatem biurka, a Hannah uściśnęła podaną dłoń. Ten zwykły, prosty gest nieoczekiwanie wywołał w dziewczynie kolejną falę uczuć. Przez chwilę obie przyglądały się sobie nawzajem.

Nie były same.

Po drugiej stronie lustra w złoczonej ramie obserwowało je dwoje innych ludzi. Obserwowali i słuchali, kiedy Hannah snuła swoją historię. Choć przyciemnione szkło sprawiało, że mogli widzieć, nie będąc widzianymi, nie pozwolili sobie nawet na najlżejszy ruch, nawet na sekundę nie oderwali

wzroku od twarzy Hannah. Zmieniał się tylko rytm ich oddechów. Z początku miarowe, teraz znacznie przyspieszone, coraz krótsze i płytsze w miarę rosnącego podniecenia.

- Mam nadzieję, że nie przesadziłam, podając pani tyle szczegółów - odezwała się Hannah.

Letycja łagodnie pokręciła głową.

- Tego nie da się ująć w formularzu zgłoszeń. - Wypuściła dłoń Hannah. - Dziękuję, że podzieliła się pani ze mną tymi wspomnieniami. To właśnie miałam na myśli mówiąc, że w „Partnerstwie” chodzi o to, aby ludzie dobrze się poznali. Ci, którzy razem ruszają w bardzo intymną podróż. Proszę mi powiedzieć, Hannah, dlaczego chciałaby pani ruszyć w tę podróż?

Hannah już od kilku dni zadawała sobie to pytanie. Nie mogła przecież powiedzieć, że poczuła, iż to ogłoszenie w gazecie jest kierowane wprost do niej. Choć pani Greene okazywała tyle zrozumienia, mogłaby takie stwierdzenie uznać za dość osobliwe. Miała ochotę powiedzieć tej kobiecie, że od miesięcy czekała na znak i że kiedy życie wydawało się jej już zupełnie jałowe, w skrzynce pojawiła się broszura. Ale, prawdę mówiąc, to jeszcze nie było wszystko.

- Pracuję w jadłodajni i, cóż, mam poczucie, że marnuję własne życie. Niewiele potrafię, ale kiedy zobaczyłam to ogłoszenie i przeczytałam broszurę, wydało mi się, że może byłabym w stanie zdobyć się na coś podobnego. Może mogłabym komuś złożyć taki dar, o jakim pani mówiła, i dzięki temu kogoś uszczęśliwić. Chyba... po prostu chciałabym się na coś przydać.

Letycja wstała, obeszła biurko dookoła i uściskała Hannah.



- Mam nadzieję, że tak się stanie. Oczywiście, nic nie jest pewne, dopóki nie jest absolutnie pewne. Będziemy musieli sprawdzić wszystkie informacje, jakie nam pani podała i być może poprosimy panią na rozmowę z psychologiem, aby się upewnić, czy dokonuje pani właściwego wyboru. I, oczywiście, konieczne będą badania lekarskie, o których wspomniałam.

Odprowdziła Hannah do drzwi, opierając dłoń na jej ramieniu, a myśli dziewczyny na jedną chwilę jeszcze raz pomknęły ku tamtym jesiennym spacerom z matką.

- Aha, jeszcze jedna rzecz - przypomniała sobie Hannah, kiedy Letycja otworzyła przed nią drzwi. - Numer telefonu, jaki podałam w zgłoszeniu, to numer jadłodajni, w której pracuję. Gdyby potrzebowała pani się ze mną skontaktować, najlepiej będzie zadzwonić tam.

- Rozumiem. Proszę teraz wrócić do domu i przemyśleć sobie to, o czym tu rozmawiałyśmy. To nie jest decyzja, którą można podjąć ot, tak sobie. Chciałabym mieć absolutną pewność, że będzie to dla pani decyzja słuszna. Dla nas wszystkich.

Kiedy Hannah wyszła z biura, Letycja odczekała, aż jej kroki ucichną na klatce schodowej, potem zamknęła drzwi na klucz i zasuwę. Przez chwilę starała się uspokoić i opanować drżenie dłoni.

Po drugiej stronie biura uchyliły się drzwi, a po chwili wyszła z nich małżeństwo w średnim wieku. Jaskrawe kolory sukni kobiety oraz mocny makijaż sugerowały, że to ona łatwiej nawiązuje kontakty. Szpakowaty mężczyzna w sztruksowej marynarce prezentował się jak typowy profesor z któregoś z bostońskich college'ów. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech i właśnie on wypowiedział to, co zaprzętało myśli całej trójki.

- Wydaje mi się, że znaleźliśmy naszą dziewczynę.
- Jestem pewna, że wszyscy będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą - dodała Letycja.
- Nareszcie - dorzuciła kobieta w kolorowej spódnicy.
- Teraz będziemy mogli zacząć.

## Rozdział 7

Przez całą drogę powrotną z Bostonu Hannah czyniła sobie wyrzuty. Po co tyle gadała o śmierci rodziców? Letycja Greene chciała tylko wiedzieć, czy Hannah jeszcze nie wyprowadziła się z domu. Nic dziwnego, że kobieta wspomniała coś w końcu o psychologu. Pewnie myśli, że ma do czynienia z jakimś czubkiem.

Powinna była lepiej przemyśleć sposób, w jaki się zaprezentuje.

Z drugiej znów strony, miała tak niewiele doświadczenia w dziedzinie rozmów kwalifikacyjnych czy spotkań w sprawie pracy. Jedyne miejsce, w jakim pracowała, to „Błękitny Świt”, a ta robota sama wpadła jej w ręce. Jadała tam z wujem i ciotką, odkąd skończyła 12 lat, a właściciel, Bill Hatcher, od zawsze zwracał się do niej po imieniu.

Czy naprawdę sądziła, że w „Partnerstwie dla rodzicielstwa” wszystko pójdzie jak z płatka? Wparuje sobie beztrudnie do biura, odpowie na kilka pytań i, proszę, już od razu, natychmiast ją wybiorą? Ale teraz chyba raczej może już o tym zapomnieć. Zrobiła z siebie idiotkę i nie da się tego cofnąć.

Kiedy samochód toczył się hałaśliwie na południe drogą 1-93, mijając cysterny na ropę Esso i budynki fabryczne

z wysoko umieszczonymi napisami, które widać było z odległości pół mili, a potem grupki niskich sosenek, przypominające kępki skudłaczonego futra na tle nieba - Hannah wpadała w coraz bardziej posepny nastrój.

Jeśli los się do niej nie uśmiechnie, każdy kolejny rok będzie mijał niepostrzeżenie, a ona nigdy nie zdoła wyrwać się z domu ciotki i wuja. To miał być sposób na ucieczkę z Fall River, a ona tak po prostu wszystko zepsuła.

Zatrzymując samochód na parkingu przed „Błękitnym Świtem”, zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej i zorientowała się, że jest spóźniona o 35 minut. Ale skoro na parkingu nie stało jeszcze zbyt wiele samochodów, to może Bobby nie będzie się zbyt złościł.

Zdjęła płaszcz, zanim jeszcze zamknęły się za nią drzwi jadłodajni.

- Proszę, proszę - wykrzyknęła Teri, która uzupełniała za wartość cukierniczek na stołach, dosypując słodziku z różowych i błękitnych paczek. - Patrzcie, kogo nam tu przywiało.

- Przepraszam, Teri. Musiałaś sama wszystko przygotować? Jakoś ci to wynagrodzę.

- Och, chrzanić przygotowywanie. I tak wtedy jeszcze spałam. Wszystko w porządku? Czemu jesteś taka zaczerwieniona?

- Bo pędziłam, żeby się nie spóźnić.

- Co dziś robiłaś?

- Nic szczególnego. Musiałam pozałatwiać parę spraw, nic poza tym.

Teri dokończyła napełnianie ostatnich cukierniczek, potem rzuciła:

- Dziesięć minut temu dzwoniłam do ciebie do domu, żeby się upewnić, czy pamiętasz, że masz dziś na drugą

zmianę. Ciotka powiedziała, że nie było cię w domu przez cały dzień. A więc... Co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. Pojechałam do Bostonu na zakupy, to wszystko.

Starsza kelnerka uniosła wysoko brwi.

- Do Bostonu, co? A myślałam, że miałaś tylko parę spraw do załatwienia. Okropna z ciebie kłamczucha, Hannah Manning. Przecież możesz mi powiedzieć...

- Wierz mi, że nie mam nic do opowiadania.

- Dobra, dobra, niech ci będzie. W takim razie mam tylko dwa pytania.

- Jakie?

- Czyja go znam i czy jest żonaty? - Teri ryknęła tak głośnym śmiechem, że aż Bobby wytknął głowę zza kuchennych drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Świeży fartuch, który włożył na siebie dzisiejszego wieczoru, tylko podkreślał fatalny stan jego podkoszulka.

- Jesteś wreszcie - stęknął na widok Hannah. - Najwyższy czas. Już myślałem, że przyjdzie mi tu z nią spędzić noc sam na sam.

- Nie wiedziałbyś, co robić, gdybyś miał spędzić noc sam na sam ze mną, kochasiu.

- Na początek bym cię związał i włożył worek na głowę.

- Nie dałoby się inaczej, bo bym chyba umarła ze śmiechu.

Oboje już galopują swoim zwykłym szlakiem, pomyślała Hannah, idąc w stronę komórki, gdzie w zardzewiałej metalowej szafce trzymała zapasowy strój służbowy. Ukryta za stertami kartonów z puszkami fasolki i musu jabłkowego, szybko zrzuciła suknię, zastanawiając się w duchu, czy Teri naprawdę wierzy w to, że ona spotyka się z mężczyzną.

Jeśli tak, to chyba tylko dlatego, że wszystkie myśli Teri wykazywały naturalną skłonność do podążania w tym właśnie kierunku. Według niej za każdymi drzwiami, pod każdym łóżkiem, w samym środku sekretnych marzeń czaił się przystojniaczek w obcisłych dżinsach.

Hannah zawiązała na plecach troczki obszytego falbanką fartuszka, a kiedy wróciła na salę, z zadowoleniem odnotowała, że interes zdążył się znacznie ożywić. Czasem tak to już jest. Przez godzinę nie zajrzy nawet pies z kulawą nogą, aż tu nagle rojno. Oznaczało to, że Teri nie będzie jej więcej nękać pytaniami o to, co robiła przez popołudnie. To poczciwa kobieta i nie miała na myśli nic złego, ale czasem po prostu nie ma pojęcia, kiedy trzeba dać spokój. Tak jak w tych przekomarzankach z Bobbym.

Wkrótce Hannah całkowicie pochłonęła krzątania przy gościach - przewidywalna, a przez to zapewniająca pewne szczególne poczucie spokoju. Dwie mięsne zapiekanki, zatopione w sosie, dla kierowców ciężarówek przy bocznym stoliku. Pieczony kurczak - „ale pierś, nie udko, proszę!” - dla państwa Kingsley, starszej pary, która zawsze zamawiała pieczonego kurczaka i nigdy nie omieszkwała podać bliższych instrukcji w tej sprawie. Klienci wołali głośno o filiżankę kawy, o dolewkę lub rachunek. Hannah cieszył ten ruch, sprawiając, że czas płynął szybciej.

Teri przemknęła obok niej, obarczona tacą pełną podwójnych hamburgerów i smażonej cebuli.

- Nie wiem, jak u ciebie - zdołała mruknąć w przelocie - ale te moje kochaniątka aż wrzeszczą o tydzień na plaży w Lauderdale. Może moglibyśmy wybrać się we trójkę - ja, ty i ten twój tajemniczy pan.

Dopiero gdy zegar zawieszony nad drzwiami wskazał trzy minuty po godzinie dziewiątej, zaczęło się trochę uspokajać. Następna fala nadejdzie za jakieś czterdzieści pięć minut, kiedy ludzie zaczną wychodzić z seansów w multikinie. Hannah usłyszała, że ktoś wołają po imieniu, przebiegła więc wzrokiem ostatnich klientów, żeby się przekonać, z której strony doszło ją wołanie. Przy kasie stał Bobby, trzymając w powietrzu słuchawkę telefonu.

- Do ciebie! - krzyknął.

Hannah otarła ręce w fartuch i wzięła od niego słuchawkę.

- Czy pani Hannah Manning?

- Tak.

- Tu Letycja Greene z „Partnerstwa dla rodzicielstwa”.

Czy dzwonię bardzo nie w porę?

- Nie, nie. Akurat zrobiło się trochę spokojniej.

- To dobrze. Bo chciałam pani powiedzieć, że bardzo się cieszę, że mogłam panią poznać.

- Mnie także było bardzo miło, pani Greene.

- Cóż, wydaje mi się, że jest pani wyjątkową młodą osobą. Z rodzaju tych, które w „Partnerstwie” witamy z szeroko otwartymi ramionami.

Hannah poczuła wielką ulgę.

- Tak się cieszę. Nie chciałam się tak rozgadywać o swoich rodzicach. Sama nie wiem, dlaczego...

- Proszę się tym więcej nie przejmować - przerwała jej pani Greene. - Mieliśmy się przecież lepiej poznać, nie pamięta pani? Tak czy owak, pozwoli pani, że przejdę prosto do rzeczy. Kiedy pani wyszła, siedziałam przez chwilę w samotności, zastanawiając się nad całą sprawą i przeglądając akta par, z którymi współpracuję. Duże znaczenie

przypisuję intuicji, wie pani, więc coś mi powiedziało, że ta akurat para będzie do pani znakomicie pasowała.

Hannah gwałtownie przełknęła ślinę i zapytała się w duchu, czy aby słuch jej nie myli. Wróciła z Bostonu zaledwie cztery godziny temu. Coś w środku - ta część, która miała w pamięci pobite żony w supermarketach i ich ponure domy, które Hannah codziennie mijala - mówiło jej, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Nic z tego nie będzie, bo w Fall River nic nigdy nie wychodzi. Ale oto sama pani Greene dzwoni, żeby jej powiedzieć, że znalazła dla niej odpowiednią parę. I to taką, która idealnie by do niej pasowała.

- Jest tam pani, Hannah?

- Tak, proszę pani. - Zauważyła, że Teri, żeby słyszeć rozmowę Hannah, stoi w pobliżu, ścierając stół, który był całkiem czysty.

- Czy trudno pani teraz rozmawiać? - zapytała pani Greene.

- Odrobinę.

- W takim razie postaram się ująć wszystko możliwie najkrócej. Bardzo bym chciała, żeby spotkała się pani z tą parą, Hannah. Później wszystko pani o nich opowiem. Na razie powiem tyle, że dotąd byli bardzo wybredni w sprawie zastępczej matki dla swojego dziecka. Ale to bardzo mili, otwarci ludzie, którzy zapatrują się bardzo poważnie na ten rodzaj związku. Nie mogę też zlekceważyć własnej intuicji. Czy jest pani zainteresowana ewentualnym spotkaniem?

- A te wszystkie inne sprawy, o których mówiliśmy?

- Jakie inne sprawy?



- No... - Przeniosła wzrok na Teri, która zdecydowała się powycierać także czerwone, winylowe siedzenia. Ależ ona wścibska! -... te pozostałe kroki.

- Ach, ma pani na myśli badania lekarskie i tak dalej.

- Tak.

- Oczywiście, należy je wszystkie przeprowadzić. Chyba że z jakichś względów zmieniła pani zdanie.

- Nie, bynajmniej.

- To dobrze! Bo właśnie przed chwilą rozmawiałam z mi. Żeby się długo nie rozwodzić: po prostu nie mogą się doczekać, żeby panią poznać. „Im prędzej, tym lepiej” - mówili. Może więc jutro?

- Jutro pracuję w południe.

- To może po pracy. Niech pani wyznaczy jakąś godzinę.

- Cóż, właściwie to jutro pracuję podwójnie.

- Nie rozumiem?

- Mam dwie zmiany naraz - lunch i kolacja. Zaczynam o 11, a skończę dopiero po północy.

- O rany. No cóż, przynajmniej wiadomo, że nie brak pani energii życiowej! - zaśmiała się wesoło Letycja Greene. - Więc może niech mi pani powie, jaki dzień będzie pani odpowiadał?

- Mogę w piątek.

- Powiedzmy o drugiej?

- W piątek o drugiej będzie doskonale.

- No dobrze. Spotkamy się tu, w biurze na Revere Street. Tym razem już się pani nie zgubi?

- Nie, nie, teraz już pamiętam drogę.

Ledwie zdążyła odłożyć słuchawkę, kiedy wyczuła, że za jej plecami stoi Teri. Odwróciła się i zobaczyła, że starsza kelnerka kiwa głową z wszystkowiedzącą miną.

- Facet nie mógł wytrzymać nawet jednego dnia, żeby się nie umówić na następną randkę?

Hannah już miała sprostować, ale zaraz się rozmyśliła. Najlepszy sposób, aby Teri była cicho, to mówić jej to, co chce usłyszeć. Poza tym jeśli w „Partnerstwie dla rodzicielstwa” wszystko pójdzie po jej myśli, lepiej zacząć przyzwyczajając się do tego, że trzeba będzie opowiadać ludziom różne niewinne kłamstewka.

- Masz rację - odparła, odwracając wzrok. - Powiedział, że nie wytrzyma beze mnie nawet jednego dnia.

- No i bardzo dobrze, słoneczko - rozpromieniła się Teri.  
- Najwyższy czas.

## Rozdział 8

**H**annah wydawało się, że piątek nie nadejdzie już nigdy. Czasem odnosiła wrażenie, że godziny wloką się w nieskończoność; pracę w jadłodajni „Błękitny Świt” wykonywała jak w transie. Teri, korzystając z bogatych doświadczeń, w naturalny sposób przypisała jej stan ducha narodzinom romansu i nieustannie udzielała Hannah porad na temat mężczyzn oraz tego, jak podtrzymać ich zainteresowanie bez „wyczerpywania zapasów”, jak to określiła. Hannah nie wyłamywała się z tej gry.

W piątek rano długo przymierzała różne stroje, zanim w końcu zdecydowała się na tweedową spódnicę, białą bluzkę i brunatny kardigan. W nocy przywiało arktyczny prąd atmosferyczny, więc o wiele lepiej czułaby się w spodniach i grubszym swetrze, zwłaszcza że ogrzewanie w samochodzie nie działało jak należy. Lecz spódnica i kardigan zdały jej się o wiele odpowiedniejsze - gustowne, lecz niezbyt oficjalne, więc nie wyglądała tak, jakby ze wszystkich sił starała się wyrzeć dobre wrażenie.

Musnęła policzki pędzelkiem z różem, przyciemniła rzęsy odrobiną tuszu, a o 12.15 oceniła przed lustrem, że efekt

o ile to możliwe, jest zadowolający. Na dojazd do Bostonu pozostała jej godzina, plus zapasowe czterdzieści pięć minut na wypadek korków lub kłopotów z miejscem do parkowania.

Po drodze starała się skupić na pytaniach, jakie chciała zadać pani Greene. Ile trwa proces zapłodnienia in vitro? Czy trzeba spisywać jakieś dokumenty prawne? Pewnie całe sterety. I kiedy zaczną jej wypłacać comiesięczną pensję?

Co dziwne, nie czuła żadnych obaw przed ciążą. Żywiła wewnętrzne przekonanie, że jej ciało samo będzie wiedziało, co ma robić. Zresztą na pewno będzie pod stałą opieką lekarzy, więc nic złego się nie wydarzy. Był tylko jeden problem: Hannah nie miała zbyt wiele doświadczenia z seksem. Manewrując samochodem wśród innych aut, zastanawiała się, czy to może mieć znaczenie.

A co będzie, jeśli „Partnerstwo dla rodzicielstwa” potrzebuje kogoś bardziej... zdolnego? Ogarnęła ją chwilowa panika. Może gdyby pani Greene знаła całą prawdę, szybko by się rozmyśliła.

Lęk wciąż w niej narastał, więc kiedy wreszcie znalazła się przed biurem, była kompletnie sparaliżowana. Przez chwilę wpatrywała się w mosiężną tabliczkę na drzwiach, na których wygrawerowano ozdobnymi literami: PDR. Nie mogła zmusić się do wejścia, więc rozejrzała się po półpiętrze, próbując zebrać się na odwagę. Jedyne poza „Partnerstwem dla rodzicielstwa” biuro należało do jakiegoś prawnika. Drzwi były oszklone - tkwiła w nich staromodna szyba ze zbrojonego szkła, która miała zapobiegać rozbiciu i zniechęcać ewentualnych włamywaczy. Na szybie wymalowano napis „Gene P. Rosenblatt, adwokat”, lecz farba tak

popękała i tak się łuszczyła, że Hannah wątpiła, by nadal prowadził tu praktykę zawodową.

Wróciła wzrokiem do tabliczki z literami PDR, wzięła głęboki wdech i nacisnęła klamkę.

Letycja Greene siedziała za swym biurkiem z różanego drzewa, pochłonięta przeglądaniem kilku folderów w pastelowych kolorach.

- Jeszcze tylko muszę przejrzeć kilka ostatnich szczegółów - zawołała z radosnym uśmiechem. - Zaraz uporządkuję te papiery. Miałam właśnie zaparzyć sobie dzbanek herbaty. Może wypije pani filiżankę? Pewnie zmarzła pani na kość. - Wstała i zniknęła w drzwiach w rogu, które zapewne prowadziły na zaplecze. Hannah nie przypominała ich sobie z poprzedniej wizyty.

Zdjęła płaszcz i powiesiła na metalowym wieszaku przy drzwiach wejściowych, potem sprawdziła w lustrze, jak się prezentuje. Włosy trochę potargał wiatr, ale ubranie było jak najbardziej odpowiednie. Wyglądała w nim na studentkę college'u.

- Proszę. - Pani Greene wracała ostrożnie przez drzwi w rogu, niosąc w każdej ręce po filiżance ze spodkiem.

Hannah przysiadła przed biurkiem, wzięła podaną jej filiżankę i ostrożnie postawiła ją na kolanach.

- Kazałam Whitfieldom przyjść o wpół do trzeciej. Pomyślałam sobie, że dzięki temu będziemy miały chwilę czasu, żeby pogawędzić. Zanim ich pani pozna, omówimy kilka spraw.

Hannah podniosła właśnie filiżankę do ust, lecz w obawie, że rozleje zawartość, natychmiast postawiła filiżankę na spodek.

- Chyba jestem dziś trochę zdenerwowana.

- Nie ma potrzeby. Whitfieldowie to naprawdę bardzo miła para. Są małżeństwem od dwudziestu lat. Próbowali już wszystkich dostępnych nauce metod, ale cóż, bez skutku. Pani Whitfield miała paskudne mięśniaki.

Hannah spojrzała na nią nierozumiejącym wzrokiem, co natychmiast pociągnęło za sobą dalsze wyjaśnienia.

- Wie pani, takie guzy na ściankach macicy. Nie są złośliwe, ale za pierwszym razem, kiedy je usuwano, uszkodzono ściankę macicy. Pani Whitfield traci ciążę już w szóstym tygodniu. Biedactwo. Nie chcę się tu wdawać za bardzo w szczegóły, lecz pani Whitfield potrzebuje kogoś, kto by ją donosił zamiast niej, że się tak wyrażę. Jest pani ich ostatnią nadzieją.

Letycja Greene podmuchała na herbatę, żeby ją trochę ostudzić, potem ostrożnie wypła łyk.

- Myślę, że się pani spodobają. Są w dość delikatnej sytuacji, dlatego chciałam z panią porozmawiać jeszcze przed spotkaniem. Trzeba pamiętać, że będąc zastępczą matką, świadczy pani usługę na rzecz tych, którzy jej potrzebują. Nie wiem, czy rozmawiała już pani z innymi tego rodzaju organizacjami?

- Zgłosiłam się tylko tutaj.

- Cóż, zazwyczaj panują w nich zupełnie inne zwyczaje. Niektóre traktują tę sprawę jak zwykły kontrakt. Jasny i prosty. Ma pani dostarczyć dziecko, to wszystko. Zupełnie nie ma kontaktu z rodziną. Inne organizacje bardziej troszczą się o emocjonalne i psychiczne potrzeby zastępczych matek. Największą sztuką jest zachowanie odpowiednich proporcji. To właśnie staram się robić - zachować równowagę. Wierzę, że kontakt z rodziną klientów jest konieczny, żeby i oni mogli doświadczyć radości, związanych z ciążą.

Rzecz jasna, istnieje niebezpieczeństwo, że pani, zastępcza matka, zbyt mocno zwiąże się emocjonalnie z rodziną. Będzie się pani spodziewała, że kontakt utrzyma się także i po porodzie, co w istocie jest niemożliwe. Każdy musi później żyć własnym życiem. Pójść własną ścieżką. Rozumie pani, do czego zmierzam?

- Oczywiście.

- Teraz to się łatwo mówi, Hannah, bo nie spędziła pani całych miesięcy, nosząc w łonie cudze dziecko.

- Boi się pani, że zechcę je zatrzymać?

- Nie mówię o pani, mówię ogólnie. Bywały już takie przypadki. Na szczęście, nie w tej agencji.

- To okropne, zrobić coś takiego.

Pani Greene westchnęła i skinęła głową potakująco.

- Tak, to okropne. Okropne i okrutne. Zwłaszcza w przypadku Whitfieldów.

Hannah uniosła pytająco brwi i czekała, aż pani Greene rozwinie ten wątek.

- Mówię o zapłodnieniu in vitro i przeniesieniu zarodka. Jajeczka zostaną uzyskane od pani Whitfield – wciąż jeszcze ma owulację - i zostaną połączone w laboratorium ze spermą jej męża. Zarodki zostaną wszczepione pani. Tak więc, jak pani widzi, dziecko nie będzie z panią nawet spokrewnione. To od samego początku będzie dziecko Whitfieldów. Pani będzie tylko inkubatorem. Czy pani to rozumie?

- Tak.

Pani Greene odczekała chwilę, aby Hannah miała czas to sobie przemyśleć.

- Dobrze. Ja tak paplam bez końca, a oni przecież lada chwila tu będą. Może ma pani jakieś pytania?

Hannah umieściła filiżankę na krawędzi biurka i poprawiła się na fotelu, nie mając pojęcia od czego zacząć. Nie mogła dłużej ukrywać prawdy przed panią Greene.

- Nie spodziewałam się, że to będzie takie łatwe - rzuciła z nerwowym śmiechem.

- Co pani przez to rozumie, moja droga?

- Skoro pani do mnie zadzwoniła, to chyba pani uważa, że się nadaję?

- Owszem, jeśli wszystkie testy medyczne wyjdą jak należy, a nie ma powodów, aby zakładać, że nie wyjdą.

- Wydawało mi się, że będę musiała przejść coś w rodzaju egzaminu.

Pani Greene obdarzyła ją szerokim uśmiechem.

- Ależ skąd. Urodzenie dziecka to w dzisiejszych czasach jedna z tych niewielu rzeczy, które nie wymagają przygotowania. Jeśli jest pani zdrowa, organizm załatwi to za panią. Zawsze powtarzam, że nie bez powodu Bóg umieścił dzi dziusie w brzuchach matek. W ten sposób nie możemy się do nich dostać i narobić szkody, tak jak to zrobiliśmy z resztą świata. Możemy pomóc, korzystając z nowoczesnej techniki, ale same narodziny nadal pozostają cudem.

- A więc nie ma znaczenia, że nie mam żadnego...

- Czego pani nie ma, moja droga?

- ... doświadczenia. - Słowa nieoczekiwanie potoczyły się z ust wartkim strumieniem. - Ostatnim razem pytała mnie pani, czy byłam w związku. A ja odpowiedziałam, że tak. Ale to nie był taki rodzaj związku, jeśli mnie pani rozumie. To nie były związki oparte na seksie. Pewnie powinnam była od razu to pani powiedzieć. Ja wciąż jeszcze jestem...



- Proszę mówić dalej.
- Wciąż jeszcze jestem dziewicą.

Letycja Greene wzięła gwałtowny wdech i na chwilę w biurze zapadła ciężka cisza. Palce kobiety bawiły się srebrnym naszyjnikiem, który miała na sobie także ostatnim razem. Amulet kołysał się tam i z powrotem jak zegarek hipnotyzera. Żeby nie widzieć rozczarowania w oczach pani Greene, Hannah skupiła wzrok na amulecie. Był dość niezwykły: kwadratowy krzyż, wsparty u podstawy przed dwa klęczące anioły.

- Ojej - zagadkała w końcu pani Greene. - Bardzo się cieszę, że mi pani o tym powiedziała, Hannah. A teraz ja pani coś powiem. Czy uprawiała pani seks czy nie, to... zupełnie nieistotne. Seks to sprawa zewnętrznych organów płciowych. Cięża i owulacja to sprawy wewnętrzne. Proszę ich ze sobą nie mylić. Fakt, że nie jest pani doświadczona pod względem seksualnym nie ma żadnego wpływu na pani zdolność urodzenia dziecka.

- A więc to mnie nie dyskwalifikuje?

Pani Greene sprawiała wrażenie zaskoczonej, potem zaś wybuchnęła perlistym śmiechem. Był to jednak śmiech przyjazny a nie szyderczy, więc po krótkiej chwili Hannah się zaczęła śmiać razem z nią.

- A niech mnie! - kobieta ostrożnie otarła chusteczką kąciaki oczu. - Czy właśnie tym zamartwiała się pani przez cały czas? Powiedziałabym, że jest wprost przeciwnie, staje się pani dla nas osobą jeszcze bardziej pożądaną. Nie będziemy musieli martwić się o żadne wstrętne choróbki, które są przenoszone drogą płciową, prawda? Drogie, kochane dziecko, proszę mi zaufać. Wszystko uda się wspaniale. Proszę pamiętać o mojej intuicji!

Dało się słyszeć stukanie do drzwi, a Letycja Greene wyprostowała się gwałtownie, jakby jej ciało przeszył nagły prąd. Żeby uspokoić Hannah, uniosła ręce i skrzyżowała palce.

- Pierwsze spotkanie - szepnęła. - To za każdym razem wielkie przeżycie.

## Rozdział 9

Hannah najpierw zwróciła uwagę na kobietę i oceniła, że musi mieć około czterdziestu pięciu lat. Bluzka i spódnica płonęły jaskrawymi kolorami - czerwienią, oranżem, głębokim błękitem, ramiona otulał wrzosowy, luźno tkany szal. Z uszu zwisały złote kolczyki w kształcie miniaturowych chińskich dzwoneczków. Włosy miała czarne jak węgiel. Usta pokrywała gruba warstwa ceglastej szminki, nie pożałowała też tuszu do rzęs. Takie zestawienie powinno dawać efekt niegustowny i krzykliwy, lecz kobiecie udało się wszystko zręcznie połączyć. Hannah doszła do wniosku, że jest chyba trochę egzaltowana.

Mężczyzna był od niej starszy o jakieś dziesięć lat, ubrany znacznie bardziej konserwatywnie w ciemną, prążkowaną marynarkę oraz krawat w kolorze burgunda, który podsuwał myśl, iż mógł on być solidnym biznesmenem lub bankowcem. Rysy miał dość przyjemne, lecz niczym się niewyróżniające, z wyjątkiem obfitej, szpakowatej czupryny, która nadawała mu dystyngowany wygląd. Hannah wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że w wolnych chwilach występował w reklamach szamponów do włosów.

Nie przypominali nikogo z jej znajomych w Fall River, tego była pewna: zamożni, z klasą, ten typ małżeństwa, który jej ciotka z pogardą właściwą przedstawicielom niższej warstwy średniej nazywała „gogusie”.

Pani Greene zerwała się na równe nogi i powitała ich z otwartymi ramionami.

- Ależ to ekscytujące, prawda? - rzuciła i nie czekając na odpowiedź, cofnęła się trochę, z dumą wskazała na Hannah i oznajmiła: - Jolene i Marshall Whitfield, poznajcie Hannah Manning.

Hannah podniosła się z fotela i wyciągnęła rękę. Jolene ujęła ją delikatnie w obie dłonie, jakby była niezwykle krucho - jak skorupka jajka lub świeżo wyklute pisklę.

- Jestem zachwycona - odezwała się. - To prawie jak randka w ciemno, nieprawdaż? Marshallu, chodź, poznaj Hannah Manning.

Uścisk dłoni mężczyzny był pełen szacunku, niemal wiotki. Marshall obdarzył przy tym Hannah ciepłym uśmiechem, odsłaniając rząd pięknych zębów. Miał mniej więcej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy od żony, która braki postury nadrabiała asertywnością. Pani Greene, zupełnie jak owczarek górski pilnujący stada, doprowadziła ich do sof i gestem zaprosiła, by zajęli miejsca - Whitfieldowie po jednej stronie stolika do kawy, ona i Hannah po drugiej.

- A więc pochodzi pani z Fall River - zagadnęła Jolene Whitfield bez długich wstępów.

- Tak, proszę pani.

- Proszę pani? Nie, tak nie może być. Proszę mi mówić Jolene. A do męża: Marshall. Słyszałam, że to bardzo przy-

jemna okolica. My sami niedawno przeprowadziliśmy się do East Acton. Zna pani East Acton?

- Nie, nie znam.

- Ślicznie tam. Mnóstwo drzew. Choć jeśli mam być szczerą, trochę tam nudno. O dziesiątej wszyscy gaszą światła. Ale Marshallowi łatwo stamtąd dojeżdżać do pracy. Marshall pracuje tu, w Bostonie. Poza tym mamy tam piękny ogród.

- Czy już wspominałam, że pani Whitfield jest malarką? - wtrąciła pani Greene. - Widziałam jej prace, są cudowne. Sprzedaje je na Newberry Street.

- Och, najwyżej jedną na rok. Zazwyczaj paćkam coś u siebie w pracowni, w domu. Dzięki temu mam zajęcie.

- Jest bardzo skromna. Ma takie wyraziste... wizje. Nawet pani sobie nie wyobraża, jak niezwykle!

To dziwne, ale Hannah przyszło do głowy, że chyba jednak potrafiłaby sobie wyobrazić.

Pan Whitfield, jak się okazało, pochodził z Maryland i pracował w ubezpieczeniach - a oba te fakty trudno było połączyć w konwersacji. Rozmawiali więc o pogodzie i warunkach drogowych, pani Whitfield pochwaliła brązowy kardigan Hannah i orzekła, że dobrze współgra z kolorem jej włosów.

- A więc dobrze - odezwała się pani Greene, czując, że czas już skierować rozmowę na sprawy bieżące. - Wyjaśniłam Hannah, na czym polegają usługi, jakie oferujemy w „Partnerstwie”. A wam obojgu mówiłam przez telefon, że Hannah wywarła na mnie bardzo dobre wrażenie. - (Czym mogłam wyrzucić tak dobre wrażenie na pani Greene? - zastanawiała się Hannah w duchu.) - Ale może byłoby lepiej, aby usłyszała całą historię z waszych własnych ust. Jolene?

- To bardzo proste. Za długo czekaliśmy. Mieliśmy inne, ważniejsze sprawy. Zanim się zorientowaliśmy, było za późno. - Twarz kobiety na moment przesłonił welon smutku.

- Nie wiemy, czy tak było naprawdę, Jolene - wtrącił jej mąż. - Może wcale nie byłoby inaczej, gdybyśmy zaczęli w wieku dwudziestu lat.

- Ale chodzi o to, że nie zaczęliśmy w wieku dwudziestu lat. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że wtedy jeszcze mogłam urodzić dziecko. Tak mi powiedział lekarz. Ale odkładaliśmy i odkładaliśmy. A potem, cóż, szkoda już się dokonała. Wiesz, że to prawda. Wiesz, że za długo zwlekaliśmy.

Marshall Whitfield poklepał żonę po ramieniu.

- Teraz to i tak nie ma już żadnego znaczenia, kochanie. Omawialiśmy tę sprawę już tysiąc razy.

Jolene nie zwróciła uwagi na gest męża.

- Tak było. Zwlekaliśmy dłużej, niż należało. Marshall robił karierę w firmie, z roku na rok szło mu coraz lepiej. Poza tym oboje uwielbialiśmy podróże. A więc plan był taki, że najpierw, póki jeszcze jesteśmy młodzi i stosunkowo swobodni, zwiedzimy świat, a dopiero potem założymy rodzinę. Wiedzieliśmy, że kiedy pojawią się dzieci, będziemy uwiązani na miejscu i wyjazdy staną się o wiele trudniejsze.

- Byli wszędzie, Hannah - wtrąciła pani Greene. - W Chinach, w Indiach, w Turcji, Hiszpanii, w Północnej Afryce. Strasznie im zazdroścę.

- Absolutnie nie żałuję tych podróży - mówiła dalej Jolene. - Widzieliśmy naprawdę niezwykłe miejsca. Ale zawsze był kolejny kraj, który chcielibyśmy zobaczyć. Prawda, Marshall? Przez dziesięć lat odkładaliśmy założenie rodziny

na później. Kiedy nadszedł odpowiedni czas, myśleliśmy, że pójdzie jak z płatka. Że będzie tak samo jak z planowaniem podróży. Wybierzemy datę, kupimy bilety i pojedziemy. „W tym roku pojedziemy na Cejlon, w przyszłym zrobimy sobie dziecko”. Tak właśnie o tym rozmawialiśmy. To było chyba dość głupie. W roku, w którym miało być dziecko, odstawiłam pigułki i... nic. Lekarz mówił, że musimy być cierpliwi, trochę odczekać. I dalej nic. Rok później odkryłam, dlaczego nie mogę mieć dziecka - mięśniaki macicy nie pozwalały zarodkom zagnieździć się w ścianie. Przeszłam jedną operację. Potem drugą. Raz myślałam, że już jestem w ciąży, ale poroniłam w trzecim miesiącu. To było siedem lat temu.

- Omawialiśmy już sprawę adopcji - włączył się Marshall.  
- Jest tyle dzieci, które potrzebują domu. Wciąż jeszcze nie wykluczaliśmy takiej możliwości.

- Ale to nie to samo - zaproponowała Jolene. - Czuję się tak, jakby pozbawiono mnie jakiegoś bardzo istotnego elementu życia. Czegoś mi w nim brakuje.

- Jestem pewien, że ona to rozumie, Jolene. Nie musisz się tłumaczyć z potrzeby posiadania własnego dziecka. To naturalne pragnienie każdej kobiety i każdego mężczyzny.

Jolene zwróciła się teraz bezpośrednio do Hannah.

- Widzi pani, ja wciąż jajeczkuję. Jestem płodna, jak każda inna kobieta. Wyniki analizy spermy Marshalla też są w normie. Po prostu nie mogę donosić ciąży. Poza tym jednym do wszystkiego innego jestem zdolna. Naprawdę, proszę mi wierzyć.

Pani Greene sięgnęła przez stół i dotknęła dłoni Jolene, podobnie jak to uczyniła przy pierwszym spotkaniu z Hannah.

- Oczywiście, że tak. Potrafi pani kochać swoje dzieci, brać je na ręce, pocieszać, patrzeć, jak stawiają swoje pierwsze kroki i pomagać im dorastać. Jest pani zdolna to tego wszystkiego.

Jej słowa oraz fizyczny kontakt podziałał na Jolene Whitfield tak samo jak przedtem na Hannah: uspokoił ją i pocieszył.

Jolene wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- Cóż - odezwał się Marshall, przełamując niezręczną ciszę, jaka zapanowała na moment. - Teraz już wie pani o nas wszystko. Proszę nam teraz opowiedzieć coś o sobie.

Niewiele mam do opowiadania, pomyślała sobie Hannah. Niedawno ukończyła szkołę średnią, pracowała w jadłodajni i mieszkała z krewnymi, dla których wychowywanie jej zawsze stanowiło przykry obowiązek. Jej świat był niewielki. Choć nie zawsze tak było. Był taki czas, jeszcze za życia rodziców, kiedy i ona przejawiała wielki entuzjazm dla książek i podróży.

Kiedy była jeszcze dzidziusiem, matka zabierała ją ze sobą do biblioteki, gdzie pracowała, a Hannah spędzała całe dnie w kojcu ustawionym na zapleczu. Kiedy podrosła, jej domem stała się sekcja literatury dziecięcej. Spędzała tam całe godziny, czytając każdą książkę, jaka wpadła jej w ręce - książki o Indianach, delfinach, zaczarowanych domkach na drzewie, przez które podróżowało się w czasie do różnych historycznych miejsc. Kiedy tylko podniosła wzrok znad kartki, widziała za kontuarem matkę, która sprawdzała karty biblioteczne i odpowiadała na pytania czytelników. Gdy wracali razem do domu, opowiadała jej o wszystkim, czego się tego dnia dowiedziała.



Ale po wypadku zainteresowanie książkami jakoś zanikło. Książki kojarzyły się z matką, a czytanie wywoływało bolesne wspomnienia. Ucierpiała na tym nauka szkolna, choć nauczyciele uważali, że jest to całkowicie zrozumiałe, ponieważ Hannah przechodzi ciężki okres w życiu. Pozbiera się. Ale nigdy się nie pozbierała. Kiedy kończyła szkołę niemal na ostatnim miejscu w klasie, już niewielu nauczycieli pamiętało, że kiedyś była bystrą, ciekawą świata dziewczyną. Dla nich była tylko kolejną cichą, pozbawioną motywacji uczennicą, która siedziała, gapiąc się w okno, bez wątpienia marząc o dniu, w którym nie będzie musiała już przychodzić na lekcje i będzie mogła znaleźć sobie jakąś pracę.

Spojrzała ponad stolikiem na Whitfieldów, ludzi obytych, znających świat, zamożnych i wykształconych. Czekali teraz, aż odpowie.

- Obawiam się, że moje życie nie przedstawia się tak ciekawie, jak u państwa - rzuciła przepraszającym tonem. - Poza Fall River niewiele widziałam. Pracuję w jadłodajni „Błękitny Świt”.

- Co za poetyczna nazwa! - wykrzyknęła Jolene. - Podobna się pani ta praca?

Z początku Hannah sądziła, że kobieta stara się tylko być uprzejma. Kogo obchodzi jakaś głupia, stara jadłodajnia w miasteczku pamiętającym lepsze czasy? Lecz już po chwili zauważyła, że Jolene wychyla się niecierpliwie w jej stronę, zaciska kurczowo dłonie, a w jej oczach pojawia się wyraz skupienia.

Marshall Whitfield emanował podobną aurą wyczekiwania. Wtedy Hannah zrozumiała, że oni jej potrzebują. Chyba nawet bardziej niż ona ich. Nigdy by nie uwierzyła, że jest w

stanie uszczęśliwić ludzi takich jak Whitfieldowie, że dzięki niej poczują się spełnieni. Jednakże wyrażał to dobitnie język ich ciała.

Ogarnęło ją dziwne poczucie błogości, jakby wypila jakiś upajający trunek, chociaż jeszcze nigdy nie próbowała niczego mocniejszego od wody sodowej. Jak Trzej Królowie, którzy wyruszyli w ślad za gwiazdą, miała poczucie, że wie, dokąd ma iść i co robić dalej. Od chwili gdy przeczytała tamto ogłoszenie w gazecie, los ją prowadził aż tutaj, do tej pary.

Wszyscy troje nie spuszczała z niej oczu. Rozpromieniona pani Greene wołała pozostać na uboczu i cieszyć się rolą katalizatora. Twarze wszystkich trojga były tak otwarte i przyjazne, że Hannah wprost pękała z dumy.

- Naprawdę chciałabym państwu pomóc - rzuciła. - Mam nadzieję, że pozwolicie mi urodzić swoje dziecko.

## Rozdział 10

Po pełnym emocji spotkaniu z Withfieldami wizyta u doktora Erika Johansona przebiegła w zdecydowanie innej atmosferze. Był właścicielem niewielkiej przychodni w pobliżu Beacon Hill, co oznaczało, że po raz kolejny musiały wymknąć się z domu, żeby pojechać do Bostonu. Zaczynało jej to wchodzić w krew.

Sugerując się nazwiskiem, Hannah wyobrażała go sobie jako wysokiego, barczystego Szweda z szopą falujących blond włosów i błękitnymi jak ocean oczyma. Była więc nieco zaskoczona, kiedy ujrzała przed sobą niskiego, łysiejącego mężczyznę po pięćdziesiątce o oliwkowej cerze, noszącego kozią bródkę, która wyglądała jakby polał się po brodzie sosem czekoladowym.

Miał miękki głos, w którym wyczuwało się delikatny ślad obcego akcentu, jednak Hannah nie potrafiła określić dokładnie jego pochodzenia. Kojarzył się z akcentem któregoś z krajów Europy Środkowej. Zdecydowanie nie szwedzki. Lekarz był uprzejmy w sposób nieco staroświecki - witając, skłonił się lekko, co ją rozbawiło.

- Patrząc na panią, taką zdrową i ładną, zakładam z góry, że nie ma się o co martwić - zachichotał. - Jak to wy, młodzi, mówicie? „Bułka z masłem”?

Doktor Johanson zadał jej wszystkie zwykłe w takich przypadkach pytania: czy chorowała na cukrzycę? czy ma nadciśnienie? czy pali? - odhaczając odpowiednie rubryczki na karcie tak szybko, jakby znał odpowiedź, zanim jeszcze Hannah jej udzieliła.

Hannah zawahała się tylko wtedy, kiedy zapytał, czy ktoś w rodzinie przechodził trudną ciążę. Na przykład matka lub babka.

- Będziemy się troszczyć o pani zdrowie - wyjaśnił. - Ale musimy także mieć na uwadze zdrowie dziecka. W końcu będzie pani pełnić rolę inkubatora.

Już po raz drugi użyto wobec niej tego słowa. Hannah pomyślała, że brzmi to tak, jakby była maszyną, wiązką rurk i kabli, które się włącza i wyłącza. Określenie „zastępcza matka” brzmiało o wiele ładniej. Lecz dobrotliwy wyraz twarzy doktora Johansona wskazywał, że nie miał nic złego na myśli. Zapewne był to po prostu taki techniczny termin.

- Może ciotka będzie wiedziała. To moja jedyna żyjąca krewna. No i wujek. Mogę ich zapytać, jeśli pan sobie życzy.

- Cóż, może nie będzie to konieczne. - Doktor wskazał gestem wyłożone boazerią drzwi po prawej stronie biurka, które wiodły do małego, aseptycznego pokoiku, gdzie badał pacjentów. - A może od razu przejdziemy do badania? Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, aby się rozebrać. Po drugiej stronie, na drzwiach wisi koszula. Wracam do pani dosłownie za sekundę. - Skupił się ponownie na papierkach i odhaczył

kilka kolejnych rubryk na leżących przed nim arkuszach.

Czarna skórzana kozetka lekarska pokryta była papierem, który zachrząścił pod jej ciężarem, kiedy Hannah przysiadła na niej bokiem; bosa stopy zwisały swobodnie nad ziemią. W pokoju było niezbyt ciepło, pachniało tu mocno środkami dezynfekującymi. Płócienna koszula nie zapewniała zbyt dobrej ochrony przed chłodem. Plakat na ścianie wabił urokami słonecznego Costa del Sol, przedstawiał ludzi figlujących radośnie wśród błękitnych fal. Hannah starała się skupić myśli raczej na jakichś odległych miejscach niż na igłach, gumowych rękawicach oraz nieprzyjemnych stalowych instrumentach do badań. Zaszła już tak daleko. Byłoby...

Nie zdążyła nawet dokończyć tej myśli, kiedy otworzy się drzwi. Doktor Johanson miał na sobie biały, rozpięty na wysokości kolan laboratoryjny kitel, w którym wyglądał jak komiczny pingwin. Podeszedł do umywalki, wyszorował ręce, potem osuszył ręcznikiem.

- No to podwijamy rękawy i zabieramy się do pracy, tak?  
- Zwrócił się twarzą do Hannah. - Pobierzemy dzisiaj próbki krwi, sprawdzimy pracę serca oraz ciśnienie. I oczywiście zważymy panią. Potem badanie kości biodrowych, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w należytym porządku. Będę też musiał pobrać próbki kultur bakteryjnych z pani pochwy i szyjki. Raczej nie sądzę, aby było czym się przejmować. Chcemy się po prostu upewnić, że nie ma żadnej infekcji.

Ujął ją za przegub i zbadał puls.

- Wielkie nieba, ależ ma pani przyspieszony puls. Łup, łup, łup. Pędzi jak mały króliczek. Chyba się pani nie boi, co?

- Chyba po prostu trochę się denerwuję.  
- Nie ma takiej potrzeby, moja panno. - Kojącym gestem położył jej dłoń na ramieniu. - Absolutnie. Jak brzmiało to smakowite określenie? A, tak: „Bułka z masłem!” To będzie jak bułka z masłem. - Znów zachichotał.

I tak też właśnie było.

Dwa dni później doktor Johanson skontaktował się z nią i poinformował, że testy laboratoryjne nie wykazały niczego, co byłoby niezgodne z normą.

- Moje gratulacje - rzekł. - W takim razie teraz pozostało nam już tylko wybrać ten wielki dzień, czyż nie?

- Jak pan uważa, doktorze. Tylko że musiałabym najpierw zaplanować kilka rzeczy, więc jeśli bardzo się panu spieszy...

- Nie ma co wpadać w popłoch! Whitfieldom bardzo zależy, żeby wszystko odbyło się jak najprędzej. Ale natury nie można popędzać, prawda? Gdzie się człowiek spieszy, tam się diabeł cieszy, jak to mówią. Zobaczmy. Mam przed sobą pani kartę i kalendarzyk. Idealny moment to pierwszy tydzień po miesiączce, tak więc z moich wyliczeń wynika... że najlepiej się przedstawia początek marca. A widzę, że w klinice jest miejsce akurat 3 marca. To będzie wtorek. O dziesiątej rano? Jak się pani na to zapatruje?

Serce Hannah waliło jak młotem. Trzeci marca to za niecałe trzy tygodnie.

- Czy będę mogła potem pracować?

- Ależ oczywiście, moja droga, o ile nie będzie pani musiała przy tym dźwigać ciężarów. Sama procedura odbywa się błyskawicznie. Nie wymaga znieczulenia. Niczego pani nie poczuje. Powtarzam, to będzie jak bułka z masłem.

— A więc niech będzie trzeci marca. Aha, panie doktorze, mam już nowy adres, pod który można wysyłać do mnie pocztę.

Była to jedynie skrytka pocztowa, którą wynajęła w Mailboxes Inc., w centrum handlowym, lecz doszła do wniosku, że w ten sposób Ruth i Herb nie wpadną na trop jej korespondencji z „Partnerstwem dla rodzicielstwa”. I tak są wystarczająco wścibscy.

- Skrytka pocztowa 127? - powtórzył dla pewności doktor. - Brzmi uroczo. O wiele lepiej niż, dajmy na to, 126.

Zachichotał, a Hannah mimowolnie zawtórowała.

Pierwszą pocztę otrzymała już dwa dni później. Elegancka kartka okolicznościowa, na której na tle sielskiego angielskiego krajobrazu rozpiął się łuk tęczy. Zanim jeszcze dostrzegła podpisy, lawendowy atrament poinformował Hannah, kto jest nadawcą kartki,

Na samym końcu tęczy jest życie z marzeń i snów.

Jolene i Marshall

Przyszłość, która od dłuższego czasu wydawała się Hannah tak przeraźliwie pusta, przestała ją napełniać obawą. Teraz miała w niej swoje miejsce, byli ludzie, których obchodził jej los. To, co przedtem przypominało daleki, zamglony obraz, teraz przestało być wyłącznie sennym marzeniem. Wkrótce miało się stać rzeczywistością.

Poruszała się wśród stolików w „Błękitnym Świcie” Z lekkością odpowiadającą jej nastrojowi, nie złościło jej wzajemne dogryzanie Teri i Bobby'ego, a nawet nie miała żalu o skąpe napiwki, które w rzeczy samej stały się ostatnio jakby wyższe. Pewien kierowca ciężarówki, który zamówił jedynie

filiżankę kawy, zostawił pod spodeczkiem dziesięciodolarowy banknot. Kiedy zapytała, czy to przypadkiem nie pomyłka, odparł: „Nie, złotko, po prostu dzięki tobie ta jadłodajnia robi się całkiem przyjemnym miejscem”,

Teri także zauważyła w niej zmiany, lecz przypisała je odmładzającym, relaksującym i ogólnie korzystnym właściwościom uprawiania seksu.

Nawet Ruth w końcu coś zwąchała.

- A co ty cały czas chodzisz taka szczęśliwa? - burknęła jednego ranka przy śniadaniu.

- A nic, po prostu czuję się szczęśliwa - odparła Hannah.

Kobieta ograniczyła się w swoim sceptycyzmie do krótkiego „Ha!”. Już od dawna uważała, że ludzie nie mają prawa być zadowoleni z życia, a jeśli są, to na pewno dlatego, że złamali prawo.

W przeddzień wielkiego wydarzenia Hannah zrobiła coś, czego nie robiła już od bardzo dawna. Przysiadła na brzegu łóżka, przyknęła oczy i modliła się do matki o siłę. Potem wśliznęła się pod kołdrę i zapadła w głęboki sen. Kiedy się obudziła, czuła się niezwykle rześko, tak dobrze nie czuła się już od wielu lat. Łóżko wyglądało, jakby nikt w nim nie spał, na poduszce można było dostrzec tylko kilka zmarszczek. Zupełnie jakby przez całą noc przeleżała bez ruchu, niemal w stanie zawieszenia czynności życiowych.

Spokój, jakiego doświadczyła podczas pierwszego spotkania z Withfieldami, przerodził się w stan niewzruszonej pogody ducha i zadowolenia, które otuliło ją szczerze i odizolowało od wątpliwości. Godzinę później, kiedy wsiadała do samochodu, jej dłoń powędrowała odruchowo w stronę



gałki radia, lecz powstrzymała ją, chcąc przedłużyć nastrój pogodnej radości. W połowie drogi do Bostonu Fall River zdało jej się już odległe o lata świetlne.

Znalazła miejsce do parkowania bardzo blisko kliniki (to z całą pewnością był jeden z tych magicznych dni), a kiedy weszła do poczekalni doktora Johansona, odebrała - podobnie jak poprzednio - wrażenie niezwyklej ciszy, ciszy pozbawionej wszystkich zanieczyszczeń. Recepcjonistka powitała ją skinieniem głowy. Z początku Hannah nie zauważyła Whitfieldów, którzy siedzieli wyprostowani w kącie, złożonywszy dłonie na kolanach.

Jolene zamiast swego zwykłego, jaskrawego stroju, miała dziś na sobie szytą na miarę, szarą, prostą garsonkę; powitała Hannah leciutkim machnięciem dłoni, jakby się bała, że jakieś bardziej demonstracyjne powitanie mogłoby zakłócić przebieg tego bardzo szczególnego poranka. Cicho, niemal szeptem Marshall zapewnił: „Będziemy z tobą przez cały ten czas”.

Wyglądali jak para zdenerwowanych rodziców na wiadówce.

Otworzyły się drzwi do gabinetu doktora Johansona i wysunęła się stamtąd Letycja Greene. Kiedy tylko ujrzała przed sobą Hannah, rozjaśniła się, ujęła jej rękę w obie dłonie i mocno nią potrząsnęła. Hannah wyczuła, że tym razem wszyscy patrzą na nią zupełnie inaczej - nie jak na nastolatkę, która o mały włos nie oblała matury, lecz jak na dorosłą kobietę, na równego sobie partnera.

W drzwiach stanął doktor Johanson; czekał, aż Hannah spojrzy na niego. Miał na sobie ten sam kitel, w którym kilka tygodni temu prezentował się tak komicznie, lecz tym razem

zachowywał się z powagą, która trochę Hannah przestraszyła.

- Jak się miewasz dziś rano, moja droga? Jesteś gotowa?

- zapytał, pomagając jej zdjąć płaszcz.

Jego uprzejmość pomogła Hannah odzyskała pewność siebie.

- Jak najbardziej.

Wydawało jej się, że pani Whitfield zamrugęła powiekami, chcąc pohamować napływające do oczu łzy. Wszyscy wydawali się tacy jacyś uroczyści. Przecież to chyba miało być radosne wydarzenie?

Doktor Johanson ujął ją delikatnie pod łokieć i poprowadził w głąb gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

- To bardzo ważny dzień dla nas wszystkich - wyjaśnił, jakby czytał jej w myślach. - Gestem zaprosił ją, aby usiadła.

- Tworzymy nowe życie, a to zawsze jest ogromna odpowiedzialność, nie można tego traktować lekko, mimo że to, co mamy zamiar dziś zrobić, jest w istocie niezwykle proste. Zdołaliśmy pozyskać sześć jajeczek pani Whitfield i w szkiełku Petriego zapłodnić je spermą jej męża. Za chwilę umieszczę je w pani macicy, żeby zobaczyć, czy się zagnieżdżą. Będę korzystał z mikroskopijnych narzędzi - zasadniczo będzie to strzykawka z plastikową rurką - więc niewiele pani poczuje. Niemniej wynik implantacji nigdy nie jest do końca pewny, więc ważne jest, aby była pani spokojna i zrelaksowana. W ten sposób może mi pani pomóc, Hannah

- proszę mi zaufać i myśleć tylko wszystkich dobrych rzeczach, jakie z tego wynikną. Czy ma pani jakieś pytania?

- Jak długo potrwa ta operacja? - zapytała, starając się nie zwracać uwagi, że zrobiło jej się bardzo sucho w ustach.

- Tylko nie operacja, to zwykła procedura. Nie dłużej niż dziesięć-piętnaście minut. Potem poproszę panią, żeby coś przekąsiła i przez kilka godzin odpoczywała, aby organizm miał czas się ustabilizować. Ale wtedy nasza mała misja będzie już zakończona. A potem... cóż, wszystko będzie w rękach Boga.

## Rozdział 11

**H**annah ogarnęło dziwne uczucie. Jakieś mdłości, które w miarę jak podchodziły z żołądka do gardła, nabierały kwaskowego posmaku, potem przez długi czas czuła w ustach coś jak kęs nieprzeżutego chleba. Kiedy zdarzyło się jej to po raz pierwszy, pobiegła do łazienki, była pewna, że zaraz zwymiotuje. Ale nie wymiotowała. Teraz już wiedziała, że wystarczy siedzieć bez ruchu i głęboko oddychać, a wszystko minie, i właśnie dlatego o wpół o jedenastej siedziała z przymkniętymi oczyma na brzegu własnego łóżka, przytrzymując się stelaża.

Za pół godziny powinna się zjawić w jadalni, więc rozważała teraz, czy nie zadzwonić i nie powiedzieć, że jest chora. Ale, prawdę mówiąc, nie była to żadna choroba, lecz tylko chwilowa niedyspozycja. Kiedy dwa tygodnie temu pojechała spotkać się z ponownie z doktorem Johansonem, uprzedził ją o wszystkim, więc wiedziała czego się spodziewać. Testy potwierdziły, że stało się to, na co wszyscy czekali, a Hannah nie wiedzieć skąd była o tym przekonana, zanim jeszcze pobrano jej próbkę krwi do badań: jedno z jajeczek się przyjęło. Była w ciąży.

Aż trudno uwierzyć, ile te słowa sprawiły jej radości. Teraz też trudno jej było uwierzyć, tyle że w tej chwili nie odczuwała żadnej szczególnej radości. Było jej niedobrze, a kiedy o tym myślała, robiło się jeszcze gorzej. Wpatrywanie się w odbicie w lustrze umieszczonym w drzwiach szafy też nie pomagało.

Cóż, należało się chyba liczyć z odrobiną dyskomfortu. Pierwszy czek z „Partnerstwa dla rodzicielstwa” dotarł do niej już w dwa dni po tym, jak doktor Johanson oficjalnie potwierdził, że Hannah jest ciężą. Następnie otrzymała osobny list, określający zestaw witamin dla brzemiennych kobiet, które powinna zacząć zażywać od zaraz, a po nim pisaną lekkim stylem broszurkę pod tytułem „Ćwiczenia dla przyszłych mamus”. Poczta z „Partnerstwa” otrzymywała teraz praktycznie co drugi dzień. Wraz z zalewem ulotek reklamowych w skrytce pocztowej 127 panował spory ruch. Lubiła sprawdzać ją po drodze do jadłodajni. Pomyślała, że jeśli zacznie się teraz zbierać, nadal ma szansę zdążyć. Jeszcze kilka głębokich wdechów i odczucie kulki chleba w przełyku stopniowo zaczęło ustępować. Teraz pozostał tylko ziemisty odcień na twarzy.

W skrytce pocztowej czekała na nią kolejna elegancka karta okolicznościowa, jakie Jolene zawsze wybierała do ich korespondencji. Ta przedstawiała krajobraz pędzla El Greco, na którym widniało jakieś hiszpańskie miasteczko, rozświetlone zygzakami błysków na widmowym niebie. Ponury w nastroju obrazek niezbyt pasował do radosnej notki, którą Jolene nabazgrała w środku (firmowym lawendowym atramentem), jeszcze raz podkreślając, jacy oboje z Marshalllem są szczęśliwi i zapraszając Hannah, aby wkrótce wpadła do niej na lunch.

Notka kończyła się słowami: „Będziemy tylko my dwie. Takie tam babskie pogaduchy. Proszę, zadzwoni, kiedy będziesz mogła” - podkreślonymi trzykrotnie, jakby Jolene chciała w ten sposób dać dobitnie do zrozumienia, że raczej wolałaby, aby to było prędzej niż później.

Whitfieldowie mieszkali w East Acton, podmiejskiej dzielnicy na północnym wschodzie Bostonu. A więc czekałaby ją jazda jeszcze dłuższa niż do samego Bostonu, rozważała Hannah w duchu. Jej stary samochód już od miesiąca nie był tak mocno eksploatowany. Mechanik na stacji Esso powiedział jej, że już dawno powinna była zrobić przegląd, więc jeśli te wycieczki dalej będą się odbywać z taką częstotliwością, wkrótce czeka ją kolejny solidny wydatek. Przypomniała sobie, co mówiła jej pani Greene - o tym, jak bardzo Whitfieldowie pragną uczestniczyć w jej ciąży. W sumie na razie nie bardzo było w czym uczestniczyć, z wyjątkiem okazjonalnych napadów mdłości, ale jeśli to właśnie o to chodzi, Hannah za nic nie chciałaby ich tego pozbawiać.

Wskazówki, jakich udzieliła jej Jolene, okazały się bardzo dokładne, więc bez trudu znalazła East Acton. W zasadzie nie bardzo przypominało miasto: jedna główna ulica z trzema przecznicami, wzdłuż której wznosiły się luksusowe sklepy, tak charakterystyczne dla zamożnych dzielnic sypialni, które ze wszystkich stron otulały Boston. Staroświecka, wiktoriańska stacja kolejowa w centrum sugerowała, że niektórzy mieszkańcy dojeżdżają do pracy w Bostonie pociągiem. W donicach przed budynkiem dworcowym niedawno posadzono stokrotki.

Hannah wypatrywała pilnie ceglanego budynku kościoła katolickiego („Nie da się go przegapić - zapewniała ją Jolene.

- Jest nowoczesny. Wszystkie pozostałe mają białe wieże i po 200 lat”). Kiedy go wreszcie dojrzała, zwołniła i przygotowała się do skrętu w prawo, w Alcott Drive. („Jakieś 500 metrów w głąb Alcott Drive, numer 214, po lewej. Rozglądaj się za czerwoną skrzynką pocztową”). Alcott Drive, podobnie jak główna ulica, już na pierwszy rzut oka okazała się prestiżowym adresem. Domy, jeśli widać je było zza drzew, były kilkupiętrowymi budowlami, wzniesionymi na przełomie wieków. Niektóre otaczały werandy, na dachach wznosiły się wymyślne wieżyczki, gdzieś tam można było nawet dostrzec ogrodową huśtawkę, choć obecnie spełniała raczej funkcje dekoracyjne niż. użytkowe.

Jaskrawoczerwona skrzynka pocztowa odcinała się wyraźnie od tła, jakie stanowił trzymetrowej wysokości żywopłot z ligustru. Hannah wjechała samochodem na kręty, żwirowany podjazd, wysadzany kępami świeżo rozkwitłych rododendronów. Najpierw zobaczyła przed sobą stodołę, w identycznym czerwonym kolorze co skrzynka pocztowa. Jedne z dwojga drzwi były otwarte na oścież, wewnątrz - parkowała beżowa furgonetka. Od jednej ze ścian aż na tył domu ciągnęła się pergola, obrośnięta pnączami wisterii.

Na widok samego domu Hannah aż zaparło dech. Może sto lat temu należał do jakiegoś farmera, lecz przez dziesięciolecia rozrósł się wzdłuż i wwyż, toteż obecnie bez trudu mógł uchodzić za siedzibę bankiera. Zbudowany z szarych polnych kamieni, został postawiony tak, by łapać promienie popołudniowego słońca, które nawet w tej chwili połyskiwało złociście w wielkich szybach okien dwóch kondygnacji. Spod okapu błyskał rząd mniejszych facjatek. Wrażenie ogólnej solidności

potęgował widok dwóch masywnych kominów oraz smużka dymu snująca się leniwie z jednego z nich.

Podjazd zataczał krąg wokół mosiężnego zegara słonecznego. Mimo że samochód sunął w żółtym tempie, Hannah słyszała, jak pod kołami chrzęści luźno sypany żwir. Drzwi frontowe otworzyły się z nienacką i ukazała się w nich Jolene Whitfield, machając entuzjastycznie trzymaną w rękę jaskrawoniebieską ściereczką kuchenną, jakby pomagała wylądować na trawniku małemu dwupłatowcowi.

- Udało ci się - zawołała. - Idealne wyczucie czasu. Zupa gotowa.

Zupa okazała się kremem grzybowym roboty Jolene. Do posiłku zasiadły na ogrodowych meblach z kutego żelaza, ustawionych na oszklonej werandzie, pełnej roślin doniczkowych i zwieszających się z sufitu paprotek.

- Pomyślałam, że tu będzie weselej - wyjaśniła Jolene.

Za domem rozciągał się wielki trawnik, który dochodził aż do gęstego, sosnowego zagajnika. Gdzieś mniej więcej w połowie znajdowało się kamienne poidełko dla ptaków. Ktoś musiał się sporo napracować nad rabatami, usuwając szkody, jakie poczyniły zimowe chłody i przygotowując wiosenne kompozycje kwiatowe. Hannah pomyślała sobie, że naprawdę wesoło zrobi się dopiero wówczas, kiedy wszystkie rośliny zakwitną.

- Jedz zupe, kochanie - doradzała Jolene, jedząc z apetytem. - To ulubiona zupa Marshalla. Niska zawartość sodu. Żadnych groźnych chemikaliów. Mamy szczęście, że w pobliżu jest sklep ze zdrową żywnością, więc nie musisz się o nic martwić.



- Słucham?

- O dietę. Nie musisz się martwić, że jest w tym coś szkodliwego dla dziecka. Dbasz o dietę, prawda?

- Zaczęłam brać zestaw witamin dla przyszłych matek. Niestety, wciąż jeszcze pijam rano filiżankę kawy.

- W porządku, o ile to tylko naprawdę jedna. Och, popatrz! Już zaczynam się czepiać! - Jolene wybuchnęła śmiechem. - Jestem pewna, że omówiłaś wszystko szczegółowo z doktorem Johansonem, więc nie zwracaj uwagi na moje marudzenie. Taka już jestem. Marshall nazywa mnie Wiecznie Zmartwioną Zośką.

Lunch był bardzo smaczny, więc Hannah jadła z apetytem.

- A co powiesz na deser? Upiekłam ciasto marchewkowe z polewą waniliową. O nic się nie martw, wszystko z naturalnych składników. Polewa z soi.

Kiedy Hannah z grzeczności spróbowała ciasta i uznała, iż jest „bardzo... interesujące”, Jolene zaproponowała, że oprowadzi ją po domu. Whitfieldowie wprowadzili się tutaj przed niespełna rokiem, lecz w pokojach wszędzie widać było ślady ich dalekich podróży oraz - nawet znacznie wyraźniej - oznaki silnej osobowości Jolene. Tak jak w jej ubiorze, w wystroju wnętrza także dominowały jaskrawe kolory i śmiałe zestawienia. Nawet jeśli to wnętrze nieco kłóciło się z konserwatywną architekturą budynku, to mimo wszystko było - Hannah szukała przez chwilę odpowiedniego słowa - unikalne. Przez chwilę zastanawiała się w duchu, czy modułowa sofa rzeczywiście jest tak niewygodna, jak na to wygląda.

Na piętrze Jolene zatrzymała się na chwilę w holu, stając przed jakimiś zamkniętymi drzwiami.

- Już się nie mogłam doczekać, kiedy ci to pokażę.

Pchnęła drzwi, które rozwarły się na oścież, i odsunęła się do tyłu, klaszcząc samymi opuszkami palców.

Pokój pomalowano na jasnoblękitny kolor, podczas gdy meble - stół do przewijania, łóżeczko i fotel na biegunach - były utrzymane w bieli. Na podłodze leżał pleciony chodniczek, a w wiklinowym koszyku (także białym) usadowiła się kolekcja pluszowych zwierzątek, oczekujących na swojego przyszłego pana, wśród nich standardowy pluszowy miś, prócz także wełnista owieczka, a nawet osiołek.

- Skończyliśmy urządzać w zeszłym tygodniu.

- Jest rozkoszny - pochwaliła Hannah, która w duchu doszła do wniosku, że Jolene znacznie wyprzedza bieg wypadków.

- Wiedziałam, że ci się spodoba. Popatrz. - Nad kołyską na srebrnych nitkach zwieszały się gwiazdki. Jolene pstryknęła jakiś przełącznik i oto gwiazdki zaczęły się z wolna obracać do melodii „Twinkle, Twinkle, Little Star”. Jolene nuciła melodię wraz z pozytywką, a potem zauważyła z dumą: - Sufit też jest pomalowany w gwiazdki. Całe tuziny. Och, teraz się ich nie zobaczy. Są namalowane farbą fluorescencyjną, zaczynają być widoczne dopiero w nocy. To mój pomysł. Wygląda to tak, jakby wpatrywać się nocą w niebo.

Pokój dziecienny przylegał do sypialni rodziców, przez którą Jolene przemknęła pośpiesznie, ledwie wskazując po drodze na obfitość wbudowanych szaf i saunę w łazience. Dopiero na drugim piętrze znów zaczął ją rozsadzać poprzedni entuzjazm.

- A teraz gwóźdź programu - oznajmiła.

Część poddasza zajmowały różne pomieszczenia do magazynowania, lecz to, co niegdyś stanowiło dwa pokoiki dla służby, zostało przerobione tak, że stanowiło obecnie obszerną sypialnię. Co ciekawe, rozhukany gust Jolene pozostał za drzwiami, ustępując miejsca bardziej stonowanemu i tradycyjnemu wystrojowi: łóżko z baldachimem, białe, krochmalone firanki, stolik z opuszczanym blatem w kolorze syropu klonowego oraz fotel klubowy z tweedowym pokryciem.

- Jak ci się podoba? - zapytała Jolene. - To dla gości.

- Pięknie tu urządziłaś.

- Jesteś pewna, że nie mówisz tego z grzeczności?

- Ależ skąd.

- Bo jeśli ci się nie podoba, możesz mi śmiało powiedzieć.

- Nie, naprawdę, bardzo tu przyjemnie.

Jolene odetchnęła z widoczną ulgą.

- Och, naprawdę się cieszę, że to słyszę. Wciąż powtarzałam Marshallowi: „A co będzie, jeśli jej się nie spodoba?” A on mi mówił, żebym się nie wygłupiała. „Co tu się może nie spodobać?” - pytał. Ale ja wiem, jacy ludzie bywają wybredni, jeśli chodzi o otoczenie. Ja osobiście zawsze czułam się w łóżku z baldachimem jak w więzieniu. Ale to może tylko ja. Zresztą Marshall powiedział: Jeżeli te meble jej się nie spodobają, to je zmienimy”.

- Nie rozumiem.

- Jest twój. - Jolene klasnęła w ręce z zachwytem, potem zakryła dłońmi usta, czekając na reakcję Hannah.

- Mój?

- Nie twierdzę, że musisz się tu od razu wprowadzać. Ale kiedy tylko zechcesz, jest twój. To nasz apartament dla

gości, a szczerze mówiąc ja i Marshall nie potrafimy sobie wyobrazić miłszego gościa. Czuliśmy się naprawdę... no, naprawdę uprzywilejowani, gdybyś zechciała zamieszkać u nas.

- To ogromnie miło z waszej strony, Jolene, ale...

- Cśśś, cśśś. Teraz nie musisz jeszcze o niczym decydować. Chcemy po prostu, abyś wiedziała, że ten pokój tu jest, to wszystko. Więc na razie nie zaprzątaj sobie tym głowy. Nadejdzie jeszcze odpowiedni czas. Nic więcej już nie powiem. - Przesadnie gestykulując, pokazała, że zamyka usta na klucz, który następnie wyrzuca za siebie. Potem ruszyła w dół po schodach.

## Rozdział 12

Hannah zdjęła fartuszek w białobrazową kratkę i, obróciwszy się bokiem, spojrzała uważnie na profil swojej sylwetki odbijający się w lustrze w damskiej toalecie. Kiedy była na pierwszej comiesięcznej kontroli, doktor Johanson poinformował ją, że może się spodziewać półkilogramowego przyrostu wagi na tydzień. Osiem tygodni - cztery kilo, utrzymywała się dokładnie w skali. Ale nic nie było po niej widać. Twarz wyglądała nawet szczuplej niż przedtem. To ze zmęczenia.

Wcześniej południowa zmiana w jadłodajni „Błękitny świt” mijała ledwie zauważalnie. A teraz już po godzinie zaczynała czuć ból w krzyżu, później dochodziło zmęczenie stóp, więc pragnęła tylko usiąść przy stoliku na zapleczu z ułożonymi wysoko nogami. Czy te witaminy dla przyszłych matek nie powinny jakoś temu zapobiec?

Zanik energii u Hannah zbiegł się, niestety, z wprost niezwykłym ożywieniem w interesie. Przez wszystkie mdłe, zimowe miesiące klientela skurczyła się do garstki najwerniejszych bywalców. Ale teraz drzewa okryły się już liśćmi (żonkile zdążyły już przekwitnąć), ludzie zaczęli wychodzić z domów, więc znów był popyt na domową

zapiekankę mięsną Bobby'ego. Napiwki wzrosły, mimo że Hannah brakowało sił i bynajmniej nie napawała ją zachwytem perspektywa wieczornej zmiany, która miała się zacząć już za kilka godzin.

- Niech świat wierzy, w co chce, ale życie kelnerki nie należy do łatwych - obwieściła Teri. - Wyglądasz na wyczerpaną.

- Bo jestem. Chyba pójdę i zdrzemnę się chwilę, zanim zacznie się wieczorna zmiana. Nie będzie ci przeszkadzać?

- Do licha, skąd. Sama wszystko przygotowuję. Daj sobie dodatkowe piętnaście minut. - Teri przyglądała się, jak dziewczyna ciężkim krokiem idzie do samochodu. Ktoś powinien ją ostrzec, pomyślała, że nie można się tak eksploatować.

Kiedy Hannah szła dróżką prowadzącą do frontowych drzwi domu, mogła sobie wyobrazić tylko jedno: jak to będzie cudownie - wsunąć się pod kołdrę i zapaść w krainę snu na bezcenne, nieprzerwane 90 minut. Z pokoju dziennego dobiegły ją odgłosy włączonego telewizora, a za nimi wołanie ciotki Ruth:

- Czy to ty, Hannah? Co tak wcześnie w domu?

- Cześć, ciociu Ruth. Idę do swojego pokoju. - Nie chcąc się wdawać w rozmowy, ruszyła po schodach na piętro.

- Długo tam będziesz?

- Chciałam się na chwilę położyć, zanim wrócę do jałdodajni.

- Ostatnio ciągle jesteś zmęczona, Hannah. Chyba nic ci nie dolega, co?

- Nie, ciociu Ruth. Mamy duży ruch, to wszystko.

Usłyszała odgłos wyłączanego telewizora.

- Dziewiętnastolatka nie powinna być bez przerwy zmęczona - dobiegł ją głos ciotki.

- To nie tylko ja. Teri i Bobby też ledwie zipią. Pan Hatcher myśli nawet o tym, żeby przyjąć jeszcze jedną kelnerkę.

- Cóż, to chyba wszystko wyjaśnia. Pewnie nie ma powodów, żebym się o ciebie zamartwiała.

Hannah dobrze znała ten ton, pełen niejasnych oskarżeń i użalania się nad sobą. Ruth miała dziś te swoje humorki, więc tym bardziej powinna jak najszybciej dostać się na piętro i zamknąć za sobą drzwi pokoju. Popełniła jednak błąd, zatrzymując się i pytając:

- Nic ci nie dolega? Potrzebujesz czegoś?

- Nie, wszystko w porządku. Na ile oczywiście może być w porządku. W tych okolicznościach...

Hannah zrozumiała, że wizja drzemki rozwiewa się bez śladu. Czyjej się to podoba czy nie, stanie się teraz adresatką najnowszej porcji skarg i zażaleń Ruth. Westchnąwszy z rezygnacją, zawróciła i zesłała na dół.

- Co się dzieje, ciociu Ruth?

Ciotka siedziała na sofie sztywno wyprostowana, wpatrzona wprost przed siebie, jej zaciśnięte usta przypominały wąską kreskę.

- Może ty mi powiesz, moja panno. - Powitała siostrzenicę kamiennym spojrzeniem, potem na powrót wbiła wzrok w stoliczek przed kanapą. A tam, na lakierowanym blacie leżała sobie broszurka, którą dwa miesiące temu przysłała jej Letycja Greene - „Ćwiczenia dla przyszłych mam”. Hannah natychmiast zorientowała się, co się stało. A przecież przez cały czas tak bardzo starała się zachować ostrożność. Kazała dzwonić do siebie na numer jadłodajni, a pocztę wysyłać na

skrytkę pocztową. Wszystko, co miało związek z zastępczym macierzyństwem, a było tego bardzo niewiele, trzymała ukryte głęboko w szafie.

- Czekam, moja panno.

- Zamówiłam to pocztą - wybąkała Hannah po długiej chwili milczenia.

- Ach tak? - odparła Ruth. - A to? - Wyciągnęła skądś plastikowy flakonik z pastylkami, który postawiła gwałtownym ruchem na stoliku. - To też zamówiłaś pocztą? Witaminy dla przyszłych matek! Co to wszystko ma znaczyć?

- Co ty wyprawiasz, ciociu Ruth, grzebałaś w moich rzeczach? - Oburzenie mieszało się w niej z poczuciem bezradności, jakby znów była dzieckiem przyłapanym na drobnym kłamstewku.

- Mniejsza o to, co ja wyprawiam. To mój dom. Mogę robić, co mi się podoba. Ale co ty wyprawiasz, oto jest pytanie.

- Kobieta pomachała jej przed oczami broszurą. - I całe to gadanie o przepracowaniu! Przepracowana, gówno prawda! To dlatego jesteś cały czas zmęczona, może nie? No, słucham! Przyznaj się!

- Nie masz nic do szukania w moim pokoju. - Na taką tylko potrafiła się zdobyć odpowiedź.

- A ja przez cały czas myślę: „Biedactwo, siedzi w tej jałdodajni dzień i noc. Żadnego chłopaka. Nigdy się nigdzie nie zabawi”. Ładnie mydliłaś mi oczy, co?

- To nie tak, jak myślisz.

- Nie tak? No to jak? Powiedz mi!

Po tych wszystkich latach spędzonych pod jednym dachem z Ritterami nadal najbardziej męczył Hannah ten wrzask ciotki, budził w niej dziecinny lęk, że świat w każdej chwili może wymknąć się spod kontroli - obawę, że to co, w



jednej chwili wydaje się przyjazne i bezpieczne, już w następnej może się okazać kompletną ruiną. Rozpłakała się.

- O, tak, popłacz sobie! Dużo ci to teraz pomoże!

Hannah wycofała się z powrotem do holu. Nie mogła znieść myśli, że ciotka widzi ją w tym stanie. Każdy przejaw słabości tylko rozjářzał Ruth, nasilał w niej jad.

- Zupełnie jak twoja matka - wrzeszczała Ruth. - Panna Idealna. Robiła wszystko, o co poprosili rodzice. Podlizywała się nauczycielom. Biegała co niedziela do kościoła. Zawsze nienaganna. Ale ja wiedziałam, jak to wyglądało naprawdę. Wiedziałam o tych jej chłopakach. Wiedziałam, co się dzieje. A ty jesteś taka sama jak ona. Szczwana. Szczwana, mała dziwka!

- Nie mów tak o mojej matce. Nie masz prawa! To nieprawda i dobrze o tym wiesz.

- Twoja matka była hipokrytką, która myślała tylko i wyłącznie o sobie.

- A ty... ty jesteś złą, zgorzkniałą staruchą - Hannah nie potrafiła powstrzymać słów, które same wyrwały się jej z ust. - Zgorzkniałą i wredną, a Bóg ukarał cię za to, że usunęłaś ciężę i dlatego potem nigdy nie mogłaś mieć własnych dzieci. Masz za złe całemu światu, mimo że to była twoja własna wina. Zawsze byłaś zazdrosna i pełna nienawiści...

Jej oczy napełniły się łzami, nie dostrzegła wznoszącej się ręki ciotki, lecz poczuła pieczenie na policzku. Silne uderzenie przewróciło ją na schody i na chwilę pozbawiło oddechu. Ruth straciła nad sobą panowanie.

Hannah podniosła się na nogi i ruszyła pędem w stronę drzwi wyjściowych. Stopy zapadały się w ziemię na rozmokłym

po wiosennym deszczu trawniku, woda wsączyła się do butów.

Kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, Ruth stanęła w otwartych drzwiach i rozdarła się na całą okolicę.

- Jeśli ci się wydaje, że mi sprowadzisz do domu bękartą, to lepiej przemyśl to sobie jeszcze raz!

## Rozdział 13

Czyli że nie było żadnego chłopaka?

- Nie, niestety, nie.

- I jak to świadczy o potędze mojej dedukcji? - Teri z głośnym świstem wypuściła powietrze z płuc. - Skarbie, chyba nie zdumiałabym się bardziej, nawet gdybyś mi powiedziała, że zamierzasz zmienić płeć. Kto o tym wie?

- Nikt w Fall River. Jesteś pierwszą osobą, której o tym powiedziałam.

- I sama wpadłaś na taki pomysł?

- Tak.

- To tylko dowodzi, jak mało wiemy o innych ludziach. Jesteś o wiele bardziej skomplikowana, niż myślałam. Każdy jest skomplikowany, to jasne. Chyba po prostu zazwyczaj nie chce nam się widzieć więcej niż tylko same pozory. Nawet nie przypuszczasz, że Nick dorabia sobie na boku jako tancerz w klubie dla pań, prawda?

Hannah nie podjęła żartu.

Popijały małymi łykami gorącą herbatę, siedząc przy kuchennym stole u Teri. Pomieszczenie to, jak i cały dom, w żadnym razie nie mogło być nazwane schludnym. (Ale czy mogło być inaczej, skoro jej rodzina składała się z dwojga

niezwykle ruchliwych dzieci i gburowatego męża, który większość tygodnia spędzał w trasie, prowadząc szesnastokolową ciężarówkę, a kiedy wracał do domu, walił się do łóżka na 48 godzin?) Lecz panował tu miły, pogodny i krzepiący nastrój, było po prostu normalnie - począwszy od stert prania czekającego na poskładanie, aż po dziecinne obrazki poprzyklejane taśmą do drzwi lodówki.

- Jak myślisz, co powinnam zrobić?

- O rany, ciężki orzech do zgryzienia. Tak naprawdę pozostaje ci tylko jedno. Pogódź się z ciotką i wujkiem. Powiedz im wszystko to, co mnie powiedziałaś. Nie możesz pozwolić, aby myśleli, że dałaś się przelecieć jakiemuś wypomadowanemu bubkowi w tanim motelu.

- Myślisz, że źle zrobiłam?

- Nie, kochanie. Chodzi o to, że jesteś jeszcze taka młoda i wrażliwa, cholera, teraz to już i tak nie ma żadnego znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie. Naprawdę chcesz urodzić to dziecko, tak?

- Owszem, chcę.

- No to sama widzisz. Przecież nie będziesz musiała go potem wychowywać. Ten obowiązek będzie już należał do kogo innego. A więc sytuacja jest przejściowa. Najważniejsze pytanie: co teraz będzie? Jak załatwisz to z ciotką i wujem? Szczerze chcesz mojej rady? Daj im jeszcze jedną szansę. Założę się, że ochłoną, kiedy im wszystko wyjaśnisz tak, jak mnie wyjaśniłaś. Jeśli potrzebujesz moralnego wsparcia, pójdę z tobą.

Hannah odsunęła od siebie filiżankę.

- Dzięki, ale ciotka Ruth uzna to za niewybaczalne naruszenie prywatności. To sprawa rodzinna.

- Gówno prawda. To twoje życie i twoje ciało. Jesteś dorosła. No, prawie. Ale przecież nie wszyscy tkwią w średniowieczu. Teraz, kiedy powoli otrząsani się z szoku, muszą przyznać, że to bardzo odważny uczynek. Niecodzienny, ale bardzo odważny.

- Nie wydaje mi się, aby ciotka Ruth widziała to w takim świetle.

Teri pozbierała filiżanki i szybko przetarła gąbką kuchenny stół.

- Rozłożę ci kanapę, skarbie. Łazienka jest twoja. Jeśli będziesz chciała skorzystać z wanny, po prostu wywal nadmuchiwaną łódź podwodną chłopców na podłogę.

Następnego ranka Hannah pomogła Teri w kilku codziennych pracach domowych, dzięki czemu oddaliła się nieco perspektywa czekającej ją rozmowy. Uświadomiła sobie przy tym, że dla większości ludzi życie przebiegało od posiłku do posiłku i od jednej stery sterty prania do następnej.

W czasie wieczornej zmiany przemyślała sobie dobrze radę Teri, więc kiedy Bobby wyłączył neon przed wejściem, była już zdecydowana.

Kiedy Hannah weszła przez frontowe drzwi, Herb oglądał samotnie jakiś wieczorny program.

- Gdzie ciocia Ruth? - zapytała.

Gestem wskazał na kuchnię. Hannah dostrzegła czerwoną poświatę rozżarzonej końcówki papierosa i zrozumiała, że ciotka siedzi przy kuchennym stole, paląc po ciemku. Kiedy Herb wstał, aby wyłączyć telewizor, w pamięci Hannah poruszyło się odległe wspomnienie. Dokładnie tak samo wyglądało to w dniu pogrzebu jej rodziców: Herb w jednym

pokoju, Ruth w drugim, telewizor ryczy, nikt nikogo nie stara się pocieszyć, zresztą w tym hałasie i tak by się nie dało. Kiedy odbiornik umilkł, dom pograżył się w przygnębiającej ciszy, jakby dla podkreślenia, jak bardzo wszyscy są od siebie odizolowani. Zupełnie tak jak teraz.

- Nie wróciłaś do domu na noc.

- Zostałam na noc u Teri.

- Nie uważasz, że powinnaś dać znać ciotce? Martwiła się o ciebie.

- Jestem dorosła. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- Na to wygląda. - Poprawił się niespokojnie w fotelu. -

Czy to prawda, co mówiła mi ciotka?

- To nie tak, wujku Herb.

- W takim razie nie jesteś w ciąży?

- Jestem, ale... - zawiesiła głos.

- Ale? W tych sprawach, o ile mi wiadomo, nie ma żadnych ale. Albo jest się w ciąży, albo się nie jest. Wiesz, kto jest ojcem?

Hannah popatrzyła wujowi prosto w twarz. Czoło mężczyzny pokrywała siatka głębokich zmarszczek, które w świetle lampy stojącej przy fotelu sprawiały wrażenie jeszcze głębszych.

- Tak, wiem. Oczywiście, że wiem, kto jest ojcem. Wiem także, kto jest matką.

- Masz czelność się ze mnie nabijać?

- Nie. Jestem matką zastępczą.

- A cóż to takiego, do cholery?

- Noszę dziecko innej pary. Pary, która sama nie może mieć dzieci.

- Jezu Chryste! - Herb odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy, jakby poczuł nagły zawrót głowy.

- Zadzwoiłam do agencji. A tam skontaktowali mnie z małżeństwem, które od lat robi wszystko, żeby mieć dziecko. To taka forma sztucznego zapłodnienia. Wszystko dokonało się w gabinecie lekarskim.

- Zapłacą ci za to?

Hannah przytaknęła skinieniem głowy.

- Ile?

- Trzydzieści tysięcy dolarów. Plus wydatki.

Wujek Herb otworzył szeroko oczy i gwizdnął.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym ciotce?

- Nie dała mi szansy.

- Była bardzo zdenerwowana. Po tylu latach wywlekaś tę sprawę z aborcją, i w ogóle. Naprawdę powiedziałaś, że Bóg ją pokarał?

- Przepraszam, wujku Herb. Nie powinnam była tak mówić, ale też byłam zdenerwowana.

- No cóż, nigdy nie było tajemnicą, że potem już nie mogliśmy mieć dzieci. Ta aborcja przysporzyła jej... przysporzyła nam... wiele cierpienia. I mnie także zdarzyło się powiedzieć coś, czego nie powinienem był mówić. Ale próbowaliśmy zostawić to wszystko za sobą, a tu nagle taka sytuacja. Twoja sytuacja. No i...

Najwyraźniej zabrakło mu słów.

- Nie przyjdiesz tu do nas, Ruth?

Ruth zdusiła niedopałek papierosa i wstała zza kuchennego stołu. Zazwyczaj to ona była stroną aktywną, lecz dziś wyraźnie była wdzięczna Herbowi za to, że przejął inicjatywę. Doszła tylko do łuku łączącego kuchnię z holem i przystanąła. Miała oczy zaczerwienione i pełne łez.

- Naprawdę robisz to dla innej pary? - zapytała.

- Przysięgam. Nie zaszłam w ciążę przez seks. Prawie nie znam tych ludzi. Jeśli chcesz, możesz zapytać lekarza. Zapytaj pani Greene...

- Nie, nie zniosę tego. Nie pozwolę na to w swoim domu. To już ostatni policzek. Czy ty w ogóle pomyślałaś o tym, jak ja się mogę poczuć? Pomyślałaś? Odpowiadaj! - Ruth podniosła głos, który przypominał teraz histeryczne zawođenje.

- Nie rozumiem.

- Spodziewasz się, że będę dzień po dniu patrzyła, jak robisz się coraz grubsza, jak przechodzisz przez to wszystko, czyja wiem, przez te wszystkie rzeczy, przez które przechodzi się w ciąży... a wszystko to dla dwojga ludzi, których ledwie znasz?! Nie zniosę tego, słyszysz? Nie zniosę.

Wycofała się w półmrok kuchni.

Hannah zrozumiała nagle, dlaczego Ruth tak się oburzyła, dlaczego teraz w domu panuje takie napięcie. Jej ciotka i wuj wcale się o nią nie martwili. Nie martwiło ich nawet, co powiedzą sąsiedzi. Nie, tak naprawdę chodziło o to, że Ruth nie może znieść myśli o tym, iż będzie musiała patrzeć na to, jak Hannah nosi w brzuchu czyjeś dziecko. To było nieustające przypomnienie o tym, czego sama nie była w stanie dokonać, o okropnym błędzie, jaki dawno temu zatruł całe jej życie. Ciąża Hannah groziła zniszczeniem jakiejś takiej stabilizacji, którą udało im się osiągnąć.

Herb odchrząknął, potem znów zaczął mówić.

- Musisz zrozumieć, jakie to będzie trudne dla twojej ciotki. Po tym wszystkim, co przeszła... co razem przeszliśmy... - Sprawiał wrażenie, jakby przygnębienie odpyływało od niego falami.



- Nic na to nie poradzę, wujku Herb. Już podjęłam decyzję.

- No cóż, w takim razie i ja będę musiał podjąć decyzję. Myślę, że czas już, żebyś znalazła sobie własne mieszkanie. Powiedziałaś, że jesteś dorosła. Podjęłaś dorosłą decyzję. Z tego, co mówisz, nieźle ci płacą. Tak więc w ciągu kilku następnych dni... tak szybko jak to będzie możliwe... cóż, jak już mówiłem, tak chyba będzie najlepiej dla nas wszystkich.

Herb podszedł do żony stojącej w kuchni. Chciał położyć rękę na jej ramieniu, jednak Ruth strząsnęła z siebie jego dłoń.

Tej nocy Hannah długo leżała bezsennie. Zawsze zakładała, że pewnego dnia to ona zerwie więzy z rodziną, a nie na odwrót, więc ten odmienny przebieg wydarzeń sprawił, iż czuła się bezsilna i narażona na niebezpieczeństwa. Przebiegała w myślach ograniczone możliwości, jakimi dysponowała. Dom Teri trzeba wykluczyć. Wynajęcie mieszkania poważnie nadszarpnie jej oszczędności.

Było tylko jedno miejsce, dokąd mogła się udać i gdzie przyjmą ją z otwartymi ramionami.

## Rozdział 14

Z okna na poddaszu Hannah spojrzała w dół, na ogród Whitfieldów, nie mogąc nadziwić się zmianom, jakie w nim nastąpiły. Bzy, niezapominajki oraz irysy zapełniły go błękitem i fioletem w najrozmaitszych kształtach, a w miejscach, gdzie zieleniła się nowo wschodząca trawa, trawnik był po prostu szmaragdowy. W kamiennym baseniku dla ptaków, który jeszcze miesiąc temu stał pusty, teraz woda lśniła w promieniach słońca.

Hannah naliczyła dwanaście ptaszków, które z głośnym świergotem trzepotały się w płytkim poidelku, a kiedy znie-nacka spadł pomiędzy nie kardynał, głośno krzyknęła z zachwytu.

Dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

- Hannah, wstałaś już? - scenicznym szeptem zapytała Jolene.

Hannah wpuściła ją do środka.

- Dzień dobry. Proszę mi wybaczyć, ale wciąż jeszcze jestem w koszuli nocnej.

- Nie ma tu nic do wybaczenia. Powinnaś spać, ile się tylko da.

- Przyglądałam się ptakom.

Jolene rozpromieniła się w pełnym aprobaty uśmiechu.

- Są cudowne, prawda? Wiesz, spisałam listę gatunków. Mam już czterdzieści dwa.

Podeszły razem do okna. Kardynał, okazując burym wróblom iście monarszą wzgardę, nadal pysznił się barwnym upierzeniem na środku baseniku.

- Tak bym chciała zappełnić ten dom zwierzętami - westchnęła Jolene. - Ale Marshall mówi, że nie jest starym MacDonaldem. Zresztą, przy dziecku będę miała wystarczająco dużo zajęć przez cały dzień. Nie będziemy mieli czasu na zajmowanie się farmą. Zdecydowaliśmy więc, że nasza ma lutka posiadłość stanie się azylem dla dzikiej fauny. Damy im odczuć, że są tu mile widziane, by tak rzec. Więc przychodzą. Od czasu do czasu wpada z wizytą nawet szop. Niektórzy ludzie sądzą, że szopy są złośliwe, ale ja jestem zdania, że jeśli się je szanuje, nie sprawiają ludziom kłopotu. - Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. - O czym ja w ogóle gadam? Przyszłam tylko zapytać, czy masz ochotę na grzanki francuskie. Zrobiłam je dziś rano dla Marshalla, a teraz chętnie sama zjem kilka. Co powiesz?

- Pozwól, że się najpierw ubiorę.

- Daj spokój. Narzuć po prostu szlafrok.

Dwa tygodnie po tym, jak Ruth i Herb postawili swoje ultimatum, Hannah wyprowadziła się z Fall River. Zrobiłaby to wcześniej, ale uważała, że nie byłoby w porządku odejść z „Błękitnego Świtu”, zanim nie przeszkolą kogoś na jej miejsce. Ostatniego dnia Teri i Bobby zawołali ją do stolika dla personelu, gdzie przygotowali pożegnalne ciasto. Teri płakała i Hannah płakała, nawet Bobby miał łzy w oczach. Teri oznajmiła, że zawsze wiedziała, iż Bobby jest „sentymentalnym starym dupkiem”.

Pożegnanie z Ritterami nie było tak wzruszające, choć Ruth zdobyła się nawet na przelotny uścisk, a Herb bąknął coś o podtrzymywaniu kontaktów. Niemniej jednak, kiedy już odjeżdżała ulicą, miała głębokie poczucie, że ten etap w jej życiu dobiegł końca. Teraz, po trzech zaledwie dniach pobytu u Whitfieldów, zastanawiała się, dlaczego wahała się choćby przez chwilę, czy tu przyjeżdżać.

Grzanka francuska Jolene, posmarowana masłem i obłana obficie prawdziwym syropem klonowym z Vermont, to była prawdziwa uczta. Hannah pochłonęła pierwszą porcję i bez wahania poprosiła o dokładkę.

- To właśnie lubię usłyszeć - oznajmiła Jolene, zanurzając kolejną kromkę w miseczce z masłem. - Wszystko tu jest dla ciebie zdrowe. Jajka, mleko, wapń.

Opuściła nasączoną masłem kromkę na patelnię, a tłuszcz zasyczał ostro jak trzaski i szумы w radiu.

- Dolać ci soku pomarańczowego? Słońce w szklance, czy nie tak o nim mówią?

Hannah przyglądała się, jak Jolene zręcznie przewraca grzankę szpatułką. Podróżniczka, ogrodniczka, artystka i kucharka - czy entuzjazm Jolene nie ma żadnych granic? Kuchnia wyposażona była w najnowocześniejszy sprzęt, a mimo to sprawiała wrażenie staromodnej i przytulnej. Hannah przyjemnie było siedzieć w ciepłe, kiedy ktoś krzątał się wokół niej i tak się o nią troszczył. Podkuliła palce w skarpetkach i przysłuchiwała się skwierczeniu, jakie dobiegało od patelni.

- Voila. Mademoiselle est servie - Jolene umieściła przed nią talerz. Grzanka była cała w idealnie złocistobrazowym kolorze. Strużki stopionego masła wyglądały jak ciekłe złoto. - Jaki zdrowy apetyt. Dzisiejszego ranka nic nie

mogłoby mi sprawie większej przyjemności. Zajadaj, skarbie, zanim wystygnie. Potem chciałabym pokazać ci moją pracownię.

Kilka minut później Hannah ruszyła za nią przez kuchenne wyjście i pergolę, która wiodła aż na tyły stodoły.

- A oto - tadam! - moja osobista pracownia.

Kiedyś najprawdopodobniej była to siodlarnia, lecz została przerobiona tak, że nie sposób było dopatrzeć się jej pierwotnej formy. Ścianki działowe wyburzono, podpory usunięto, a część zniszczonej przez niepogody zewnętrznej ściany zastąpiono wielkimi taflami szkła, żeby wpuścić do środka jak najwięcej światła.

Podłoga, na ile było ją widać spod stert najrozmaitszych przedmiotów, wyłożona została płytkami łupku. Jak wszystkie pracownie malarskie na całym świecie, tak i ta sprawiała na pierwszy rzut oka wrażenie niespójnego chaosu. Na ścianach wisiało kilka prac Jolene, a na sztaludze na samym środku umieszczone było dzieło, nad którym pracowała obecnie, mierzące jakieś dwa i pół metra na półtora. Jedno spojrzenie wystarczyło, by Hannah się przekonała, iż ten rodzaj sztuki ją przerasta.

Jolene była abstrakcjonistką, lecz to określenie jeszcze nie w pełni oddawało istotę jej obrazów. Stanowiły dziwaczny patchwork tkaniny i farb, pasemek skóry i zadrukowanych strzępów papieru, ponaklejanych razem - a w niektórych przypadkach zeszytych ze sobą dratwą. A może to był drut? Gęsta farba spływała i ociekała z nich jak krew, a w kilku miejscach wyglądało to tak, jakby Jolene dźgała płótno nożem. Hannah zastanawiała się, czy w ogóle można nazwać je obrazami. Emanowały taką aurą cierpienia, że „ból” był

jedynym słowem, jakie na ich widok przychodziło jej na myśl.

Szukała w głowie jakiegoś inteligentnego komentarza, lecz udało jej się wybąkać tylko:

- Nie znam się zbytnio na nowoczesnej sztuce.

Jolene wyczytała z jej twarzy, że nie wie, co ma o tym myśleć.

- Och, to nie takie znów trudne. Po prostu zacznij przeżywać to, co widzisz.

Hannah spróbowała się skupić.

- Czy one coś znaczą?

- Znaczą tyle, ile chcesz, żeby znaczyły.

- Jak na przykład? - dopytywała się w nadziei na jakąś wskazówkę.

- No cóż, artystka nie powinna mówić o swoich dziełach. To podstawowa zasada. Ale chyba po prostu patrzę na nie wszystkie jak na rany.

- Co takiego?

- Tak, rany, zranienia. Wszystkie te płótna zostały w jakiś sposób zranione, napadnięte, straumatyzowane. Są obolałe i krwawią. A ja pozszywałam rany i opatrzyłam sińce. Jak lekarz, który zajmuje się pacjentem po ciężkim wypadku. W ten sposób oglądający przeżywa zarazem zranienie i ozdrowienie. Lubię myśleć o swojej sztuce jako o sztuce uzdrawiania.

- Rozumiem - odparła Hannah, lecz nie rozumiała ani w ząb.

- Te płótna są chore. A ja sprawiam, że znów stają się zdrowe.

## Rozdział 15

Pogoda pod koniec maja była wspaniała, szkoda byłoby zmarnować taką okazję, ponadto śniadanie napełniło Hannah niespodziewanym ładunkiem energii. Tego popołudnia przystanęła na werandzie z tyłu domu, aby zawiązać na podwójny węzeł sznurowadła wygodnych butów do wędrówek.

Kiedy mijała stodołę, zobaczyła, że w środku krząta się pracownicy Jolene.

- Czy ty nigdy nie odpoczywasz? - zapytała.

- Nie mówiłam ci? - odchrząknęła Jolene. - Mam mieć własną wystawę indywidualną. W modnej galerii w Bostonie.

- Gratulacje! Mam nadzieję, że będę mogła przyjść.

- Liczę na to, że zorganizujesz dobrą klakę.

- Obiecuję... Pomyślałam sobie, że pójde na krótki spacer.

- Baw się dobrze. Tylko uważaj na samochody.

Istna kwoka, pomyślała Hannah, lecz doceniła troskę.

Alcott Street była cichą, spokojną uliczką - z wyjątkiem niezbyt głośnego warkotu kilku kosiarek do trawy - a Hannah miała cały chodnik do swej wyłącznej dyspozycji. Czuła się nieco przytłoczona rezydencjami wśród ciągnących się w

nieskończoność trawników. Tam, gdzie mieszkała poprzednio, na parceli, którą tutaj zajmował jeden, zmieściłoby się dziesięć domów. Jednak poczucie ponadczasowości najmocniej potęgowały drzewa: dęby, klony cukrowe i świerki, które były świadkami rodzenia się i odchodzenia kolejnych pokoleń. Gałęzie wiekowych drzew rozciągały się opiekuńczo nad okazałymi budynkami jak sękaty dłoń domowej służby, z wielkim oddaniem broniącej żyjących w murach ludzi.

Kiedy dotarła na róg ulicy, zauważyła znak, który ją poinformował, iż ceglany kościół katolicki jest pod wezwaniem Najświętszej Panny Wieczystego Światła. Na placyku przed kościołem wznosiła się wielka, biała figura Matki Boskiej, która wyciągała przed siebie ramiona w powitalnym geście. Cokół był obsadzony krzewami różanymi.

Przystanąła, by popatrzeć, jak z kościoła wychodzi rzadkiem grupa zamożnie odzianych ludzi, którzy następnie zgromadzili się przed portykiem. Rozmawiali między sobą z ożywieniem, a Hannah spodziewała się, iż zaraz ujrzy, jak z kościoła wypadną pan i panna młoda, wyzwalając ulewę ryżu. Zamiast nich jednak w drzwiach ukazał się ksiądz w sułtanie lamowanej złotem. Za nim szła rozjaśniona szczęściem para, kobieta tuliła w ramionach niemowlę w białej sukieneczce, a mężczyzna prowadził ją delikatnie za rękę. Na ich widok zabrzmiały gromadne ochy i achy, błysnął flesz, ktoś zrobił kilka zdjęć.

Hannah uświadomiła sobie, że trafiła właśnie na chrzest.

Czując się trochę niezręcznie, postanowiła ruszyć dalej, lecz na jedną chwilę jej stopy jakby przyrosły do chodnika. Ksiądz patrzył teraz właśnie w jej stronę, odniosła wrażenie, że zanim znów przeniósł uwagę na zebranych, obdarzył ją



krótkim uśmiechem. Wydawał się bardzo młody jak na księdza, miał pewnie najwyżej dwadzieścia kilka lat, krótko przycięte czarne włosy, zaczesane do przodu w stylu, który sprawiał, że wyglądał jeszcze młodziej. Czując się coraz bardziej nie na miejscu, siłą woli zmusiła się, by odwrócić wzrok od radosnej scenki i ruszyć dalej w głąb miasta.

Sklepy były zbyt drogie jak na jej możliwości, ograniczyła się więc do oglądania wystaw. Fall River emanowało poczuciem kompletnego paraliżu i zawiedzionych nadziei, zaś East Acton buchało wprost pewnością siebie i dobrobytem. Każdy zakątek był elegancki i schludny. Rozmieszczone w regularnych odstępach wzdłuż chodnika, stały drewniane ławki dla zmęczonych pieszych oraz donice ze stokrotkami, które przypominały tamte ze stacji kolejowej.

Zatrzymała się nieco dłużej przed sklepem o nazwie „Zawiniątko Bociana”, nie mogąc się zdecydować, czy wejść do środka. Coś mówiło jej, że nie powinna. Na wystawie dokaazywało kilka dziecięcych manekinów w pastelowych ubranekach na lato. Nie widać było nigdzie naklejek z cenami, co mogło oznaczać tylko jedno: na pewno Hannah nie byłoby stać ma takie zakupy. A jednak co zaszkodzi popatrzeć?

Gdy stanęła przy ladzie, wpadła jej w oko para maciupeńkich tenisówek. Miały niewiele ponad siedem centymetrów długości, po bokach dwa paski i czerwone sznurrowadła. Już sięgała, aby wziąć je do ręki, kiedy doszedł ja czyjś rzeński głos:

- Dla przyszelego biegacza! Słodziutkie, prawda?  
Hannah szybko cofnęła rękę.

- Tak.
- Szuka pani czegoś konkretnego? - pytała dalej sprzedawczyni. - Dostaliśmy właśnie przeurocze czepeczki na lato.
- Dziękuję, tak tylko oglądam.
- Dla kogoś z własnych? Czy dla cudzego?
- Nie, nie dla własnego, nie.
- Gdyby miała pani jakieś pytania, proszę się nie wahać
- odparła sprzedawczyni, ale Hannah już była w drzwiach.

Po drodze do domu zauważyła, że w kościele Najświętszej Panny Wieczystego Światła ustały już wszelkie oznaki aktywności. Niespiesznie wracała przez Alcott Street, próbując usunąć z myśli obraz maleńkich tenisówek. Kiedy weszła na podwórko, Jolene wypakowywała z tyłu furgonetki stosy jakichś kartonów.

- Hej, widziałam, że oglądałaś wystawy - zawołała.
- Wprost idealny dzień na takie zajęcia. Miałam się do ciebie przyłączyć, ale wyglądało na to, że zatonełaś w świecie własnych marzeń. Czy spodobało ci się nasze miasteczko?
- Całkiem przyjemne.
- Choć bardzo małe, prawda? W East Acton nikt nie może się zgubić. - Z głośnym stęknieniem dźwignęła nieduże kartonowe pudło pełne terpentyny i rozpuszczalnika do farb.
- Mogę pomóc? - zaproponowała Hannah.
- Nie przejmuj się. Przywiozłam sobie tylko trochę zapasów. Nie chcę, żebyś coś sobie zrobiła.
- Daj spokój, nie jestem bezradna. W każdym razie jeszcze nie teraz.
- No dobrze, skoro się upierasz. Weź to małe pudło. Nie waży zbyt wiele. - Otworzyła kopniakiem drzwi do pracowni, potem krzyknęła przez ramię: - Teraz ostrożnie.

Karton ważył tyle co nic. Co mogło być w środku? Gęsi puch? Zaciekawiona, Hannah podniosła klapkę pokrywy i zajrzała do środka.

Zawartość stanowiły głównie medykamenty: paczki sterylnej gazy, rolki taśmy chirurgicznej, waciki, bandaże samoprzylepne i jałowe opatrunki. Było tam też kilka metrów brązowego, luźno tkanego muślinu oraz coś, co znajdowało się w pudełku z napisem „Maseczki chirurgiczne z pętlami na uszy”.

Albo Jolene często ulega wypadkom, albo chce być przygotowana na każdą niemiłą okoliczność, pomyślała Hannah. Potem jednak zaczęło jej coś świtać. To są po prostu materiały do pracy artystycznej.

Skwitowała uśmiechem własną naiwność, po czym zaczęła się zastanawiać, jakie Jolene mogła mieć plany wobec „zestawów do unieruchamiania kończyn wraz z kołnierzem”.

## Rozdział 16

Z początkiem lipca Jolene stała się dla Hannah zastępczą matką, czego Ruth nie potrafiła zrobić przez całe siedem lat. Chwilami przesadzała z tą swoją troską, ale poza tym była miłą i wesołą towarzyszką. Chodziły razem na zakupy, razem gotowały, a nawet razem sprzątały, choć Jolene przeprowadziła ostre rozgraniczenie między lekkimi a ciężkimi pracami domowymi, te ostatnie rezerwując wyłącznie dla siebie.

Hannah znów miała rodzinę...

Marshall co rano o 8.05 wsiadał w pociąg do Bostonu, a kiedy wracał tym o 18.42, obie czekały na niego z obiadem przygotowanym na stole. Wszyscy troje siedzieli potem długo przy deserze i omawiali wielkie wydarzenia na świecie i te malutkie w ogródku. Poglądy Hannah były traktowane na równi z poglądami pozostałej dwójki. Stanowiło to niezwykłą odmianę po Ritterach, u których dwoma sposobami komunikowania się były swarliwość lub naburmuszona cisza, toteż Hannah stopniowo zaczęła stopniowo coraz śmiejiej wyrażać własne opinie.

Zarówno Jolene, jak i Marshall dużo czytali, zatem i ona zaczęła wracać do książek, tak jak w czasach dzieciństwa.

Wycieczki do miasta wzbogaciły się o wizyty w miejskiej bibliotece, założonej przez, żony ojców miasta w 1832 roku, i prowadzącej od tamtej pory nieprzerwaną działalność - z wyjątkiem okresu wojen oraz kilku poważnych gradobić. Wyobraźnia rozpalala się coraz bardziej, cieszyły ją myśli o tym, co określała jako „życie później” - a co oznaczało bliżej nieokreśloną przyszłość po urodzeniu jej... po urodzeniu dziecka Whitfieldów.

Najwięcej zmian doświadczało teraz jej ciało. Dwadzieścia tygodni, dziesięć kilogramów - idealnie według tabelki - i brzuch zaczynał się już zaokrąglać. Wybrzuszyła się, jak to określił doktor Johanson. Miała krągłą twarz, rumieńce na policzkach, jasne włosy bardziej lśniły. Ponieważ dotychczas miała dość płaską, chłopięcą figurę, teraz obfitość własnego biustu kępowała ją do tego stopnia, że początkowo nosiła podkoszulki XL, żeby to jakoś ukryć.

- Och, to właśnie jest w tym wszystkim najlepsze - oznajmiła Teri, kiedy Hannah przyznała się przed nią przez telefon do swego zakłopotania. - Skoro masz piersi, to się z nimi pokazuj, bo to nie będzie trwało wiecznie. Za każdym razem, kiedy byłam w ciąży, Nick wołał na mnie „Pamela”. Wiesz, po tej dziewczynie ze Słonecznego patrolu. Ciągle się pchał z łapami. Właściwie już to starczyłoby za powód, żeby zafundować sobie kolejnego dzieciaka.

Teri dzwoniła do niej regularnie i informowała na bieżąco o tym, co się działo w jadłodajni, lecz z upływem miesięcy Hannah uświadomiła sobie, że opowieści o długich godzinach pracy i skąpych napiwkach niewiele już dla niej znaczą. Jednak miło było słyszeć głos Teri.

- Przy Brianie dostałam plam ciążowych. Wielkie cucky i plamy! Co za połączenie! Ale to wcale nie zniechęciło

Nicka. Założę się, że ty jesteś śliczna jak obrazek. Bardzo chciałabym cię kiedyś zobaczyć.

- Ja też marzę o spotkaniu z tobą.

- No to przyjedź któregoś dnia - albo ja podjadę do ciebie.

Kontakty z Ruth i Herbem były znacznie mniej miłe - monosylabiczne odpowiedzi na pytania potwierdzały, że jej życie wciąż tak samo niewiele ich obchodzi. Aż trudno było to pojąć, przecież spędzili siedem lat pod jednym dachem. Kiedy tylko odkładała słuchawkę, Fall River rozwiewało się jak mgła, a jego uliczki na wieki pozostały już w jej pamięci zimowe i szare, a nie zielone i zalane słońcem jak te w East Acton. Świat tutaj był zupełnie inny, pełen nadziei, rozwoju i możliwości. Uwielbiała swoje codzienne spacerunki, a gorąca aprobata doktora Johansona jeszcze potęgowała tę przyjemność.

Tego zaś konkretnego środowego poranka znakomitego pretekstu dostarczyły jej leżące na nocnej szafce książki z biblioteki. Włożyła na siebie jedną ze starych białych koszul Marshalla, które podarowała jej Jolene. Zerknęła do lustra, by sprawdzić, czy dostatecznie kryje jej stan, potem pospiesznie zeszła na dół. Jolene była w pracowni, gdzie „traumatyzowała” nożycami do metalu kawałek blachy.

Hannah przystanęła, aby popatrzeć. Sądząc z wyglądu, była to uprzednio blaszka do pieczenia ciastek, a Jolene wycinała z niej fragment w kształcie klina. Metal stawiał solidny opór, stękała więc przy tym z wysiłku. Hannah już miała wygłosić jakąś krzepiącą uwagę, powstrzymała jednak swój impuls. Nie chciała rozpraszać skupienia Jolene. Jej sztuka była najwyraźniej przedsięwzięciem do głębi osobistym.

Metal wreszcie się poddał i kawałek w kształcie litery V upadł na podłogę. Ramiona Jolene rozluźniły się, a ona sama przejechała delikatnie palcami po poszarpanej krawędzi, mrucząc coś cicho do siebie. Potem uniosła zmaltretowany kawałek do ust, przymknęła oczy i ucałowała.

Zaskoczona intymnością tej chwili, Hannah wycofała się w pośpiechu. Jak dziecko, które podejrzło rodziców w łóżku, miała poczucie, że zobaczyła coś, czego nie powinna była widzieć.

Zatrzymała się przed kościołem Najświętszej Panny Wieczystego Światła i przyglądała się przez chwilę rzeźbie. Ziemia u podstawy figury Matki Boskiej usłana była białymi i czerwonymi płatkami, które opadły z różanych krzewów. Teraz niemal codziennie przechodziła obok tego kościoła.

Nie wiedziała, co dziś kazało jej wejść do środka. Może ta łagodna pogoda, która sprawiała, że całe miasto zdawało się bardziej gościnne niż zazwyczaj. A może to, że poczuła, jak poruszyło się w niej nowe życie, na nowo połączyło ją z ludzkością. Z ulgą przekonała się, że kościół jest pusty, wśliznęła się więc do ostatniej ławki i położyła obok siebie książki wypożyczone z biblioteki.

Wpadające przez witraże słoneczne promienie usiały podłogę różnokolorowymi plamkami, tak jak płatki róż usiały ziemię przed figurą Matki Boskiej. Rzędy świec wotywnych obok konfesjonatu rozsiewały migoczącą, czerwonawą poświatę jak świetliki po zachodzie słońca. Najświętsza Panna Wieczystego Światła, pomyślała, to bardzo zręcznie dobrana nazwa. Miała zamiar posiedzieć tylko króciutką chwilkę, lecz spokój i miękkie kolory wzbudziły w niej drzemiące uczucie nabożnego podziwu. Kościół był niegdyś miejscem tajemniczego ukojenia.

Widziany od środka, kościół Najświętszej Panny Wierczystego Światła w niczym nie przypominał wnętrza kościoła św. Antoniego w Duxbury, lecz tam właśnie przeniosła się teraz myślami. Znow była dzieckiem, wracała z matką z biblioteki, szły trzymając się za ręce, dopóki nie dotarły do kamiennego kościoła. Nigdy nie obyło się bez krótkiej wizyty w środku, choćby po to, aby zapalić świeczkę lub zmówić modlitwę za tych, którym w życiu powiodło się gorzej. Czasem matka rozmawiała chwilę z księdzem lub klękała przy konfesjonale. Potem, gdy znow były na zewnątrz, czuły się bezpieczne, pełne wiary, że Bóg czuwa nad nimi i że je chroni.

- Niezbadane są ścieżki Pańskie - mawiała matka, kiedy zdarzało im się coś smutnego, radosnego albo po prostu niespodziewanego. Hannah także w to wierzyła aż do tamtej wigilii Bożego Narodzenia, kiedy osiemnastokółowa ciężarówka wjechała na ich pas jezdni i na zawsze odmieniła ich życie. Ta tajemnica była zbyt przytłaczająca, zbyt pozbawiona sensu, aby ktokolwiek był w stanie ją wyjaśnić. W czasie uroczystości pogrzebowych w kościele św. Antoniego siedziała razem z Ritterami w bocznej nawie i przysłuchiwała się monotonnemu brzęczeniu słów księdza, które dobiegało z głośników. Hannah już nigdy więcej nie chciała pójść do kościoła, a Ritterowie nie nalegali.

Kiedy teraz przymknęła oczy, znow wszystko wróciło: drażniący jej wrażliwy nosek mieszanka zapachu kurzu i kadzidła, wzniosłe tony muzyki napływające z tylnej części kościoła i powracające echem, aksamitne i wyciszone.

Niepostrzeżenie po policzkach Hannah zaczęły płynąć łzy i wkrótce otwarcie łkała, nie wiedząc nawet, dlaczego



płacze. Czy za pociechę, której nie otrzymała jako dziecko, czy za tą, którą krnąbrnie odrzuciła jako dorosły? Za matką czy nad sobą? Czy może z powodu tej cudownej sposobności, która pozwoli jej na nowo odtworzyć cały cykl życia, naprawie szkody i sprawić, że tym razem wszystko będzie tak jak trzeba? Grzebała po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki do nosa.

Młody ksiądz w zakrystii usłyszał łkanie i zastanawiał się przez chwilę, czy nie pójść po proboszcza. Zaledwie przed dwoma laty skończył seminarium i była to pierwsza parafia, do której został przydzielony. Jak dotąd, jego obowiązki ograniczały się jedynie do prowadzenia grupki młodzieży oazowej oraz do odprawiania porannych mszy, ponieważ ksiądz proboszcz lubił pospać dłużej. Tak naprawdę jeszcze nikomu nie udzielał na poważnie duchowych porad i nawet nie był pewien, czy dałby sobie radę. Dotąd zamożni parafianie okazali się albo zaskakująco dobrze przystosowani, albo z natury zamknięci w sobie, gdyż nie ujawniali nowicjuszowi żadnych swoich bolączek.

Kobieta, która płakała w ostatniej ławce, była wyjątkiem. Widział ją raz i drugi z daleka, wydawała mu się raczej bez troska. Ale teraz była szczerze przejęta i widać było, że nie może się opanować.

- Nie chciałbym przeszkadzać - odezwał się, podchodząc z wahaniem. - Czy mogę jakoś pomóc?

Hannah podniosła na niego zaskoczony wzrok.

- Przepraszam. Już miałam wychodzić.

- Proszę nie odchodzić - rzucił ksiądz nieco zbyt gwałtownie. - Jeśli pani woli, zostawię panią w spokoju. Pomyślałem sobie, że może chciałaby pani z kimś porozmawiać.

Hannah otarła łzy grzbietem dłoni i przyjrzała się uważnie rysom jego twarzy. Smolistoczarne włosy kontrastowały z bardzo jasną cerą, której biel przypominała twarze marmurowych figur w niszach wzdłuż ścian. Był Irlandczykiem, jakich często spotykano w okolicach Bostonu, miał ciemne oczy o bystrym spojrzeniu i dłonie o długich palcach, które spletał teraz nerwowo.

- Już panią tu widywałem. Jestem ksiądz Jimmy.

- Jimmy?

Zaśmiała się przepraszająco.

- Właściwie James. Ale wszyscy mówią do mnie ksiądz Jimmy. Zresztą, wystarczy Jimmy. Jeszcze się nie przyzwyczaiłem do tego księdza przed imieniem.

- Podoba mi się „ksiądz Jimmy”. Brzmi przyjaźnie. - Pociągnęła nosem i jeszcze raz otarła oczy.

- A więc mieszka pani gdzieś w tej okolicy? - zapytał. - Chcę powiedzieć, że widywałem panią na spacerach, więc doszedłem do wniosku, że musi pani gdzieś tutaj mieszkać. Na przedmieściach mało kto chodzi na spacer.

- Tak, mieszkam przy Alcott Street. Już dawno chciałam tutaj zajrzeć. Podoba mi się ten kościół. Jest pełen światła i przestrzeni. Nie taki ponury jak ten, do którego chodziłam jako dziecko.

- A gdzie to było?

- W Duxbury, na Południowym Wybrzeżu.

Zobaczyła w jego oczach błysk zainteresowania.

- Czy przeprowadziła się tu pani z rodzicami?

- Nie, mieszkam tu z... z przyjaciółmi.

Zawahał się chwilę, zanim zapytał:

- Z chłopakiem?

- Nie, po prostu z przyjaciółmi. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam dwanaście lat. Ostatni raz byłam w kościele na ich pogrzebie.

- Tak mi przykro... że odeszła pani na tak długo.

- Chyba mi się wydawało, że skoro Bóg mnie ukarał, zabierając rodziców, ja Go ukarzę, nie przychodząc więcej do kościoła. Dziecinada, prawda? Pewnie nawet nie zauważył.

- Och, jestem pewien, że tak - padła szybka, skwapliwa odpowiedź.

- Matka mawiała, że Bóg nas zawsze pilnuje, ale widać tamtej nocy w czasie wypadku nie bardzo zwracał na nas uwagę. Jako dziecko nie potrafiłam pojąć dlaczego. Chciałam, żeby ktoś mi to wyjaśnił. Ale może po prostu się nie da.

- Modliła się pani o to? Czy prosiła pani Boga, aby pomógł pani zrozumieć?

- Nie. Byłam na Niego zbyt wściekła.

- Jeśli wolno zapytać, o czym pani myślała, kiedy wszedłem?

Spuściła głowę, jakby nie chciała ujawniać już nic więcej.

- Trochę... chyba było mi siebie żal, przykro, że na tak długo odeszłam. Sama nie wiem. Przychodziły mi do głowy najróżniejsze myśli.

- Hannah? - W ciszy kościoła rozległ się czyjś głos. W drzwiach wejściowych stała Jolene, zarumieniona i zdyszana.

- Ach, tu jesteś! Wszędzie cię szukałam! Zapomniałaś, że masz wizytę u doktora Johansona?

- Przepraszam. Chyba straciłam poczucie czasu. - Pozbierała swoje książki i prześliznęła się bokiem obok księdza.

- Och, proszę księdza, to moja przyjaciółka. Jolene Whitfield.

- Miło mi księdza poznać. Proszę wybaczyć, że tak wparowałam, ale mamy za godzinę umówioną wizytę w Bostonie, a sam ksiądz wie, jak to bywa z korkami.

- Rzeczywiście, wiem - odparł przyjaźnie. - Proszę czasem zajrzeć, Hannah.

Przyglądał się obu wychodzącym kobietom. Ostre słońce obrysowało w drzwiach ich kontury. Dopiero kiedy Hannah odwróciła się, żeby pomachać mu na pożegnanie, zauważył jej lekko wystający brzuch.

- Wydawało mi się, że idziesz do biblioteki. Dlaczego wstałaś do kościoła?

- Czy ja wiem? Codziennie koło niego przechodzę. Byłam ciekawa, jak jest w środku.

Jolene z dużą wprawą manewrowała furgonetką po obwodnicy, minęła most i wjechała w Storrow Drive, wdzięczna losowi, że ruch uliczny okazał się jednak nie tak nasilony, jak się spodziewała. Po lewej, jak aluminiowa wstęga, lśniła Charles River.

- Nie byłaś jeszcze w środku?

- Zajrzałam tylko jednej niedzieli w czasie mszy, ale nie zostałam do końca.

- Dość ładny, prawda? Nie taki zapchany, jak to często bywa. A ten ksiądz wydał mi się strasznie młody. Ale dość atrakcyjny.

- Mnie się też tak wydawało.

- Jestem tego pewna! I o czym sobie tak rozmawialiście?

- Nie rozmawialiśmy za wiele. O moich rodzicach. O tym, jak w dzieciństwie chodziłam do kościoła. Powiedziałam mu, że nie byłam w kościele już od bardzo, bardzo dawna.

- Założę się, że to mu się nie spodobało.

- Nawet jeśli tak było, nic nie powiedział.

Jolene nagle spoważniała.

- Oni nie lubią, kiedy człowiek jest zbyt niezależny. To dlatego mają tak wiele zasad. Zasady, zasady, zasady! Interesuje ich tylko budowanie coraz większych kościołów... powiedziałas mu... no, wiesz... o...

- Nie. Nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Po prostu zaczyna już być widać, więc ludzie na pewno zaczną zadawać pytania.

- Jacy ludzie?

- No, w ogóle. W bibliotece, w spożywczym. Obcy ludzie będą podchodzić, żeby ci pogratulować. Pytać, kiedy masz termin. No wiesz, takie rzeczy.

- Obcy ludzie? Naprawdę tak robią?

Przed nimi wymieniano nawierzchnię, więc jakiś robotnik z czerwoną chorągiewką w ręku nakazywał pojazdom zwolnić. Jolene zasygnalizowała skręt i zerknęła we wsteczne lusterko, wypatrując okazji, by zjechać na lewy pas. Jakaś półciężarówka zwolniła, żeby ją wpuścić, więc Jolene pomachała ręką w podziękowaniu.

- To co masz zamiar mówić?

- Chyba prawdę. Co innego miałabym mówić?

Przez jakąś minutę jechały pogrążone w milczeniu, bo rozmowa i tak utonąłaby w huku rozdzierających drogę młotów pneumatycznych. Jolene zatoneła we własnych myślach. Kiedy hałas ucichł, odezwała się:

- Prawda przedstawia się w nieco skomplikowany sposób, nie sądzisz?

- Może i tak. Nie zastanawiałam się nad tym zbyt wiele.

- Może powinnaś - warknęła Jolene. Widząc, jak bardzo Hannah przestraszyła jej gwałtowna odpowiedź, dodała: - Chciałam powiedzieć: może powinnyśmy. Obie, razem. To również moja sprawa. I Marshalla. Bo przecież będziesz rozpowszechniać wiadomości także o naszym życiu. Poinformujesz świat, że nie jestem w stanie donosić dziecka. Wszyscy się dowiedzą, że ja i Marshall za długo z tym czekaliśmy.

- Nigdy bym tego nie zrobiła.

- A czy masz zamiar wdawać się w szczegóły - wyjaśnisz, na czym polega nasza umowa, powiesz, że ci zapłacimy? Większość ludzi nie rozumie takich spraw. Będą plotkować i śmiać się z ciebie za plecami. Wierz mi, w East Acton tak właśnie wygląda! Nie chciałabym, żebyśmy się stali pośmiewiskiem.

Zacisnęła ręce na kierownicy tak mocno, że żyły na jej szyi nabrzmiały.

- Ostrożnie - przestrzegła ją Hannah. - Jedziesz bardzo blisko linii środkowej.

Jolene gwałtownie sprowadziła samochód na środek pasa. W kąciach jej oczu zalśniły łzy i widać było, iż z całej siły stara się skupić na prowadzeniu. Hannah wyciągnęła dłoń i pogłaskała ją po ramieniu.

- Uspokój się, Jolene. Zaraz spowodujesz wypadek. Posłuchaj, to nieważne. Nie musimy nikomu nic mówić, jeśli nie chcesz. Dla mnie to bez znaczenia.

- Naprawdę? Nie będzie ci przeszkadzać?

- Nikt nie musi o niczym wiedzieć. Będzie jak zechcesz, mnie to nie przeszkadza. Wcale.

Wzdychając z ulgą, Jolene poluzowała uchwyt na kierownicy i kilkoma mrugnięciami powiek rozproszyła łzy.

- Och, dziękuję, Hannah. Dziękuję za wyrozumiałość.

Widząc przed sobą skręt na Beacon Hill, skierowała furgonetkę na prawo, zajęła drogę pickupowi, który zatrąbił na nią ze złością, i pożegłowała triumfalnie ku zjazdowi z autostrady.

## Rozdział 17

**D**oktor Johanson zawsze umiał wywołać u niej uśmiech. - Jak się dzisiaj miewa nasza śliczna młoda dama? - zapytał, gładząc się po bródce. Miał w oczach figlarne błyski, które bardziej pasowałyby do jakiegoś chochlika niż bostońskiego położnika.

- A jak wyglądam? - odparła Hannah zalotnie.

- Jak różyczka. Piękna, różowa róża. Co za prześliczna cera. - Doktor Johanson był dziś bardzo wylewny. - Kiedy tylko ją zobaczyłem, pomyślałem sobie: „Z tą dziewczyną nie będzie najmniejszych kłopotów!„. No i wyszło na moje, prawda? Jak dotąd żadnych problemów. W przyszłości także ich nie będzie. W tych sprawach rzadko się myślę.

Jolene na potwierdzenie pokiwała energicznie głową, a recepcjonistka uśmiechnęła się, okazując mu pełne poparcie, choć Hannah podejrzewała, że już niejeden raz musiała słyszeć podobne przemowy swego szefa. Doktor ostrzegawczo uniósł w górę wskazujący palec.

- Niemniej jednak nie wolno nam popełniać żadnych głupstw. Mimo wszystko przeprowadzamy badania. Wyko-



nujemy wszystkie testy. A więc proszę nam teraz wybaczyć.  
- Skłonił się przed panią Whitfield i wprowadził Hannah do gabinetu, zamykając za nią drzwi, kiedy przebierała, się w szpitalną koszulę.

Wielkie lustro na drugiej stronie drzwi odbijało obraz jej nagiego ciała. W domu przyjrzała się powiększającemu się brzuchowi, ale dopiero teraz zauważyła, że rozrosła się również w biodrach. Tyłeczek też zrobił się większy i krągłejszy. Jednak nie była gruba. Wszystkim tym zmianom dały początek pełniejsze piersi. Dotąd zawsze uważała się za chudą jak patyk dziewczynę, lecz teraz widziała przed sobą zmysłową kobietę. Wyglądała jak matka.

Starła się w miarę możliwości unikać tego słowa, nawet w myślach. To Jolene jest matką. To jajeczko Jolene i sperma Marshalla. Ona jest tylko inkubatorem, jak mówił doktor Johanson. Tyle że z wyglądu wcale nie przypominała inkubatora. Ta rozrastająca się kobieta w lustrze, której policzki barwiło rumieńcem rozwijające się w niej nowe życie, wyglądała właśnie jak matka. Nie było na to innego słowa.

Delikatnie położyła dłoń na brzuchu.

- Jak tam sobie radzisz? - szepnęła.

Z tego nastroju wyrwało ją głośnie stukanie do drzwi.

- Jest pani gotowa, Hannah? - pytał doktor Johanson.

- Jeszcze sekundka. - Ostatni raz obrzuciła uważnym spojrzeniem własną postać w lustrze i zmagazynowała w pamięci ten zmysłowy obrazek, zanim włożyła na siebie szpitalną koszulę. - Może pan wejść.

Zdążyła już przywyknąć do rutynowych badań. Lekarz ją ważył, mierzył ciśnienie krwi, posłuchał pracy serca i pobierał próbkę krwi do analizy. Potem pytał, czy coś jej dolega.

- Już nie mogę przespać całej nocy bez przerw - powiedziała Hannah. - Ciężko mi znaleźć wygodną pozycję. Przeważnie budzę się dlatego, że muszę iść do toalety Trzy - cztery razy na noc.

Doktor Johanson zanotował coś w swoim notesiku.

- Nic nie odbiega od normy. Ważne, aby piła pani dużo wody. Niech mi pani powie: kto nie czułby się trochę niewygodnie, gdyby musiał dźwigać to wszystko, co pani teraz dźwiga? Taki worek ziemniaków, prawda? - zachichotał. - A teraz proszę się położyć na plecach. Zmierzymy, dobrze?

Hannah powoli ułożyła się na plecach na kozetce do badań. Lekarz wyjął z kieszeni taśmę mierniczą, przytknął jeden koniec do kości biodrowej, a potem rozciągnął taśmę do pępka.

- Dwadzieścia jeden centymetrów! - obwieścił. - Idealnie! Ani za dużo, ani za mało. Rozrasta się pani dokładnie w takim tempie jak trzeba. Ale jeszcze się upewnimy...

Przyciągnął bliżej kozetki jakąś wielką maszynę na kółkach. Zanim ją odwrócił, Hannah zdążyła dojrzeć kątem oka ekran monitora oraz rzędkę przycisków i guziczków na futurystycznej konsoli znajdującej się poniżej.

Lekarz delikatnie posmarował jej brzuch parafiną.

- Zimne, nie?

- Trochę. Do czego to jest? - zapytała Hannah.

- Nie ma się czym martwić. Zrobię tylko kilka zdjęć, żeby uzyskać stuprocentową pewność, że wszystko rozwija się tak, jak powinno. Dokona się to za pomocą fal dźwiękowych, więc nic pani nie poczuje. Czy wie pani, że w czasie wojny marynarka wojenna opracowała tę technikę do wykrywania pozycji łodzi podwodnych na oceanie? Teraz wykorzystujemy

ją do wykrywania pozycji dziecka w owodni. To jest dopiero postęp, co?

Włączył maszynę i zaczął poruszać po skórze jej brzucha małym, plastikowym urządzeniem przypominającym myszkę od komputera. Poczła łaskotanie.

- A jak traktują panią Whitfieldowie? - zapytał, nie odrywając wzroku od monitora.

- Aż za dobrze!

- Dobrze panią karmią? To bardzo istotne. Chcemy mieć zdrowe, silne dziecko.

- Za dużo jem.

Myszka zatrzymała się, a doktor pochylił się na chwilę nad monitorem. Potem myszka ruszyła, znów systematycznie zwiedzając brzuch Hannah.

- Nie pora martwić się teraz o linię. Potem będzie pani miała na to mnóstwo czasu. Teraz ważne, żeby pani smakowało. Proszę pamiętać: mnóstwo żelaza, czerwone mięso, szpinak.

Pochrząkał chwilę z aprobatą, wreszcie wyłączył maszynę i wilgotną ściereczką starł parafinę z brzucha Hannah.

- Może się pani ubrać.

Kiedy Hannah i doktor Johanson pojawili się z powrotem w poczekalni, Jolene przeglądała jakiś magazyn na temat urządzania wnętrz.

- Żadnych problemów - obwieścił lekarz. - Dokładnie tak, jak to mówiłem wcześniej. Zanim zdążymy się zorientować, puf! - nasze dziecko już będzie wśród nas. A więc do zobaczenia za kolejne dwa tygodnie.

Wręczył recepcjonistce kilka papierków i już miał zniknąć z powrotem w gabinecie, kiedy odezwała się Jolene.

- Skoro tu już jestem, doktorze, czy mogłabym o coś zapytać? Nie zajmę panu więcej niż minutkę.

Doktor Johanson zerknął na zegarek, potem posłał Hannah spojrzenie, które mówiło jasno, że tego rodzaju prośby zdarzają mu się aż nazbyt często. Każdy miał jakieś dolegliwości czy bóle, które nie zajmą lekarzowi dłużej niż minutę, a w rzeczywistości oznaczały darmową poradę. Cóż, ryzyko zawodowe.

- Oczywiście, pani Whitfield - westchnął. - Proszę tędy.

Hannah wzięła do ręki egzemplarz magazynu „People” i próbowała czytać artykuł o szesnastoletniej gwiazdce filmowej, która odniosła sukces w serialu telewizyjnym gdzie grała pracownicę służb leśnych. Fotografia ukazywała ją w bikini na skuterze śnieżnym, a podpis głosił: „Rozgrzewa całą puszcę”.

Drzwi do poczekalni otworzyły się i do środka wtoczyła się kobieta po trzydziestce, która skinęła głową recepcjonistce, a potem opadła ciężko na krzesło naprzeciw Hannah, wydając z siebie dosyć głośne „uff!”. Hannah podniosła na nią wzrok; kobieta była bardzo duża i tęga, na jej czole błyszczały krople potu.

- Mój Boże, co za ulga dla stóp! - rzuciła kobieta tonem wyjaśnienia. - To pani pierwsze?

- Tak.

- No cóż, u mnie to trzecie i ostatnie! Powiedziałam mężowi, że potem każę sobie jajowody zawiązać na śliczną kokardkę. Chciał mieć chłopaka. Co można na to powiedzieć? Więc będzie miał tego swojego chłopaka, żeby za dziesięć lat mógł go zabierać na mecze Red Soxów, jeśli w ciągu następnej godziny nie padnę z wyczerpania. Wie już pani, co się urodzi?

- Nie, jeszcze nie.

- Niektórzy nie chcą wiedzieć. Ja osobiście nie przepadam za niespodziankami. Wydaje mi się, że kiedy z góry wiadomo, wszyscy mogą przygotować odpowiednie prezenty. Nauczyłam się tego po fakcie. Kiedy miało nam się urodzić pierwsze dziecko, mój mąż poszedł i nakupował małych dresików, bluz, bejsbolówek i sama nie wiem czego jeszcze. Kupił nawet małe buty z kolcami do biegów. Oczywiście urodziła się dziewczynka, a te buty wciąż jeszcze leżą upchnięte gdzieś w szufladzie. A pani i mąż nie jesteście ani troszeczkę ciekawi?

- Jeżeli chodzi o mnie, może być i jedno, i drugie.

O tym właśnie mówiła Jolene, kiedy wspominała o konieczności rozmawiania z ludźmi. Widząc, że kobieta jest w ciąży, odkładali formalności na bok i zaczęli zasypywać ją pytaniami. Hannah nie potrafiła sobie wyobrazić, aby ktoś podszedł do obcej, ciężarnej kobiety i zaczął pytać, czy puchną jej kostki albo co na to wszystko jej chłopak. A ciąża chyba działała jak zaproszenie do ankietowania.

Chcąc wywinąć się od dalszej wymiany zdań - a także dlatego, że znów chciało jej się sikać - Hannah przeprosiła rozmówczynię i powiedziała recepcjonistce, że chciałaby skorzystać z toalety.

- Oczywiście. Przedostatnie drzwi na prawo.

Hannah przeszła obok biura doktora Johansona, potem obok gabinetu, gdzie badał pacjentów oraz pokoju z rentgenem. Już miała skręcić, by wejść do toalety, kiedy usłyszała głosy Jolene i doktora, dochodzące z pomieszczenia przy końcu korytarza. Nie słyszała, co mówią, lecz czuła, że Jolene

jest bardzo podekscytowana. Czy doktor Johanson próbuje ją uspokoić?

Zaciekawiona, podeszła na paluszkach bliżej. Drzwi były uchylone, a pokój pogrążony w mroku, tylko od czasu do czasu błyskało jakieś szarobiałe światło. Jolene i doktor stali obok siebie, odwróceny plecami do drzwi i oglądali coś na ekranie telewizora.

- Po prostu mnie rozsadza - mówiła Jolene. - Pragnęłam tego już od tak dawna. Wszyscy tego pragnęliśmy.

Doktor Johanson pokazał jej coś na ekranie.

- On się uśmiecha.

Odwrócił się, by pomajstrować przy przełącznikach, a wtedy Hannah zobaczyła, że oglądają jakiś czarno-biały obraz na ekranie monitora. Nie potrafiła rozpoznać, co przedstawia - przypominał kokon, coś zawiniętego w biały kokon. Potem dostrzegła jakiś ruch i ów kształt zaczął jej coś przypominać. To płód. Widać było wyraźnie główkę i nóżki, przyciśnięte do reszty ciała, które zwinięte było w półksiężyc. Hannah dostrzegła nawet małą rączkę przyciśniętą do policzka. Stała jak zaczarowana.

Doktor Johanson wstał i ponownie skierował uwagę na ekran, zasłaniając jej przy tym widok. Otoczył Jolene ramieniem, przyciągnął ją blisko siebie i szepnął jej coś do ucha. Gest ten wydał się Hannah zadziwiająco intymny. Nie chcąc, by ją przyłapano na podsłuchiwanie, wycofała się ostrożnie od drzwi.

Olśnienie przyszło na nią nagle, uderzyło mocno jak pięść i zaparło jej dech w piersi. Płód na ekranie to był jej płód! To była prawdziwa ludzka istotka z maleńkimi rączkami, stopkami i bijącym sercem. A rączka naprawdę się poruszyła! Sama widziała. Naprawdę jest matką!

Emocje zakotłowały się w niej tak gwałtownie, że poczuła zawrót głowy. Wiedziała, że musi szybko wracać do poczekalni, bo inaczej zemdleje.

- Chyba nic złego się nie dzieje, m? - zapytała kobieta w zaawansowanej ciąży, kiedy Hannah zwała się na krzesło. - Jest pani biała jak prześcieradło.

- Nic mi nie jest. Chyba po prostu zgłodniałam.

- Nawet niech pani nie mówi - odparła kobieta. - Jeść i sikać, sikać i jeść. Do tego to się wszystko sprowadza.

Hannah zmusiła się, by postać jej słaby uśmiech.

- Ale podzielę się z panią pewnym sekretem - ciągnęła kobieta. - Dzień, w którym włożą pani to dziecko w ramiona, będzie najszczęśliwszym dniem w pani życiu. A wie pani, co będzie jeszcze lepsze?

- Co takiego?

- Ten drugi dzień, ten trzeci, czwarty i piąty.

Do poczekalni wpadła rozentuzjasmowana Jolene, a za nią doktor Johanson.

- Dziękuję za cierpliwość, doktorze - powiedziała, a potem zwróciła się do Hannah: - A co powiesz na to, żebyśmy zafundowały sobie jakiś ekstralunch? Znam jedno miłutkie bistro na Newbury Street.

- Jeśli masz ochotę.

- I to właśnie chcę słyszeć — dodał doktor Johanson. - Pełne posiłki, dobre jedzenie, solidne porcje! - Powitał kobietę w zaawansowanej ciąży. - Jak tam się dziś miewamy, pani McCarthy?

- Będę się miewać znacznie lepiej, doktorze, kiedy już się pozbędę tego ładunku.

- To już nie potrwa długo, ma pani moje słowo, pani McCarthy.

- Każde dziesięć minut wydaje mi za długo.
- Już dobrze, dobrze. Jeszcze tylko tydzień, to wszystko.

Proszę tędy.

Pani McCarthy podniosła się z wysiłkiem z krzesła i ruszyła za nim. Już miała zniknąć za drzwiami, kiedy odwróciła się jeszcze do Hannah.

- Proszę pamiętać! Warto znieść każdą sekundę.

W holu Hannah zapytała Jolene, czy nic jej nie jest.

- Dostyc długo tam siedziałaś.

Jolene niefrasobliwie zbyła jej troskę.

- Wiesz, jak ja lubię się bez powodu zamartwiać. Martwię się i martwię. Ale doktor mówi, że nic mi nie jest. Zupełnie nic. Mówi, że jestem w doskonałym stanie.



## Rozdział 18

Nie mogła się pozbyć z myśli obrazu maciupieńkiej rączki przyciśniętej do malutkiej główki. Nie mogła też przestać myśleć o tym, że pewnego dnia będzie trzymać tę rączkę i przytulać tę główkę. Przynajmniej przez jakiś czas.

Dlaczego nie pokazano jej obrazków z ultrasonografu? Niepokoiło ją zachowanie Jolene i doktora, którzy pochylali się w sekrecie nad ekranem monitora, oglądając wspólnie obraz dziecka w jej brzuchu. Wydało jej się to wielkim naruszeniem jej prywatności. Dziecko należy do Jolene, to prawda, więc miała prawo je zobaczyć. Ale czy i Hannah nie ma takiego samego prawa? Miało być tak, że doświadczają wszystkiego wspólnie. A tu pierwsze zdjęcia dziecka rozmyślnie przed nią zatajono.

Przypomniano jej tym samym, że choć Whitfieldowie są dla niej mili, to jednak wykonuje dla nich pewną pracę. A ta praca dokonuje się wewnątrz jej ciała. Czy sądzili, że Hannah odizoluje się całkowicie od towarzyszących temu stanowi uczuć?

Co wieczór kładła się spać, myśląc o dziecku i co rano, zanim jeszcze narzuciła na siebie szlafrok i pantofle, pierwszą

myśl kierowała ku niemu. Rozmawiała z nim, ilekroć była sama lub kiedy Jolene znajdowała się poza zasięgiem głosu, zaczęła też sobie wyobrażać, że dziecko jej odpowiada. Przez cały dzień kursowały między nimi takie krótkie przesłania: „Tak bardzo cię kocham”. „Ja też cię kocham”. „Jesteś dla mnie bezcenny”. „Tak samo jak ty dla mnie”.

Jolene nigdy nie wspominała o tamtej wizycie u lekarza, lecz coraz mocniej przejmowała się sprawą „zachowania pozorów”.

Jeszcze tego samego tygodnia przy kolacji znów poruszyła ów temat: co ludzie powiedzą i co należy w związku z tym przedsięwziąć.

- Nie mamy się czego wstydzić - oponował Marshall. - To nasze dziecko. Hannah tylko nam pomaga w ten szczególny i pełen miłości sposób. Nie należy jej zmuszać, aby się tego wypierała.

- Nie mówię przecież, że ma się czegoś wypierać. Zastanawiam się tylko, dlaczego wszyscy naokoło mają wiedzieć, co się u nas dzieje? Wiesz, ilu tu plotkarzy. Nasi najbliżsi przyjaciele, to zupełnie inna sprawa.

- Przesadzasz - obstawał przy swoim Marshall. - Co ludzie powiedzą, to powiedzą, i już. Zresztą, czy nie uważasz, że powinno im się uświadomić, że dostępne są tego rodzaju usługi?

(„Usługi?” - powtórzyła Hannah w duchu.)

Jolene jednak nie dało się przekonać.

- No to co powie w bibliotece, gdy będzie oddawać książkę, a bibliotekarka zapyta, kiedy ma termin? Albo w galerii?

- Powie, że w grudniu.

- A jak ktoś zapyta o ojca? Powie: „A, to ten miły pan Whitfield, który mieszka przy Alcott Street?”. Tylko pomyśl!

- Poddaję się, Jolene. Co proponujesz? - Widać było, że Marshall zaczyna się irytować.

Jolene otworzyła wieczko niewielkiej kasetki na biżuterię i położyła ją na stole. W gniazdku z czarnego aksamitu spoczywała obrączka ślubna.

- To jest odpowiedź na wiele niewygodnych pytań, wiercie mi. Może powiedziec, że mąż jest za granicą i że w związku z tym chwilowo mieszka u nas. Dlaczego by nie?

- Nie chcę, aby Hannah robiła coś wbrew sobie.

- To będzie tylko taka zabawa. Gra, a Hannah ją poprowadzi. To tylko obrączka, Marshallu.

Odsunął się w tył na krześle; wyraźnie nie miał ochoty dać się wciągnąć w kolejną dyskusję.

- Co o tym sądzisz, Hannah?

- Sama nie wiem. Czy to naprawdę konieczne?

- Ach, wy! - rzuciła Jolene. - A co to komu zaszkodzi? Jedna głupia obrączka! A może zamknąć usta kilku wścibskim babom... Och, to chociaż ją przymierz, Hannah. Zrób to dla mnie.

Hannah wzięła obrączkę z kasetki i wsunęła ją na palec.

- Nawet pasuje! - zagruchała Jolene z tak wyraźnym za chwytem, że Hannah nie śmiała już jej zdjąć.

## Rozdział 19

Tymczasem Hannah nadal śniła o maleńkiej główce, która pewnego dnia spocznie na jej piersi, o małej rączce, która zaciśnie się na jej palcu i o tych maleńkich stopkach, które już teraz zaczynały kopać, a pewnego dnia rozkopią miękki, biały kocyk w biało-błękitnym pokoju dziecięcym. Pochyli się nad łóżeczkiem i połaskocze te stopki, potem otuli małą ciałko miękkim kocykiem i...

Nie! To Jolene otuli je kocykiem. Jolene połaskocze stopki. Hannah zmusiła się, by myśleć o czym innym. Takie marzenia nie przyniosą jej nic dobrego.

Wąłęsała się po domu bez celu. Furgonetka Jolene zniknęła z garażu. Nikogo nie było w pobliżu. Poszła na górę, wzięła z komody sweter i zarzuciła sobie na ramiona. Piętnaście minut później siedziała w ostatniej ławce w kościele Najświętszej Panny Wierzytwej Światła.

Przy konfesjonale czekało już kilka osób, głównie starszych wiekiem kobiet, które po kolei podchodziły do okienka i przyklękały, by po kilku minutach przenieść się na klęcznik przed ołtarzem, gdzie cichutko odmawiały zdrowaśki, zadane im przez księdza za pokutę. Nie klęcały tam zbyt długo,

toteż Hannah doszła do wniosku, że ich grzechy nie były raczej zbyt ciężkie. Nie tak poważne jak ten, którego nie potrafiła wygnać z myśli.

A rozmyślać o grzechu, to prawie tak samo źle jak go popełnić. Tyle zdołały ją nauczyć zakonnice w szkółce niedzielnej.

Przyglądała się, jak ostatnia z kobiet odchodzi od konfesjonału i przykłęka przed ołtarzem. Po niej pewnie wyjdzie z budki ksiądz Jimmy. Jednak w końcu pojawił się nie młody kapłan, a starszy wiekiem ksiądz, około sześćdziesiątki, z rumianą cerą i wielką szopą siwych włosów. Zatrzymał się na chwilę, aby porozmawiać z parafiankami.

Przełknąwszy rozczarowanie, Hannah podeszła cicho i stanąwszy z boku, czekała, aż skończy rozmowę i skieruje na nią uwagę. Z bliska jego twarz wydawała się apodyktyczna, grubo ciosane rysy wywoływały wrażenie surowości i siły. Krzaczaste brwi także były siwe, podkreślały ciemne oczy.

- Przepraszam. Czy zastałam dziś księdza Jimmy'ego?

- Chciała się pani wyspowiadać?

- Nie, chciałam tylko z nim porozmawiać.

- Wydaje mi się, że jest na plebanii. Może mógłbym pomóc? - Dźwięczny, donośny głos zdawał się dobywać gdzieś z głębi jego trzewi.

- Nie, nie chciałabym przeszkadzać. Przyjdę innym razem.

- Na pewno nie będzie pani przeszkadzać. To jego praca. Ze chce pani pójść ze mną, pani...?

Hannah przez chwilę nie wiedziała, dlaczego tytułuje ją „panią”, lecz zaraz przypomniała sobie o obrączce na palcu.

- Manning. Hannah Manning.

- Miło mi panią poznać, pani Manning. Jest tu pani nowa, prawda? Jestem ksiądz Gallagher, tutejszy proboszcz.

Plebania, oszalowany deskami piętrowy budynek, z białymi okiennicami i szerokim frontowym gankiem, nie różnił się od innych domów w sąsiedztwie, choć może był nieco mniej wystawny. Proboszcz wprowadził Hannah do salonu. Meble wyglądały na trochę podniszczone, ale sam pokój utrzymany był nienagannie, a drewno wypolerowane do połysku. Brak ozdóbek i oznak codziennego bytowania wskazywał, że było to pomieszczenie wykorzystywane jedynie do spotkań oficjalnych. Nie wiadomo skąd pojawiła się siwiejąca gospodyni, aby zapytać Hannah, czy nie napiłaby się herbaty, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, zniknęła z powrotem w kuchni.

- Zechce pani usiąść, pani Manning. Zaraz zawołam księdza Jamesa. Albo księdza Jimmy'ego, jak go pani nazywa. Pani i chyba wszyscy dookoła. - W połowie schodów zatrzymał się jeszcze i dodał: - Mam nadzieję w przyszłości często tu panią widywać. Rzecz jasna, to zaproszenie obejmuje także i pani męża, jeśli tylko wyrazi takie życzenie.

- Dziękuję, przekażę - odrzekła Hannah, rumieniąc się lekko.

Kiedy kilka minut później ksiądz Jimmy wpadł w podskokach do salonu, sprawiał wprawdzie wrażenie lekko zaskoczonego, lecz widać było, że cieszy się na widok Hannah.

- Jak się pani miewa? Wszystko dobrze?

- Jak najlepiej. Spytałam się tylko proboszcza, czy ksiądz nie ma gdzieś w pobliżu i zanim się obejrzałam, już mnie tutaj prowadził.

- Lubi przejmować kierownictwo. To pożyteczna cecha, jeśli ktoś ma zamiar prowadzić parafię.

- Nie chcę robić zbyt wielkiego zamieszania. Chciałam tylko porozmawiać. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam?

- Nie, siedziałem przy komputerze. Oglądałem różne strony. Jeśli pani woli, możemy porozmawiać na zewnątrz. Mamy dziś piękny dzień.

Chłodny front z północy przepędził duszne upały, jakie zwykle panowały w sierpniu Massachusetts, więc trawniki, które normalnie o tej porze roku byłyby wyschnięte i wypalone słońcem, pozostały zielone i świeże. W połowie drogi między plebanią a kościołem stała ławka, na którą padał cień z dwóch klonów cukrowych. Hannah przysiadła na jednym końcu, ksiądz na drugim, jakby oboje chcieli respektować jakąś niepisaną zasadę na temat utrzymania należytej odległości między księdzem a jego parafianką, kiedy ta ostatnia jest atrakcyjna i młoda.

- Po prostu ostatnio nachodzą mnie różne niepokojące myśli, to wszystko - zaczęła Hannah. - Pomyślałam sobie, że dobrze byłoby z kimś o tym pomówić.

Ksiądz czekał, co powie dalej.

- Myśli, które nie powinny mi w ogóle przychodzić do głowy. Złe myśli.

- W takim razie dobrze, że chce pani o tym porozmawiać.

- Problem polega na tym, że obiecałam z nikim o tym nie rozmawiać. I nie chcę łamać tej obietnicy. To wszystko jest dość skomplikowane. Pewnie ksiądz pomyśli, że jestem zła.

- Nie, na pewno nie. - Uderzyło go, że tak nagle i tak mocno się zmieszała. - Obawia się pani, że zawiedzie czyjeś zaufanie, czy tak?

- Mniej więcej.

- Czy pani niepokój ma związek właśnie z tym kredytem zaufania?

- Tak odparła.

Po jej zmarszczonych brwiach widać było wyraźnie, iż waha się, czy wdawać się w szczegóły. Zdawał sobie sprawę, jak niewiele ma doświadczenia w obcowaniu z osobami w swoim wieku. Przychodziły do niego po rozgrzeszenie starsze kobiety i małe dzieci, lecz różnica wieku sprawiała, że mniej dotkliwie odczuwał ciężar swej roli, a wszystkie ich grzeszki były nieodmiennie równie błahe. Hannah Manning należała do jego pokolenia. Bardzo dotkliwie odczuwał teraz brak kompetencji.

- Jeśli chce pani porozmawiać ze mną w formie spowiedzi, wszystko, co tutaj padnie, pozostanie między nami - podsunął. - Świecenia kapłańskie zobowiązują mnie do zachowania tajemnicy spowiedzi. Zatem nikogo pani nie zdradzi. Może w ten sposób mógłbym pani pomóc znaleźć... spokój ducha, na który pani zasługuje.

Nawet jemu samemu te słowa wydały się zbyt górnolotne, prawie pompacyjne. Mówił to, co czuł, lecz zorientował się, że powinien używać prostszego języka - języka serca, nie głowy. Jak to się robi?

Na jego przystojnej twarzy' Hannah dostrzegła rozterkę.

- Czy musimy wrócić do kościoła?

- Nie, możemy to zrobić tutaj.

- Ale myślałam...

- Konfesjonał pozwala ludziom zachować anonimowość, to wszystko. Decyzja należy do pani.

- Chyba wołałabym zostać tutaj.

- W takim razie za chwileczkę wracam.



Wszedł do kościoła przez boczne drzwi i wrócił z fioletową szulą, którą zawiesił sobie na szyi. Potem usiadł na ławce. Unikając wzroku Hannah, przeżegnał ją znakiem krzyża.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Odpowiedź, zakodowana w pamięci od wczesnego dzieciństwa, pojawiła się automatycznie.

- Wybacz mi, ojcze, albowiem zgrzeszyłam. Od mojej ostatniej spowiedzi minęły całe lata. Oto moje grzechy. - Tu się zawahała. - Pragnę... Pragnę czegoś, co nie należy do mnie.

- A co to takiego?

- To dziecko. Chcę zatrzymać dla siebie to dziecko.

Wiele wysiłku kosztowało księdza Jimmy'ego, aby ukryć, jak bardzo jest zaskoczony. Dlaczego miałaby go nie zatrzymać? Czy jest chora? Czy dziecko narazi ją na jakieś ryzyko? Jeszcze nikt nigdy nie przyszedł do niego, aby porozmawiać o aborcji.

- Czy ktoś mówił pani, że nie można?

- Ono do mnie nie należy. Nie jest moje.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

- Ta kobieta, którą księdzu przedstawiłam, pani Whitfield - to jej dziecko. Jestem zastępczą matką. Noszę to dziecko dla niej i jej męża.

- A co na to pani mąż?

Hannah spuściła głowę.

- Nie jestem mężatką. Kazali mi nosić tę obrączkę.

- Rozumiem - odparł, ale wcale nie rozumiał. Co miał by teraz powiedzieć? Co Kościół ma do powiedzenia w sprawie zastępczych matek? Nie miał najmniejszego pojęcia. W milczeniu modlił się o jakąś inspirację, o właściwą reakcję, która zatuszowałaby jego bezradność.

- Kiedy... zaczęły się u pani te odczucia?

- Parę tygodni temu. Nie wiem, jak mam to sobie tłumaczyć. Czuję, jak ten ktoś we mnie rośnie. Czuję bicie jego serca. Słyszę jego myśli. Chcę, żeby był mój, ale nie mam do niego prawa. Whitfieldowie już od tak dawna starali się o dziecko, byliby zdruzgotani, gdybym je zatrzymała dla siebie. Tak mi mówiła pani Greene. Już od miesięcy mają gotowy pokój dziecięcy.

- Kto to jest pani Greene?

- Kobieta, która to wszystko zorganizowała. Prowadzi agencję - tę, do której się zgłosiłam.

- Czy już z nią pani o tym rozmawiała?

- Jeszcze nie. Przy jednym z pierwszych spotkań powiedziała mi, że muszę być pewna, iż wiem, co robię, bo nie chce przysparzać swoim klientom dodatkowego cierpienia. I tak już wiele przeszli, mówiła.

Próbował wyobrazić sobie całą tę sytuację, ludzi, którzy w niej uczestniczą, dziwne związki między nimi. Przypomniawszy sobie starotestamentową opowieść o królu Salomonie, który musiał rozsądzić, która z dwóch kobiet jest prawowitą matką dziecka, bo każda z nich twierdziła, że należy ono do niej. Przypowieść jednak nie bardzo pasowała do obecnej sytuacji.

W ciszy, która nastąpiła, słyszał głosy pary dzieciaków na deskorolkach i zgrzytanie kółek na płytach chodnika, kiedy przejeżdżały obok w drodze do miasta.

- Czy pani za to płacą? - zapytał.

- Tak - wyszeptała Hannah. - Pewnie ksiądz uważa, że to też jest złe.

- Nie, wcale nie. Cóż, wydaje mi się, że te wszystkie uczucia, które panią nurtują, są zupełnie naturalne. Chyba

byłoby dość dziwne, gdyby pani nic takiego nie odczuwała, prawa?

- Kocham to dziecko, Naprawdę.

- Nie ma pani innego wyjścia, Hannah. - Mów po prostu, napomniał się w duchu. Bezpośrednio. Mów jej to, w co naprawdę wierzysz. - Przez cały czas, kiedy nosi pani w sobie to dziecko, powinna je pani kochać, żeby dać mu poznać, że ten świat, w który wkracza, jest miejscem pełnym radości. To część pani zdania. Ja także mam do spełnienia taki obowiązek. Wszyscy mamy. Dzieci Boże nie należą do nikogo. Rodzice muszą pozwolić dzieciom dorosnąć, opuścić dom i stać się dorosłymi. Ale nigdy nie przestają ich kochać. To, że musi pani się z tym dzieckiem rozstać, nie oznacza, że przestanie je pani kochać.

- Nie wiem, czy podołam.

- Podoła pani, Hannah. Podoła pani. Uczucia, jakie panią teraz targają, to zapewne zupełnie normalna rzecz u zastępczych matek. Wydaje mi się, że powinna pani poradzić się w tej sprawie pani Greene. Na pewno miała już do czynienia z podobną sytuacją. Czy czuje się pani z nią swobodnie?

Hannah przytaknęła skinieniem głowy. - Jest bardzo miła. Sama także ma dziecko, które urodziła dla niej zastępcza matka.

- W takim razie będzie umiała się wczuć w sytuację obu stron. Na pewno nie chce, aby była pani nieszczęśliwa. Niech pani do niej pójdzie i porozmawia. Niech pani wysłucha, co będzie miała do powiedzenia. Ale proszę mi obiecać, że później pani tu do mnie wróci.

- Na pewno. Dziękuję księdzu.

Ksiądz Jimmy poczuł gwałtowną falę ulgi. Hannah wydała mu się teraz o wiele mniej strapiona. Na jej twarzy znów malowała się poprzednia łagodność. Jeśli udało mu się sprawić choć tyle, to misja nie zakończyła się zupełną kląpą.

Odprowadził ją na ulicę, za co nagrodziła go nieśmiałym uśmiechem. Jednak przez całą resztę popołudnia nit mógł się opędzić od wątpliwości, czy aby naprawdę udzielił jej dobrej rady i czy te jego rady w ogóle są coś warte.

## Rozdział 20

**M**inał tydzień, zanim Hannah zdołała zebrać dość odwagi, by zastosować się do rady księdza Jimmy'ego. Oczekwała, aż Jolene zniknie w pracowni i dostatecznie wciągnie się w „uzdrawianie” płócien - na tyle, by nie miała ochoty przerwać. Potem wetknęła głowę przez drzwi i poinformowała, że ma zamiar wybrać się do centrum handlowego Framingham.

- Pojechałabym z tobą, ale jestem po łokcie w gipsie.
- Nic się nie przejmuj. Pojedziesz następnym razem.

Hannah bez trudu odnalazła Revere Street oraz miejsce do parkowania. W całej okolicy panował wzmożony ruch: wózki dostawcze, urzędnicy spieszący na lunch, nawet studenci z okolicznych college'ów. Kiedy wchodziła po schodach wiodących do agencji, martwiła się, czy aby nie nachodzi pani Greene w jakiejś najmniej odpowiedniej chwili. Nie zadzwoniła, by ją uprzedzić, z obawy, że pani Greene powie o tym Jolene, a Jolene wpadnie w popłoch. Mądrzej będzie na razie trzymać Whitfieldów z daleka. Długa, szczerą pogawędką z panią Greene pewnie przywróci jej właściwą perspektywę, tak jak mówił ksiądz Jimmy.

Kiedy dotarła na podest, nie dostrzegła znaku PDR, zaczęła się więc zastanawiać, czy w swoim zaabsorbowaniu nie weszła do innej klatki schodowej. Rozejrzała się dookoła. Nie, są tu drzwi z szybą ze zbrojonego szkła i wymalowanym napisem, który określał je jako biuro Gene'a VI. Rosenblatta, adwokata sądowego. Zatem znalazła się we właściwym miejscu.

Niemniej wywieszka PDR zniknęła. Na jej miejscu widniało tylko kilka dziur po wkrętach. Doszła do wniosku, że tabliczka pewnie musiała odpaść, i przekreśliła gałkę w drzwiach. Drzwi były zamknięte na cztery spusty. Zapukała, potem jeszcze raz, mocniej, czekając na jakąś reakcję. Nikt się nie pojawił.

Zadziwiona, już miała zacząć schodzić po schodach, kiedy dostrzegła światło w biurze adwokata. Przeszła na drugą stronę podestu i spróbowała otworzyć drzwi, które uchyliły się, wprawiając w ruch zawieszony nad nimi dzwonek. Nad szufladą w szafce do akt pochylał się przysadzisty mężczyzna w okularach o tak grubych soczewkach, jakby wykonano je z denek butelek po coca-coli. Wyprostował się i zamrugał kilkakrotnie.

- Słucham, młoda osobo? Co mogę dla pani zrobić?

- Szukam tej pani po drugiej stronie korytarza, z „Partnerstwa dla rodzicielstwa”.

- Partnerstwo dla rodzicielstwa? A więc to oznacza PDR. No, no! Ciągłe miałem zamiar tam wpaść, aby się przedstawić. - Pchnął metalową szufladę, która zamknęła się z metalicznym szczękiem.

- Nie widział pan przypadkiem, czy wychodziła na lunch?

- Lunch? - Jego oczy, powiększone przez szkła okularów, przypominały dwa wiatraczki. - Owszem, może raz czy dwa razy zeszłej wiosny.

- Nie, chodzi mi o dzisiaj. Dziś jej pan nie widział, prawda?

- No, raczej ciężko by było, bo biuro już od dłuższego czasu stoi zamknięte.

- Zamknięte?

- Miałem wpaść, przedstawić się, pogadać, jak to między sąsiadami. A tu, zanim się zorientowałem, już ich nie było. Wyprowadzili się z całym majdanem.

- Kiedy to było?

- Niech tylko pomyślę. - Zamyślił się głęboko. - Byłem wtedy tydzień na zwolnieniu. Grypa. Wydaje mi się, że kiedy wróciłem, tej tabliczki już tu nie było. Nie, chwila. To było po wizycie mojej siostry. Była u mnie gdzieś w środku wiosny. W takim razie stoi zamknięte - uwierzy pani? - chyba już jakieś cztery miesiące.

## Rozdział 21

Przy garażu, gdzie zaparkowała, Hannah wrzuciła do automatu ćwierćdolarówkę i wykręciła numer „Partnerstwa dla rodzicielstwa”. Telefon dzwonił cztery razy, potem coś szcęknięło i nagrany głos poinformował ją, że abonent już nie korzysta z tego numeru.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio kontaktowała się z panią Greene. Zaledwie tydzień temu kobieta dzwoniła do East Acton. Hannah wprawdzie z nią nie rozmawiała, ale Jolene po zakończonej rozmowie powiedziała: „Letycja serdecznie cię pozdrawia”. No i co miesiąc, pierwszego, Hannah otrzymywała czek od „Partnerstwa”, zawsze opatrzony krótkim liścikiem od pani Greene.

Ale kiedy ostatnio widziała się z nią twarzą w twarz?

Sporo czasu minęło.

Zastanawiała się, czy Whitfieldowie wiedzą, że biuro PDR stoi zamknięte. Jeśli nawet wiedzieli, nigdy jej o tym nie wspomnieli.

Przeszła się do Ogrodów Publicznych i popatrzyła na budki dla łabędzi. Na trawnikach siedzieli studenci, wystawiając twarze do słońca. Hannah poszukała puste ławki i usiadła, by uporządkować swoje myśli.



Lecz wciąż powracały do niej te same troski. Najpierw doktor Johanson ukrył przed nią wyniki badań ultrasonograficznych, a teraz pani Greene zniknęła, nie mówiąc jej ani słowa. Wyglądało to tak, jakby Hannah została nagle zdegradowana do roli rezerwowego zawodnika - na tyle ważnego, by nosić dziecko, ale nie na tyle, aby być na bieżąco z istotnymi zmianami. Zaczynali ją wykluczać spośród siebie. W każdym razie w taki właśnie sposób to odbierała.

Minęła ją młoda matka, pchająca przed sobą spacerowy wózek. Dziecko, ubrane w żółty kombinezonik i żółtą, wiązaną pod brodą czapkę, pogrążone było w głębokim śnie. Jasne włosy kobiety, zaplecione w warkocze, upięte były na czubku głowy w koronę. Posłała Hannah porozumiewawczy uśmiech. Widocznie istniał pewien rodzaj siostrzanego porozumienia między młodymi i przyszłymi matkami, jaki cementowały ich wszystkie radości i obawy. Między członkiniami tego bractwa nie trzeba było słów. Wystarczyło spojrzenie, które mówiło: „Cudowne, prawda?” albo „Są takie dni, które trzeba po prostu przetrwać”.

Hannah przesiedziała w Ogrodach dłużej, niż zamierzała. Kiedy znalazła się z powrotem na drodze wylotowej z Bostonu, samochody tłoczyły się tam zderzak przy zderzaku. Strumień zaczął rzednąć dopiero w okolicy zjazdu na drogę 128, prowadzącą do East Acton.

Choć było późno, Hannah zajęła na parking przed kościołem Najświętszej Panny Wieczystego Światła i ruszyła stamtąd wprost na plebanie. Gospodyni poinformowała ją, że ksiądz Jimmy wyjechał na dwa dni.

- Jego rodzina ma domek letniskowy w New Hampshire - wyjaśniła.

- A więc będzie w poniedziałek?

- Nie, kochana. Wróci już na jutrzejszą wieczorną mszę o siódmej. Księża nie mają wolnych weekendów. Czy mam mu powiedzieć, że pani tu była?

- Nie, proszę sobie nie robić kłopotu - odparła Hannah, myśląc w duchu, że to nadzwyczaj odpowiednie zakończenie obfitującego w rozczarowania dnia.

U Whitfieldów paliły się światła, a Marshall zdążył wrócić już z pracy.

- Proszę, proszę, nasza wesoła wędrowniczka - zawołała z kuchni Jolene. - Już mieliśmy siadać do kolacji. Mam nadzieję, że ta jagnięcina nie wyschła na podeszwę. Umyj się przedziutko, dobrze? - Podziobała mięso widelcem. - Marshall, czy to ci nie wygląda na podeszwę?

Zebrali się przy stole, a Jolene nałożyła im na talerze jagnięcinę, ziemniaki puree i młode brokuły.

- A więc - zagadnęła, podając Hannah porcję - miło spędziłaś dzień?

- Tak. Ale jestem trochę zmęczona.

- Będiesz musiała zacząć się uczyć, jak oszczędzać siły. Być młodą to jedno, ale być młodą i w ciąży, to zupełnie inna sprawa. A tobie jak minął dzień, Marshallu?

- Po staremu, po staremu. Nic szczególnego.

Hannah przeżuła do końca kęs mięsa.

- O mało co nie złożyłam ci dzisiaj niespodziewanej wizyty - rzuciła.

- W Bostonie? - Widelec Marshalla zawisł w powietrzu.

- Myślałam, że jedziesz do centrum handlowego - wtrąciła Jolene.

- Tak było. Ale nie znalazłam tam tego, czego szukałam. A ponieważ była taka ładna pogoda, postanowiłam się przejechać do Bostonu.

- Tym samochodem? Martwię się o ciebie, kiedy jeździsz tym starym gratem. Marshall, wytłumacz jej, żeby nie jeździła tak daleko tym gruchotem. Przecież wiesz, że w każdej chwili może ci się rozkraczyć na środku drogi, i co wtedy? Uwięzniesz gdzieś na poboczu.

- Jest w porządku. Nie wygląda najlepiej, ale nigdy nie sprawił mi żadnych problemów.

- Mimo wszystko z przyjemnością cię zawiozę, gdziekolwiek zechcesz. Mówiłam ci to już setki razy. Wolę cię zawieźć, niż przez cały dzień zamartwiać się, co się z tobą dzieje.

- Dzięki, Jolene.

Marshall powrócił do jedzenia.

- Oczywiście, East Acton zaczyna cię pewnie nudzić. Wcale nie mam ci tego za złe. Młodzi ludzie przyzwyczajeni są do bardziej ekscytującego życia. Jestem pewien, że towarzystwo Jolene i moje to dla ciebie żadna frajda.

- To nieprawda. Jestem tu bardzo szczęśliwa.

- To dobrze. - Wyciągnął rękę i po ojcowsku poklepał ją po ramieniu.

Przez chwilę jadalnię wypełniał tylko szcęk sztućców, Zgrzytanie noży o talerze, chlupot wody nalewanej do szklanek i od czasu do czasu młaśnięcie Marshalla.

Pierwsza przerwała milczenie Hannah.

- Nie bez powodu chciałam do ciebie wpaść. Zajrzałam do biura „Partnerstwa dla Rodzicielstwa”.

- A po co? - zapytała Jolene.

- Nie widziałam się z panią Greene, odkąd zaczęło być widać, że jestem w ciąży. Ale kiedy tam dotarłam...

- Biuro było zamknięte - dokończył za nią Marshall.

- Wiecie o tym? - zdumiała się Hannah, całkiem zbita z tropu taką reakcją.

- Owszem. Już nie korzysta z biura, pracuje głównie u siebie w domu. Zgadza się, Jolene? Pani Greene ostatnio pracuje u siebie w domu.

- No tak, kiedy o tym wspomniałeś, rzeczywiście przypominam sobie, że coś o tym mówiła.

- Jak mi się zdaje, doszła do wniosku, że koszty utrzymania biura są o wiele za duże - ciągnął Marshall. - Rzecz jasna, ma absolutną rację. Czysze w Bostonie sięgają astronomicznych sum. To marnowanie uczciwie zarobionych pieniędzy. Teraz ludzie prowadzą u siebie w domu tyle najrozmaitszych usług. Najpewniej to bardzo mądra decyzja. Myślałem, że ci o tym mówiłem.

- Możliwe. Pewnie zapomniałam.

- I to już cała historia. Czysze był absurdalnie wysoki.

- Jak wszystkie koszty w dzisiejszych czasach - wtrąciła Jolene. — Nawet nie śmiem ci powiedzieć, ile dałam za tę jagnięcinę! Chciałaś się widzieć z panią Greene w jakiejś konkretnej sprawie?

- Słucham? Ach, nie, chciałam ją tylko odwiedzić. Skoro już się tam znalazłam...

Jolene wstała z krzesła i zaczęła zbierać ze stołu.

- A jak tam zakupy? Znalazłaś w Bostonie to, czego szukałaś?

Hannah podała jej swój talerz.

- Nie, dzień okazał się zupełnie nieudany.

## Rozdział 22

Następnego ranka, kiedy Hannah zeszła do kuchni, nie było tam ani śladu po Jolene ani Marshallu - z wyjątkiem brudnych naczyń ze śniadania w zlewozmywaku. Cieszyła się, że nie musi się wdawać w pogawędki. Przesadna troskliwość Jolene zaczynała graniczyć z apodyktycznością, nawet Marshall, ten zdroworozsądkowy Marshall, zirytował ją wczorajszego wieczoru swoją rzeczowością.

Ledwie zdążyła zadać sobie pytanie, gdzie też mogą się podziwiać, kiedy odpowiedzi udzieliły jej dochodzące z pracowni Jolene głosy.

Furgonetka stała tyłem do drzwi pracowni. Jolene i Marshall załadowywali na nią płótna na wystawę Jolene. Wiedli właśnie zagorzałą dyskusję na temat tego, jak najlepiej wywiązać się z owego zadania.

- Wsuwaj te płótna, Marshall, nie upuszczaj ich. Ile razy mam ci powtarzać?

- Uspokój się, dobrze? Przecież je wsuwam.

Hannah uznała to za wskazówkę, aby szukać schronienia we własnym pokoju. Dać się uwikłać w logistyczne problemy transportowania dzieł sztuki - jeszcze tego jej było potrzeba dzisiaj rano.

Manewry toczyły się nieprzerwanie jeszcze przez następną godzinę, a ilość przestróg Jolene („Delikatnie!” „Patrz, jak idziesz!” „Uważaj na drzwi!”) rosła z minuty na minutę. Kobieta była bardziej spięta niż kiedykolwiek przedtem. Hannah próbowała zatopić się w lekturze i prawie jej się to udało, kiedy nagle głośny wrzask sprawił, i, wyprostowała się gwałtownie w swoim fotelu.

- Marshall! Marshall! Chodź tu natychmiast! O mój Boże, o mój Boże!

Hannah popędziła do okna, spodziewając się ujrzeć jedno z płócien Jolene leżące awersem na żwirze bądź też nabite na gałąź drzewa - choć na dobrą sprawę pewnie nikt by potem nie zauważył, że coś z nim nie tak. Zamiast tego jednak ujrzała samą Jolene, która klęczała podparta na trawniku, skulona się nad czymś, co było o wiele za małe, aby mogło być jednym z jej płócien. Marshall podszedł do niej szybko.

- Patrz! Nie żyje! Nie żyje!! - zanosząc się łkaniem Jolene usiadła i otoczyła ramionami talię męża, dzięki czemu Hannah mogła dojrzeć źródło jej żalu. Na trawie przed nią leżał martwy wróbel.

- Dlaczego umarł, Marshallu? - zawodziła kobieta. - Dlaczego? Tu przecież miał być dla nich azyl.

- To nic takiego, Jolene. Wszystko prędzej czy później umiera.

- Ale nie tutaj! Tutaj nic nie powinno umierać. - Drgające nieprzerwanie ramiona mówiły wyraźnie, że Jolene nie da się tak łatwo ukoić. - Co to oznacza, Marshallu?

- To nic nie oznacza - obstawał przy swoim. Kiedy podnosił żonę z ziemi, zerknął w górę i wypatrzył Hannah w oknie.

- Zrobimy ci filiżankę herbaty - zwrócił się do żony, która potulnie dała się poprowadzić w stronę domu. Zanim weszli w kuchenne drzwi, dodał jeszcze: - Po prostu denerwujesz się z powodu wystawy. Nie ma w tym nic złego, to normalne. Wszystko jest zupełnie normalnie.

Hannah miała poczucie, że te słowa były w równym stopniu kierowane do niej, co do Jolene.

## Rozdział 23

Galeria „Pryzmat” mieściła się na drugim piętrze odnowionego budynku ratusza na Newbury Street, nad modnym sklepem z przyborami do kąpiel. Nie było windy, lecz u wejścia na umieszczonym na sztaludze plakacie strzałka wskazywała na schody.

**„Wizje i widoki”  
Najnowsze prace Jolene Whitfield  
2-25 września**

Otwarcie zaplanowano na 17.00, lecz kiedy Hannah i Marshall przybyli tam chwilę po tej godzinie (Jolene spędziła w galerii całe popołudnie, do ostatniej chwili dopracowując szczegóły), na miejscu było już dobre kilkadziesiąt osób, prowadzących ożywione rozmowy. Przy stoliku w kącie barman serwował białe wino i napoje bezalkoholowe, podczas gdy kelner kursował dookoła z tacą pełną zakąsek.

Ponieważ nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachowywać, Hannah zatrzymała się w wejściu. Kościoły i muzea - a co za tym idzie, także galerie - według niej należały do tej



samej kategorii: były to miejsca, gdzie ludzie przyjmują pełną szacunku postawę i rozmawiają zniżonym głosem. Zaś to, co widziała przed sobą, przypominało raczej modny koktajl, gdzie ludzie śmieją się i prowadzą głośne rozmowy.

- Nie bądź taka przygaszona - powiedział Marshall, wyzywając jej nerwowość. - Na razie są tu sami przyjaciele i fani Jolene. Krytycy przyjdą później.

Hannah przebiegła wzrokiem tłum i wypatrzyła wśród gości doktora Johansona. Stojąca obok niego kobieta wydała jej się znajoma, lecz dopiero kiedy odwróciła się bokiem, Hannah uświadomiła się, że to jego recepcjonistka, która wymieniła dziś biały fartuch na czarną wieczorową suknię, z dość śmiało wyciętym dekoltem. A więc znała już przynajmniej dwie osoby wśród tego tłumu.

- Jeśli pozwolisz, powiem Jolene, że już jesteśmy - odezwał się Marshall. - Przynieść ci coś do picia?

- Jeszcze nie, dziękuję - odparła Hannah. - Może najpierw przyjrzę się kilku obrazom. - Pomyślała sobie, że kiedy będzie trzymała się blisko ścian, to może mniej będzie rzucać się w oczy.

Na ścianach galerii zawisło ponad tuzin wielkich płócien. Tutaj wydały się Hannah jeszcze bardziej niezrozumiałe niż w pracowni w Acton. W Acton potrafiła je zaakceptować jako dziwaczne hobby Jolene. Lecz tutaj ludzie uważnie je studiowali, kiwali ze znanstwem głowami, wypowiadali mnóstwo przychylnych uwag. A więc widać było wyraźnie, że coś muszą jednak oznaczać.

Hannah zbliżyła się do jednego z takich płócien, rozdzielonego na kilka nierównych sekcji grubą, brązową linią, która ciągnęła się od góry do samego dołu, oraz drugą, która przecinała

obraz na poziomie mniej więcej jednej trzeciej wysokości. W centrum kompozycji widniało wykonane tępym nożem rozcięcie. Jolene zszyła je za pomocą szpagatu, lecz szwy były bardzo niestaranne i pozostawiały w oglądającym przeświadczenie, że te dwie zszyte części wkrótce znów się rozejdą. Hannah przypuszczała, że to właśnie musi być jedna z „ran”, które Jolene zadawała płótnom, a później z takim poświęceniem leczyła.

Teksturę niższych partii malowidła stanowił jakiś gąbczasty materiał. Lecz Hannah najbardziej zdumiały strugi - wyglądało na to, że Jolene umyślnie połała górna kraweść płótna czerwonawobrazową farbą, pozwalając jej swobodnie spływać wąskimi strużynkami.

Hannah starała się przypomnieć sobie to, co kiedyś powiedziała jej Jolene - że obraz znaczy to, co chciałby w nim widzieć oglądający - ale nie miała najmniejszego pojęcia, co chce wyrazić ten, który widziała teraz przed sobą. W żadnym razie nie był piękny. Nie chciałabym się obudzić rano i stwierdzić, że mam coś takiego przed oczyma, pomyślała.

Zbliżyła się do tabliczki z tytułem w nadziei, że tam uzyska jakąś wskazówkę. „Odnowienie” - przeczytała. A więc znikąd pomocy.

Przeszła do następnego obrazu, oznaczonego jako „Katedra”. Przyglądał mu się już jakiś muskularny mężczyzna w obcisłym czarnym podkoszulku i z pofarbowanymi na niebiesko - to nie był wybryk jej wyobraźni - włosami, w towarzystwie chudego, krótkowzrocznego mężczyzny z uszami jak ucha dzbanka, który z wyglądu przypominał księgowego. Obaj obrzucili ją przelotnym spojrzeniem, potem przeszli

dalej, pozwalając jej w spokoju kontemplować płótno.

Składało się głównie z kawałków kolorowego szkła, zatopionych w grubych bryłkach czarnej farby. Hannah nie bardzo wiedziała, jak ma się w tym dopatrzeć katedry, chyba że miała to być katedra zniszczona pożarem lub wybuchem bomby. Dzieło zdecydowanie emanowało brutalnością, jakby Jolene przelewała na płótno wszystkie swoje napady agresji. Hannah niejedną raz widywała ją przy pracy!

- Proszę się przywitać z Ivette - usłyszała za plecami czyjś piskliwy głos.

Hannah odwróciła się i ujrzała przed sobą niedużą kobietę we wrzosowym turbanie. Z kościstego ramienia zwisała torba podróżna.

- Słucham?

Kobieta przesunęła torbę tak, by Hannah mogła zajrzeć do środka. A tam spośród fontanny biało-czarnej sierści zerkał na nią maleńki shih tzu.

- Zazwyczaj warczy na obcych. Ale strasznie się upiera, że chce panią poznać.

Hannah wyciągnęła dłoń i ostrożnie pogłaskała pieska, który w odpowiedzi polizał ją w rękę.

- Widzi pani? Widzi pani? - zaczęła w ekstazie kobieta. - Yvette natychmiast rozpoznała w pani niezwykłą osobę. Prawda, kwiatuszku?

- Jest bardzo przyjacielska.

- Och, nie zawsze. Kiedy ją dostałam, prawie się do mnie nie odzywała. Minęły całe miesiące, zanim udało mi się wydostać ją ze skorupy. A mojego męża nie chciała znać aż do samego dnia jego śmierci, świeć Panie nad jego duszą. Chciałaby pani wziąć ją na ręce?

- Nie, nie chciałam, żeby się zaniepokoiła.

Rozejrzała się ponad ramieniem kobiety, modląc się w duchu, by Marshall już wrócił. Galerię wypełniał tłum wzmógł też odpowiednio poziom decybeli. Hannah wypatrzyła w środku tłumy Jolene i pomachała do niej ręką lecz zanim malarka zdążyła odpowiedzieć, obiegło ją no we grono wielbicieli. Widać było, że wystawa odniosła natychmiastowy sukces.

- Ależ przy pani wcale się nie będzie niepokoiła - upierała się kobieta w turbanie. - Wprost przeciwnie. Jeśli pani ją przez chwilę potrzyma, obie uznamy to za wielki zaszczyt.

Już zaczęła wydobywać pieska z torby, kiedy przypadła do nich nieskazitelnie elegancka kobieta z perłowymi kolczykami w uszach i uchwyciła Hannah za obie ręce. Była to Letycja Greene we własnej osobie.

- Taką miałam nadzieję, że panią tu dzisiaj spotkam!

- A potem, zwróciwszy się do kobiety z pieskiem, dodała:

- Nie weźmie mi pani za złe, jeśli przeszkodzę, prawda?

- Cóż, właśnie miałam dać jej do...

- Bo widzi pani, Hannah i ja nie widziałyśmy się już całe wieki! A mam jej tyle do powiedzenia! Zobaczmy, czy nie znajdziemy gdzieś spokojniejszego miejsca, żeby pogadać, Hannah.

Piesek powędrował z powrotem do torby.

- Miło mi było poznać panią i Evelyn... to znaczy Yvette - rzuciła Hannah przez ramię, kiedy Letycja pociągnęła ją za sobą na tyły galerii, gdzie znajdowała się mniejsza sala wystawowa, teraz akurat nieco mniej zatłoczona.

Kiedy szły, ludzie rozstępowali się przed nimi z uśmiechem. To przynajmniej jest jakaś korzyść płynąca z ciąży,

pomyślała sobie Hannah. Nigdy się nie trzeba przepychać. Przejście otwierało się przed człowiekiem samo z siebie.

- Dzięki, że mnie pani uratowała. Letycjo.

- Byłam to pani winna - odparła Letycja. - Kiedy Jolene mi powiedziała, że fatygowała się pani aż do Bostonu, że by ze mną porozmawiać, miałam okropne poczucie winy. Przypomniała mi, jak bardzo za panią tęsknię. Byłam wręcz nieprawdopodobnie zajęta. Och, wiem, wiem. To żadna wymówka. Nawet nie udaję, że tak jest. Po prostu trzeba znaleźć czas dla tych, których się kocha.

Nie wypuszczając dłoni Hannah ze swojej, odsunęła się o krok do tyłu i obejrzała ją od stóp do głów.

- Rany Julek, a co my tu mamy? Najśliczniejszą ciążarną kobietę na świecie! Pani po prostu promienieje, Hannah!

- Dziękuję. Kiedy przejdą mdłości...

Letycja Greene uniosła rękę.

- Niech mi pani nawet nie mówi! Nie ma nic gorszego! Niektóre z moich klientek przysięgają, że już nigdy w życiu nie tkną jedzenia. Ale pani się dobrze odżywia, mam nadzieję?

- Bardzo dobrze.

- Ja też. Niestety, nie mam tak dobrego pretekstu jak pani.

- Letycja Greene wyróciła oczyma z udawaną irytacją i wybuchnęła śmiechem. - A przy okazji, jakie to wszystko ekscytujące, prawda? Prace Jolene są wprost oszałamiające!

- Są... jedyne w swoim rodzaju, to pewne.

- Będą z nich wspaniali rodzice. Niech pani sobie tylko wyobrazi! Ojciec poważny biznesmen, a matka artystka,

która nie musi wychodzić do pracy! To dla dziecka najlepsze, co może być: matka w domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Właśnie dlatego zamknęłam biuro na Revere Street, skoro już o tym mowa. Nie było powodu, żebym nie mogła wykonywać swojej pracy w domu. - Wzruszyła ramionami, jakby wnioski były zupełnie oczywiste. - Eleganckie biuro to tylko zbędny wydatek. „Nie jesteś kobietą biznesu” - mówił do mnie mąż. - Ty tylko pomagasz ludziom”. I miał stuprocentową rację. Klientom zupełnie nie przeszkadza, że muszą przychodzić do mnie do domu. Prawdę mówiąc, wcale o tym nie myślą, przychodzą po usługę, i tyle. Chcą mieć rodzinę. Mogłabym mieszkać w przyczepie, ich to zupełnie nie obchodzi. Cóż, uczymy się przez całe życie. A skoro już mowa o rodzinie...

Otworzyła portfel i przerzucała noszone w nim zdjęcia, póki nie natrafiła na to, którego szukała.

- Pamięta pani mojego syna, Ricky'ego. To jego najświeższa fotka. Z ósmych urodzin.

- Wyrośnie na przystojnego młodego człowieka.

- Z dnia na dzień robi się coraz bardziej podobny do ojca! A najlepsze w tym wszystkim jest to, że teraz mogę czekać na niego w domu, kiedy wraca ze szkoły. Nie ma znaczenia, że przeciągnie się spotkanie albo coś mi wypadnie w ostatniej chwili, bo i tak jestem w domu. Och, oczywiście jestem jak najbardziej za tym, aby kobiety pracowały. Ale przecież nie przechodzimy przez całą ciężę po to, żeby potem zlecić opiekę nad dzieckiem komuś innemu, prawda? Opiekunka od czasu do czasu - to oczywiście nic złego, ale nie zastąpi matki, która przez cały dzień pozostaje w domu. Tak jak Jolene. No proszę, a ja znów gadam i gadam...

Proszę mi powiedzieć, jak się pani miewa, Hannah?

- Czasem jestem trochę zmęczona. Ale ogólnie rzecz biorąc, mam się całkiem nieźle.

- A Whitfieldowie?

- Bardzo się o mnie troszczą.

- Intuicja mi podpowiedziała, że doskonale będziecie do siebie pasować. Wszyscy współpracują, aby osiągnąć wspólny cel. Chodzi przede wszystkim o dziecko. Czy był jakiś szczególny powód, dla którego chciała się pani wtedy ze mną zobaczyć?

- Och... nic takiego. Po prostu chciałam zajrzeć przy okazji. Byłam w Bostonie, więc chciałam się przywitać.

Letycja Greene westchnęła głęboko, z widoczną ulgą i zadowoleniem.

- W takim razie witam. Witam tu i teraz. A przy okazji, Coś mi mówiło, że mogę dziś panią tu spotkać, więc wzięłam ze sobą paździenikowy czek. „Specjalna przesyłka dla panny Hannah Manning”. Proszę zauważyć, że na kopercie wciąż jeszcze jest stary adres. Nie miałam jeszcze okazji wydrukować sobie nowych. Ale jestem pewna, że bank będzie go honorował. Jeszcze nie poszłam z torbami!

Wybuchnęła raz jeszcze serdecznym, perlistym śmiechem, a Hannah wsunęła czek do kieszeni.

- Co za obrazy! Chodźmy, pokażę pani mój najulubieńszy. Ma tytuł „Herold”. Oczywiście nie mam pojęcia, Co ten tytuł oznacza, ale te błękity są po prostu boskie.

Ująwszy Hannah za rękę, Letycja ruszyła z powrotem w stronę głównej sali. Ludzie znów rozstępowali się przed nimi uprzejmie, robiąc im przejście, kiedy nagle z tłumu wystąpiła

jakaś kobieta, która zablokowała im drogę. Hannah gdzieś już ją przedtem widziała. Nagle doznała olśnienia. Warkocze upięte wysoko na głowie. Widziała ją poprzedniego dnia w Ogrodach Publicznych, kiedy pchała przed sobą wózek spacerowy.

- Och, to pani! To pani! - pisnęła kobieta z rozjaśnionym wzrokiem. - Mogę?

- Słucham? - odrzekła zdumiona Hannah.

- Nie będzie pani miała nic przeciwko temu, prawda? Tylko na sekundkę. - Wyciągnęła obie dłonie w stronę brzucha Hannah, jakby go chciała pogłodzić.

- Nie teraz - warknęła Letycja. Kobieta zamarła, wyciągnięte ręce zawisły nieruchomo w powietrzu.

O co tutaj chodzi, zastanawiała się w duchu Hannah. Dziś wieczorem wszyscy ją traktują, jakby była niezwykle rzadkim okazem. Chyba Jolene to właśnie miała na myśli, mówiąc, że wobec brzemiennej kobiety ludzie lubią sobie pozwalać na rozmaite poufałości. Nawet zupełnie obce osoby czują się w prawie do okazywania jej nadmiernego zainteresowania.

Z drugiej sali dobiegł brzęk szkła, w które ktoś uderzał lekko nożem. Rozmów ucichły, a czyjś głos oznajmił:

- Proszę o ciszę. Chciałbym wznieść toast. - Był to głos doktora Johansona.

- Chodź, Hannah. Musimy tego posłuchać. - Letycja zręcznie manewrując, przeprowadziła ją przez pomieszczenie, aż wreszcie znalazły się u boku doktora Johansona.

- Myślę, że wszyscy się ze mną zgoda, że dzisiejszy wieczór należy do bardzo szczególnych osiągnięć - zaczął, podniósłszy głos tak, że sięgał najdalszych zakątków galerii.

- Całe to piękno wystawiono tu przed nami, abyśmy je mogli



podziwiać. Być tu dziś to prawdziwy zaszczyt i przywilej. Jak to mówią w moim kraju: „Sad, którego dogląda się najtroskliwiej, przynosi w czas zbioru najśłodszy owoc”. Dobrze użyłem słowa „sad”, tak?

Mężczyzna o włosach ufarbowanych na niebiesko zapewnił go, że tak.

- To dobrze. Zatem wznieśmy kielichy, panie i panowie, tak jak ja wznoszę teraz swój, za tę wybitną wizjonerkę i sadowniczkę, Jolene Whitfield.

- Czyż nie cieszy się pani, że może tu dzisiaj być? - szepnęła Hannah do ucha Letycja Greene. - Nieczęsto się w życiu zdarzają chwile takie jak ta. Trzeba je należycie uczcić.

- Kiedy zamknęła pani biuro, Letycjo?

- Słucham?

- Biuro w Bostonie. Kiedy je pani zamknęła?

- W tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć. Który jest dzisiaj?

- Drugi.

- No tak, oczywiście. Jesień za pasem. W takim razie to musiało być, hm, wczoraj chyba minął miesiąc.

- Miesiąc?

- Tak. Cóż, Jolene będzie przemawiać.

Zarumieniona i podekscytowana, Jolene wysunęła się przed tłum, a dookoła jak fajerwerki wybuchły radosne okrzyki i oklaski.

- Nawet nie jestem w stanie wyrazić - zaczęła, kiedy hałas wreszcie ucichł - ile dla mnie znaczy widzieć dziś tutaj was wszystkich. - Oczy jej załśniły. - Tylu przyjaciół. Tylu życzliwych. Tylu wyjątkowych ludzi, którym należą się ode mnie podziękowania.

Wiedziona impulsem wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Hannah.

- Naprawdę, sama nie wiem, co mam teraz mówić.

Hannah odniosła dziwne wrażenie, że mimo iż był to wielki wieczór Jolene, oczy wszystkich skierowane były na nią.

## Rozdział 24

Książ Jimmy uniósł kielich wysoko nad głową, wznosił oczy do nieba, potem przyklęknął na jedno kolano przed ołtarzem.

Sobotnia msza wieczorna w kościele Najświętszej Panny Wieczystego Światła stała się obecnie nabożeństwem chętniej uczęszczanym niż poranna msza niedzielna, która z góry wykluczała możliwość długiego wylegiwania się w łóżku. Co więcej, zwykle w sobotę po mszy odbywało się zebranie towarzyskie w sali spotkań w suterenie, na które parafianki przynosiły ciasta i ciasteczka, a ludzie najwyraźniej lubili się gromadzić wokół naczynia z ponczem.

Hannah usiadła, jak już weszło jej w zwyczaj, w ostatniej ławie. Ławki z przodu zostały już pozajmowane, ale dookoła niej wciąż jeszcze były wolne miejsca. W niedzielę pojawiają się tutaj mieszkańcy rezydencji wartych miliony dolarów, lecz w sobotnie wieczory kościół należał do tych, którzy przez cały tydzień obsługiwali społeczność bogaczy - do sklepikarzy, dostawców, ogrodników oraz ich rodzin.

Kiedy nadszedł czas udzielania komunii, większość Wstała z ławek i utworzyła kolejkę wzdłuż głównej nawy,

zbliżając się powoli w stronę ołtarza. Jakieś bliżej niesprecyzowane zawstydzienie przytrzymało Hannah w miejscu.

Zadowolona się obserwowaniem księdza Jimmy'ego. Kiedy rozmawiali w ogrodzie, wydał jej się znacznie młodszy. Tutaj, odziany w zieloną szatę, miał w sobie rodzaj pewności, jakiej nie zauważyła u niego wcześniej. Zdawało się, że udziela komunii po raz pierwszy w życiu - dokonywał tego obrządku bez rutyny, jaką narzucały tysięczne powtórki, nadal spontaniczny i gorliwy, składał cudowną obietnicę zbawienia. W jego oczach lśniła bezinteresowna akceptacja.

Hannah wstała i dołączyła do kolejki.

- Ciało Chrystusa - ogłosił śpiewnie ksiądz Jimmy, kładąc jej na języku opłatek.

Pozwoliła, by opłatek rozpuścił się powolutku w ustach, wiedząc, jaką radość i lekkość sprowadza na wiernych i pragnąc zakosztować jej osobiście.

- Amen - odpowiedziała, spuszczać wzrok.

I rzeczywiście, kiedy wracała do miejsca w ostatniej ławie, czuła w sobie tę tajemniczą lekkość, mimo dodatkowej wagi, jaką przyszło jej dźwigać.

Po mszy odczekała, aż kościół opustoszeje, potem zeszła do suterenu i przyłączyła się do zebranego tam tłumku, który zdążył tymczasem poczynić dość znaczne spustoszenia wśród przyniesionego prowiantu.

Rosła kobieta w dżinsowej spódnicy i bluzce dotknęła lekko jej ramienia.

- Chyba się jeszcze nie spotkałyśmy, pani... pani...?

- Manning. Hannah Manning.

- Witamy, pani Manning. Jestem Janet Webster. Sklep z narzędziami Websterów. A to mój mąż, Clyde.

Clyde Webster wydal z siebie przyjazny pomruk.

- Nie obrazi się pani, jeśli zapytam? - ciągnęła kobieta, unosząc pytająco brwi. - Kiedy to będzie? To znaczy: maluszek?

- Och, w grudniu.

- Cudownie! Akurat na święta.

- Akurat na czas odliczeń podatkowych, chciałaś powiedzieć - sprzeciwił się jej mąż widać pragmatyk lub domorośły humorysta.

- Tak, to także, Clyde - odparła niecierpliwie Janet Webster. - Naląła pani sobie ponczu? Jeśli mogę coś podpowiedzieć, to proszę koniecznie spróbować cynamonowego ciasta pani Lutz.

Hannah zapewniła, że nie omieszka i ruszyła w stronę naczynia z ponczem, przeciskając się wśród ludzi, którzy zwróciwszy uwagę na jej stan, natychmiast rozstąpili się na boki i zrobili jej przejście. Jolene pod tym względem miała całkowitą rację: w tym mieście nic się nie ukryje.

Kilka minut później w drzwiach pojawił się ksiądz Jimmy. Wypatrzywszy Hannah w drugim końcu pomieszczenia, podszedł do niej najszybciej jak się dało, a nie było to łatwe, bo każdy, kogo mijał, miał mu coś do powiedzenia, na co on z kolei musiał odpowiedzieć.

- Uff! - odetchnął głośno, kiedy wreszcie zdołał się uwolnić. - Miło mi panią tu widzieć, Hannah. Miałem nadzieję, że pani wróci.

Hannah wiedziała, że mówi to jako jej spowiednik, ale i tak spłonęła rumieńcem.

- Bardzo poruszyła mnie dzisiejsza msza — powiedziała. - Ksiądz tak mocno się zaangażował, że i ja sama zapragnęłam ją głęboko przeżyć.

- Msza zawsze stanowiła dla mnie bardzo osobiste przeżycie, ale teraz, kiedy ją celebрую, musiałem się nauczyć, zrobić z niej doświadczenie publiczne - odparł, lecz widziała wyraźnie, że jej słowa sprawiły mu przyjemność.

- Czy ksiądz od zawsze czuł powołanie?

- Odkąd pamiętam. - Przyjrzał jej się uważniej, nie mając pewności, czy tylko uprzejmie podtrzymuje rozmowę, czy naprawdę ją to ciekawi. Doszedł do wniosku, że rzeczywiście chce się dowiedzieć. - Byłem ministrantem, kiedy jeszcze byłem taki mały - pokazał ręką wysokość. - Wykorzystywałem każdą okazję, która pozwalała mi być w kościele: śluby, pogrzeby, chrzty. Wtedy to chyba był instynkt, lecz kiedy dorosłem, uświadomiłem sobie, że nie mogę i nie chcę być w życiu nikim innym.

- Zazdroszczyć księdzu. Wiedział ksiądz, jak chce spędzić resztę życia. Też bym tak chciała. A przy okazji, dziękuję, że zechciał mnie ksiądz wtedy wysłuchać.

- Od tamtej pory dużo o tym myślałem. Czy coś się już wyjaśniło?

- Obawiam się, że tylko jeszcze bardziej się zagmatwało.

W tej chwili od tłumu oderwała się pani Webster. W prawej ręce trzymała papierowy talerzyk, który niosła przed sobą triumfalnie, co miało sugerować, iż właśnie udało jej się wykraść bogom nieco ambrozji.

- A, tu ksiądz jest - odezwała się. - Już ja dopilnuję, żeby się ksiądz nie wykręcił od kawałka cynamonowego ciasta pani Lutz. Jest absolutnie boskie.

Przyjął grzecznie talerz, potem zwrócił się do Hannah:

- Może powinniśmy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu, na osobności?

Kościół był pogrążony w mroku, z wyjątkiem dwóch małych latarenek, które pokrywały ławki białą błoną światła, przez co wyglądały jak pokryte szronem. Nadal paliło się też kilka wotywnych świec. Odgłosy zebranie towarzyskiego w suterenie docierały tu już tylko w postaci odległego echa.

- Widziała się pani z tą kobietą z agencji? - zapytał ksiądz Jimmy.

- Z panią Greene? Tak, ale nie mogłam się zebrać w sobie, aby jej opowiedzieć, co mnie gryzie.

- Jak to?

- Nie wiem, jak to ująć. To bardzo sympatyczna kobieta, przyjacielska i w ogóle, ale... no cóż, jakoś nie miałam poczucia, że mogę jej zaufać.

Ksiądz Jimmy czekał na dalszy ciąg.

- Zamknęła biuro w Bostonie i wcale mi o tym nie powiedziała. Nawet skłamała. Może to nie jest aż tak bardzo istotne. Ma tyle na głowie. Nie musi zawiadamiać mnie pisemnie o wszystkich swoich posunięciach... Czy ksiądz kiedyś czuł się z czegoś wykluczony?

- Czasami. Wszystkim nam się to zdarza.

- Myślę, że pani Greene i pani Whitfield teraz koło mnie skaczą, bo jestem im potrzebna. Kiedy tylko urodzi się dziecko, nie będą sobie dłużej zawracały mną głowy. Odeślą mnie, skąd przyszedłam. Wiem, że to część naszej umowy, ale to takie dziwne, kiedy wciąż mi nadskakują, rozpieszczają i chronią, ale tak naprawdę troszczą się tylko o to dziecko. Tak jak ja bym się wcale nie liczyła. Wiem, że jeśli powiem o tym pani Greene, ona przekaże to Whitfieldom, a oni zaczną

jeszcze bardziej mnie pilnować. Już i tak Jolene ostatnio zrobiła się strasznie nerwowa.

- Może wyczuwają pani uczucia. Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani nad umową, jaką z nimi zawarła?

- Nie sprawdziłam, jakie przysługują mi prawa. Miałam to zrobić, ale jakoś tak wyszło...

- Nie, myślę raczej o umowie z punktu widzenia moralnego, nie prawnego. Dała pani słowo, że im pomoże. Czy może pani z czystym sumieniem teraz je cofnąć? Czy w oczach Boga taki krok nie powinien mieć jakiegoś bardzo poważnego uzasadnienia?

- Tak, pewnie tak.

- Mówiła mi pani, że ta para nie może mieć własnego dziecka. A teraz Bóg podarował im wyjście. To pani jest tym wyjściem, Hannah. Pani i jej uczucia stanowią część szerszego planu. Tak jak i my wszyscy. Czy potrafi pani pomyśleć o tym w taki sposób? Nie została pani wykluczona. Jest pani włączona w coś znacznie większego, niż potrafi pani sobie wyobrazić.

Hannah przez chwilę przetrawiała w sobie jego słowa.

- Skąd ksiądz ma w sobie tyle pewności? Ja sama nigdy nie byłam niczego pewna.

- W tym budynku mam całkowitą pewność wobec Boskich planów. Na zewnątrz sprawia mi to taką samą trudność, jak i pani. Właśnie wróciłem z kilkudniowego pobytu u rodziny w New Hampshire. Rodzice mają tam domek, do którego jeździmy co roku na święto pracy, odkąd ja i brat byliśmy jeszcze dziećmi. To taka tradycja. Ale kiedy tylko się tam znajdziemy, rodzice natychmiast zaczynają traktować nas jak dzieci. Tutaj, w kościele Najświętszej Panny jestem



duszpasterzem dla sporej gromadki dorosłych osób. Ale tam ojciec wrzeszczy na mnie, że wyjadłem resztkę masła orzechowego i nie wyjąłem nowego słoika, i czy nie mógłbym raz dla odmiany pomyśleć o kimś innym niż tylko o sobie. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja sam zaczynam odwrzaskiwać w odpowiedzi! Cofam się z powrotem w wiek dziecięcy.

Zaśmiał się chłopięcym śmiechem, a Hannah zaraz mu zawtórowała.

- Chyba chcę po prostu powiedzieć, że nikt nie może przez cały czas mieć pewności. To dziecko nadało pani życiu jakiś cel i kiedy ten cel zostanie osiągnięty, obawiam się, że znów znajdzie się pani na rozdrożu. Ale jest pani młoda i zdrowa, Hannah, i ma pani przed sobą jeszcze szmat życia. Pewnego dnia będzie pani miała własne dziecko.

W pustym kościele poniósł się echem czyjś głęboki głos, a z cieni wyłoniła się zwałista sylwetka.

- Aha! Nakryłem was! Pani Forte powiedziała, że wyszedłeś z młodą, ładną osobką, a ja pomyślałem: „O mój Boże, jeszcze jedna stracona owieczka!”.

Kiedy proboszcz Gallagher wszedł w krąg światła, ujrzeni na jego twarzy nieco wymuszony uśmiech.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem.  
- Nie — odparła Hannah. — Już się zbierałam do wyjścia.  
- No cóż, kilka osób na dole domaga się uwagi, księżu Jamesie. Wiesz, co się będzie działo, jeśli nie spróbujesz tarty brzoskwiniowej pani Quinn. Obawiam się, że dziś wieczorem pani Lutz zupełnie ją zaćmiła swoim cynamonowym placikiem.

- Mam nadzieję, że byłem pomocny - zwrócił się do Hannah ksiądz Jimmy. Później przeprosił i - jak się jej zdawało - z miną winowajcy ruszył pośpiesznie do zebranych w suterenie ludzi.

Proboszcz Gallagher odprowadził go wzrokiem, dopóki młody człowiek całkiem nie zniknął im z oczu.

- Czasem mi się wydaje, że już przestaliśmy być księżmi! Zamiast tego staliśmy się degustatorami! Strawę duchową w tej parafii wyparty domowe wypieki! W zeszłą sobotę panie przyniosły deser o nazwie „boska trójca karmelkowa”! Proszę mi powiedzieć, jakie mogą stąd płynąć wnioski?

Kolejnej próbie rozluźnienia atmosfery towarzyszył tym razem nieco śmielszy uśmiech.

- Zechce pani do nas dołączyć, pani Manning?

- Naprawdę powinnam już wracać do domu.

- Rozumiem. Mężowi zapewne się nie podoba, kiedy zostaje pani tak długo poza domem.

Co ten mężczyzna sobie o niej myśli?

- No tak, cóż, dobranoc, księżu proboszczu.

Na parkingu stało jeszcze kilka samochodów. Hannah wsiadła do swojej novy i siedziała przez chwilę, przetrawiając w myślach to, co powiedział jej ksiądz Jimmy. Oczywiście miał rację. Złożyła obietnicę i powinna ją respektować. Co z kolei czyniło z niej inkubator. Nie, nie tak to przecież ujął. Jest środkiem wiodącym do celu, częścią szerszego planu.

Wsunęła kluczyk do stacyjki i przekreśliła. Usłyszała cichy szczeł, ale nic się nie działo. Spróbowała raz jeszcze. Znowu nic. Sprawdziła biegi, ale wszystko było w porządku, popatrzyła na tablicę rozdzielczą, żeby zobaczyć, czy nie

zapaliło się jakieś czerwone światełko, ale tam także nic się nie odbiegało od normy. Jeszcze raz przekreśliła kluczyk. Tym razem nie było nawet szczęknięcia. To dziwne. Kiedy tu jechała, samochód nie sprawiał najmniejszych kłopotów.

A teraz za nic nie chciał ruszyć.

## Rozdział 25

**W** poniedziałek rano Hannah i Jolene stały na obrzeżu parkingu przed kościołem, a Jack Wilson podstawił tyłem do nowy półciężarówkę z lawetą. Przyglądając się, jak mocuje przy przednim zderzaku dwa wielkie haki i poprawia łańcuchy, które brzęczą ponuro jak w tej historii o Ebenezerze Scrooge'u i duchach, Hannah czuła rosnący smutek. Nova to tylko kupa blachy, ale to jej kupa blachy i wiele razem przeszły. Kiedy tylko ciotka z wujem zaleźli jej za skórę, tym właśnie samochodzikiem jechała gdzieś daleko od nich, choćby tylko do centrum handlowego albo do kina. Temu pojazdowi zawdzięczała okruchy wolności, jakimi mogła się cieszyć. A teraz...

W jej myśli wdarł się głos Jolene.

- Nie chcę wypominać, ale mówiłam, że tak będzie. Lepiej ci bez niego. Choć może się powtarzam, ale powiem raz jeszcze, że chętnie cię podwiozę, gdziekolwiek będziesz chciała i w jakimkolwiek celu. Wystarczy tylko poprosić.

Sprawiła wrażenie uradowanej, zupełnie jak Kasandra, której najgorsze przepowiednie się spełniły.

Doktor Johanson natomiast wcale nie był w wesołym nastroju. Podczas teraz już cotygodniowej wizyty kontrolnej przez cały czas miał bardzo zaaferowaną minę. Zniknęły bez śladu jego uprzejme gesty i powiedzonka.

- Ma pani wyjątkowo wysokie ciśnienie krwi - rzucił w pewnej chwili. - Trochę mnie to niepokoi. - Lecz w żaden sposób nie wyjaśnił, czemu jego twarz zrobiła się ponura, a minuty na minutę stawała się coraz mroczniejsza.

W pewnej chwili Hannah zapytała wprost, czy coś jest nie tak, a on napomknął o opuchniętych dłoniach i kolanach.

- Czy to poważne?

- Nie jest niepoważne. - Tyle tylko zdołała z niego wyciągnąć w odpowiedzi.

Poczynił jakieś zapiski w kartotece Hannah.

- Nie zmieniała pani diety, prawda?

- Nie.

- Jada pani i pija te same rzeczy i w tych samych ilościach jak wcześniej. Przynajmniej osiem szklanek wody dziennie?

- Tak.

- Miewa pani bóle głowy?

- Nic, na co można by się uskarżać.

- Obstrukcje?

- Nie.

- Hmm. - Doktor Johanson ściągnął frasobliwie brwi, kiedy czynił kolejną notatkę. - Dzisiaj będę potrzebował od pani próbki moczu. A potem zechce się pani ubrać i dołączyć do mnie w gabinecie.

Skinąwszy jej krótko głową, doktor Johanson odwrócił się i opuścił pomieszczenie. Ten bezosobowy sposób, w jaki ją

potraktował, zdziwił ją i zmartwił. Gdzie się podziały pełne otuchy uśmiechy i ciepłe słowa, jakimi zwykle hojnie ją obсыpywał? Starła się powstrzymać rozbudzoną wyobraźnię.

Zapukała cicho do drzwi jego gabinetu, skąd zaraz dobiegło polecenie, by weszła. Lekarz siedział za biurkiem; kontur głowy i ramion obrysowały promienie wpadającego przez okno słońca. Jedno z dwóch krzeseł naprzeciwko niego zajmowała Jolene. Wyglądała na wyczerpaną.

- Mam nadzieję, że nic złego się nie dzieje. Wszystko ze mną w porządku, prawda? Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

Doktor Johanson dał jej czas, aby usiadła.

- Nie ma powodu, by wszczynać niepotrzebny alarm. Wszystko będzie dobrze, Hannah. Musimy tylko od tej chwili przedsięwziąć kilka środków ostrożności. Dlatego zaprosiłem tu do nas panią Whitfield. Dotyczy to nas wszystkich w równym stopniu, prawda? - Potarł się po brodzie i zajrzał w notatki. - Wygląda na to, że pojawiły się u pani wczesne objawy stanu przedzucawkowego. Brzmi to bardzo strasznie, wiem, ale nie chciałbym pani straszyć. Oznacza to po prostu nadciśnienie w okresie ciąży. Ale muszę powiedzieć, że puchnięcie kolan i kostek nie wróży dobrze. Organizm nie powinien zatrzymywać aż tyle wody. A zwłaszcza to wysokie ciśnienie nie wygląda najlepiej.

- Ale czuję się dobrze, naprawdę.

- I chciałaby pani, aby dalej tak było, prawda?

- Oczywiście.

- Dlatego właśnie musimy uważać na to rosnące ciśnienie krwi.

- Co mam robić? - zapytała Hannah w nagłym przypiływie zdenerwowania.

- Aha! O to właśnie chodzi! Bardzo niewiele. Powinna pani robić jak najmniej. Analiza moczu pomoże nam ustalić, na ile poważny jest problem. A do tego czasu leżenie, leżenie i jeszcze raz leżenie. Chciałbym, aby pani Whitfield dopilnowała, żeby się nam pani nie przemęczała.

Jolene odruchowo spłótła dłonie.

- Mam nadzieję, że to nie moja wystawa okazała się tak wyczerpująca. Tylu ludzi, ten hałas. Jeśli tak, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Nic złego się jeszcze nie stało, pani Whitfield. Wyłapaliśmy to w samą porę, więc przedsięwzmiemy pewne środki ostrożności. To wszystko.

- Nie rozumiem - odezwała się Hannah, której udzielił się niepokój Jolene. - Moja przyjaciółka Teri za każdym razem pracowała aż do samego końca.

- Każda kobieta jest inna - odparł doktor Johanson surowszym niż przedtem tonem. - Każda ciąża przebiega inaczej. Nie chcę pani straszyć, ale proszę mnie uważnie posłuchać. To nie żarty. Zbyt wysokie ciśnienie oznacza, że do macicy będzie dopływać za mało krwi. Może to negatywnie wpłynąć na rozwój dziecka i zagrozić pani zdrowiu. Czasem bywa nawet konieczny przedwczesny poród.

- Czy to tak wiele - przez jakiś czas pozwolić sobie na trochę luzu?

- Ale przecież ja prawie nic nie robię.

- Czuję się absolutnie przekonana, doktorze - odezwała się Jolene. - Zadbam o to, żeby Hannah nie musiała nawet ruszyć palcem.

Doktor wyraził jej swą aprobatę znużonym skinieniem głowy.

- Tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. Słyszycie inni panie, Hannah?

- Tak, proszę pana - odparła, czując się jak dziesięciolatka.

- A więc nic przynajmniej nie dolega pani uszom, Bogu dzięki.

Hannah nie miała pojęcia, czy to miał być żart czy nie.

Tylko takiej zachęty trzeba było Jolene. Rola, która była całkowicie zgodna z jej naturą, otrzymała teraz oficjalne imprimatur doktora Johansona. Ze zdwojonym entuzjazmem wykonywała obowiązki kucharki, opiekunki i pokojówki, a przy tym tak często pędziła tam i z powrotem po schodach, że Hannah zaczęła się powoli obawiać o jej nadciśnienie. Przynosiła Hannah śniadanie do łóżka, ścieliła je, kiedy tylko Hannah wstała, zbierała jej brudne ciuchy, prała je, zawoziła ją do miasta, a potem upierała się, że załatwi jej sprawunki, kiedy Hannah pozostawała w furgonetce.

Cała gorączkowa energia, którą zwykle zużywała na uzdrawianie swoich obrazów, teraz skierowana była na opiekę nad Hannah.

Kiedy tylko Hannah zaczynała narzekać, że się nudzi, nie mając nic do roboty, Jolene odpowiadała:

- Ależ robisz: troszczysz się o swoje zdrowie. Czy to mało?

Po tygodniu Hannah jakoś wcale nie czuła się lepiej, zresztą od początku wcale nie czuła się źle. Przy następnej wizycie kontrolnej doktor Johanson oznajmił, że „odczuwa



lekki przyptyw optymizmu”, ale „nie oznacza to wcale, że może pani iść na tańce”.

Prawdziwy problem, jak się przekonała, polegał na tym, że kiedy przez cały dzień leżała w łóżku, drzemała lub przez godzinę trzymała nogi wysoko albo też huštała się w fotelu na biegunach, aby poprawić sobie krążenie w nogach, potem nie mogła w nocy spać. Poprzednio zdarzało jej się budzić raz czy dwa razy w ciągu nocy, a teraz miała wrażenie, że budzi się co godzinę.

Z tego powodu zazwyczaj wstawiała rano w nie najlepszym nastroju.

I na co jej przyszło: może jeszcze nie wylądowała w fotelu na kółkach, ale za to ma stałą pielęgniarkę, która chciałaby ją zamknąć na tej facjatce. Jeśli tak dalej pójdzie, Whitfieldowie niedługo zaczną prowadzić ją na smyczy! Nastrój Hannah nie poprawiał się przez resztę dnia, lecz odniosła wrażenie, że Jolene stara się wtedy schodzić jej z drogi.

Po południu rozłożyła się na przeszklonej werandzie, gdzie próbowała czytać nową powieść, jaką poleciła jej bibliotekarka. Książka opowiadała o maltretowanej żonie, która decyduje się uciec wraz z dziesięcioletnim synem i zacząć nowe życie pod przybranym nazwiskiem. Ale na werandzie było gorąco, więc po czterdziestu stronach opadła ją senność i zapadła w drzemkę. Zmusiła się, aby wstać i wyjść do ogrodu.

- Pamiętaj, żebyś nie chodziła daleko - zawołała Jolene.
- Chciałam sprawdzić, czy uda mi się dojść do ptasiej sadzawki i z powrotem - odrzekła Hannah.

Do Jolene albo nie dotarł sarkazm, albo postanowiła go zignorować.

Tak jak się tego obawiała, tej nocy Hannah spała bardzo źle. Położyła się do łóżka o dziesiątej, a obudziła się o północy, potem o pierwszej i o drugiej, regularnie jak w zegarku. Im bardziej się tym przejmowała, tym trudniej było jej potem zasnąć. O trzeciej poddała się całkowicie, włączyła lampkę przy łóżku i próbowała zagłębić się w lekturze. Bolały ją plecy, a kiedy ułożyła się na boku, niezbyt dobrze widziała strony przed sobą, więc zmieniła pozycję, przy czym książka zesliznęła się z łóżka i spadła na podłogę.

Zirytowana i całkiem już rozbudzona, wstała i ruszyła po szklankę wody (choć miała całkowitą świadomość wszystkich tego konsekwencji), gdy nagle usłyszała na dole jakiś ruch i coś, co brzmiało jak głosy - w każdym razie jeden głos - oraz odgłos zstępujących po schodach kroków. Później doszło ją szczęknięcie kuchennych drzwi i uświadomiła sobie, że ktoś wyszedł na dwór.

Szybko zgasiła lampkę i podkraśla się do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Niebo było bezchmurne, a podwórko oświetlała srebrna poświata księżycy w pełni. Oboje Whitfieldowie wyszli z domu. Marshall miał na sobie piżamę w paski i niebieski, flanelowy szlafrok, którego poły zwieszały się po bokach. Jolene nawet nie zwracała sobie głowy szlafrokiem, a jej biała, jedwabna koszula nocna zdawała się świecić, oświetlona promieniami księżycy. Wyglądało to tak, jakby obudzili ich nagły hałas w ogrodzie i próbowali teraz zlokalizować jego źródło.

Jolene szła przed mężem; dotarła na środek trawnika, gdzie przystanęła i zapatrzyła się w dal. Marshall zrobił kilka kroków, podążając za nią, lecz kiedy się zatrzymała, przystanął

i on. Oboje stali przez dłuższą chwilę nieruchomo, jakby się spodziewali, że ktoś lub coś wychynie nagle z kępy sosen na skraju ogrodu. Nikt się jednak nie pojawił. Noc była cicha, drzewa wyglądały w tym srebrnym blasku jak las lodowych sopli. Woda w ptasiej sadzawce zdawała się mieć gęstość i połysk rtęci.

Hannah była pewna, że gdyby Whitfieldowie byli zwrócenieni w jej stronę, potrafiłaby odczytać każdy, najsubtelniejszy nawet grymas, mrugnięcie powieki, poruszenie warg. Lecz stali do niej plecami, przykuci wzrokiem do srebrnej gęstwy sosnowych gałęzi. Minęło jeszcze kilka kolejnych minut, lecz nic się nie poruszyło.

Potem Hannah zauważyła, jak Jolene zwiesza ramiona i garbi się cała, jakby gdzieś u podstawy kręgosłupa wyciągnięto jej korek i całe wypełniające ją dotąd napięcie uciekało z sykiem jak powietrze z balonu. Odwróciła się i podeszła do Marshalla. Intruz, jeśli to rzeczywiście był intruz, już chyba sobie poszedł. Najciszej jak potrafiła, Hannah uchyliła nieco okno. Do pokoju wpadł chłodny powiew, a wraz z nim ludzkie głosy. Whitfieldowie rozmawiali ściszym tonem, lecz kiedy się dobrze skupiła, docierały do niej niektóre słowa.

- Co powiedziała? - zapytał Marshall żony.

- Przyjdzie niebezpieczeństwo - odparła Jolene. Teraz Hannah widziała dokładnie jej twarz: księżycowe światło nadało jej bladość maski.

- Mówiła kiedy?

- Już tu jest. Zło, które próbuje wedrzeć się do środka. Próbuje znęcić i zwabić. To będzie walka. Walka, którą możemy przegrać, jeśli nie będziemy ostrożni.

- Ale co mamy robić?

- Zachować czujność. Powiedziała, że trzeba zachować czujność. Ale ona będzie przy nas, kiedy nadejdzie ten czas. Będzie w pobliżu i użyczy nam sił.

Marshall zdjął szlafrok i zrzucił żonie na ramiona. -

Jak rozpoznamy to zło?

- Przychodzi pod przykrywką pomocy. „Przyjdzie w imię moje” - mówiła. Stamtąd. Nadejdzie stamtąd! - mówiąc to, Jolene uniosła rękę i wskazała w głąb Alcott Street, w kierunku miasta.

## Rozdział 26

**K**iedy Jolene przyniosła jej tego ranka śniadanie, Hannah zapytała ją zniecierpliwiona, czy dobrze spała.

- Jak niemowlę - odparła Jolene. - Marshall powiada, że kiedy już zasnę, orkiestra dęta nie mogłaby mnie dobudzić. - Wydawała się jakaś szczególnie pełna energii. Patrzyła szybko, miała zarumienione policzki, nie wyglądała wcale jak kobieta, która o trzeciej w nocy włóczyła się bosą po trawniku w samej tylko koszuli nocnej.

To, co się wtedy działo, Whitfieldowie postanowili zatrzymać dla siebie. Podczas codziennej przechadzki do ptasiej sadzawki i z powrotem, Hannah rozmyślnie przekroczyła wyznaczony limit i zaszła aż do samej kępy sosny na skraju posiadłości. Jednak nie zobaczyła tam niczego z wyjątkiem szyszek, igieł i nadzianego na jedną z wyższych gałęzi latawca.

W ciągu kilku następnych nocy, kiedy wstawała do łazienki - a zdarzało jej się to z irytującą wręcz częstotliwością - podchodziła na paluszkach do okna i wyglądała do ogrodu. Jednak za każdym razem było tam zupełnie pusto. W końcu ciekawość przegasała i bardziej niż dziwaczne wydarzenia tamtej nocy przejmował ją teraz problem, czym ma zapełnić

dni, które miała jeszcze przed sobą, wszystkie tak sanna nudne i nieurozmaicone. Z polecenia lekarza z dnia ma dzień robiła się grubsza, powolniejsza, bardziej ociężała i leniwa, coraz bardziej zrzędna!

Kiedy zadzwoniła do Teri, żeby opowiedzieć jej o fatalnym losie swojego samochodu i wymuszonym leżeniu, Teri odparła natychmiast: „Nic więcej nie mów. Zaraz tam będę, skarbie”. Jednak kiedy wzięła pod uwagę grafik w jadłodajni, wizytę u dentysty, przyjęcie urodzinowe, na które zaproszono jej chłopców oraz partyjkę pokera u Nicka, okazało się, że nie zdoła się wybrać wcześniej niż na początku przyszłego tygodnia.

- Ale kiedy tylko w poniedziałek rano zapakuję chłopców do szkoły, wsiałam do auta i ruszam w drogę. Wyglądaj mnie przez okno!

W drobnym akcie buntu Hannah zdecydowała się ukryć tę wizytę przed Jolene aż do samego poniedziałku. W przeciwnym razie kobieta uprze się, że zorganizuje mały, prosty lunch, który później eskaluje do rozmiarów pełnej uczy. Hannah nie pozwoli uczestniczyć w przygotowaniach, bo byłoby to dla niej zbyt męczące, za to będzie musiała nieustannie o nich wysłuchiwać, co było równie męczące, jednak nie w oczach Jolene. Nie, Hannah postanowiła, że Jolene dowie się o wizycie Teri, dopiero kiedy Teri będzie na miejscu. Ani minuty wcześniej.

W poniedziałek rano w ogrodzie zapanowała jesień, a w powietrzu dąło się odczuć ów rześki chłód, który osobom zwracającymi uwagę na takie rzeczy, przywodzi na myśl burze śnieżne, stanowiące w Nowej Anglii integralną część zimy. Ołowianoszare niebo zawisło nad krajobrazem jak

aluminiowa pokrywka. Był to jeden z tych dni, kiedy człowieka kusi, aby nie wysuwać nosa spod kołdry. Zapowiedziana wizyta Teri mogła posłużyć za antidotum na ponurość.

Hannah doszła do wniosku, że aby nie burzyć zanadto harmonii, nie należy już dłużej odkładać tej sprawy i chciała poinformować Jolene o odwiedzinach, jednak w domu nigdzie nie można jej było znaleźć. Hannah zarzuciła na siebie kurtkę i wyszła na podwórze. Liście wisterii na pergoli wzdłuż chodnika wiodącego do stodoły były teraz zeschnięte i kruche; widać było przez nie szare niebo. Kiedy Hannah doszła do drzwi pracowni, zauważyła, że furgonetka zniknęła z miejsca, gdzie zwykle była zaparkowana.

Hannah przyłożyła czoło do wielkiej okiennej szyby. Panujące wewnątrz ciemności niewiele pozwalały dostrzec, lecz widać było, że sztalugi na środku są puste. Płótna Jolene spoczywały na podłodze, wsparte rządkiem o ściany. Hannah wydawało się, że jedno z nich rozpoznaje: tę zbombardowaną katedrę z rozbitymi kawałkami kolorowego szkła. Pewnie się nie została sprzedana w czasie wystawy.

Jolene i Marshall przez całe dni rozwodzili się nad tym, jakim ten wieczór okazał się sukcesem - „największym z największych”, jak to ujęła Jolene - ale sądząc z liczby postawianych pod ścianą płócien, Hannah doszła do wniosku, że jednak chyba bardzo niewiele obrazów udało się sprzedać. Czy to aby nie ten wielki obraz ze spływającymi stróżkami czerwono-brązowej farby? Jakże go Jolene nazwała? „Odnowa”. Wyglądało na to, że i ten nie znalazł amatora.

Zaintrygowana Hannah spróbowała otworzyć drzwi pracowni. Nie były zamknięte na klucz. Namacała włącznik po prawej stronie i włączyła światło. W ostrym kontraście do porządku panującego w pozostałej części domu, pracownia Jolene wyglądała jak pomnik upamiętniający przejście trąby powietrznej. Podłoga usłana była dziwacznymi kształtami strzępków skóry, płótna żaglowego, gumowej podściółki, filcu, blachy, pinesek, całego tego śmietnika, jaki pozostawał po akcie tworzenia. Ktoś usiłował stworzyć pozory, że tu sprzątano, ponieważ wielki plastikowy kosz na śmieci stojący przy drzwiach był tak przepiętny, że się z niego wysypywało. Lecz ten ktoś najwyraźniej dał sobie spokój, bo miotła i śmietniczka leżały teraz porzucone na podłodze, wśród całego tego bałaganu.

Hannah czuła, jak kurz i brud wdzierają jej się w nozdrza i przesiąkają przez pory skóry.

Na stole roboczym Jolene królował nieład; stały tu pojemniki z klejem, puszki farb, butelki oleju lnianego, a nawet puszka oleju silnikowego. Pędzle moczyły się w szklanych słoikach z terpentyną, lecz terpentyna zdołała już wyparować, a pędzle przywarły teraz do denek. Ściana nad stołem opatrzona została rzędem haków na narzędzia, lecz Jolene raczej z nich nie korzystała, najwidoczniej wołała, by młotki, szczypcy i dłuta wały się wszędzie dookoła.

Na półce poniżej przyciągnęła wzrok Hannah głowa manekina. Nie miała oczu ani ust, tylko grzbiet nosa, wyglądem bardziej przypominała jajko niż jakąś osobę. Pochyliła się i już miała po nią sięgnąć, gdy zniemacka usłyszała głos Jolene. Okręciła się na pięcie, by spojrzeć na drzwi, ale nikogo



tam nie było. Głos dobiegał ze ściany po prawej stronie. No, może nie całkiem ze ściany lecz zza sterty szmat i zwojów płótna na rogu stołu roboczego.

- ... po sygnale proszę zostawić wiadomość.

Słyszała wiadomość nagrana na automatycznej sekretarce.

- Pibiip.

- Cześć, mamó. Mówi Warren. Co to, znowu nowy numer? Zajmujesz już półtorej strony w moim notesie. Kiedy ty i Marshall zamierzacie się wreszcie ustakować? No dobra, sam nie jestem lepszy. Alaska jest niesamowita, ale osiem miesięcy w zupełności wystarczy. W każdym razie myślę o tym, żeby w czasie świąt wpaść do was z wizytą. Co ty na to? Zadzwoń i daj znać, gdzie jesteś. Pa, mamó.

Hannah z niedowierzaniem wpatrywała się w ścianę. Głos był przytłumiony, ale była zupełnie pewna, że usłyszała słowo „mama”. Dwa razy. Nie potrafiła określić, czy był to głos młodego czy starszego mężczyzny. Ale przecież Jolene nie może mieć syna. To niemożliwe.

Zgrzyt nadjeżdżającego po żwirze samochodu znów sprawił, że podskoczyła ze strachu, a częściowo także z poczucia winy, choć przecież nie robiła nic złego, oglądała tylko obrazy. Niemniej instynkt samozachowawczy podsunął jej myśl, że nie byłoby dobrze, gdyby Jolene nakryła ją w swojej pracowni. Wyłączywszy światło, Hannah wymknęła się na dwór, w samą porę, by zobaczyć samochód Teri i samą Teri, która wychylona w przód nad kierownicą gapiała się przed siebie z ustami otwartymi ze zdumienia. Samochód stanął i drzwiczki otworzyły się.

- Aaaach! - Kelnerka na widok Hannah wydała z siebie głośny krzyk. - Patrzcie tylko! Jesteś wielka jak dom!

To znaczy: śliczna jak dom. Wielka jak śliczny, stary dom. Mniejsza z tym!

Teri rozpostarła ramiona, rzuciła się ku przyjaciółce i zamknęła ją w mocnym uścisku. Hannah zapomniała, jak bardzo Teri potrafi rozgrzać swym entuzjazmem atmosferę pomieszczenia - co tam pomieszczenia, potrafiła rozgrzać całe podwórko! - i jak bardzo jej tego brakowało. Przyjaciółka nic a nic się nie zmieniała, z małym wyjątkiem - jaskrawych kasztanowych pasemek we włosach.

- A więc to tutaj - odezwała się, rozglądając się dookoła. - Niezbyt skromnie. Nic nie mówiłaś, że mieszkasz jak dziewcziczka.

- Ładnie tu.

- „Ładnie” - powiadasz! Szybko się przyzwyczajamy do luksusów, co? Tu nie jest tylko ładnie, skarbie. Tu jest przepięknie! No, co to za bzdury z tym twoim leżeniem? Wydawało mi się, że mówiłaś, że spuchłaś jak wieloryb. Pokaż mi ręce i kostki. Moim zdaniem, wyglądają zupełnie normalnie.

- Pewnie to zasługa tych drzemek. Ale powiem ci, że to się robi nudne, kiedy tak człowiek cały dzień wyleguje się do góry brzuchem i nawet palcem nie kiwnie.

- Skarbie, przyjdzie czas, że pożałujesz, żeś kiedykolwiek powiedziała coś takiego. No to jak, oprowadzisz mnie z wycieczką?

- Czemu nie? - Potem jednak Hannah przysłała na myśl Jolene, która pewnie niedługo już wróci. - A może najpierw zjemy lunch? W mieście jest kilka fajnych miejsc. Potem cię oprowadzę. Ja mieszkam na facjatce.

- Ma dla siebie całe piętro! Widzicie ją! Powiem ci, co ja mam dla siebie: połówkę składanego łóżka. I to zapadniętą.

Zdecydowały się na restaurację Sumnera, ponieważ w oknie miała kolorową jesienną wystawkę z wysuszonych żołądź, kabaczków i małych, ozdobnych dyń, a na stolikach świeże, krochmalone białe obrusy. Wywieszane przed drzwiami menu głosiło, że sałatki na lunch kosztują już od 12 dolarów 95 centów, a zupa ze świeżej kukurydzy - 7,95; ceny znacznie wyższe niż się obie spodziewały.

- A co u diabła - oznajmiła Teri. - Raz się żyje. Równie dobrze mogę umrzeć biedna.

Kilka minut rozmowy wystarczyło, by powróciła dawna bliska zażyłość. Teri okazała się istną fontanną plotek i nowin. Dzieci nadal były „chodzącymi koszmarami, ale przesłodkimi jak zawsze”, a ona beztrąsko nie dostrzegała żadnej sprzeczności w tym, co powiedziała. Nick dostał podwyżkę, ale był w trasie cztery albo pięć dni tygodniowo. W zeszłym tygodniu pod „Błękitny Świt” trafili Ritterowie. Herb miał katar, ale Ruth wyglądała tak samo jak zawsze - jakby była wściekła! - i pogadali chwilę o niczym.

Pół roku temu, rozmyślała Hannah, to było całe moje życie. Teraz miała wrażenie, że istnieje w jakimś innym wymiarze, w świecie odciętym od rzeczywistości jak miniaturowa wioska w jednej z tych szklanych kulek, w których wirują płatki śniegu.

- A teraz największa nowina - zapowiedziała Teri. - Trzy masz się krzesła, skarbie? Bobby ma dziewczynę, dasz wiarę?!

- Nie! Kto to jest?

- Jakaś niechlujna dziwka z New Bedford. Nie mogę nawet znieść myśli o tym, że ktoś mógłby spać z tym tłustym boczkim.

- Jaka ona jest?

- Tłusta. Tak samo jak on. Jest sprzedawczynią w jakiejś sieci. Chyba spotkali się w Blimpie.

- Teri, gadasz okropne rzeczy!

- Okropne? Zaraz ci powiem, co jest naprawdę okropne! Odkąd poznał tego wieloryba, jest ciągle w dobrym humorze. Cały w uśmiechach, od rana do wieczora. Już się nie kłócimy. Nie mam już nikogo, na kim mogłabym wyładować swoje frustracje. Nick mówi, że przedtem jakoś łatwiej było się ze mną dogadać. Przez cały dzień wylewałam zółć na Bobby'ego i kiedy wracałam do domu, nie zostawało mi za grosz złości na Nicka. A teraz jestem kłębkim nierozładowanego napięcia. I w ten oto sposób ten nedorajda i pseudoucharz zmarnował mi małżeństwo. To poważna sprawa, skarbie. Może nawet będę musiała pójść na jakąś terapię.

Nowiny Hannah przypominały raczej serię biuletynów medycznych, które Teri przyjęła dość spokojnie, zapewniając przyjaciółkę, że takie emocjonalne wzloty i upadki w niczym nie odbiegają od normy. Dopiero kiedy Hannah zaczęła mówić o księdzu Jimmym, Teri wyprostowała się na krześle i przymrużyła oczy z wyraźnym zainteresowaniem.

- Wszystko pasuje!

- Co pasuje? - nie zrozumiała Hannah.

- Wreszcie się w kimś zabujałaś, a ten ktoś okazał się całkowicie nieosiągalny.

- Jak to: zabujałam się? To jest ksiądz!

- Ładny?

- No przecież ci powiedziałam, że to ksiądz...

- A księża nie mogą być ładni?

- Słowo daję, Teri! Rozmawialiśmy ze sobą ledwie kilka razy. On naprawdę umie słuchać.

- Naprawdę? No, no, szkoda że nie mam lusterka, żeby ci pokazać, jak wygląda teraz twoja twarz. Ten różany blask na policzkach, to nie tylko zasługa dzidziusia, skarbie.

Hannah próbowała zatuszować zakłopotanie śmiechem.

- Nic się nie zmieniaś, Teri.

Dzwonek u drzwi do restauracji zabrzączał ostro. Trochę niemile zaskoczona, Hannah ujrzała w wejściu Jolene Whitfield.

- To jednak ty, Hannah - zawołała Jolene, przekrzykując hałas i przeciskając się do nich między stolikami, przy których siedzieli ludzie pochłonięci rozmowami i pałaszowaniem sałatek. - A więc wzrok mnie nie mylił. Wraciałam właśnie ze sklepu Websterów i przypadkiem spojrzałam w okno. Czy nie powinnaś siedzieć w domu i odpoczywać?

- Cześć, Jolene. To jest Teri Zito, przyjaciółka z Fall River. Teri zrobiła mi dziś niespodziankę i wpadła mnie odwiedzić. Teri, to Jolene Whitfield.

- Miło mi panią poznać! - wykrzyknęła Jolene. - To dopiero niespodzianka. Powinna pani była dać nam znać. Hannah mogłaby wtedy zaprosić panią do nas do domu. Przygotowałabym jakiś smaczny lunch. Rozumie pani, Hannah nie wolno się nadwierać. Lekarz zabronił.

- No tak... cóż... wpadło mi to do głowy w ostatniej chwili - improwizowała Teri, rzucając Hannah nic nierozumiejące spojrzenie.

- Chcesz się do nas przysiąść, Jolene? - zapytała Hannah.

- Nie, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. A wy dwie pewnie macie sobie mnóstwo do opowiadania. Stare czasy i w ogóle. Nie będę przeszkadzać. Ale powiem wam, co zrobię. Po drodze kupię coś w piekarni. Kiedy skończycie

-

lunch, wróćcie razem do domu i zjemy jakiś deser na werandzie. W ten sposób będę miała okazję poznać bliżej... Teri, prawda?

- Taa, Teri Zito. Nie chciałabym sprawiać kłopotu, pani Whitfield. Zerknęła na Hannah, aby ją wsparła.

Lecz Jolene najwyraźniej podjęła już decyzję.

- Nie przyjmuję odmowy, Teri. Tyle przynajmniej mogę zrobić. W końcu nasz dom, to również dom Hannah. Mam poczucie, że coś zaniedbałam, proszę nie pogarszać sprawy. No, to nagadajcie się do syta. Do rychłego zobaczenia.

Nie czekając na odpowiedź, pospiesznie otworzyła drzwi, wywołując kolejny ostry brzęk dzwonka, a potem żwawym krokiem ruszyła chodnikiem.

- Lubimy mieć wszystko pod kontrolą, co? - rzuciła Teri, kiedy Jolene zniknęła im z oczu. - Chyba nie była specjalnie uszczęśliwiona moim widokiem.

- Nie powiedziałam jej, że przyjeżdżasz. Była zaskoczona. Chyba po prostu chciałam cię mieć tylko dla siebie. Jolene ma dobre intencje, ale czasem wchodzi z butami w moje życie.

Teri przyjrzała się przyjaciółce uważnie.

- Czy wszystko jest tutaj jak należy?

- Tak, w porządku. No dobra, Jolene czasem gra mi na nerwach. Jest dziwna.

- Powiedz coś więcej.

- Na przykład to. - Uniosła w górę lewą dłoń. - Ona i jej mąż chcą, żebym nosiła obrączkę w miejscach publicznych, żeby wszyscy myśleli, że jestem mężatką.

- To nic strasznego, o ile pozwolą ci ją później zatrzymać.

- Wiesz, oni chyba woleliby, żebym w ogóle nie wychodziła z domu.

- Mają jakiś powód?

- Są bardzo skryci. Nie, to nic jest odpowiednie słowo. Po prostu nie lubią się eksponować. Czasem mi się zdaje, że wcale ich nie znam.

Potem opowiedziała o śródnocnej eskapadzie do ogródka i o tym, jak oboje stali przez kilka minut bez ruchu, skapani w świetle księżyca, a potem nigdy ani słowem nie wspomnieli o tym incydencie. A właśnie tego ranka usłyszała ten głos na automatycznej sekretarce w pracowni Jolene.

- A co w tym takiego dziwnego?

- Powiedzieli mi, że nie mają dzieci. Że nie mogą mieć dzieci. Przecież właśnie dlatego znalazłam się tutaj i zrobiłam to, co zrobiłam!

- Jesteś pewna, że ten ktoś powiedział „mamo”?

- Tak. - Hannah zaczęła się wiercić pod uważnym spojrzeniem Teri. - Całkiem pewna. Zresztą, bo ja wiem? Nic już z tego nie rozumiem. Przez cały czas jestem jakaś skołowana. Czasem żałuję, że w ogóle kiedykolwiek usłyszałam o „Partnerstwie dla rodzicielstwa”.

- Och, nie denerwuj się tak, skarbie. To nie to, co zwykle zapalenie ucha. Teraz twoje ciało nie należy już tylko do ciebie. Zostało przejęte przez tę małą osobkę w środku i to, co się tam dzieje, jest zdumiewające, bolesne i niestychanie dezorientujące. Nick mi mówi, że prowadzenie ciąży to ciężka robota. „Nick - mówię do niego - urodzić dziecko, to jest dopiero ciężka robota. Przy tym prowadzenie ciąży to zakichane wczasy!”.

Teri odczekała, aż do Hannah dotrze pointa, a potem dała:

- Zobaczmy, co przygotowała dla nas Jolene.

- To się nazywa „śliwkowo-rodzynekowa pychotka” - wyjaśniła Jolene, podsuwając talerz Teri. - Niskotłuszczowa niskokaloryczna, jeśli można wierzyć piekarzowi.

- Brzmi oryginalnie - rzuciła Teri uśmiechem.

- Znacie się z tej jadłodajni w Fall River, prawda?

Siedziały we trzy dookoła okrągłego stolika na werandzie, gdzie Jolene nakryła do herbaty i postawiła na stole jakąś ciastkarską konfekcję, która budziła niemiłe skojarzenia z mielonką. Hannah pomyślała, że trochę przesadza z tym wczuwaniem się w rolę gospodyni, kiedy tak bombarduje Teri pytaniami, a potem ekscytuje się odpowiedziami, które przecież nie mogą jej aż tak bardzo interesować.

- Jadłodajnia „Błękitny Świt”, duma autostrady międzystanowej.

- Och, z pewnością. Osobiście nie znam zbyt wielu jadłodajni. - Jolene odkroiła kolejny kawałek ciasta i podała go Hannah. - Proszę mi powiedzieć, Teri, czy często bywa pani w tych stronach?

- Niezbyt często. Zanim Hannah się tu nie przeprowadziła, nie znałam nikogo w tej okolicy.

- No cóż, mam nadzieję, że będzie pani tu wracać. Widzę, że pani wizyta ogromnie poprawiła Hannah humor.

- Będę się starała, ale kiedy ma się dwóch chłopców w podstawówce, to nie takie łatwe.

- Dwóch? Wielki Boże! Musi pani być niezwykle zorganizowaną osobą.



- Jakoś opędzam. Na tyle tylko człowiek może mieć nadzieję... Trzeba pilnować, żeby byli najedzeni, ubrani i żeby się nawzajem nie pozabijali. Ale wkrótce sama się pani przekona, jak to jest. A więc to będzie pani pierwsze dziecko?

Jolene ostrożnie odłożyła nóż i strząsnęła serwetką z palców niewidoczne okruchy.

- Owszem, pierwsze. Pierwsze i najprawdopodobniej jedyne. Nawet nie potrafi pani sobie wyobrazić, jaka jestem tym podekscytowana. Otwiera się przede mną zupełnie nowy świat.

## Rozdział 27

**H**annah usłyszała kroki na schodach, ciche pukanie do drzwi i wreszcie głos Jolene:

- Dzień dobry... Hannah? Nie śpisz już, Hannah?

Leżała w swoim łóżku z baldachimem całkiem nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, na wypadek gdyby Jolene uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Nastąpiła druga seria pukania, lecz same drzwi pozostały zamknięte. Potem kroki zaczęły się oddalać i cichnąć, Jolene zeszła z powrotem do kuchni.

Hannah wiedziała, że wkrótce powróci. Śniadanie w łóżku stało się już pilnie kultywowanym obyczajem, częścią rytuału wstawania. Dzień nieodmiennie zaczynał się od Jolene. Niezależnie jak wcześniej Hannah wstała, Jolene i tak już zdążyła pierwsza być na nogach. Dzień kończył się także w obecności Jolene (czasem także Marshalla), którzy odprowadzali ją wzrokiem, kiedy wspinała się po schodach na swoją facjatkę, upewniając się - jak głosił cowieczorny żart - że „bezpiecznie dotarła do domu”. Jakby ktoś mógł ją porwać między jedną a drugą kondygnacją!

Jolene stanowiła klamrę spajającą godziny snu.

Hannah zwinęła się pod kołdrą, mnąc pościel tak, żeby wyglądała tak, jakby kręciła się w niej i wierciła przez całą noc. Czekwała na powrót kroków Jolene.

No i rzecz jasna wróciły, czterdzieści pięć minut później, a za nimi stukanie do drzwi, teraz już znacznie głośniejsze.

- Hannah?... Czas wstawać! - usłyszała głos, także donośniejszy niż przedtem. Tym razem Jolene pozwoliła sobie wetknąć głowę przez drzwi. - Nie chcę cię budzić, ale jest już prawie dziesiąta. Śniadanie stygnie.

- W porządku, już wstaję - wymamrotała Hannah ziewając, a przymrużone oczy sprawiały wrażenie - taką miała nadzieję - że właśnie w tej sekundzie zetknęły się z jasnością dnia i są lekko zdezorientowane tym faktem. - Nie mam w sobie za grosz energii - dodała, wyciągając ramiona nad głowę.

- Sama widzisz, jak szybko się męczysz - oznajmiła Jolene autorytatywnym tonem. - To bardzo miło, że przyjaciółka zrobiła ci wczoraj taka niespodziankę, ale następnym razem powinna chyba nas uprzedzić, nie uważasz? W ten sposób mogłabyś lepiej wszystko zaplanować, żeby oszczędzać siły. Czy wiedziała, że doktor kazał ci leżeć?

- Dlatego właśnie przyjechała się ze mną zobaczyć.

- Ach, tak - Jolene krzątała się wokół tacy ze śniadaniem.

- Często z nią rozmawiasz? Nigdy nie zauważyłam. Pewnie dlatego, że ciągle siedzę w pracowni... Może być sok jabłkowy na dzisiejszy ranek?

- Tak, w porządku.

Wręczyła Hannah szklankę schłodzonego soku.

- Sądzę, że wszyscy powinniśmy dokładać starań, aby utrzymywać kontakt ze starymi przyjaciółmi. Marshall i ja nie widzimy się ze swoimi ani w połowie tak często, jak

byśmy chcieli. Tak więc możesz jak najbardziej zapraszać Teri na lunch, kiedy tylko będziesz sobie życzyła. Albo kogo zechcesz. Proszę tylko o jedną uprzejmość: żebyś w przyszłości dała mi 48 godzin na to, żebym mogła się upewnić, że lodówka jest pełna, a brudne ciuchy Marshalla nie leżą rozwalone po całym domu.

Hannah nigdy jeszcze nie widziała w tym domu nawet jednego przypadkowego krawata na oparciu krzesła, nie wspominając nawet o koszuli czy skarpetce. Cały dom tchnął obsesyjną czystością. Bałagan był tylko w pracowni Jolene. A więc, która Jolene była tą prawdziwą: fanatyczka czystości, którą miała teraz przed sobą, czy artystka, która zdawała się rozkwitać wśród chaosu?

Z poczucia obowiązku zjadła kilka łyżek gorącej owsianki, potem z westchnieniem odstawiła miskę.

- Nie jesteś głodna? - zapytała Jolene.

- Chyba masz rację. Ten lunch z Teri na mieście zupełnie mnie wykończył. Straciłam apetyt... Co będziesz dzisiaj robić, Jolene?

- Mam do załatwienia tylko kilka sprawunków. Kupię trochę jedzenia i zawiozę do czyszczenia garnitury Marshalla.

- Mogłabyś przy okazji kupić mi szampon?

- Oczywiście.

- Dzięki. To szampon rumiankowy Avedo. Sprzedają go w Craig J.

- Craig J? - W głosie Jolene dało się wyczuć ton rezerwy.

- W tym salonie. W centrum handlowym Framingha. Dam ci pieniądze.

- Nie chodzi o pieniądze, Hannah. Nie planowałam jechać dzisiaj aż tak daleko.

- Och, rozumiem. W takim razie nie ma sprawy. - Przewróciła się na bok, plecami do Jolene.

- No cóż, ostatecznie mogłabym... jeśli to dla ciebie takie ważne.

- Naprawdę ważne. Spójrz na moje włosy, Jolene. - Podniosła się gwałtownie i z irytacją pociągnęła za kosmyk. - Są tłuste i pozlepiane. Robi się ze mnie tłusty, paskudny wieloryb.

- Nie wygłupiaj się. Jeśli potrzebujesz szamponu, to ci go przywiozę. Pod dwoma warunkami: skończysz śniadanie i będziesz leżeć w łóżku, dopóki nie wrócę.

- Och, dziękuję, Jolene. Obiecuję. - Zakryła usta dłonią i jeszcze raz ziewnęła. - Czuję się tak, jakbym za chwilę miała zasnąć.

Hannah odczekała, aż usłyszy odgłos zapalnego silnika i zgrzyt sunących po żwirze kół furgonetki, dopiero wtedy wstała i wrzuciła na siebie codzienne ubranie: spodnie na szerokiej gumie i wielki, zdefasonowany podkoszulek, który kiedyś należał do Marshalla. W łazience zdjęła z półki nad wanną do połowy zapełnioną butelkę szamponu Prell i schowała ją pod umywalką, wdzięczna losowi, że Jolene nie chciało się sprawdzać. W życiu nie korzystała z produktów firmy Avedo. Były o wiele za drogie. Ale widziała w oknie wystawowym sklepu Craig J, że tam właśnie je sprzedają.

Szybko przeczesała włosy szczotką, następnie szybko zeszła po schodach, a potem przez kuchenne drzwi wypadła do ogrodu.

Kiedy znalazła się w pracowni Jolene, miała wrażenie, że gapią się na nią wszystkie jej dzieła sztuki. Na płótnach nie było żadnych prawdziwych twarzy, lecz te wszystkie

ociekające farbą rozdarcia i rozcięcia zdawały się wzywać pomocy. Jolene mówiła, że znaczą, co znaczą. Hannah pomyślała, że nie może to być nic dobrego. Im dłużej się człowiek im przyglądał, tym silniej ciarki przebiegały mu po plecach.

Podeszła prosto do stołu roboczego i odsunęła na bok zwoje płótna oraz stertę szmat. Zakrywały wbudowaną w ścianę szafkę. W środku, tak jak przypuszczała, znalazła telefon bezprzewodowy i automatyczną sekretarkę. Wczoraj nie słyszała dzwonienia, tylko od razu głos Jolene, a potem nagrywaną wiadomość. Sprawdziła przełączniki z boku aparatu: wyłączono dźwięk. Dziwny i mało wygodny sposób.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Biorąc do ręki słuchawkę, wykręciła numer domowy, a kiedy tylko się połączył, podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Z kuchni dochodziło pulsowanie dzwonka, uparte i regularne. Wcisnęła guzik rozłączający. Dzwonienie w kuchni ustało. A więc w pracowni była osobna linia.

Nic z tego nie rozumiejąc, odłożyła słuchawkę i dostrzegła, że miga światelko, które oznacza, że nagrana została nowa wiadomość. Zawahała się krótką chwilę, potem włączyła odtwarzanie.

- Cześć, mamó, tu Warren.

Mamó! A więc nie myliła się. Jolene i Marshall naprawdę mają dorosłego syna. Hannah zamknęła drzwi szafki, potem ułożyła płótno oraz szmaty tak, jak leżały poprzednio. Już zbierała się do wyjścia, kiedy zauważyła pod stołem metalową szafkę do akt. Wiedziona coraz silniejszą ciekawością, otworzyła najwyższą szufladę. Jak większość tego typu szafek, zawierała mnóstwo dokumentów prawnych oraz mniej

lub więcej oficjalnych pism. W kilku teczkach zgromadzono rachunki pochodzące z najrozmaitszych sklepów z zaopatrzeniem dla artystów. Jolene zachomikowała sporo katalogów z minionych wystaw i odwiedzonych domów aukcyjnych. Raczej nic szczególnie zaskakującego w szufladzie artystki.

Dolna szuflada zapchana była broszurami na temat ram, kartami kolorów i próbkami farb. Była tam teżteczka z napisem „Podróże”, której grubość stanowiła wiarygodne świadectwo skłonności globtroterskich Whitfieldów. Upchnięte w tyle, spoczywały tam także dwie kartonowe aktówki, nieopatrzone żadnym napisem. Pierwsza stanowiła skład starych fotografii; niektóre wciąż jeszcze spoczywały w kopertach z zakładu fotograficznego. Kronika zjazdów rodzinnych, urodzin, wspólnych grillów - tych wszystkich wydarzeń, które ludzie koniecznie muszą uwiecznić dla potomności za pomocą aparatu fotograficznego i o których tydzień później całkiem zapominają.

Nie brakowało tam fotek, które niewątpliwie były dokumentacją dawno przeżytych wakacji. Figurująca na kilku z nich kobieta to z pewnością młodsza wersja Jolene, odziana w modną skórzaną kurtkę, z kolorową, słomianą torbą na ramieniu i już wtedy z charakterystyczną ognisto-czerwoną szminką na ustach. Jednak na zdjęciach jej włosy miały głęboki kasztanowy odcień, co doprowadziło Hannah do wniosku, że obecnie musi farbować je na czarno. Chyba że wtedy je farbowała.

Obok niej stał szczupły chłopiec, na oko jedenasto-, dwunastoletni, z takimi samymi połyskliwie kasztanowymi włosami. W tle wznosiła się jakaś bogato zdobiona katedra. Kamienną, ażurową wieżę otaczały mniejsze, koronkowe

wieżyczki, co w sumie przywodziło na myśl roztapiający się lodowy tort. Kilka zdjęć zrobiono przed katedra, na przestronnym placu, który otaczały miodowego koloru budynki o dachach z czerwonej dachówki i z kutymi w żelazie barierkami na balkonach - budynki, które niegdyś pewnie były pałacami.

Znalazła jeszcze jedno zdjęcie chłopca: stał na placu i jadł włoskie lody, uśmiechnięty, z ustami umazanymi czekoladą. Hannah zastanawiała się, czy to może właśnie być ktoś, kto przedstawił się jako Warren na automatycznej sekretarce.

Później Hannah zapytywała sama siebie, co takiego kazało jej się wtedy zatrzymać w pracowni - przecucie, błysk intuicji, jedno z tych krzyczących płócien? - żeby zbadać zawartość ostatniej przegródki w segregatorze. Jednak kiedy tylko zobaczyła, co jest w środku, oczy zaszyły jej łzami.

Przegródka zawierała kolejny plik fotografii, tym razem z polaroidu, całe tuziny, lecz żadne nie przedstawiało się bynajmniej tak pocziwie i zwyczajnie jak te, które dopiero co przejrzała. Zdjęcia były przerażające. Przedstawały - Hannah nie potrafiła dokładnie określić, co się na nich dzieje, lecz budziły nieuchronne skojarzenia z sadyzmem i przemocą. Musiała się zmusić, aby przyjrzeć im się bliżej.

Było wśród nich zdjęcie przedstawiające mężczyznę z jakąś szmatą na głowie, czy też płóciennym workiem, obwiązany dookoła sznurem. Mężczyznę widać było tylko od pasa w górę, był bez koszuli. Żyłaste ręce trzymał wysoko wzniesione, jakby każdą z nich rozciągnięto w górę i na bok, w dwóch przeciwnych kierunkach, zaś głowa, głowa w worku,



opadła bezwładnie na jedno ramie. Cos takiego musiało przeraźliwie boleć, o ile mężczyzna wcześniej się nie udusił. Na kolejnych fotografiach zmieniało się tylko ujęcie, lecz dziwna, powykręcana pozycja była wciąż taka sama. Czy to zdjęcia z kartotek policyjnych, zrobione na miejscu jakiejś zbrodni? Albo, co gorsza, jakaś obrzydliwa forma pornografii?

Następna seria zdjęć, równie kliniczna i przygnębiająca, ukazywała to samo ciało zwisające w ramionach innej osoby, która chyba je gdzieś wynosiła. Mężczyzna zwieszał się bezwładnie, opadająca głowa nadal miała na sobie ten piekielny wór.

Co jakiś czas Hannah czuła, że wzrok jej się zaćmiewa, jakby oczy nie chciały dopuścić do świadomości okropnych obrazów, jakie miały przed sobą, musiała wtedy odwracać się i patrzeć przez chwilę na coś innego - coś mało istotnego jak żarówka na suficie pracowni lub rączka dłuta - żeby odzyskać ostrość widzenia.

Były tam również zdjęcia dziwnie wyglądających urządzeń, wśród których wyróżniała się obręcz na głowę, przytwierdzana dwiema śrubami w okolicach skroni. Testowano ją na głowie manekina, lecz Hannah bez trudu mogła sobie wyobrazić, ile cierpienia mogłaby taka obręcz zadać żywej istocie. Potem znów ukazano tamto ciało; leżało na ziemi, złamane, bezwładne, całkowicie martwe. Cóż to za straszliwe zdarzenie, co za upiorne spotkanie zarejestrował ten fotograf?

Pozostałe zdjęcia w folderze nie dostarczyły żadnych odpowiedzi. Były niemalże abstrakcyjne, jakieś plamki, zmarszczki i grudki, które bardziej niż cokolwiek innego przywodziły jej na myśl malarstwo Jolene. Jeśli były to zbli-

zenia, niepodobna było rozpoznać przedmiotu. Bardziej prawdopodobne, myślała Hannah, że to po prostu nieudane próby. Zła ostrość albo fotograf poruszył aparatem, akurat kiedy zamykała się migawka. Zastanawiała się, jaką trzeba być osobą, aby móc w ogóle zrobić takie zdjęcia. A nawet żeby je u siebie trzymać.

Nie miała pojęcia, jak długo tam przesiedziała, szukając w myślach wytłumaczenia, dającego się ogarnąć splotu okoliczności, który nadałby jej odkryciu jakiś sens. Jednak wyobrażenia Hannah nie zdołała sprostać temu zadaniu. Nic nie przyszło jej do głowy. Pozbierała z powrotem fotografie, nie zauważywszy, że jedna ześliznęła jej się z podółka i upadła na podłogę, potem próbowała pozbyć się z głowy niepokojących myśli.

Znienacka poczuła w brzuchu ostre dżgnięcie, potem drugie, i ogarnęła ją fala przerażenia, dopóki się nie zorientowała, że to po prostu kopanie dziecka.

Kopało teraz mocniej i znacznie częściej. Położyła dłoń na brzuchu. Zazwyczaj te leciutkie łomoty dochodzące z wnętrza brzucha sprawiały jej radość. Ale nie dziś. Dziś przypadkowe kopnięcia maleńkiej istotki zdały jej się złowieszcze, jakby słały jej ostrzeżenia w jakimś pierwotnym alfabecie Morse'a, każdym ostrym, szybkim dżgnięciem przypominając jej, aby miała się na baczności.

## Rozdział 28

To kłamcy. Nie oddam im tego dziecka. Kłamią mi prosto w oczy. - Hannah gniewnym krokiem przemierzała podłogę w salonie na plebanii, podczas gdy ksiądz Jimmy nieco bezradnie słuchał jej gwałtownych wynurzeń, choć starał się jak mógł, by nic z owej bezradności nie dało się wyczytać z jego twarzy. Hannah Manning wyglądała całkiem normalnie, kiedy kilka minut temu zadzwoniła do drzwi plebanii i poprosiła o kilka minut rozmowy. W jej tonie pobrzmiwał nawet przeprasający ton, że zajmuje mu cenny czas.

Lecz kiedy tylko zaczęła wyrzucać z siebie to, z czym przyszyła, coraz bardziej traciła nad sobą panowanie. O ile dobrze rozumiał, a wcale nie był tego taki pewien, problem polegał na tym, że Hannah czuła się w jakiś sposób zagrożona ze strony ludzi, z którymi obecnie mieszkała, tych Whitfieldów. Albo - ujmując dokładniej - czuła, że stanowią zagrożenie dla jej dziecka. Ale to rzecz jasna nie było wcale jej dziecko. Podpisała umowę - zapewne spisaną przez prawnika - że donosi dla nich dziecko aż do rozwiązania.

A teraz, ponieważ chce zatrzymać dziecko dla siebie, sprawia wrażenie, że bardzo jej zależy na tym, aby znaleźć

coś, co przemawiałoby przeciwko Whitfieldom. Niewiele jednak miała na poparcie swojej teorii. Agencja adopcyjna zmieniła adres, wcale jej o tym nie informując. Pani Whitfield powiedziała jej, że nie może mieć dzieci, zaś Hannah była przekonana, iż kobieta ma dorosłego syna - a do wniosku tego doszła ni mniej, ni więcej tylko po wysłuchaniu wiadomości na automatycznej sekretarce. Potem opowiadała coś o tym, że Whitfieldowie przechadzają się nocą po własnym ogródku, co oczywiście mogło być trochę nietypowe, lecz jeszcze nie stanowiło dowodu zbrodni. Ludzie, którzy są przywiązani do swoich ogródków, lubią oglądać je o różnych porach dnia, przy różnym natężeniu światła. Nawet w księżycowym blasku.

Trudniej natomiast było księdzu Jimmy'emu zlekceważyć stan emocjonalny Hannah. Od początku lata straciła wiele ze swej odwagi i spokoju, stała się nerwowa i roztrzęsiona. Cieszył się, że powróciła na łono Kościoła - i regularnie odbywała spowiedź - lecz zasmucało go, że wcale nie czerpała z tego tyle pocieszenia, ile powinna. Kiedy poradził, by była z Withfieldami i z kobietą z agencji otwarta i szczerą, Hannah stała się tylko jeszcze bardziej nieufna.

Wiedział, że ciąży to burzliwy okres w życiu kobiety. Mimo to niechętnie godził się na prosty wniosek, że przemawiają przez nią tylko rozszalałe hormony. Coś tu było nie tak, a najgorsze, że nie miał pojęcia, jak temu zaradzić.

- Ksiądz myśli, że to wszystko sobie wymyśliłam, prawda?

- Nie, wcale tak nie myślę, Hannah. Na pewno są całkiem realne przyczyny, dla których odczuwa pani to wszystko. Ale może nie są to te przyczyny, które pani sama postrzega. Fakt, że ma pani zostać matką, odświeżył w pamięci wszystkie

wspomnienia związane z własnym dzieciństwem i rodzicami. Opowiadała mi pani, jaka się czuła opuszczona po tym wypadku. Może boi się pani, że kiedy odda dziecko Whitfieldom, tak samo je pani porzuci.

- Chce mi ksiądz powiedzieć, że jestem wytrącona z równowagi z powodu wypadku, który zdarzył się siedem lat temu?

- Nie, nie to chcę powiedzieć. - Ksiądz westchnął głęboko. - Po prostu wskazuję na to, że pani uczucia mogą być o wiele bardziej złożone, niż jest pani w stanie samodzielnie rozpoznać. Podlega pani niezwykle silnym napięciom. Te napięcia i wysiłek sprawiają, że reaguje pani w taki a nie inny sposób. A nie Whitfieldowie. Czy naprawdę pani wierzy, że zadaliby sobie tyle trudu, aby założyć rodzinę, tylko po to, żeby skrzywdzić pani dziecko? Niech pani tylko pomyśli, jak oni muszą się teraz niepokoić.

- Dlaczego ksiądz jest po ich stronie?

- Tutaj nie ma stron, Hannah. Chciałbym tylko, aby była pani trochę spokojniejsza. - Ujął ją za rękę i zajął w oczy, aby przekonać ją o swej szczerości.

- Przepraszam. Ma ksiądz zupełną rację. - Hannah opuściła głowę. - Czy mogę księdzu coś pokazać?

- Co takiego?

Sięgnęła w głąb plecaka, wyjęła stamtąd stosik fotografii i podała je księdzu.

- Właśnie to.

Na samym wierzchu znajdowało się zdjęcie chłopca jedzącego lody włoskie, stał obok jakiejś latarni. Pozostałe, wykonane polaroidem, nie były tak niewinne. Przebiegł je szybko wzrokiem.

- Skąd je pani ma? Co to właściwie jest?

- Myślę, że ta pierwsza fotografia na wierzchu przedstawia syna Jolene Whitfield. O pozostałych nic nie wiem. Znalazłam je w niej w pracowni. Wyglądają na zdjęcia z tortur. Dlaczego ona trzyma u siebie takie zdjęcia?

Ksiądz Jimmy przejrzał wszystkie zdjęcia jeszcze raz, tym razem uważniej, potem przez dłuższą chwilę starannie układał w myślach odpowiedź.

- Powiedziała pani, że ona jest malarką. Może te fotografie mają coś wspólnego z jej obrazami?

- Ona nie maluje ludzi, proszę księdza. Robi takie niesamowite, abstrakcyjne obrazki. Trudno powiedzieć, co na nich jest, ale na pewno nie przedstawiają ludzi.

- No cóż, może to zdjęcia z jakiegoś awangardowego przedstawienia albo protestu? Nie potrafię określić tak od ręki. Teraz w sztuce dzieje się tyle zwariowanych rzeczy. Ministerstwo Kultury niedawno miało z tego powodu poważne kłopoty. Jakaś kobieta wysmarowała się chyba czekoladą, prawda? Chodzi mi o to, że te zdjęcia wcale nie muszą przedstawiać tego, co nam się wydaje.

Uświadomił sobie, że jest mało prawdopodobne, aby takie wyjaśnienie było dla Hannah wystarczające. Nie zadowalało nawet jego samego. Rozumiał doskonale, dlaczego Hannah jest nimi tak wstrząśnięta.

- Czy może mi je pani zostawić? Dać mi trochę czasu, żebym je przestudiował? Zobaczę, czy coś uda mi się z tego zrozumieć.

Nastrój Hannah uległ natychmiastowej i całkowitej przemianie.

- Czy to znaczy, że ksiądz mi pomoże? Och, dziękuję! Nie mam nikogo innego, z kim mogłabym o tym porozmawiać.

Nieoczekiwanie zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała. Ten gest zaskoczył go i zbił z tropu, lecz nie chcąc jeszcze bardziej jej denerwować, odczekał chwilę, zanim uwolnił się z objęć.

- Oczywiście, że pani pomogę. Po to właśnie jestem. Taką mam pracę - odrzekł z pewnym zakłopotaniem, kładąc jej ręce na ramionach i delikatnie odsuwając od siebie. Miał nadzieję, że Hannah nie odbierze tego jako gestu odrzucenia. Zrobiło mu się miło, kiedy była tak blisko.

- Moja przyjaciółka Teri powiada, że Bóg dał ciężarnym kobietom prawo do okazywania uczuć.

- Nie jestem pewien, czy jest o tym coś w Piśmie Świętym - odrzekł. - Ale z pewnością Jezus zgodziłby się z nią.

Tej nocy ksiądz Jimmy nie mógł zasnąć, rozmyślając wciąż o udręczonej psychicznie dziewczynie i o tym, jak bardzo liczyła na jego pomoc. Zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać z proboszczem Gallagherem.

Może ta sytuacja przekracza jego kompetencje? Nie chciałby udzielić rady, która w rezultacie doprowadziłaby do błędnej decyzji. Nadal wierzył, że Hannah powinna wypełnić podjęte zobowiązanie, lecz problem polegał na tym, aby ona także w to uwierzyła. Ostatecznie decyzja i tak będzie należała tylko do niej i ona będzie musiała żyć, ponosząc wszystkie jej konsekwencje, zarówno dobre, jak i złe.

Ale nie tylko to go niepokoiło. Uzmysłowił sobie, że zaczyna żywić w stosunku do tej kobiety bardzo silne uczucia, których nie potrafił jasno zdefiniować. Coś go do niej przyciągało, lecz był pewien, że nie jest to pociąg seksualny. Miewał już z tym wcześniej do czynienia, modlił się o wyzwolenie

spod tyranii płciowości i doczekał się spełnienia swych próśb. Bardzo cenił sobie celibat. Ten impuls, ta potrzeba zaopiekowania się Hannah, to było coś całkiem innego. Miał ochotę zamknąć ją w ramionach, pocieszyć i zapewnić, że jest całkowicie bezpieczna.

Nie wiadomo skąd wiedziała, że właśnie u niego ma szukać pomocy. A on - też nie wiadomo jakim sposobem - wyczuwał, że miała do tego prawo. Byli sobie przeznaczeni - nie, to za mocne słowo - byli ze sobą związani w jakiś bardzo pierwotny sposób. Czuł potrzebę zapewnienia jej tego, czego potrzebowała. W ten sposób wzajemnie się dopełniali.

Usiadł i włączył lampkę nocną. Jeszcze raz przejrzał po-bieżnie stosik zdjęć. Bez względu na to, jakie było wyjaśnienie tej tajemnicy, i tak stanowiły przygnębiający widok. Istota ludzka, pozbawiona wzroku, słuchu i mowy. Terrorysty postępowali tak z zakładnikami, aby złamać w nich wolę i zdegradować ich do poziomu zwierząt. Tylko że... tylko że... coś mu tu wyraźnie umykało. Te fotografie miały w sobie dziwną sterylność. Prawdę mówiąc, nie wyglądały realistycznie.

A ten sprzęt? Głowa manekina? O co w tym wszystkim chodzi? Wyglądało to na eksperymenty laboratoryjne. Ksiądz Jimmy jeszcze raz spojrzął na fotografię przedstawiającą mężczyznę z rozkrzyżowanymi ramionami i kapturem na głowie. Czy i to stanowi część eksperymentu? A jeśli tak, to co można testować w ten sposób? Siłę mięśni? Wytrzymałość? Jakiś lek?

Dłoni mężczyzny nie widać było na zdjęciu, lecz napięcie ramion i głowa, która opadła na bok, wskazywały, iż został pchnięty - lub rozciągnięty - do kresu fizycznej wytrzymałości.



Był młody? Stary? Raczej młodszy niż starszy, sądząc po muskulaturze. Szkoda, że ma zakrytą twarz.

Ksiądz Jimmy, zniechęcony, odłożył fotografie i wpatrzył się w ścianę przed sobą. Była pusta, z wyjątkiem ponad półmetrowego krucyfiks z kości słoniowej, autorstwa anonimowego rzemieślnika z Salamanki, który wisiał po prawej stronie jedyne w tym pokoju okna. I wtedy zniemacka podskoczyło w nim serce!

Poprawił abażur przy lampce tak, by światło padało prosto na zdjęcie. Wzrok jednak go nie mylił. Podobnie przechylona głowa. Podobnie rozstawione ramiona.

O ile nie popełniał jakiejś strasznej pomyłki, także i inne fotografie - ciało niesione przez kogoś na rękach, potem złożone bezwładnie na ziemi - opowiadały resztę tej samej historii.

Przed obiektywem polaroidu odegrano ponownie scenę ukrzyżowania oraz zdjęcia z krzyża.

## Rozdział 29

**H**annah musiała bardzo wyteńczyć wzrok, by odczytać małeńkie literki, lecz była pewna, że odcyfrowała wszystko prawidłowo. Literki znajdowały się na budynku w tle fotografii. Nad lewym ramieniem jedzącego lody chłopca.

Porównała ją ze zdjęciem Jolene i chłopca - czy to naprawdę jej syn? - kiedy stoją razem przed katedrą, która wygląda, jakby była wymodelowana z topiącego się wosku. Takie zdjęcie mogło zostać zrobione wszędzie. Na świecie nie brakuje katedr. Lecz zdjęcie chłopca jedzącego lody to zupełnie inna sprawa.

Pokazywało plac przed katedrą w innym ujęciu, więc wiadać było napis nad wejściem do jednego z budynków z polewanego kamienia. Przepisała go na kartkę:

Oficina de Turismo de Asturias

Przez chwilę przypatrywała mu się uważnie, zastanawiając się, co ma robić dalej. Koniec końców było to tylko pięć słów wymalowanych nad wejściem do starego budynku.

Niemniej od czegoś trzeba zacząć.

Zerknęła po raz ostatni na zdjęcie uśmiechniętych postaci przed katedrą i wymknęła się za drzwi.

Kiedy znalazła się w bibliotece, ruszyła wprost do półki z Encyclopedia Americana. Nie musiała długo szukać, aby się dowiedzieć, że Asturia to jedna z północnych prowincji Hiszpanii. Bibliotekarka pokazała jej, gdzie między półkami szukać przewodników. Kilka z nich poświęcono Hiszpanii. Hannah odnalazła hasło „Asturia” w indeksie rzeczowym najgrubszego z nich, potem zgodnie ze wskazówką przeszła na stronę 167 i aż zamrugnęła oczyma ze zdumienia. Znalazła tam kolorowe zdjęcie tej samej katedry, na którą patrzyła przed godziną. Znajdowała się w Oviedo, stolicy kulturalnej Asturii. Gotycka katedra z koronkową wieżą stanowiła - jak informował podpis - najstynniejszy zabytek tego miasta.

Hannah szybko wybiegła z biblioteki po schodach, chcąc jak najszybciej podzielić się tą informacją z księdzem Jimmym, lecz bieganie wymagało obecnie więcej wysiłku niż była w stanie z siebie wykrzesać, więc zadyszała się już po kilku krokach. Kiedy przystanęła, by odzyskać oddech, uświadomiła sobie, że spieszy się zupełnie bez powodu.

Albo z nader błahego.

Jolene i Marshall - zakładała, że to Marshall był autorem zdjęć - byli w Hiszpanii. I co z tego wynika? Przecież Letycja Greene sama ją o tym poinformowała tego dnia, kiedy się poznali, gdy z pewną nutą zazdrości opisywała ich jako globtroterów. Trudno uznać za niezwykle fakt, iż ustawili się do zdjęcia przed jakąś starą katedrą. Turyści robią tak od zawsze, a w każdym razie od czasu kiedy aparat fotograficzny stał się integralną częścią wyposażenia podróżnika. Ustawiali się przed

kościółem, rzeźbą lub wodospadem, przywoływali na twarze nieruchome uśmiechy i pozwalali się sfotografować. Był to zadatek natychmiastowej nieśmiertelności, dowód, że i oni - jak Kilroy - tam byli.

Nawet napis, który Hannah z takim trudem odcyfrowała, przyniósł jej tylko rozczarowanie. „Oficina de Turismo de Asturias” - teraz to całkiem oczywiste - była jedynie miejscowym punktem informacji turystycznej.

Zwolniła i szła teraz spacerkiem. Nie ma księdzu Jimm'y'emu do powiedzenia nic, co nie mogłoby poczekać do sobotniego spotkania po mszy.

Proboszcz Gallagher spojrział na polaroidowe zdjęcia, które rozłożył przed nim ksiądz Jimmy na kuchennym stole w plebanii, obejrzał je i cicho westchnął. Ksiądz Jimmy nie dał mu nawet czasu, aby mógł dokończyć lunch, a tu trzeba rozwikłać taką tajemnicę.

Lubił tego młodego człowieka, ale zdawał sobie sprawę, że - jak to z młodymi bywa - cierpliwość nie należy do jego najmocniejszych stron. Pewnie przyjdzie z wiekiem - kiedy już odprawi tysiące mszy i wysłucha tysięcy spowiedzi. W tej chwili jednak był święcie przekonany, iż w trybie pilnym należy rozwikłać sprawę, która proboszczowi zdała się mocno skomplikowana i raczej dość fantastyczna.

Niewątpliwie miała jakiś związek z tą młodą ciężarną kobietą, która od niedawna należy do parafii. Była ona - jak został właśnie poinformowany niezwykle szczegółowo - zastępczą matką, która gdzieś znalazła te zdjęcia, zdjęcia bez wątplenia niezwykle, co proboszcz sam musiał przyznać.

Jednak nie mógł się zgodzić z wnioskiem, jaki wysnuł ksiądz Jimmy - co to, to nie.

Ukrzyżowanie w dzisiejszych czasach? Mówiąc bez ogródek, to idiotyczna myśl.

Przez chwilę proboszcz poczuł się stary i zmęczony. Do statecznie trudno było mówić parafianom to wszystko, co musiał im powiedzieć - mówić tak, by nie dopuszczać możliwości kompromisu, a jednocześnie tak, by nie zabrzmiało to zbyt autorytatywnie. Z mężczyzną, za którego czuł się odpowiedzialny, szło mu jeszcze trudniej. Cenił sobie zaufanie i otwartość młodego człowieka, który przychodził do niego ze wszystkimi swoimi problemami, i nie chciał narazić na szwank ich kontaktów jakąś nieprzemyślaną uwagą.

Nadal przyglądał się uważnie dziwnym fotografiom, przez cały czas świadom, że po drugiej stronie stołu obserwuje go para oczu.

- Co ksiądz o tym sądzi? - zapytał wreszcie ksiądz Jimmy.

- Sądzę... że to nie twoja sprawa, Jamesie - orzekł w końcu. - Nie jesteś policjantem, tylko kapłanem. - Od sunął od siebie talerz, nagle bowiem stracił cały apetyt.

- Ale ona wierzy, że naprawdę coś jej grozi. Chce, żebym jej pomógł.

- Tak?

- Wierzy, że dziecku zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

- Rozumiem. Rozumiem. - Proboszcz potarł się po podbródku. - Odnoszę wrażenie, że powinniśmy zwrócić uwagę na o wiele poważniejszy problem. A mianowicie twój związek z panią Manning.

Zaskoczony reakcją, jakiej się nie spodziewał, ksiądz Jimmy zdobył się tylko na nieco kulawą odpowiedź:

- Ona nie jest mężatką, księżu proboszczu.

- A obrączka?

- Nosi ją tylko po to, żeby ludzie jej nie wypytywali.

Proboszcz przetrwał przez chwilę tę informację, która spotęgowała w nim przekonanie, że ksiądz James znalazł się na znacznie bardziej niebezpiecznym rozdrożu niż ta kobieta.

- Mężatka czy nie, to niewielka różnica.

- Nie rozumiem.

Proboszcz podniósł się zza stołu i położył rękę na ramieniu młodego księdza.

- Przez cały czas podlegamy próbie, James. Jako służby Boży, sprawdzani jesteśmy codziennie. A nie ma dla nas większej próby niż obecność atrakcyjnej kobiety. Ta panna Manning, jeśli rzeczywiście nie jest mężatką, przychodzi do ciebie po pomoc. Dlaczego miałbyś nie zareagować? Jest bardzo pociągająca. Sprawia wrażenie zdezorientowanej i bezbronnej. Ale nie możesz pozwolić, aby to jej dezorientacja udzieliła się tobie.

- Nie wydaje mi się...

- Wysłuchaj mnie do końca, James. Wcale nie twierdzę, że ta dziewczyna jest z gruntu zła. Ale jest słaba, a diabeł wykorzystuje słabych do swoich celów. Wiem, że to staroświecki obrazek - diabeł wodzący ludzi na pokuszenie. Nikt już w to nie wierzy. W takim razie może powinniśmy mówić o pożądaniu. O pożądaniu, które umie przybierać tyle postaci i masek. Czy brałeś pod uwagę, że owa chęć zapewnienia jej ochrony może kryć w sobie zupełnie inne intencje? I może nawet pragnienie, aby widzieć w niej zagrożoną niewinność, zaślepiło cię tak, że przestałeś widzieć stan faktyczny - to, że jest młodą neurotyczką, która najwyraźniej głęboko żałuje

dokonanego wyboru. Masz przed sobą świetlaną przyszłość. Nie pozwól, aby ta dziewczyna ci ją zniszczyła.

Ksiądz Jimmy milczał. Cóż więcej można tu było powiedzieć? Zawstydzony, pozbiierał fotografie.

Proboszcz ma rację. Zawsze ma rację.

Parafialna salka zebrań była pełna. Nawet proboszcz uznał za stosowne, by się tu dziś pojawić. Przez szum rozmów Hannah słyszała panią Lutz, która każdemu, kto zechciał jej słuchać, bez żenady zachwalała walory swego placka ze specjalną, czekoladowo-migdałową polewą.

Ksiądz Jimmy'ego otaczało już kilka rozgadanych pań, więc Hannah podeszła blisko stołu z ponczem i pozwoliła, aby Janet Webster ze sklepu z narzędziami nałapała jej szklaniczkę.

Udzielała się w rozmowach, grzecznie odpowiadała na zwyczajowe pytania ciekawskich - kiedy ma się urodzić „maluszek” - oraz przyznała, iż, niestety, jeszcze nie wybrała żadnego imienia.

- Zawsze podobało mi się imię Grace - orzekł rubaszny pan, który zaczesał sobie na łysinę kilka pojedynczych pasek włosów, tak że wyglądał, jakby miał na głowie słuchawki. - I Gloria. Oczywiście dla dziewczynki.

Hannah udało się złowić spojrzenie księdza Jimmy'ego, lecz akurat w tej samej chwili pani Lutz przypuściła do niego szturm, domagając się głośno, aby spróbował jej placka, więc odwrócił wzrok. Teraz nie uda się ściągnąć na siebie jego uwagi. Hannah porozmawia z nim później, kiedy tłum trochę się przerzedzi.

Pół godziny później wciąż jeszcze czekała.

- Panna Manning? Miło panią tu widzieć. - To był proboszcz.

- Och, witam księdza proboszcza.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

- Pomyślałem sobie, że do moich obowiązków należy przeprowadzenie inspekcji wszystkich zgromadzonych tu słodocy, aby się upewnić, że nie mają zbyt wysokiej zawartości cukru - odezwał się. Żarty nie przychodziły mu łatwo. - Dobrze się pani miewa? Pani i... - Wykonał bliżej niesprecyzowany gest, którym ogarnął wypukły brzuch Hannah.

- Znakomicie, dziękuję.

- Żadnych problemów?

- Najmniejszych.

- To dobrze. - Już miał coś powiedzieć, jednak wyraźnie się rozmyślił. - Cięża powinna być radosnym okresem w życiu każdej kobiety.

Wreszcie kilka parafianek zaczęło uprzątać ze stołu, podczas gdy reszta towarzystwa ruszyła po schodach ku wyjściu. Kiedy pozostało już tylko kilku ostatnich maruderów, ksiądz Jimmy wreszcie podszedł do Hannah. Wydawał się bardziej powściągliwy niż zwykle.

- Widziałem, że rozmawiała pani z proboszczem.

- Tak.

- O czymś konkretnym?

- Nie, tylko towarzyska wymiana zdań.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął polaroidowe fotografie.

- Obawiam się, że nie mam dla pani żadnych niosących otuchę wieści, Hannah. Nie udało mi się tego zrozumieć...

- Nic...?



- Przykro mi, ale nic.

- A ta wiadomość na sekretarce? Od syna Jolene?

- Jeśli to dla pani takie ważne, będzie pani musiała sama ich o to zapytać. Proszę pamiętać. Hannah, że nie do pani należy osądzanie przyszłych rodziców tego dziecka.

Zachowywał się dziwnie, wyraźnie jej unikał.

- Może ksiądz sądzi, że wszystko to sobie wymyśliłam?

- Nie, to nie tak. Myślę tylko... że zupełnie niepotrzebnie dokłada sobie pani mnóstwo stresu.

Hannah czuła ogarniające ją przygnębienie. Przecież miał być jej sprzymierzeńcem.

- W takim razie przepraszam, że zajęłam księdzu czas.

- Nie zajęła mi pani czasu. Moim zadaniem jest pomaganie ludziom.

Z bezsilnym wzruszeniem ramion wzięła od niego zdjęcia.

- Pewnie to rzeczywiście nic takiego. Udało mi się tylko ustalić, że to zdjęcie Jolene i chłopca wykonano w jakimś hiszpańskim mieście. Nazywa się Oviedo.

Wyraz twarzy księdza Jimmy'ego uległ natychmiastowej zmianie. Oczy pociemniały, widać ta informacja znów wzburzyła w nim zainteresowania; utkwiał wzrok w jej twarzy. Przekonała się, że odruchowo cofa się przed intensywnością tego spojrzenia.

- Co pani powiedziała?

- Oviedo - wymamrotała. - A co?

## Rozdział 30

Kiedy Hannah i ksiądz Jimmy przemierzali ogród, kierując się w stronę plebanii, rogalik księżycyca tkwił wysoko na niebie.

- Owiedo słynie ze swej katedry. Przechowuje się tam sudarium - mówił.

- Co to jest sudarium?

- Zobacz pani. Teraz wszystko zaczyna nabierać sensu.

Gabinet znajdował się na parterze, mieścił się w przyku- chennym pomieszczeniu, które niegdyś musiało być obszerną spiżarnią - w czasach, kiedy plebanię zamieszkiwało jeszcze czterech księży. Na półkach, gdzie dawniej stały rzędami przetwory, stały teraz kompendia, traktaty filozoficzne oraz nieliczne, uznane przez władze kościelne powieści. W kącie stał nieco staromodny globus, na którym jeszcze widniał kolonialny podział Afryki. Przy oknie był długi, sosnowy stół, który służył za biurko, choć wyglądem bardziej przypominał mebel kuchenny, na którym powinna stać raczej patera z owocami, a nie komputer Macintosh. Ksiądz Jimmy zajął miejsce na krześle, włączył komputer i wpisał w wyszukiwarce „sudarium”. Ekran zapełniła lista z adresami stron. Przewinął ją i kliknął na „Historia sudarium”.

- Słyszała pani zapewne o całunie turyńskim? - zapytał Hannah.

- Chyba tak.

- To bardzo stary kawałek płótna, na którym widnieje odbicie męskiej twarzy. Wielu ludzi wierzy, że to całun pogrzebowy, w który zawinięto ciało Jezusa i że ten odcisk pozostawił sam Pan Jezus. Płótno znajduje się w katedrze w Turynie i stanowi jedną z najbardziej czczonych relikwii Kościoła katolickiego.

- A tak, teraz sobie przypominam - odparła Hannah, przysuwając sobie drugie krzesło w pobliże ekranu. - Ale jaki to ma związek...?

- Otóż sudarium nazywa się także „drugim całunem”. Uważa się, że jest to kawałek płótna, który okrywał twarz Jezusa, kiedy umarł na krzyżu. Nazwa to pochodzi od słowa sudor, co po łacinie oznacza „pot”. Dosłownie oznacza chustę do ocierania potu.

- Po co mieliby Chrystusowi zakrywać twarz chustą?

- To taki żydowski zwyczaj. W tamtych czasach, kiedy kogoś zamęczono na śmierć i jego twarz zastygła wykrzywiona z bólu, ukrywano ją przed oczyma ludzi. Tak właśnie mogło to wyglądać w przypadku Jezusa. Jeśli tak, to sudarium może naprawdę być ową chustą. Tak w każdym razie mówią wierni.

- Ale jaki to ma związek ze zdjęciami?

Ksiądz Jimmy wziął do ręki jedno ze zdjęć mężczyzny z workiem na głowie.

- To trochę skomplikowane. Niech pani spojrzy na tamten krucyfiks. - Wskazał na przeciwną ścianę. - Widzi pani?

- Ale co?

- Podobieństwo. Między zdjęciami tego mężczyzny, a podobizną Chrystusa na krzyżu.

- Chce ksiądz powiedzieć, że na tych zdjęciach kogoś krzyżują?

- Nie, ale ktoś mógł odtwarzać tamte wydarzenia.

Wzruszeniem ramion podkreśliła dobitnie, że nic z tego nie rozumie. - Dla mnie - ciągnął - to wygląda tak, jakby te zdjęcia były dokumentacją eksperymentu, który miał wyjaśnić, w jaki sposób sudarium mogło zostać umieszczone na twarzy Chrystusa. Odnoszę wrażenie, że włożono wiele wysiłku, aby dokładnie skopiować ułożenie głowy. Myślę, że do tego właśnie wykorzystywano manekin. Nikogo tak naprawdę nie torturowano.

- Bogu dzięki... Więc to mogły być... pewnego rodzaju badania?

- Tak, tak właśnie mi się wydaje.

Na ekranie wyświetliła się teraz opowieść o sudarium. To dość zaskakujące, ale historia „drugiego całunu” była lepiej udokumentowana i mniej skomplikowana niż historia całunu turyńskiego, w której znalazły się poważne luki - długie okresy, kiedy to nikt nie był w stanie określić ani gdzie tkanina się znajdowała, ani kto był jej właścicielem. Historia sudarium ciągnęła się nieprzerwanie od czasów biblijnych. Po ukrzyżowaniu materia pozostawała w Palestynie aż do roku 614, kiedy Persowie zaatakowali i podbili Jerozolimę. Dla bezpieczeństwa przeniesiono ją potajemnie do egipskiej Aleksandrii, a kiedy Persowie napadli z kolei na Aleksandrię, tkaninę zamkniętą w relikwiarzu przewieziono przez Afrykę Północną aż do Hiszpanii.

Około roku 718 umieszczono ją w Toledo, lecz wkrótce ponownie została przewieziona na północ - w ten sposób

uchroniono ją przed niechybnym zniszczeniem przez najeżdżających półwysep Arabów - i ukryta w jaskini niedaleko Oviedo. Po pewnym czasie zbudowano dla niej specjalną kaplicę, zwaną Camara Santa.

14 marca 1075 dokonano uroczystego otwarcia skrzyni, któremu przewodniczył król Alfons IV oraz hiszpański szlachcic znany jako El Cyd; wtedy zinwentaryzowano jej zawartość. Najważniejszym obiektem było sudarium, które zaćmiło swym znaczeniem fragmenty kości i obuwia, jakie się przy nim znajdowały. Od tamtej pory pozostawało w Oviedo, gdzie w czasie niektórych świąt jest pokazywane wiernym. W średniowieczu katedra stała się bardzo popularnym celem pielgrzymek, choć obecnie pątnicy wolą wybierać inne miejsca.

Zatraceni w świecie za oceanem, nie usłyszeli skrzyknięcia uchylanych drzwi wejściowych. Do środka wszedł ciężkim krokiem proboszcz Gallagher.

- Jeszcze nie śpisz, James?

Na dźwięk jego głosu Hannah aż podskoczyła. Ksiądz Jimmy przytknął palec do warg, dając znak, by się nie odzywała.

- Nie, księżo proboszczu - odparł. - Właśnie kończyłem coś na komputerze.

- Skąd bierzesz na to energię? Dzisiejsze spotkanie zupełnie mnie pozbawiło sił. Te kobiety i ich potworne desery! Nie siedź za długo.

- Nie, już niewiele zostało. Dobranoc księżdu.

- Dobranoc, James.

Ciężkie kroki zaczęły wspinać się po schodach. Zamknęły się jakieś drzwi. Na plebanii zapanowała cisza. Ksiądz Jimmy przypomniał sobie, co mówił proboszcz. Hannah nie powinno tu być o tak późnej porze.

- Czy coś jest nie tak? - szepnęła Hannah.

- Nie - odpowiedział młody kapłan, przysięgając sobie w duchu, że opowie o wszystkim proboszczowi. - Już można się rozluźnić. Proboszcz śpi jak kłoda.

Znów kilka razy postukał w klawiaturę i nagle ekran wypełniło zdjęcie samego sudarium. Wyglądało zupełnie zwyczajnie: kawałek płótna o wymiarach mniej więcej metr na sześćdziesiąt centymetrów, pokryty tu i ówdzie plamkami koloru rdzy. Ale pasowało do jednego z polaroidowych zdjęć, które Hannah wzięła za omyłkowo zrobione.

- Marshall i Jolene zwiedzali tę katedrę - odezwała się Hannah. - Musieli zrobić zdjęcia sudarium.

- Ktoś je zrobił, możliwe, że oni.

- Do pracy Jolene...? - zawiesiła głos, próbując sobie wyobrazić, jakie mogłyby być inne możliwości.

Płótno poddano drobiazgowej analizie - od splotu wątku i osnowy aż po ślady pyłku kwiatowego, które wedle wyników badań pochodziły z roślin występujących w okolicach Owiedo, Toledo, Afryki Północnej i Jerozolimy, potwierdzając w ten sposób przypisywany mu historyczny szlak wędrowni.

Najbardziej skłaniający do refleksji dowód stanowiły jednak najrozmaitsze plamy, które po analizie okazały się plamami krwi oraz jakiejś jasnobrażowej cieczy. Z nich wywnioskowano, iż mężczyzna, któremu przykryto twarz tą chustą, zmarł w pozycji pionowej, „z głową przechyloną o siedemdziesiąt stopni w przód i dwadzieścia stopni na prawo”.

Plamki krwi pochodziły z ranek dookoła głowy i u podstawy karku, zadanych „małym, ostrym obiektem”, którym, wedle wszelkiej logiki, mogły być kolce korony cierniowej.

Jeśli zaś chodzi o brązowawe, flegmiaste plamy, to ich źródłem był płyn z opłucnej, który, jak wiadomo, gromadzi się w płucach ludzi umierających z braku powietrza, co znów stanowiło bezpośrednią przyczynę zgonu ukrzyżowanych. Płyn taki wyrzucany jest przez nozdrza, kiedy ciało zostaje poddane gwałtownemu szarpnięciu, co musiało mieć miejsce przy zdejmowaniu z krzyża.

Hiszpański Ośrodek Badań nad Całunem przeprowadził rozległe eksperymenty, które miały pokazać, w jaki sposób chusta musiała zostać złożona i przytwierdzona do twarzy, aby krew i płyn mogły utworzyć taki właśnie wzór. Jeden z badaczy nałożył nawet obraz chusty na obraz całunu turyńskiego i doszedł do wniosku, że obie relikwie mają ze sobą 120 punktów zbieżnych - punktów, gdzie plamy na obu kawałkach płótna ściśle do siebie pasowały.

Wniosek: w te dwa kawałki płótna zawinięto ciało tego samego mężczyzny.

- Ale skąd w ogóle wiadomo, że to były dwa kawałki materiału? - zapytała Hannah.

- To proste. - Ksiądz Jimmy sięgnął do półki z książkami i wyciągnął stamtąd Pismo Święte. - Ewangelia według św. Jana. Rozdział dwudziesty, w którym Szymon Piotr i jeden z apostołów wchodzi do grobowca Pańskiego.

Odnalazł stosowny pasaż i odczytał go na głos, a jego głos brzmiał prawie jak szept wśród ciszy na plebanii.

- „Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz

chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu Ujrzał i uwierzył”.\*

- Czyli że chusta, którą obwiązano Mu głowę, to właśnie sudarium - odezwała się Hannah. - A więc to prawda.

- Któż to może wiedzieć na pewno? Wiemy tylko, że naprawdę istniało - odpowiedział, trąc oczy zmęczone już czytaniem.

Przypomniała mu się pielgrzymka do Rzymu, jaką odbył jako młody kleryk, w czasie której każdy kolejny etap budził w nim coraz silniejsze uczucia. Spodziewał się z góry, że katedra św. Pawła oraz krótka audyencja, jakiej papież udzielił jemu oraz kilku innym klerykom, napełnią go nabożnym podziwem. I tak właśnie się stało. Chwała Wiecznego Miasta i jego zabytki trochę go przytłoczyły - pochodził wszak z Bostonu, gdzie za miejsca godne szczególnej uwagi uznaje się nieliczne zabytki z osiemnastego stulecia.

Niemniej największego olśnienia dostarczył mu dopiero krótki wypad do Turynu, dokąd udał się z grupką kleryków. Tam, w katedrze w szklanej gablocie ujrzeli całun i wyraźnie rozpoznawalny obraz Jezusa, który jakimś cudem przetrwał na kruchej materii dwa tysiąclecia - przetrwał pożary, wojny, drwiny niedowiarków i napaści naukowców, którzy na przemian przychylali się do twierdzenia o jego autentyczności lub próbowali udowodnić, że to jedno wielkie oszustwo.

Książd Jimmy doszedł do wniosku, że toczące się wciąż na ten temat dyskusje, nie mają dlań najmniejszego znaczenia. To nie relikwie stanowią o jego wierze, to on wkładał

\* Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, 1990.



własną wiarę w relikwie. Pomagały mu nawiązać kontakt - duchowy i cielesny - ze świętymi ludźmi, którzy już odeszli. Pod tym względem uznawał je za nośne metafory. Obraz Jezusa na całunie, prawdziwy czy nie, przemawiał do wyobraźni. „Głoś moje słowo - mówił - nie pozwól, aby mój obraz zatarł się bardziej niż ten na płótnie. Ożyw mnie w świadomości milionów. Spraw, abym nie wyblakł w ich sercach”.

Przerzucił spojrzenie na Hannah.

- Chyba od zawsze fascynowały mnie relikwie. Służą mi za coś w rodzaju przypomnienia, że święci nie są tylko fikcyjnymi postaciami. Byli realnymi ludźmi, którzy naprawdę weszli w kontakt z boskością.

Przetrawiała chwilę tę myśl.

- Ciekawa jestem, jak to jest: mieć kontakt z boskością.

- Ależ pani także go doświadcza. Za każdym razem, kiedy przyjmuje pani komunię.

- A, tak.

- Czy to się nie liczy? - napomniał ją łagodnie, a ona w zakłopotaniu odwróciła twarz. Widziała przez okno parking przed kościołem. Cotygodniowe spotkanie parafian dawno już się skończyło. Musi jak najszybciej wracać do domu, bo Jolene zacznie się zamartwiać. Ostatnio każda jej nieobecność dostarczała pretekstu do scen. Im później wracała, tym scena była bardziej dramatyczna.

- Hannah, proszę na to spojrzeć.

Kiedy wyglądała przez okno, ksiądz Jimmy natknął się na dziwną adnotację do historii sudarium, w której można było przeczytać notatkę prasową na temat leciwego księdza, który zmarł, odkładając je na swoje miejsce w Camara Santa po specjalnej mszy wielkopiątkowej.

Odźwierny znalazł go leżącego na kamiennej posadzce, zaś sudarium zostało natychmiast schowane na swoim honorowym miejscu, w zamkniętej na klucz gablocie, najwyraźniej w stanic nienaruszonym.

Zmarły, niejaki don Miguel Alvarez, miał w owym czasie 79 lat i problemy z sercem, tak więc władze nie doszukały się w tym fakcie niczego podejrzanego. Autor sprawozdania posunął się nawet do stwierdzenia, że „miał spokojną śmierć”, sugerując, że było to błogosławieństwo pochodzące od samej chusty.

- Hiszpańskie gazety narobiły sporo szumu wokół faktu, że zmarł w Wielki Piątek z krwią Pańską na rękach - po wiedział ksiądz Jimmy. - Niech pani spojrzy.

Hannah ponownie przeniosła uwagę na ekran.

- To właśnie tam przechowywane jest sudarium. W tej złotej gablocie za krzyżem z dwoma aniołami klęczącymi u podstawy.

- To trochę straszne - odezwała się Hannah.

- Co takiego?

- To wszystko: ten całun, ci ludzie, te zdjęcia.

Ksiądz Jimmy musiał w duchu przyznać jej rację. Sudarium stało się początkiem wielkiej gałęzi naukowego chałupnictwa, które ustępowało rozmachem tylko badaniom zainspirowanym całunem turyńskim. Badania przedsięwzięto najpewniej w duchu scholastycznej dążności do doskonalenia wiedzy naukowej; regularnie organizowano seminaria, by dzielić się każdym z najświeższych odkryć. Wyczuwał jednak w tej działalności niepokojące znamiona fanatyzmu. Przecież istnieje niebezpieczeństwo, iż zaczną naginać naukę do potrzeb świętego celu. Wiara to wiara, stanowi sama o sobie. Podpierana sztucznie nauką, mogła się przerodzić w

coś innego, coś o znacznie ostrzejszym i wręcz agresywnym odcieniu. Zastanawiał się, gdzie jest ten punkt, w którym po-  
bożność staje się dewocją? Kiedy lista pytań zastyga w listę  
programową?

Na całym świecie tworzono strony internetowe poświę-  
cone temu tematowi. Ledwie napoczęli tę długą listę. To-  
warzystwo Świętego Całunu w Nevadzie jako swój adres  
podawało skrytkę pocztową w Reno, zaś Włoski Instytut Ba-  
dań nad Całunem z Turynu miał swoją siedzibę w Rzymie. W  
Long Beach, w Kalifornii działało Centrum Badań nad Po-  
grzebem Chrystusa. A tu, w Massachusetts znajdowało się  
nawet Narodowe Stowarzyszenie Całunu.

Na zakończenie ksiądz Jimmy wszedł na stronę stowa-  
rzyszenia i na zdjęciu u samej góry natychmiast rozpoznał  
katedrę w Oviedo. Poniżej znajdowała się formułka po-  
witalna - był sześćset trzecią osobą odwiedzającą tę stronę -  
oraz deklaracja celów i zadań stowarzyszenia.

Wielka, kolorowa fotografia przedstawiała założycielkę,  
wesołą z wyglądu kobietę, a poniżej znajdowało się sy-  
gnowane przez nią zaproszenie do wstąpienia w szeregi sto-  
warzyszenia. Z podpisu pod zdjęciem wynikało, że nazywa  
się Judith Kowalski. Ewentualni kandydaci mogą się kontak-  
tować zarówno przez e-mail, jak i zwykłą pocztą; dla obu  
sposobów podano odpowiedni adres.

- To niemożliwe - sapnęła w zdumieniu Hannah, wpa-  
trując się jak zahipnotyzowana w twarz na ekranie. - To wła-  
śnie ta kobieta, o której księdzu mówiłam.

- Która?

- Ta, która prowadzi „Partnerstwo dla rodzicielstwa”.

- Jest pani pewna? Wydawało mi się, że wymieniła pani  
inne nazwisko...

- Pod zdjęciem jest inne nazwisko, ale to Letycja Greene. Jestem absolutnie pewna.

- Doprawdy dziwne.

Dzwonek u drzwi plebanii rozjazgotał się kilkoma ostrymi seriami. Ksiądz Jimmy aż podskoczył, zerkając jednocześnie na zegarek. Czas przeleciał tak prędko, że nawet się nie spostrzegł. Było już po jedenastej. Nikt nie przychodził tu o takiej porze, chyba że w jakiejś nagłej sprawie.

Otwarto frontowe drzwi i w rozmowie, jaka potem nastąpiła, Hannah usłyszała własne imię. Wstała z krzesła i przeszła do holu, gdzie zastała Jolene rozchełstaną, z obłędem w oczach.

Pomijając wszelkie formy, kobieta złapała ją za ramię.

- Czy ty wiesz, która godzina?! Tak mnie wystraszyłaś! Mówiłaś, że idziesz na spotkanie parafialne po mszy i wrócisz o dziesiątej! Kiedy nie przyszłaś, obawialiśmy się najgorszego! - Jolene nie potrafiła opanować drżenia głosu.

- Proszę księdza o wybaczenie, ale chyba rozumie ksiądz, co czuję. Przyszłam jej szukać, a w kościele ciemno jak w grobie! Ani żywego ducha! Co miałam sobie pomyśleć?

- Mówiłam Marshallowi, że zadzwonię, jeśli będzie mi potrzebny samochód - odparła Hannah tonem, jak jej się zdawało, należycie pokornym. - Wcale nie chciałam, żebyście się martwili.

- To moja wina, pani Whitfield - wtrącił ksiądz Jimmy.

- Proszę o wybaczenie. Zagadaliśmy się. Odprowadziłbym ją do domu.

Słowa młodego kapłana chyba trochę uspokoiły Jolene.

- To bardzo miło z księdza strony - mruknęła niechętnie. - Ale nie o to tutaj chodzi. Teraz najważniejsze jest to, że

wszyscy są cali i zdrowi. Powinniśmy wrócić do domu i powiadomić Marshalla, że nic się nie stało. - Pociągnęła Hannah w stronę drzwi jak nieposłuszne dziecko.

- Jeszcze sekunda, Jolene - zaprotestowała Hannah, wyrывая się z jej uścisku. - Zapomniałam czegoś. - Wpadła pospiesznie do gabinetu i złapała leżący na biurku notes. Nabazgrała na nim pospiesznie: Dr Eric Johanson!!!

Potem umieściła notes na klawiaturze tak, by ksiądz Jimmy nie mógł go przeoczyć.

Kiedy samochód wiozący Hannah i Jolene skręcał na podjazd, ta ostatnia próbowała osłabić wrażenie spowodowane swoim wybuchem na plebanii.

- Musisz wiedzieć, że leży nam na sercu twoje dobro. Dlatego tak się zdenerwowałam, kiedy nie wróciłaś do domu. Nie wiedziałam, co myśleć.

- Tu nie ma nic do myślenia. Ksiądz Jimmy jest moim spowiednikiem, to wszystko. Jestem przy nim bezpieczna.

Usta Jolene ściągnęły się leciutko w ledwie widocznym grymasie niezadowolenia.

- Spowiednik? Czy oni jeszcze są potrzebni w tych czasach? A cóż takiego mogłaby mu wyznać taka słodka istotka jak ty?

- Och, każdy ma przecież taki czy inny sekret do wyznania, prawda, Jolene?

Hannah odwróciła się i weszła do domu, pozostawiając Jolene samą na podjeździe.

## Rozdział 31

Tej nocy Hannah spała niespokojnie i z przerwami. Momentami wydawało się, że tylko najcieńsza z błonek oddzielają od zewnętrznego świata i do jej przzerwania wystarczy wystrzał z rury wydechowej samochodu przejeżdżającego przez Alcott Street lub pies wyjący w lesie za domem, które to odgłosy wcale nie były tak rzadkie w East Acton.

Wymiana zdań, która po raz kolejny przerwała tę błonę, rozlegała się tak wyraźnie, jakby prowadzono ją przy nogach jej łóżka. Całkowicie rozbudzona, Hannah uświadomiła sobie, że głosy dochodzą z piętra niżej i że w zasadzie Jolene i Marshall starają się mówić ściszonymi głosami. W każdym razie na pewno Marshall się starał. Głos Jolene, wyższy i znacznie bardziej poruszony, dochodził bez trudu przez deski podłogi.

Hannah sprawdziła godzinę na budziku: była 3.32. Co się mogło stać, że wciąż jeszcze nie śpią?

- W jej imię, tak właśnie powiedziała. W jej imię - mówił głos Jolene. - Powiedziała nam wyraźnie, że ktoś nadejdzie w jej imię. Teraz stało się dla mnie zupełnie jasne, co miała na myśli.

Odpowiedź Marshalla była zupełnie niezrozumiała, lecz wyraźnie poirytowała Jolene, bo odpowiedziała znacznie głośniejszym głosem niż przedtem.

- To właśnie o nim mówiła, Marshallu. To właśnie dlatego mnie tam zaprowadziła. Żebym mogła zobaczyć na własne oczy.

Marshall jeszcze raz odpowiedział coś, czego Hannah nie udało się usłyszeć. Potem znów odezwała się Jolene.

- Przynęcała, że nas poprowadzi. Czy nie tak, Marshallu? Przynęcała?

- Tak, przynęcała, Jolene.

- A więc jest dla mnie oczywiste, że teraz spełnia tę obietnicę. Obudziła naszą czujność. Pokazała zagrożenie. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

Głosy ucichły i wkrótce zastąpił je odgłos kroków dwóch osób schodzących po schodach, a potem trzask otwieranych i zamykanych kuchennych drzwi. Hannah wiedziała, co się dzieje. Znów wychodzili do ogrodu. Tak samo jak ostatnim razem, uchyliła leciutko okno i schowała się za zasłoną.

Tej nocy nie było księżycy i wszystko okrywała ciemność. Chwilę trwało, zanim oczy Hannah przywykły na tyle, by mogła rozróżnić w ogrodzie niewyraźne, szarawe kształty. Jeżeli ją wzrok nie mylił, przy sadzawce dla ptaków klęczała na trawie Jolene z ramionami wyciągniętymi przed siebie. Marshall trzymał się z tyłu, zachowując dystans. W czasie tych śródnocnych czuwań był tylko biernie obecny, był świadkiem działań swojej żony. To ona tu rządziła. Teraz szeptała coś śpiewnie, z jej głosu znikł poprzedni, ostry ton, do Hannah dochodził już tylko monotony, odległy szmer.

Potem nagle ustał wszelki ruch i dźwięk. A kiedy zabrakło ruchów i dźwięków, według których mogła się orientować, Hannah zgubiła w ciemności ich ślad. Po chwili nie była już nawet pewna, czy Whitfieldowie wciąż jeszcze tam są. Ogród był tak cichy, że słyszała własny oddech.

W końcu dobiegł ją jakiś szelest.

Szept. Czyjeś kroki.

A jednak są.

- Musimy wyjechać. Czas przygotować ścieżkę - odezwała się Jolene.

W Massachusetts na dobre nastąpiła jesień. Drzewa pyszniły się barwami, które miały zniknąć w ciągu kilku najbliższych tygodni. Lecz na przydrożnych straganach wciąż jeszcze piętrzyły się stosy dyń oraz piramidy rdzawych i bordowych chryzantem. Nawet niebo o zachodzie urządzało znakomity spektakl.

Nikt nie kwestionował twierdzenia, że nadchodzi zima, dyskutowano tylko o tym, kiedy to nastąpi. Wiadomo było, że jednego dnia zimny, północny wiatr ogołoci drzewa z liści i pomaluje niebo na ołowianoszary kolor. Na razie jednak pory roku przestrzegały zawieszenia broni.

Hannah żałowała, że dzień staje się coraz krótszy, lecz jednocześnie wdzięczna była za chłodniejsze dni. Teraz, kiedy była w ósmym miesiącu ciąży, czuła się ogromna. No cóż, naprawdę była ogromna - rozdęta i bulwiasta od stóp do głów, przypominała żeńską wersję maskotki Michelina.

Pocieszała ją jedna myśl: że bardziej już się nie rozrośnie. W przyszłym miesiącu dziecko zacznie się obniżać i choć Hannah od tego nie zmaleje, to przynajmniej jej brzuch przybierze inny kształt. Do minusów należało to, że guma



przy spodniach rozciągnęła się na amen, schylenie się stanowiło iście herkulesom wysiłek, a dziecko kopało jak obrońca z ekipy piłkarskiej.

Doktor Johanson kazał jej zrobić z tego zabawę: miała położyć na brzuchu kartkę papieru i patrzeć, jak dziecko ją skopuje.

- Zobacz pani, jakie to zabawne!

Co najmniej tak samo, jak znalezienie się na samym dole sterty piłkarzy na boisku Notre-Dame.

Hannah nie wspomniała ani słowem o ostatnim nocnym wypadzie Jolene.

Jolene zaś pod każdym względem zdawała się taka sama jak zwykle - może tylko trochę bardziej uciążliwa w swoim matkowaniu, lecz nie było w tym nic podejrzanego.

Po wybuchu na plebanii dokładała wszelkich starań, aby okazywać Hannah wielką dbałość, tak jakby tamta złość miała uzasadnienie w matczynej trosce o córkę.

- Jesteś dla nas jak córka, której nigdy nic mieliśmy - powtarzała aż nazbyt często.

Hannah wiedziała, że powinna odpowiedzieć, iż są dla niej jak rodzice... jak nowi rodzice, ale nie mogła się na to zdobyć.

Pełen życzliwości i sympatii nastrój Jolene wydał się Hannah szczególnie wylewny podczas sobotniej kolacji, na którą składały się głównie produkty nabyte od przydrożnego handlarza. Marshall otworzył butelkę chardonnay i wkrótce rozgadał się na swój ulubiony temat: o radościach płynących z podróżowania oraz o tym, jak dobrze jest od czasu do czasu zmienić scenerię.

- Nie mam zamiaru spierać się z tobą - odezwała się Jolene, nalewając do filiżanki zupy z batatów i podając ją

Hannah. - Zawsze mówię, że pojechałabym w każde miejsce, przynajmniej jeden raz. Potem mogę już tam więcej nie wracać, lecz dopóki nie zobaczę na własne oczy, jak tam jest, nie można utrzymać mnie z daleka.

- A ty, Hannah? - zapytał Marshall.

- Właściwie nigdzie nie byłam. Raz w Nowym Jorku z wycieczką szkolną. Ciotka i wuj nie lubili zostawiać domu.

- A dokąd chciałybyś pojechać?

- Czyja wiem? Może do Europy, kiedyś.

- Gdzieś jeszcze?

- Nie zastanawiałam się nad tym specjalnie.

Zakręcił winem w kieliszku.

- A co sądzisz o Florydzie?

- Chyba jest tam ciepło. Na zdjęciach wygląda ładnie.

- Słyszałaś o Key Largo? Albo Key West?

- To przy samym koniuszku Florydy. Na oceanie, prawda?

- Och, Marshall, wystarczy - wtrąciła Jolene. - Przestań torturować dziewczynę. Po prostu mów, co masz powiedzieć, i tyle. - Odłożyła chochelkę i wbiła wzrok w męża. - Marshall ma dla ciebie małą niespodziankę. Powiedz jej,kochanie.

- Mamy przyjaciela, który jest właścicielem małej wyspki niedaleko Marathon i Key West. Nie ma na niej żadnych innych domów. Można się tam dostać tylko prywatną łodzią. Jest piękna, bezludna i nawet ma własną, śliczną plażę.

- Rozumiesz, nie ma utrapienia z nieznośnymi turystami - dodała Jolene.

- Jest tam bardzo spokojnie. Tylko szum fal i krzyki mew. Tak czy owak, ten nasz przyjaciel zaproponował, żebyśmy

pojechali tam na dwa tygodnie w okolicach Święta Dziękczynienia. A ponieważ ubezpieczalnia winna mi już jest sporo zaległego urlopu, pomyślałem sobie...

- Hmm! - chrząknęła znacząco Jolene.

- Tak, kochanie. Pomyśleliśmy sobie, że moglibyśmy zrobić sobie taką małą ucieczkę. Trochę spokoju i odpoczynku od gwarne go tłumu. Bez samochodów, bez telewizji. Co ty na to?

Hannah nie wiedziała, jak ma zareagować. Termin rozwiązania nie był taki znów odległy, a tu nagle Marshall wyskakuje z pomysłem, aby razem ruszyli na wycieczkę. Propozycja była tak niespodziewana. Wtem wróciła myślą do tamtej nocy, kiedy wy patrzyła Jolene i Marshalla w ogrodzie - Jolene bredziła coś o zagrożeniu, o strasznym niebezpieczeństwie, które miało nadejść, i o potrzebie zachowania czujności. Nie dalej jak przedwczoraj powiedziała... Jak to było? „Musimy być gotowi do drogi”, czy coś w tym rodzaju. Czy oni przed kimś uciekają?

Jak gdyby wyczuwał jej zastrzeżenia, Marshall dodał:

- Rzecz jasna, musimy najpierw zapytać doktora Johansona. Nigdzie nie pojedziemy bez jego oficjalnego przyzwolenia. Tak więc nie musisz decydować się tak od razu, Hannah. Ale przemyśl to sobie.

Zmienił temat i przez resztę posiłku omawiał jakieś proponowane zmiany legislacyjne, które spowodują kompletny chaos w przemyśle ubezpieczeniowym. Jolene przerywała mu dytyrambami na temat jesiennych liści.

Hannah z obowiązku przełknęła kilka kęsów szarlotki, potem odsunęła talerzyk z deserem.

Straciła cały apetyt.

## Rozdział 32

**H**annah nie czuła się bynajmniej zaskoczona, kiedy podczas następczej cotygodniowej wizyty kontrolnej doktor Johanson zadeklarował, iż stan jej zdrowia uległ znaczącej poprawie.

Zniknęły wszelkie problemy z nadciśnieniem! Ciśnienie krwi w normie! W analizie moczu ani śladu protein! Ręce i kostki przestały puchnąć! Cofnęły się wszelkie objawy rzucawki.

- Robi pani, co każe, i oto są efekty - oznajmił doktor Johanson z pełnym samozadowolenia skinięciem głowy. - Sytuacja uległa tak znacznej poprawie, że naprawdę nie widzę przeciwwskazań co do ewentualnego przelotu na Florydę.

Oczy Jolene rozbłysły, a ona sama zaklaskała bezgłośnie w dłonie z przesadnym, dziewczęcym entuzjazmem. Doktor Johanson uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

- Niemniej... nie chciałbym, żeby zaczęła pani surfować albo też bawić się w nurka głębinowego, rozumie pani. Z drugiej znów strony, jeśli nie będzie pani wysiadywać na słońcu, tylko w cieniu pod palmami, taka podróż mogłaby się okazać korzystna. Przestanie się pani tak zamartwiać. Zatem dlaczego miałyby pani nie jechać?

Hannah kusiło, aby odpowiedzieć, iż głównym powodem jest to, że wcale nie ma na to ochoty. Życie z Withfieldami w East Acton już i tak dostatecznie ją ograniczało. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, co by to było, gdyby zamknęła się z nimi na jakiejś odizolowanej posiadłości na wyspie, z prywatną plażą czy bez.

Drugą przyczyną był sam doktor Johanson. Diagnoza o rzucawce i zalecenie, by leżała w łóżku, były dziwnie zbieżne z życzeniem Jolene, aby zatrzymać Hannah w domu. A teraz, kiedy Whitfieldom zachciało się wlec nie wiadomo gdzie, gotów był wysłać ją razem z nimi. Delikatnie mówiąc, jego diagnozy dziwnie współgrały z ich planami.

- Ale będzie fajnie - paplała Jolene. - Już się nie mogę doczekać, kiedy powiem o tym Marshallowi i będziemy mogli zacząć opracowywać jakieś konkretne plany.

- Proszę do niego od razu zadzwonić. Może pani skorzystać z mojego telefonu - rozpromienił się doktor Johanson, popychając w jej stronę stojący na biurku aparat.

- Och, nie. Na pewno chce pan najpierw dokończyć badanie Hannah. Skorzystam z telefonu w poczekalni.

Kiedy wychodziła, doktor Johanson dodał:

- Proszę zapytać Marshalla, czy znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby. Ja też jadę, nie? Będziemy wszyscy razem siedzieć sobie na plaży. - Mrugnął do Hannah łobuzersko.

Jakaż zadziwiająca zażyłość i współpraca, pomyślała Hannah. Zupełnie jak wtedy, kiedy przytąpała ich na wspólnym oglądaniu jej zdjęć z ultrasonografu. Trudno byłoby uznać, że związek między nimi to typowa relacja lekarza i pacjentki.

Uzmysłowiła sobie, że pozwoliwszy myślom wędrować swobodnie, przestała zważać na to, co mówi do niej doktor Johanson, zalecający jej właśnie zestaw ćwiczeń, które powinna rozpocząć od zaraz. Ćwiczenia relaksacyjno-oddechowe, które dopomogą w trakcie porodu i pozwolą złagodzić ból... Czy Hannah wie, że muzyka także potrafi być pomocna? Tak, uspokaja i rozluźnia - czyż nie mówił już o tym Szekspir? Zatem nie byłoby źle zawczasu wybrać sobie muzykę, którą będą jej puszczać w czasie porodu - „muzykę narodzin” - i już teraz zacząć jej słuchać?

Starła się skupić na tym, co mówi, lecz uparcie powracała do niej myśl, jak niewiele właściwie wie o tym człowieku. Nie wiedziała nawet, jakiej jest narodowości. Dyplomy na ścianach sprawiały wrażenie, jakby pochodziły z zagranicznych uniwersytetów. W marcu, kiedy skierowała ją do niego Letycja Greene - czy jak tam naprawdę nazywa się ta kobieta - Hannah odniosła wrażenie, że jest lekarzem, który oficjalnie współpracuje z „Partnerstwem dla rodzicielstwa”. Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała. Teraz jednak zadawała sobie pytanie, jakie mogą być wszystkie wiążące się z tym konsekwencje. Zastanawiała się, czy księdzu Jimmy'emu udało się znaleźć jakieś informacje na temat tego mężczyzny.

- Oficjalnie oświadczam, że na powrót przybijam pannie Hannah Manning pieczęć „Zdrowie na piątkę” - obwieścił doktor Johanson, odprowadzwszy ją do poczekalni.

Jolene wprost wychodziła z siebie.

- Marshall jeszcze dziś załatwi rezerwację. Już za tydzień o tej porze będziemy cieszyć się słońcem. Och, wszyscy z wyjątkiem Hannah, rzecz jasna. Osobiście dopilnuję, że by cieszyła się słońcem w cieniu. No i oczywiście Marshall

serdecznie pana zaprasza, doktorze Johanson. Będzie pan miał swój specjalny hamak!

Radosne podniecenie kobiety graniczyło niemal z zalotnością. Ostatnio jej zachowanie było krzykliwe i przesadnie ostentacyjne, jakby nie umiała już korzystać z półtonów i półcieni.

- Wystawicie mnie na dwór, co? Jak zwierzaka albo jaszczurkę. Będę się musiał zastanowić, co to może oznaczać.

Choć mówił szorstkim tonem, Hannah miała wrażenie, że odpowiada flirtem na flirt. Okazywana teraz zażyłość wykraczała poza relacje czysto zawodowe. Nie sądziła, aby mieli ze sobą romans, ale z pewnością nie byli też sobie zupełnie obcy.

- Nacieszcie się swoją wycieczką - rzucił do nich serdecznym tonem, kiedy wychodziły z biura. - Nie myślcie już więcej o swoim biednym doktorze Johansonie.

Jednak Hannah nie potrafiła przestać o nim myśleć.

## Rozdział 33

**M**usisz mieć jakieś telepatyczne zdolności, złotko. Dosłownie w tej chwili pomyślałam, że do ciebie zadzwonię. - Głos Teri, słyszany w słuchawce, był ciepły i trochę niewyraźny.

- No to cię uprzedziłam - odrzekła Hannah.

- Okropnie nam ciebie brak w jadłodajni. Ta nowa dziewczyna, która zatrudnił Bobby, to umysłowy karzeł. Na widok stołu, przy którym siądzie więcej niż dwóch klientów, oblewa się zimnym potem. Pewnie nie będziesz już chciała oglądać na oczy tej knajpy, ale wiesz, co ci powiem? Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się wrócić, przed wejściem powita cię orkiestra dęta.

- Jak się miewa Bobby?

- Ostatnio nie jest sobą. Dziewczyna go rzuciła. Przychodzi do knajpy, posiedzi z nosem na kwintę i wraca do domu. Nawet nie udaje mi się go rozzłościć. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak kiedyś powiem, ale żal mi tego tłustego pierdoły. A co u ciebie? Wciąż masz leżeć?

- Nie, lekarz mówi, że już mi nic nie jest. Posłuchaj, Teri. Nie mam za wiele czasu na pogaduszki. Pozwolisz, że przejdę od razu do rzeczy?



- Dawaj, skarbie.
- Myślisz, że mogłabym trochę u ciebie pomieszkać?
- No jasne. A dlaczego? Co się dzieje?

Hannah opowiedziała jej o zbliżających się wyjeździe i że tak naprawdę nie ma ochoty towarzyszyć Whitfieldom. Już i tak działają sobie wzajemnie na nerwy, a ostatnia rzecz, jakiej jej potrzeba, to wymuszona bliskość na jakimś zapomnianym od Boga odludziu na środku oceanu.

- Mój samochód stoi gdzieś w warsztacie, a wiem, że nie będą chcieli zostawić mnie samej.

- Wołaj cię wywieźć gdzieś, gdzie panują trzydziestostopniowe upały? W twoim stanie? Odbiło im?

- Nie musiałabym nawet u ciebie mieszkać. Mogłabym wynająć pokój w motelu.

- Jest w ósmym miesiącu i chce mieszkać w motelu! Tobie też odbiło? Słuchaj, złotko, kanapa jest twoja, o ile ci nie wadzi, że gdzieś o szóstej rano kowboje będą tam zaganiać swoje stado. Powinnaś cię ostrzec, że Nick przywiózł im pistolety na korki. Teraz dzień i noc mam tutaj Dodge City.

- U Ruth i Herba też nie panowała anielska cisza.

- Założę się, że i teraz nie panuje. No to kiedy wyjeżdżają ci Whitfieldowie?

- W niedzielę rano.

- Coś ci powiem. W niedzielę mam wieczorną zmianę. Może podjadę w sobotę po południu, żeby cię zabrać? Wygląda mi na to, że powinnaś zmienić towarzystwo. Może nawet przez wzgląd na dawne czasy zajrzysz do jadłodajni, żeby się przywitać? Stolik służbowy ciągle stoi pusty i czeka na ciebie.

- Właśnie dopadła mnie straszna myśl, Teri!

- Co takiego, kochanie?
- Już się za nim nie zmieszczę!

Odkładając słuchawkę, Hannah wciąż jeszcze słyszała śmiech Teri. Perspektywa odwiedzin u przyjaciółki ogromnie poprawiła jej nastrój. Pozbyła się uczucia, że tkwi w pułapce. Ale czyja to właściwie wina? Przecież Jolene wcale nie musiała bez przerwy dookoła niej skakać, starając się zaspokajać wszystkie jej potrzeby. Nie wiadomo jak i kiedy Hannah sama jej na to pozwoliła. Od tej chwili musi nabrać więcej pewności siebie, musi wyraźnie mówić, co myśli. Jak Teri. Teri nie pozwala sobą rządzić.

Zacnie już dziś wieczorem, przy kolacji.

Książd Jimmy zalogował się i natychmiast otworzył stronę władz Massachusetts. Pod „Ochrona konsumenta” znalazł listę oficjalnie uznawanych gałęzi przemysłu oraz zawodów i kliknął na „Lekarska Komisja Autoryzacyjna”. Na ekranie wyskoczył napis:

„Witamy na stronie «Sylwetki lekarzy stanu Massachusetts która zapewnia wszechstronne spojrzenie na ponad 27 tysięcy licencjonowanych lekarzy, prowadzących praktykę w naszym stanie”.

Dowiedział się o tej stronie ponad rok temu, kiedy u jego ojca wykryto raka prostaty. Pewnego wieczoru wrócił do domu i zastał staruszka rozpaczliwie wertującego książkę telefoniczną, gotowego powierzyć troskę o swoje życie pierwszemu lekarzowi, który odbierze telefon. Na szczęście kolega z seminarium powiedział Jimmy'emu o stronie „Sylwetki lekarzy”, która dostarczała podstawowych informacji na temat niemal wszystkich lekarzy w tym stanie, tak więc on i ojciec mogli przedsięwziąć znacznie bardziej racjonalne

- i pomyślne, jeżeli chodzi o końcowy rezultat - kroki w sprawie wyboru chirurga.

Poza pomocnymi szczegółami na temat wykształcenia i doświadczenia zawodowego, w każdym profilu znajdowała się informacja o szpitalach, z którymi współpracował dany lekarz, specjalności, latach praktyki, zasługach, nagrodach oraz publikacjach zawodowych. Co niemniej ważne, odnotowywano tam także każdy przypadek naruszenia etyki zawodowej lub też oskarżenie sądowe z ostatnich dziesięciu lat, podobnie jak środki dyscyplinarne, podjęte zarówno przez stanową izbę lekarzy, jak i przez którykolwiek szpital w Massachusetts.

Książd Jimmy wpisał w odpowiednie rubryczki Johanson oraz „Eric”, potem kliknął na „zaczynj wyszukiwanie”. W ułamku sekundy miał przez sobą poszukiwany życiorys. Urodzony w Gothenburgu, w Szwecji, doktor Johanson: uzyskał w Massachusetts dwunastoletnią licencję na wykonywanie zawodu lekarza, akceptował większość ubezpieczeń zdrowotnych i współpracował ze szpitalem Emersona. Studiował na wydziale medycyny na Uniwersytecie Sztokholmskim, a później w Wyższej Szkole Medycznej w Columbi, gdzie w 1978 uzyskał dyplom. W rubryce „specjalność” widniało „fizjolog rozrodu”; książd Jimmy założył, iż to bardziej wymyślne określenie ginekologa położnika.

W profilu nie było żadnej wzmianki o tym, aby doktora Johansona kiedykolwiek podawano do sądu za naruszenie etyki zawodowej, nigdy też nie podjęto przeciw niemu żadnych działań dyscyplinarnych. Był czysty jak łąza. Jego status potwierdzała przynależność to licznych stowarzyszeń zawodowych w Szwecji i w Stanach Zjednoczonych, choć ich na-

zwy, poza kilkoma, niewiele księdzu Jimmy'emu mówiły. Jeśli zaś chodzi o publikacje zawodowe, doktor Johanson musiał chyba pracować w nadgodzinach. We wzmiance można było wyczytać.

„Ponad 50 artykułów w takich periodykach jak Lancet, Tommorrow's Science, La Medecine Contemporaine oraz Scientific American, w tym „Spojrzenie przed siebie: przyszłość genetyki i rozmnażania”.

Przez całą kolację pożegnalną przed wyjazdem Letycja Greene nie mogła się powstrzymać od wygłaszania pochwał pod adresem Jolene. Na początek, jej ragout po marokańsku było wprost doskonałe, kruchutkie i delikatnie przyprawione, smakowite, i do tego „tak oryginalne danie”. Potem sam dom, tak pięknie urządzone, ale czegoż innego można się spodziewać po artystce, prawda?

- Artyści nie patrzą na świat tak jak ja czy pani, Hannah - wyjaśniła. - Ich oczy są różne od naszych. Są uwrażliwieni na kolory. Potrafią dostrzec odcienie, których nasza siatkówka nawet nie rejestruje.

- Wystarczy popatrzeć, jak Jolene pracuje - paplała - żeby wiedzieć, że wrażliwość tej kobiety jest niezwykle oryginalna. - (Hannah odnotowała, że po raz drugi, a zapewne nie ostatni, pada słowo „oryginalny”). - Nie każdy potrafi docenić jej wartość - przyznała Letycja. - Ale to przecież typowe w przypadku wizjonerów, prawda? Nam, zwykłym ludziom, potrzeba co najmniej pokolenia, żeby za nimi nadażyć.

Hannah słuchała jej uprzejmie, czekając na jakąś pauzę w rozmowie, lecz nie zapowiadało się, aby Letycja miała przerwać. Marshall także nie przyczyniał się do poprawy sytuacji,

nieustannie dolewając jej wykwintnego merlota.

W tej chwili Letycja trąkotła o tym, jaka to miłą tworzą razem rodzinę, cudowna rodzinę, ale z drugiej znów strony, co w tym niby takiego zaskakującego? Takie rzeczy wyczuwa się od samego początku albo nie. Jeśli się nie wyczuwa, nie ma co dopasowywać ludzi na siłę, to w końcu zawsze prowadzi do katastrofy. Ale jeśli się to czuje - to znaczy, jeśli ma się to szczególne przeczucie, a ona je miała - pamiętacie, co mówiłam o swojej intuicji? - cóż to za radość, co za satysfakcja!

- Myślę, że wszyscy powinniśmy pogratulować sobie takiego osiągnięcia - rzuciła, podnosząc w górę kieliszek.

- Za wspaniałe wakacje. Powiem pani, Hannah, że niewiele par zdobyłoby się na coś takiego. Czujecie się pani podekscytowana?

Przytknęła kieliszek do warg, powstrzymując na chwilę nieustający potok słów. Hannah pojęła, że nadszedł odpowiedni moment.

- Och, uważam, że bardzo wielkodusznie ze strony Jolene i Marshalla. Zbyt wielkodusznie!

- Nonsens! - wtrąciła Jolene.

- Nie, tak naprawdę jest. Właśnie sobie uświadomiłam, że to wasz ostatni wyjazd, zanim zostanieie rodzicami.

Marshall przytaknął skinieniem głowy.

- To właśnie dlatego lepiej, żebyśmy wyjechali już teraz. Potem może nie być zbyt wiele czasu na globtroterstwo.

- Tak, to właśnie miałam na myśli, zatem... cóż, pomyślałam sobie, że... że powinniście odbyć tę podróż tylko we dwoje. Czuję, że naprawdę bym przeszkadzała.

Marshall odstawił kieliszek i dotknął dłoni Hannah.

- Ale my naprawdę chcemy, żebyś pojechała z nami.

- To bardzo miłe, że o tym pomyślałaś - dodała Jolene. - Ale ten wyjazd jest dla nas wszystkich. Więc ani słowa więcej na ten temat. Wszystko już postanowione! - Ona także wyciągnęła ku niej dłoń, lecz wyczuwszy, że coś jest nie tak, cofnęła ją z powrotem. Wymieniły z panią Greene zaniepokojone spojrzenia.

Wszyscy zajęli się z powrotem zawartością talerzy, a w pokoju panowała cisza, którą ponownie przerwała Hannah.

- Chciałam podziękować wam za wszystko i za zaproszenie na wakacje, ale zdecydowałam, że nie pojedę.

Na twarz Jolene wystąpiły czerwone plamy, jakby ktoś uderzył ją otwartą dłonią w oba policzki.

- Mówi pani serio? - odezwała się Letycja Greene. - Co się właściwie stało?

- Nic się nie stało.

- Ale przecież Jolene i Marshall chcieliby pani w ten sposób podziękować. Rozumie pani, prawda?

- Nie chcę nikomu sprawiać przykrości. Ale wolałabym nie jechać.

- Czy może nam pani powiedzieć dlaczego? - Jeszcze parę sekund temu tak ożywiona winem i wesoła, pani Greene natychmiast otrzeźwiała. W głosie pojawił się surowy, autorytatywny ton dyrektorki szkoły, udzielającej napomnień uczniom, która okazuje niczym nieuzasadnione kaprysy. - Należałoby się tu jakieś wyjaśnienie.

- Pani Greene, czy w mojej umowie jest gdzieś napisane, że muszę mieszkać w jakimś konkretnym miejscu lub jechać tam, gdzie mi się każe?

- Doskonale pani wiadomo, że nie.
- Znakomicie. Doceniam to, że zostałam zaproszona, lecz muszę to zaproszenie odrzucić.
  - W takim razie widzę tylko jedno rozwiązanie - wtrąciła Jolene pełnym dramatyzmu głosem. - Odwołamy wyjazd.
  - Proszę tego nie robić - upierała się Hannah.
  - Nie pozostawiasz nam zbyt wielkiego wyboru. Sądziś, że zostawimy cię tu całkiem samą? W Święto Dziękczynienia? A jak sobie poradzisz z posiłkami i ze wszystkim? A co będzie, jeśli coś ci się stanie? Przecież trzeba mieć na względzie dziecko!
  - Już o tym pomyślałam. Umówiłam się i spędzę święta gdzie indziej.
  - Naprawdę?
- Jolene odsunęła się z krzesłem.
- Nie wiem, czy możemy na to pozwolić, Hannah - wyrwało się pani Greene.
  - Pozwolić? Chyba nie jestem tutaj więźniem?
  - Oczywiście, że nie.
- Marshall uniósł dłoń, nakazując im ciszę.
- Myślę, że potrzebujemy chwili, aby ochłonąć. Robi my stanowczo za dużo szumu wokół tej sprawy.
- Jednak Jolene nie dało się tak łatwo uciszyć.
  - Naprawdę, Marshall? Hannah wie o wycieczce już od tygodnia. Dlaczego czekała aż do ostatniej chwili, żeby nas oświecić? A przez cały ten czas knuła za naszymi plecami, załatwiając wszystko po swojemu. Nie podoba mi się takie oszukiwanie.
- Hannah zdumiała gwałtowność własnej reakcji.
  - Nie sądzę, aby ktokolwiek przy tym stole miał prawo zarzucać mi oszustwo. A już na pewno nie ty, Jolene. Ani

pani Greene. Żadne z was. - Napięta cisza, jaka zapadła po jej słowach, pozwoliła jej się zorientować, że trafiła w czuły punkt.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Hannah? - odezwał się wreszcie Marshall.

Hannah miętoszyła nerwowo serwetkę na kolanach. Nie miała zamiaru pozwolić, aby wzbudzili w niej poczucie winy, nie zrobiła przecież nic złego. Ciotka Ruth już za długo wykorzystywała przeciwko niej tę taktykę. Żeby dodać sobie odwagi, pomyślała o radzie, jakiej udzielił jej ksiądz Jimmy. Jeśli ma do Whitfieldów jakieś pytania, sama powinna je zadać. Teraz już nie można się wycofać.

- Kto to jest Warren? - zwróciła się do Jolene.

Przez wargi Jolene przemknął leciutki uśmiezek.

- Coś mi się zdaje, że ktoś węszył w mojej pracowni. Wiesz, dokąd prowadzi ciekawość, prawda?

- Patrzyłam tylko... na obrazy, nic więcej.

- Oczywiście. Jeśli masz jakieś pytania, Hannah, powinnaś przyjść z nimi prosto do mnie. Warren to mój syn.

- Jolene! - zaprotestowała pani Greene.

- Nie, ma prawo wiedzieć. Myślałam, że jeśli będę każdemu rozpowiadać, że już mam syna, trudniej będzie nam znaleźć zastępczą matkę. To wszystko. Bo widzisz, Warren nie jest synem Marshalla, a chodziło o to, że chcemy mieć to dziecko razem. Urodziłam Warrena, kiedy byłam bardzo młoda. Nie byłam nawet zamężna. Wychowała go babcia. To było w zupełnie innym życiu. Powinnam ci była o tym opowiedzieć. Czy to ci wystarczy, Hannah'

- Wielkie nieba! Czy to ta sprawa nie dawała pani spokoju dziś wieczorem? - zapytała Letycja z westchnieniem ulgi. - Proszę nie mieć tego za złe Jolene, Hannah. Wina leży po



mojej stronie. Nie poruszyłam tego przy naszym pierwszym spotkaniu, bo sądziłam, że to nie ma znaczenia. A już na pewno nie deprecjonuje tego, co pani teraz robi. Problemy Jolene pojawiły się później. Są prawdziwe. Ona i Marshall pani potrzebują. Wszyscy pani potrzebujemy. No cóż, to tylko dowodzi, że miałam rację, kiedy powtarzałam, że dobre porozumienie to smar, dzięki któremu „Partnerstwo dla rodzicielstwa” funkcjonuje jak należy.

- Czy w takim razie mogę zapytać o coś jeszcze?

- Oczywiście, że tak.

- Kto to jest Judith Kowalski?

- Słucham?

- Judith Kowalski. Zna ją pani, prawda, pani Greene?

Znają pani doskonale.

- Obawiam się, że nie mam pojęcia, do czego pani zmierza.

- Do prawdy.

- O jakiej prawdzie pani mówi? - Głos kobiety brzmiał teraz sucho i twardo, a twarz przybrała surowy, podobny do maski wyraz. Nieświadomie uniosła dłoń do srebrnego talizmanu u szyi.

Talizman! Dopiero teraz Hannah go rozpoznała. Krzyż, kwadratowy. Wspierany przez dwa klęczące u podstawy anioły. Kopia krzyża z katedry w Oviedo.

- Proszę mi opowiedzieć o sudarium.

- O czym?

- O sudarium. I proszę nie udawać, że nie ma pani o niczym pojęcia. Widziałam zdjęcia w pracowni Jolene.

Pani Greene podniosła się gwałtownie i rozprostowała zmiętą spódnice.

- Wybacz nam pani, że wyjdziemy na moment? - Skinęła krótko głową Jolene i Marshallowi, którzy ruszyli za nią do kuchni.

Hannah słyszała dochodzące zza zamkniętych drzwi szept. Kiedy drzwi znów się otwały, wyszła z nich najpierw pani Greene, a za nią, w pełnym szacunku oddaleniu Jolene i Marshall. Sposób bycia Letycji cechowała teraz lodowata rzeczowość.

- Hannah - odezwała się - chyba nadszedł czas, abyśmy odbyły małą rozmowę.

## Rozdział 34

Księdzu Jimmy'emu aż kręciło się w głowie od wszystkich informacji, jakie najpierw ściągnął na swój komputer, a potem wydrukował. Było już dobrze po północy, a on przez trzy godziny nie odchodził od biurka, tylko raz wstał, aby rozprostować zeszytniale członki i przemyć zimną wodą zmęczone oczy. Wszędzie dookoła leżały zadrukowane strony. Kusiło go, żeby zadzwonić do Hannah, ale było już zbyt późno. Wiedział zresztą, że powinien najpierw dokładnie przemyśleć całą sprawę, aby nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

W archiwach internetowych Tomorrow's Science udało mu się odnaleźć ów artykuł doktora Johansona „Spojrzenie w przyszłość: prognozy genetyki i rozmnażania”. W większości tekst miał charakter zbyt naukowy, by ksiądz Jimmy mógł coś z tego zrozumieć, onieśmielony takimi terminami jak „embriologia”, „stan spoczynku” i „biotechnika”. Ale po trzykrotnej lekturze, udało mu się pojąć mniej więcej sens.

Dowiedział się, iż w warunkach laboratoryjnych można wykorzystać bardzo precyzyjnie sterowaną igłę, aby za jej pomocą uzyskać materiał genetyczny z jednej z komórek

otaczających jajniki myszy. Materiał genetyczny, inaczej DNA, można później przetransplantować do komórki jajowej innej myszy, z której uprzednio wyssano DNA. Przy odpowiedniej stymulacji chemicznej z komórki jajowej rozwija się embrion, który później można wszczepić do macicy trzeciej myszy, zastępczej matki. A na koniec ta trzecia mysz urodzi wreszcie młode, które będą idealną kopią genetyczną pierwszej myszy. Klonem!

Jeśli ta technika działa w przypadku kilku innych gatunków, dlaczego nie miałyby zadziałać u człowieka? W rzeczy samej, doktor Johanson podsumowywał swój artykuł twierdzeniem, że klonowanie istot ludzkich jest nie tylko wykonalne, ale i wysoce pożądane, jako „reprodukcyjna wolność wyboru”. Wolność, której „nie powinno się, a nawet nie wolno ograniczać prawnie”.

Zaintrygowany ksiądz Jimmy czytał dalej i wkrótce przekonał się, że tonie w materiałach, dających jasno do zrozumienia, iż cała ta dziedzina jest w istocie o wiele bardziej rozwinięta, niż przypuszczał. Przeprowadzono pomyślnie klonowanie owiec i krów, cały proces zaczynał przebiegać „rutynowo”, a stosowane przy nim techniki były coraz skuteczniejsze. Badania komórek rdzenia kręgowego znajdowały się w pełnym rozkwicie. Nie było bynajmniej głupim pomysłem założenie, że pełne klonowanie istoty ludzkiej będzie miało miejsce „raczej prędzej niż później”. Lekarze na całym świecie potwierdzali to otwarcie.

Kwestie etyczne to kolejny kij, który prawodawcy i przywódcy religijni wsadzili w następne mrowisko. Opinie najwyraźniej plasowały się na dwóch przeciwnych biegunach: na jednym stali ci, dla których takie eksperymenty były obmyślenie i nie do pomyślenia, z drugiej - ci, którzy witali je

przychylnie i określali mianem „skoku w dwudziesty pierwszy wiek”. Ksiądz Jim my uzmysłowił sobie, że sam jeszcze należycie tego nie przemyślał. Żywił podstawowe przekonanie, iż cud życia i prokreacji stanowi cześć wiecznej chwały Boga, nie człowieka. A wiedział, że ludzie, którzy chcą się odgrywać role Boga, bywają niebezpieczni.

Potańił czoło, mając nadzieję rozproszyć nasilający się ból głowy. Ramiona zeszytniały mu od ślęczenia przy komputerze. W obliczu tajemnic nauki czuł się mały i nierozumny, podczas gdy tajemnice wiary podnosiły go na duchu i sprawiały, że czuł się większy niż w rzeczywistości. Wierzył, że nieograniczone możliwości odnaleźć można tylko w Bogu, nie w nauce, która potrafi jedynie nadszarpnąć zewnętrzne krańce nieskończoności. Naukowcy są jak detektywi, którzy twierdzą, że wiedzą dokładnie, co znajduje się w ciemnym pokoju, choć za ledwie uchylili do niego drzwi.

Postanowił wrócić jeszcze na strony poświęcone całunom, które znalazł onegdaj. Tu przynajmniej stąpał po pewniejszym gruncie.

Jeszcze raz spojrział na zdjęcie Judith Kowalski i uważnie przyjrzał się ciepłej, przyjaznej twarzy. (Od jego ostatniej wizyty stronę odwiedziło 8 osób.) Odczytał ponownie cele programowe stowarzyszenia: „Krzewić na całym świecie informacje o całunie turyńskim i chuście z Oviedo, promować i zachęcać do naukowych badań nad ich autentycznością”. Nic szczególnie podejrzanego, choć spodziewał się, iż owo krzewienie informacji i badania nad autentycznością mogą nosić znamiona prozelityzmu.

Koniec końców, jeśli maleńkie drzazgi z prawdziwego Krzyża mogą wzniecić u wiernych tak żarliwą wiarę, o ileż

większy potencjał musiał tkwić w kawałkach płótna, które spowijały ciało Chrystusa i nosiły ślady jego męczeństwa. Na samym dole strony, pod nagłówkiem „Lektura dodatkowa” znajdowała się lista publikacji, które można zamówić pod adresem stowarzyszenia, każda za 9,95 dolarów, plus koszty wysyłki. Ksiądz Jimmy nie zauważył ich wcześniej. Przeleciał wzrokiem całą listę. Same tytuły prezentowały się akademicko i sucho:

\* „Pyłki kwiatowe z Egiptu i Afryki Północnej oraz ich implikacje”

\* „Ukształtowanie obrazów na całunie”

\* „Analiza węglowa jako narzędzie”

\* „Płótna pogrzebowe Jezusa: czy to może być DNA Boga?”

Jak sobie wyobrażał, wszystkie napisano prozą, której wzniosłość gwarantowała, że czytelnik zaśnie już po pierwszej stronie.

Gotów był wyłączyć komputer i pójść do łóżka, kiedy nagle kilka fragmentów tej zagadki ułożyło mu się w głowie jak puzzle. Nawet nie bardzo wiedział, jak do tego doszedł. Po prostu się stało. Nic - i nagle coś. Jak grom z jasnego nieba. Wyprostował się na krześle. Ekran komputera był zamazany, lecz jego myśl, była jasna i klarowna.

Powiedział sobie: to niemożliwe. Scenariusz, który nagle pojawił się w jego głowie, był tak szaleńczy, że nie mógł być prawdziwy. Jest już późno. Ponosi go wyobrażenia. Albo może już śni. Odsunął się od biurka i zapatrzył się w krucyfik, całą siłą woli próbując wrócić do rzeczywistości. Na plebanii dało się słyszeć jedynie ciche buczenie komputera i lekkie pochrapywanie księdza proboszcza w sypialni na piętrze. Cisza spotęgowała tylko przerażenie, jakie zaczęło go

ogarniać. Wszystkie fragmenty: doktor Johanson, sudarium, DNA, zdjęcia z segregatora Jolene Whitfield, „Partnerstwo dla rodzicielstwa” - wszystko ułożyło się w okropną, sensowną całość. Wszystko do siebie pasowało!

A Hannah tkwi w samym środku tego wszystkiego!

## Rozdział 35

**N**a zewnątrz wciąż jeszcze było ciemno, kiedy Hannah powlokła się do łazienki. Czuła się oszołomiona i osłabiona, ale nie chciała włączać światła, żeby nie wybić się ze snu. Wysikała się po ciemku, a potem po omacku, jak niewiedoma, ruszyła z powrotem do łóżka. Pościel była rozkopana i zmięta, więc wygładzenie jej z powrotem wymagało nieco wysiłku. Przez cały czas czuła, jak powoli, stopniowo, małymi skokami wraca jej świadomość, tak więc kiedy wsunęła się wreszcie pod kołdrę, ułożyła wygodnie poduszki i zawięła się przytulnie, poczuła się prawie całkiem rozbudzona.

Leżała więc, myśląc, że teraz dynamika domu przedstawia się zupełnie inaczej. Jej pozycja uległa przemieszczeniu. W uszach wciąż rozbrzmiewały słowa: „Zostałaś wybrana”. Czy to możliwe? Czy naprawdę wczoraj wieczorem ktoś tak do niej powiedział? Potem przypomniała sobie, że ktoś inny mówił, iż wszystko zostało „ułożone z góry”-

Przez chwilę miała wrażenie, że to tylko fragmenty jakiegoś snu, który przypominała sobie nie całkiem rozbudzona. Jak przezroczyste bańki mydlane pękają, kiedy tylko Hannah wstanie i rozpocznie nowy dzień. Już teraz unoszą się coraz



dalej od niej, znikając wśród niebiańskiej jasności.

Powoli dotarło do niej, że ta niebiańska światłość to po prostu słoneczny poranek, który dociera przez zasłony. Znów wstała i ruszyła na kolejną wycieczkę do łazienki, tym razem, aby spryskać twarz zimną wodą. Musiała wyklarować sobie w głowie, aby móc poukładać w myślach wydarzenia wczorajszego wieczoru. Potrzebowała tylko filiżanki mocnej kawy i kilku chwil spokoju, zanim wstanie reszta domowników.

Deski podłogi zatrzeszczały cichutko, kiedy podchodziła do drzwi. Chwyciła za gałkę i ku swojemu zdziwieniu przekonała się, że nie może jej przekręcić. Spróbowała mocniej. Gałka nadal się nie poddawała, spróbowała więc obiema rękami. Szarpnęła jeszcze trzeci raz i wtedy się zorientowała, że nic się nie zacięło. Zamknęli ją na klucz.

Powoli wracało do niej wspomnienie tamtej pożegnalnej kolacji: przypomniawszy sobie, że pani Greene popatrzyła jej prosto w oczy i oświadczyła, iż Hannah jest naczyniem. Jedynym w swoim rodzaju naczyniem. A potem plotła długo o tym, jak to zostali do siebie nawzajem doprowadzeni.

„Jesteś błogosławiona między niewiastami” – dodała Jolene nienaturalnie wysokim głosem. Hannah pamiętała to wszystko bardzo wyraźnie. A potem, kiedy zapytała, dlaczego tak się stało, oczy kobiety zaszklili ekstaza i odpowiedziała jej po prostu: „To cud. Czy nie widzisz? Cud!”. Powtarzała to w kółko.

„Nie naszą rzeczą jest kwestionowanie Bożej mądrości - podkreślała pani Greene. - Zebrał nas tu razem. Będzie nas strzegł”.

Wszystko jej się teraz przypominało. A wtedy natychmiast wróciła myślą do dziwnych śródnocnych epizodów w ogrodzie, kiedy Jolene mówiła podobnym tonem, klęcząc na trawie, oczarowana nie widokiem ciemnych sylwetek sosen w odległym kącie ogrodu ani pędzącymi po nocnym niebie chmurami, lecz przez coś, a raczej kogoś innego. Tak więc zapytała bez ogródek:

„Czy to z Nim Jolene rozmawia po nocach w ogrodzie? Z Bogiem?

„Nie z Bogiem - odparła Jolene, nadal w stanie ekstazy. - Z Jego Matką. A tym razem ty będziesz Jego matką”.

Potem zaczęła się chwiać do przodu i do tyłu, z załzawionymi, błyszczącymi oczyma. Po chwili jej kołysanie tak przybrało na sile, że Hannah zaczęła się obawiać, iż kobieta zaraz się przewróci. Marshall i pani Greene wspólnie ją przytrzymali, lecz Hannah nie miała wątpliwości, że i oni przeżywają ten dziwny moment.

Wreszcie, po długim czasie, pozwolili jej pójść do pokoju. Kiedy doszła na piętro pani Greene zawołała za nią: „Spłynął na ciebie wyjątkowy zaszczyt, nigdy o tym nie zapominaj, Hannah. Wieczysty zaszczyt”. Odbijające się echem na klatce schodowej słowa zdały się płynąć znikąd.

To wcale nie był sen.

Wpadające przez zasłony światło stawało się coraz jaśniejsze, co oznaczało, że słońce już uniosło się ponad stodołę. Hannah odwróciła się plecami do drzwi sypialni, oparła się o nie i zadrżała. Jak do tego wszystkiego doszło?

Objęła rękoma brzuch, jakby chciała utulić dziecko w środku. „On” - mówili o nim tamci. A więc nosi chłopca. Skąd oni to wiedzą? No tak, ultrasonograf. Przynajmniej w to może uwierzyć bez trudu.

Ale co z całą resztą? Z tym gadaniem o Bogu, naczyniach i przeznaczeniu, które zgromadziło ich razem, aby mogło się narodzić to dziecko? Czy łudzą sami siebie? Czy naprawdę wierzą, że ona nosi dziecko... Zanim jeszcze zdołała dokończyć tę myśl, poczuła wzbierającą w środku panikę, zimną i kwaśną. Jeszcze raz spróbowała otworzyć drzwi, potem zaczęła w nie łomotać, dopóki nie rozboleły jej pięści. Na dole nikt się nie ruszył, więc załomotała jeszcze głośniejszym, aż wreszcie usłyszała na schodach czyjeś kroki.

Odsunęła się i czekała. Szczękniętą obracany w zamku klucz, a potem drzwi otwarły się powoli, ukazując doktora Johansona. Za nim stała Letycja Greene, trzymając przed sobą tacę ze śniadaniem.

- Jak się czujemy tego pięknego poranka? - zapytał doktor Johanson, jakby to była zwykła wizyta w jego gabinecie.

- W porządku - wymamrotała Hannah, cofając się tak, że aż uderzyła plecami o krawędź łóżka.

- To dobrze, to dobrze. Teraz sen jest znacznie ważniejszy niż przedtem. - Przepuścił panią Greene, by mogła postawić tacę ze śniadaniem na biurku.

- Płatki owsiane na mleku - objaśniła. - Idealne na chłodny, zimowy poranek.

- Dziękuję, Judith. Możesz nas teraz zostawić. Kobieta z widoczną niechęcią poddała się życzeniom doktora Johansona i skierowała się do wyjścia. W drzwiach przystanąła i dla podbudowania chwilowo przyćmionego autorytetu, poinstruowała Hannah:

- Uważaj, żeby nie wystygły. Zimne płatki owsiane na mleku nie nadają się do niczego, sama wiesz.

Doktor Johanson odczekał, aż sobie pójdzie.

- A więc - zaczął, zacierając ręce, tak jakby mył je przy jakimś wyimaginowanym kranie - słyszałem, że mieliście tu wczoraj dość interesujący wieczór. - Wciąż cechował go ten sam jowialny sposób bycia, te same zmarszczki wokół oczu, kiedy się uśmiechnął. Lecz było w nim coś jeszcze coś, czego Hannah nie potrafiła jasno zdefiniować. Wydał się jakiś zwarty, bardziej skondensowany, jakby jego obfite ciało uklepano jak wzgórek gliny. Błysk w oku kojarzył się już ze staroświecką uprzejmością, zdawał się o wiele bardziej przenikliwy, kojarzył się z odbitymi od lustra błyskami światła.

Odwróciła wzrok.

- Wszyscy jesteście w zмовie, prawda?

- Tak. Ale ty także w tym tkwisz, Hannah. Jesteś najważniejsza z nas wszystkich.

- Nie prosiłam o to.

- Nikt z nas się o to nie prosił, Hannah. Wszystkich nas wezwano, aby każdy przyczynił się tak, jak najlepiej potrafi. Twój wkład jest najbardziej osobisty i wręcz kluczowy. Jestem pewien, że to rozumiesz.

- Dlaczego mnie okłamaliście? Pani Greene? Wy wszyscy?

- Okłamaliśmy? Poproszono cię, abyś donosiła dziecko Whitfieldom, nic więcej. Zgodziłaś się. A teraz odkryłaś, że to nie tylko ich dziecko, że to dziecko wszechczasów. Czy to coś zmienia?

Postąpił o kilka kroków w jej stronę, a Hannah cofała się nieznacznie, mając nadzieję, że nie będzie jej dotykał.

- Dlaczego akurat ja?

- A dlaczego Maria? Dlaczego Bernadette z Lourdes, niewinna czternastolatka? Czy był jakiś powód, dla której go ona

została wybrana, a nie kto inny? Możesz mi powiedzieć, dlaczego dziewiętnastoletnia kelnerka, bez chłopaka i bez rodziny, odczuwa tak silną potrzebę, by zostać matką? Możesz wyjaśnić, co cię wtedy przyciągnęło w tym ogłoszeniu w gazecie? Nie możesz. Ważne jest tylko, aby każdy z nas zaakceptował swoją rolę i był za nią wdzięczny. Jego słowa mocno ją zmieszaly. Owszem, szukała czegoś, co pomogłoby ukierunkować jej życie. Owszem, myśl o tym, że będzie miała dziecko, napełniała ją radością, nie strachem. Ale to był jej wybór, niczyj inny. A to ogłoszenie? No cóż, wpadło jej w oko w gazecie Teri, więc czy to znaczy, że Teri też stanowi część boskiego planu? Nie, wszystko to razem jest po prostu śmieszne.

- Widzę, że mi nie wierzysz - odezwał się doktor Johanson zbolalym tonem. - Pewnie nie umiem wyjaśnić, jak należy. Ech, ten angielski! Czasem jest taki męczący. Usiądź, Hannah.

- Postoję.

- Jak sobie życzysz. Pozwól, że spróbuję wyjaśnić to inaczej. Jezus powiedział nam, że zostanie z nami na zawsze. Do końca świata. Czytamy o tym w Biblii i sądzimy, że to znaczy, iż jego duch będzie nad nami czuwał, tak? Więc czuwa. Ale kiedy mówił, że będzie z nami na zawsze, miał na myśli obecność dosłowną, nie duchową. Po pierwsze, zostawia nam swój wizerunek na kawałku płótna, na całunie turyńskim. Nikt go nie widzi przez 1800 lat. Aż w końcu jakiś człowiek wymyśla fotografię, robi mu zdjęcie, a negatyw ujawnia twarz i resztę ciała Jezusa, które widniały tam przez cały ten czas. Przez tysiąc osiemset lat!

Pozostawił nam także swoją krew. Na całunie, tak, i na sudarium. Krew z ran w boku i na głowie, krew z dłoni i stóp.

A teraz odkryto, że w tej krwi, tak jak w każdej innej komórce ciała, jest DNA, które zawiera w sobie całą wiedzę o tamtej osobie. To DNA jest jak projekt. Jak kod. Jeśli umiemy je wyodrębnić i włożyć w komórkę jajową, będziemy mogli powielić tę osobę, sprowadzić ją z powrotem. Wielu ludzi wierzy, że nauka oddała nas od Boga. Ale to nie tak. Nauka jest częścią boskiego planu. W ten właśnie sposób On powróci na ziemię. Nauka jest odpowiedzialna za jego powtórne przyjście. Rozumie pani teraz?

Nie rozumiała. W głowie jej pulsowało. Jeśli wszystko, co on tu opowiada, to prawda... ale nie, to przecież nie może być prawda. Nosi w swoim łonie chłopca, zwyczajnego chłopca, który kopie i kręci się w jej brzuchu, tak jak to robią zwykle dzidziusia. Doktor Johanson może sobie opowiadać, co mu się żywnie podoba. Hannah dobrze wiedziała, co czuje w środku. A on bredzi o jakichś szaleństwach.

Uświadomiła sobie, że mężczyzna czeka, aż ona w jakiś sposób potwierdzi, że przyjęła to wszystko do wiadomości. Co więcej, oczekiwał, iż okaże zadowolenie, że, usłyszawszy jego rewelacje, będzie czuła się pochlebiona. Miał teraz przyspieszony, płytki oddech. Wyczuwała, że najlepiej będzie pozwolić mu się wygadać.

- Dlaczego On nas potrzebuje? Czy nie mógłby sam powrócić? - zdołała wykrztusić z siebie pytanie, mając jednocześnie nadzieję, że nie dolewa oliwy do ognia.

Jednak Johanson uśmiechnął się tylko, jakby oczarowany jej naiwnością.

- Oczywiście, że mógłby. Ale do nas należy sprowadzenie go z powrotem. Żeby pokazać, iż znów chcemy się nauczyć, podążać za Nim, paść mu do nóg. Wybrał nas. Ale

i my musimy wybrać jego. A Bóg włożył nam w ręce wszystkie narzędzia, które pomogą nam to okazać. Zawierzył na swoje święte nasienie. A my je tylko zasadziliśmy.

Niewiele rozumiała z jego słów, lecz pokiwała głową w udanym zamyśleniu, aby pokazać, że się z nim zgadza. Cóż innego jej pozostało, dopóki nie uda jej się dotrzeć do księdza Jimmy'ego lub Teri - kogoś, kto przynajmniej pomógłby jej się wydostać z tego domu...

- Czy to, co robimy, jest dobre? - zapytała.

- To najwspanialsza rzecz, jaka może się przydarzyć ludzkości! Znowu mieć wśród nas Jezusa! Wszystkie moje studia i badania służyły wyłącznie temu celowi! Każdy szuka w życiu jakiegoś celu. Whitfieldowie, Judith Kowalski, nawet ty, moja droga Hannah. I ty także go poszukujesz. A wkrótce się przekonasz, że nasz cel jest największy z największych. Czy nie masz ochoty się teraz położyć?

- Nie.

Ujął ją za ramię tak mocno, że czuła, jak paznokcie przebijają przez flanelową koszulę nocną. Powstrzymała krzyk.

- Wydaje mi się, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Pozwól, że pomogę.

Strąciła jego dłoń ze swego ramienia.

- Nie, nie trzeba. Poradzę sobie sama.

Przyglądał jej się uważnie, kiedy pakowała się z powrotem do łóżka. Nakazała sobie w myślach nie okazywać po sobie strachu, ale nogi trzęsły jej się pod kołdrą. Ciężar dziecka - jej dziecka, a nie ich - wcisnął ją w materac. Znowu kopało. Utkwiła wzrok w suficie.

- O wiele lepiej, tak? - zapytał słodkim głosem, kiedy znieruchomiała.

W odpowiedzi dotarło do niego cichutkie:

- Dlaczego zamknięto drzwi?

- Może sądzimy, że jeszcze nie do końca zdałaś sobie sprawę z tego, jak ważny jest twój cel - odparł. - Ale jeszcze to zrozumiesz. Na pewno. Już dobrze, chcesz zjeść płatki? Zimne są niedobre. Ale gorące bywają bardzo smaczne, tak?

Hannah aż się wzdrygnęła, kiedy dotarło do niej, iż powrócił do poprzednich dwornych manier.



## Rozdział 36

Podobnie jak Hannah, ksiądz Jimmy również, obudziwszy się tego ranka, zaczął się zastanawiać, na ile jasno był w stanie myśleć poprzedniego wieczoru. Koniec końców, obmyślił scenariusz, który każdy rozsądny człowiek skwitowałby machnięciem ręki, a teraz, kiedy w kuchni zaparzał sobie w dzbanku kawę, ten pomysł wcale nie wydawał mu się ani trochę mniej absurdalny.

Dzień zapowiadał się krystalicznie jasny i lodowato chłodny, a w blasku wpadającego przez okno dziennego światła spisek, który o północy przerażał swoim ogromem, teraz wydał się znacznie mniejszy. Niemniej po dwóch filiżankach kawy i miseczce płatków ksiądz Jimmy stwierdził, że wciąż nie potrafi oderwać myśli od kłopotliwego położenia Hannah. Jedno wiedział na pewno: dopóki sprawy się nie wyjaśnią, lepiej jej będzie w każdym innym miejscu niż w domu przy Alcott Street.

Kwaśne odczucie w żołądku uświadomiło mu, że kawa była zbyt mocna, chyba że powodem pieczenia był raczej niepokój. Aby się uspokoić, wykręcił numer Whitfieldów mając nadzieję, że Hannah odbierze telefon, nie bardzo wiedział, co miałby powiedzieć, gdyby ktoś inny podniósł

słuchawkę. Lecz telefonu nikt nie odbierał, więc po dieśięciu sygnałach młody kapłan poddał się, nie zdoławszy rozproszyć swych obaw. Może Whitfieldowie przyspieszyli wyjazd na te swoje „wakacje”. Obecnie to określenie wcale nie brzmiało dlań zbyt radośnie.

Kiedy późnym rankiem wysłuchiwał spowiedzi - w większości starszych kobiet, wyznających mu jakieś stare, nudne grzeszki - myślami wciąż powracał do Hannah, powróciło również tamto kwaśne odczucie w żołądku. Kiedy ostatnia osoba odeszła od konfesjonału, pozostał na miejscu czekając, aż proboszcz Gallagher także będzie wolny.

Stało się już tradycją, że ksiądz Jimmy szedł później do konfesjonału proboszcza, aby zrzucić z siebie cotygodniowy ciężar przewin. Ponieważ doktryna katolicka uznaje za grzeszne zarówno myśli, jak i uczynki, ksiądz Jimmy niemal zawsze podpadał pod tę pierwszą kategorię grzechu i bardzo często kończyło się na tym, że księża omawiali w konfesjonale naturę grzechu i własne wysiłki, jakie podejmowali dla odparcia pokus. Rozmowy te, które równie dobrze mogli prowadzić na plebanii, przychodziły im jakoś łatwiej, kiedy rozdzielala ich drewniana kratka konfesjonału.

Tak więc zgodnie ze zwyczajem, ksiądz Jimmy podszedł i uklęknął przy konfesjonale.

- Pobłogosław mi, ojcze, albowiem zgrzeszyłem. Ostatnio byłem u spowiedzi świętej siedem dni temu. Oto moje grzechy... - Tym razem nie był jednak pewien, co ma mówić dalej. Temat, który zamierzał podjąć, był delikatnej natury i wymagał bardzo starannego doboru słów - słów, które jakoś nie chciały przychodzić do głowy. Pauza tak się przedłużyła,

że proboszcz zaczął się zastanawiać, czy młody ksiądz po prostu nie odszedł.

- James, jesteś tam jeszcze? - Nie mógł się zdobyć na to, by do swego młodego podopiecznego mówić „Jimmy”. Brzmiało to zbyt bezpośrednio. W tym nowoczesnym świecie zniesiono dostatecznie wiele barier, a on uparcie trwał w przekonaniu, iż duszpasterz powinien trzymać się nieco z dala od swojej trzódki, powinien być przewodnikiem i przykładem dla tych, którym służył, nie przyjacielem i powiernikiem. Dla nich był proboszczem Gallagherem, nie proboszczem Frankiem. I to się już nie zmieni.

- Tak, proszę księdza... Wydaje mi się, że mogłem... mogłem przekroczyć pewne granice, kiedy zajmowałem się sprawami jednej z parafianek.

Nawet nie pytając, proboszcz był pewien, że chodzi o Hannah Manning, i miał nadzieję, że owo przekroczenie granicy nie było eufemizmem dla popełnionej cielesnej nierozwagi. Już raz próbował ostrzec księdza Jimmy'ego, aby zachował dystans. Jasne, że James jest zbyt inteligentny i ma przed sobą zbyt obiecującą przyszłość, aby poddać się tak prymitywnym zachciankom.

- W jaki sposób? - zapytał, starając się zachować neutralny ton. Nastąpiła kolejna długa pauza.

- Obawiam się, że pozwoliłem, aby zbyttnio się ode mnie uzależniła.

Westchnienie ulgi, jakie wydał z siebie proboszcz, było zupełnie niesłyszalne.

- To się zdarza, Jamesie. Kiedy nabierzesz doświadczenia, nauczysz się, jak zachowywać emocjonalny dystans. Ale to jeszcze nie grzech. Nie jest to coś, z czego trzeba się spowiadać. Chyba że to jeszcze nie wszystko.

- Właściwie tak, poza tym, że chcę, aby była ode mnie zależna. Podoba mi się to uczucie, jakie się wtedy we mnie budzi. Myślę o niej więcej niż powinienem.

- W niewłaściwy sposób?

- To możliwe.

- Czy ona wie o tych odczuciach?

- Tak mi się wydaje.

- Rozmawiałeś z nią o tym?

- Nie, proszę księdza, nigdy. Zakładałam po prostu, że wy-czuwa moją... troskę. Odczuwam w sobie silną potrzebę, aby ją chronić. To swojej potrzeby się obawiam, a nie jej.

- W takim razie chcę ci zaproponować natychmiastowy środek zaradczy. Dopóki w pełni nie ogarniesz natury tej swojej „potrzeby” i nie będziesz w stanie nad nią zapanować, lepiej będzie, kiedy ja przejmę przewodnictwo duchowe nad tą osobą. Czy masz coś przeciwko temu?

- To mnie zaufała, księżę proboszczu.

- Nie bądź próżny, James. Ona może zaufać także komu innemu. Wstąpiłeś na krętą ścieżkę, trzeba położyć temu kres. I w ten właśnie sposób rzecz się zakończy. - Mówił stanowczym tonem, który wykluczał wszelkie kompromisy.

- Rozumiem.

- Jestem pewien, że tak. Czy coś jeszcze?

- Tylko kwestia teologiczna, jeśli można.

Proboszcz rozluźnił się nieco, z zadowoleniem porzucając domenę niesfornych uczuć na rzecz teorii wyższych.

- Proszę bardzo.

- Biorąc pod uwagę dzisiejsze możliwości techniczne, jak zareagowałby Kościół, gdyby jakiś naukowiec próbował sklonować Jezusa?

- James! - Proboszcz nie potrafił powstrzymać wybuchu śmiechu. - Znow zacząłeś czytać te swoje powieści fantastyczno-naukowe? Nie jest to temat, nad którym warto marnować czas na rozmyślanie.

- To już nie jest science fiction. Nauka posiada już stosowną wiedzę.. Klonowano już komórki ludzkie. Zresztą, pytam tylko na zasadzie „co by było, gdyby”.

- Co by było, gdyby niebo miało spaść nam na głowy?! Co by było, gdyby wyrosła mi trzecia noga?! Doprawdy, James. Nie można nikogo sklonować z powietrza. Trzeba mieć coś na początek. Nie myślę się chyba? A co by to miało być w przypadku Jezusa?

- Jego krew.

- Jego krew?

- Tak, krew, którą pozostawił na całunie turyńskim i chuście z Owiedo.

Teraz z kolei proboszcz długo szukał właściwych słów. Co to za bzdury? Dobrze wiedział, skąd mogły się wziąć. Cały czas, który spędza przy komputerze, James mógłby wykorzystać znacznie bardziej pożytecznie. Chyba trzeba będzie narzucić pewne ograniczenia w tej sprawie.

- Te relikwie, to skarbnice naszej wiary. To nie są... próbówki.

- Wiem o tym. Pytam po prostu o to, jakie mogłyby wynikać konsekwencje, gdyby coś takiego się zdarzyło. W jaki sposób byśmy do tego podeszli? W jaki sposób ksiądz by do tego podszedł?

- Jak bym podszedł do czegoś, co jest niewyobrażalne? - Proboszcz nawet nie starał się ukryć drwiny, mając nadzieję, że zostanie ona właściwie odebrana po drugiej stronie drewnianej kratki. Parafia bez tego miała dostatecznie dużo

problemów, i to realnych, a on miałby się przejmować scenariuszem, który nie nadawał się nawet do Hollywood, którego ksiądz proboszcz nie darzył zbyt dużym szacunkiem. To właśnie jedna z wad młodego wieku Jamesa: jest zbyt otwarty na fantazje pop kultury. - Gdyby ktoś rzeczywiście; podjął taki... projekt, należałoby położyć temu kres.

- Kres? Myśli ksiądz o aborcji?

- Nie, James, tego nie powiedziałem. Należałoby powstrzymać naukowców przed wprowadzeniem go w życie. Taki eksperyment zostałby powszechnie potępiony, zanim jeszcze wydano by zgodę na jego przeprowadzenie. Czy ta odpowiedź cię satysfakcjonuje?

- Ale gdyby to dziecko już wzrastało w łonie kobiety? Co byśmy wtedy zrobili?

Proboszczowi zabrakło nagle cierpliwości.

- James, myślę, że dosyć już tego. O co tu właściwie chodzi? Wydaje mi się, że masz jakąś obsesję na ten temat.

- Bo myślę, że to już się stało.

- Co takiego?! - Proboszcz przeżegnał się odruchowo. - Chyba lepiej będzie, kiedy dokończymy tę rozmowę na plebanii. - Wstał gwałtownie i wyszedł z konfesjonału.

Jeśli proboszcz Gallagher sądził, że kontynuowanie rozmowy twarzą w twarz w kuchni na plebanii przytłumi zapał księdza Jimmy'ego, to wkrótce miał się przekonać, jak bardzo się mylił. Młody ksiądz wydawał się tutaj jeszcze bardziej przejęty. Przez prawie godzinę naświetlał całą sytuację, wymachiwał dokumentami ściągniętymi z Internetu, przemawiał z pasją o zdjęciach i stowarzyszeniach związanych z całym tematem.

Cały zastosowany przez proboszcza arsenał, złożony ze sceptycznych spojrzeń, ściągniętych brwi i ironicznych

prychnięć, miał skutek podobny do tego, jaki mogłoby odnieść pukanie palcem na kolczugę. W końcu starszy ksiądz wznosił ręce w geście całkowitej bezradności.

- To zbyt fantastyczne, James. Tyle tylko mogę powiedzieć. Zbyt fantastyczne, aby w to uwierzyć.

- Ale musimy się przekonać, czy to prawda.

- Co sugerujesz? Abym ja, proboszcz kościoła Najświętszej Panny Wierzysszego Światła, przedstawiciel Kościoła katolickiego pojechał do nich do domu, zapukał do drzwi i zapytał: „Przepraszam bardzo, czy w brzuchu tej młodej kobiety nie rośnie przypadkiem Jezus? Wyrzuciliby mnie stamtąd w mgnieniu oka. Obaj stalibyśmy się obiektem drwin. I nie bez powodu. Zawsze wiedziałem, że masz oryginalny sposób myślenia, i do tej pory bardzo cię za to ceniłem. Ale tym razem pozwoliłeś, by wyobraźnia zawiodła cię na manowce. I nie muszę chyba dodawać, że mam nadzieję, iż była to tylko wyobraźnia. Przykro mi, James. To zbyt absurdalne.

Odsunął się z krzesłem, dając znak, że rozmowa dobiegła końca.

- To dlaczego Whitfieldowie tyle przed nią ukrywali? Mają obsesję na tle okoliczności ukrzyżowania Chrystusa. Mają pełne segregatory informacji na ten temat.

- James! – W ustach proboszcza to imię zabrzmiało teraz jak ostra reprimenda. - Nawet ludziom o najdziwniejszych zainteresowaniach wolno mieć dzieci. Również z zastępczych matek. Usłyszałem już dość na ten temat.

Wziął głęboki wdech, a potem ciągnął dalej:

- Powtórne przyście nadejdzie, James, lecz odbędzie się to wedle boskiego planu, a nie planu jakiegoś szalonego naukowca. Jeżeli ktoś myśli inaczej, to znaczy, że poddaje

w wątpliwość Jego wszechmoc. Obawiam się, że dla twego własnego dobra będę musiał wprowadzić pewną zasadę. Musisz przestać widywać się z tą kobietą. Nie wolno ci się z nią kontaktować w żadnych okolicznościach. Jeśli potrzebuje duchowego wsparcia, ja jej tego wsparcia udzielę. Jeśli potrzebuje porady psychologa, załatwię jej wizytę. Ale ty już więcej w to nie będziesz mieszać. Zrozumiano?

- Tak, księżo proboszczu - mruknął ksiądz Jimmy.

- Dobrze. - Proboszcz Gallagher obrócił się i żwawym krokiem opuścił kuchnię.

Ksiądz Jimmy przez długą chwilę w odrętwieniu słuchał stukotu kroków wchodzącego po schodach proboszcza i trzasku zamykanych na piętrze drzwi, zanim znalazł w sobie dość woli, by się poruszyć.



## Rozdział 37

Zachowaj spokój, udawaj, że nic się nie stało. Zachowaj spokój, udawaj, że nic się nie stało” - te słowa powtarzała sobie Hannah szeptem jak mantrę.

Na nic nie zda się gniew, który ogarniał ją na myśl, jak ją wykorzystano; nic jej nie pomoże panika, od której schło w ustach, kiedy próbowała sobie wyobrazić, co będzie dalej. Najważniejsze w tej chwili to udawać potulną i skoncentrować się na terażniejszości. Jutro w południe przyjedzie po nią Teri. Teri ją stąd zabierze. A ona już nigdy więcej tu nie wróci. Zwyczajnie i po prostu.

„Zachowaj spokój, udawaj, że nic się nie stało. Zachowaj spokój”.

W domu zaszła pewna zmiana. Rządy przejęła Judith Kowalski, co oznaczało, że to jej powierzono klucz do pokoju Hannah i to ona zaglądała tam od czasu do czasu, wypatrując pilnie najmniejszych oznak buntu. Miła i towarzyska osobowość, jaką prezentowała jako Letycja Greene, ustąpiła całkowicie miejsca suchej i rzeczowej nadgorliwości. Judith Kowalski była twarda, kompetentna i pozbawiona poczucia humoru. Szara wełniana spódnica i sweter w takim samym kolorze, choć na pewno drogie, nadawały jej wygląd

doświadczonej strażniczki z więzienia dla kobiet.

- Czy nadal mam się zwracać do pani „Letycjo”? - za pytała Hannah, kiedy koło dziesiątej kobieta weszła do jej pokoju, żeby zabrać tacę ze śniadaniem.

- Jak wolisz - odparła sucho, ucinając dalszą rozmowę

- Nie za wiele zjadłaś na śniadanie.

- Nie byłam głodna.

Judith wzruszyła ramionami, potem zabierając tacę wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Hannah czekała na szcęk klucza. Kiedy nie nastąpił, jej pierwszą myślą było, że Judith zapomniała ją zamknąć. Potem uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej chcą ją sprawdzić. Tak więc rozmyślnie pozostała w pokoju i udała, że zajmuje ją wyłącznie własną toaletą: wylegiwała się leniwie w wannie, aż woda zupełnie wystygła, potem przez cały kwadrans szczotkowała włosy, aż w końcu poczuła mrowienie skóry na głowie.

O jedenastej Judith Kowalski wpadła sprawdzić, co Hannah robi, i oznajmiła, że za godzinę podadzą na dole lunch.

- Może sobie daruję - rzuciła od niechcienia Hannah.

- Dziś rano jakoś nie jestem głodna.

- Jak sobie życzysz. Gdybyś się rozmyśliła, nakrycie będzie czekało.

Znowu opuściła ją bez słowa. I znów Hannah zauważyła, że Judith nie zamknęła drzwi na klucz.

To prawda, że nie miała apetytu. Co więcej, potrzebowała samotności i czasu, aby przemyśleć sobie wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin oraz co to oznacza dla niej i jej dziecka. Nie była pewna, czy

pojęła cały ten naukowy bełkot, jakim się przed nią popisywano, nie była nawet pewna, czy chce rozumieć. Gadanie o DNA i embrionach, przemieszane z religijnymi przepowiedniami mąciły jej w głowie i przerażały. Jedno tylko było dla niej zupełnie jasne: jeśli to jajeczko, które zostało wszczepione do jej macicy, zostało uprzednio zmienione, jeśli coś przy nim genetycznie majstrowano, oznacza to, że rodzicami dziecka wcale nie są Jolene i Marshall. To nie ich dziecko. Dzidzius należy do niej. Przecież to ona pozwałała mu rosnąć, żywiła go i zapewniała schronienie.

Położyła się na łóżku i przeciągnęła ręką po brzuchu, wyobrażając sobie kształt dziecięcej główki, maleńkie rączki, okrągły brzuszek, codziennie coraz grubszy, i nóżki, które już kopały z niezwykłą wręcz żywotnością. Tak jak to czyniła wcześniej, swemu synkowi, który wkrótce ma się narodzić, posyłała w myślach zapewnienia o miłości, zapewniała, że będzie go chronić, a jeśli będzie trzeba, odda za niego życie. Przez cały ten czas czekała na znak, a teraz uświadomiła sobie nagle, że ten znak nosi w sobie. Nieważne, kim jest ojciec, to ona jest prawowitą matką dziecka. Nieważne, w jaki sposób pojawiło się w jej życiu, bo teraz ona jest odpowiada za opiekę nad nim na tym świecie. Leżała całkiem nieruchomo, lecz każdą komórką ciała odpowiadała na ten zew. Nikt jej nigdy nie odbierze tego dziecka. Jakiś hałas na dole przywabił Hannah do okna. W pracowni coś się działo. Przyglądała się, jak Jolene wynosi płótna i składa je w furgonetce. Za nią szedł Marshall z jakimiś pudłami. Hannah domyślała się, że są w nich segregatory wyciągnięte z szafki z aktami. Pracownia była w trakcie likwidacji, a wszystko, co się w niej znajdowało,

wkrótce zostanie przewiezione gdzie indziej.

Judith Kowalski pojawiła się w pokoju Hannah późnym popołudniem, kiedy blade słońce zaczęło się już zniżać ku zimnemu horyzontowi. Włączyła światło.

- Robi się ciemno. Powinnaś sobie włączyć światło - rzuciła. - Zjesz z nami kolację?

Hannah przykazała sobie, że ma się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Musiała sprawiać wrażenie, że jest taka jak zawsze - przynajmniej do jutrzejszego południa, kiedy to wyrwie się z łap tych ludzi. Tymczasem zaś irytowanie ich czy prowokowanie podejrzeń zupełnie mija się z celem.

- Chyba tak, dziękuję - odpowiedziała różnym głosem. - Rano byłam trochę nie w sosie. Przepraszam. Ale po południu udało mi się zdrzemnąć i teraz czuję się o wiele lepiej.

- Siadamy do stołu za czterdzieści pięć minut.

- Tylko się odświeżę i zaraz schodzę - odparła z uśmiechem.

Przebrała się w czystą bluzkę, związała włosy w koński ogon. Nieco różu rozartego na policzkach zamaskowało błądź. Kiedy zaczęła schodzić po schodach, usłyszała, jak Judith opryskliwym tonem wydaje rozkazy. W kuchni roztrzaskał się na podłodze upuszczony talerz.

„Zachowaj spokój, udawaj, że nic się nie stało. Zachowaj spokój, udawaj, że nic się nie stało”.

Przez cały czas trwania posiłku wszyscy milczeli, z wyjątkiem kilku słów pochwały dla smaku potraw i próśb o podanie przyprawy. Kiedy skończyło się całe udawanie, niewiele mieli sobie do powiedzenia. Role się zmieniły i owo

poczucie wspólnoty, które poprzednio charakteryzowało ich posiłki, okazało się tym, czym naprawdę było: fikcją.

Jolene klusowała nieustannie między kuchnią a jadalnią, ale teraz robiła to wyłącznie z nerwów. Marshall prze stał przybierać pozę dobrotliwego autorytetu, z jakim zwykle przewodniczył stołowi, udzielając łaskawie komentarzy na temat bieżących wydarzeń. Przedtem wydawał się Hannah eleganckim, światowym mężczyzną. Teraz, w swoich okularach z drucianymi oprawkami, wydał się jej jakiś taki myśzowaty.

To usadowiona naprzeciw Hannah Judith wytwarzała tyle napięcia przy stole. Whitfieldowie nieustannie na nią zerkali, próbując wyczytać z jej zachowania wskazówki, jak sami mają postępować, podczas gdy sama Judith nie odrywała jastrzębiego wzroku od Hannah. Przedtem zniknęła na krótko z domu, by powrócić z rzeczami i wprowadzić się do gościnnego pokoju na facjatce.

W pewnej chwili odłożyła nóż i widelec na talerz i otarła serwetką usta - był to widomy znak, że gotowa jest przejść do rzeczy.

- Jak przebiegło poranne spotkanie z doktorem Johansonem, Hannah?

Hannah przełknęła ostatni kęs.

- Głównie on mówił.

- Tak, a co sądzisz o tym, co miał ci do powiedzenia?

Miało się wrażenie, że z jadalni nagle zabrakło powietrza. Jolene poprawiła się na krześle, które niemile zaskrzypiało wśród ciszy, jaka zapadła.

A więc poruszono wreszcie ten temat! Hannah wiedziała, że musi niezwykle starannie dobierać słowa - a im mniej ich

będzie, tym lepiej. Starła się nie pokazać po sobie, jak bardzo ją to wszystko poruszyło.

- Usłyszałam wiele rzeczy, które muszę przemyśleć”

- odparła po krótkiej pauzie.

- To oczywiście, moja ty biedulko! - odezwała się Jolene, po raz pierwszy tego wieczoru. - My przygotowaliśmy się na tę chwilę już od lat, a ty, całkiem zniecacka..

- Wystarczy, Jolene - warknęła Judith.

Jolene posłusznie spuściła głowę i wbiła wzrok w swój talerz.

Judith prawie nie odrywała wzroku od Hannah. Wyglądało to tak, jakby chciała przewiercić nim skórę i kości, by przez czaszkę dziewczyny dostać się do jej najgłębszych myśli.

- No i jak? Przemyślałaś wszystko, co ci powiedział?

- Najlepiej, jak potrafiłam. - Hannah dostrzegła, jak Judith zaciska szczęki, więc zrozumiała, że nie jest to zadowolająca odpowiedź. Wyraźnie czekali na więcej. Ale co mogła im powiedzieć? Iż niezmiernie ją cieszy, że tak nią manipulowali? Że ten ich plan jest dla niej źródłem duchowej inspiracji? Że ich szaleństwo niezwykle ją ekscytuje? Zdołała wykrztusić tylko: - Mam nadzieję... że znajdę w sobie dość siły... aby właściwie... spełnić swoją rolę.

Nie było to wiele. Jolene i Marshall kątem oka obserwowali Judith w nadziei, że uda im się rozszyfrować, jak zareagowała. Przez bardzo długi czas twarz kobiety nie zdradzała niczego. Potem jednak surowo zaciśnięte szczęki jakby trochę się rozluźniły. - Ja też mam taką nadzieję - rzuciła.

- Wszyscy bylibyśmy straszliwie... rozczarowani, gdyby ci się to nie udało.

Po kolacji Hannah udała się wprost do swego pokoju, twierdząc, że musi się dobrze wyspać. Doktor Johanson przypomniał jej, że sen jest niezastąpiony, zwłaszcza w tych ostatnich tygodniach, więc jeśli nikt nic ma nic przeciwko temu... Nikt nie miał nic przeciwko.

Hannah panowała nad własnymi uczuciami, dopóki nie dotarła na podest na piętrze, gdzie już nikt jej nie widział. Dopiero wtedy przyznała się przed sobą, ile napięcia i wysiłku psychicznego kosztował ją ten wspólny posiłek. Jak to możliwe, aby przez tyle miesięcy dała się tak łatwo oszukiwać Jolene i Marshallowi? A Letycji? Już samo imię tej kobiety brzmiało teraz fałszywie. Czy aż tak desperacko potrzebowała akceptacji?

Zacisnęła mocno wargi, żeby się nie rozpląkać. Płacz jest niepotrzebny i dziecinny. Teraz ma przed sobą jedno zdanie: wytrzymać aż do jutrzejszego południa. Tyle z pewnością potrafi. Jutro rano zje śniadanie w łóżku, a potem, około wpół do dwunastej zejdzie, niby bez celu, na dół. Nie będzie nic ze sobą brała, żeby nie budzić podejrzeń.

Postara się traktować wszystkich przyjaźnie, a w szczególności Judith. Ale kiedy tylko przed domem zaparkuje samochód Teri, Hannah wypadnie jak strzała za drzwi. Zanim któreś z nich zdąży się połapać, Teri zabierze ją z tego bagna. Może nawet potem obie wpadną odwiedzić Ruth i Herba...

Zapadła w drzemkę, rozmyślając o swoim rodzinnym mieście i jadłodajni „Błękitny Świt”, więc nawet nie usłyszała, kiedy znów przekręcono klucz w zamku.

## Rozdział 38

Obcasy parafian zastukały o posadzkę głównej nawy kościoła Najświętszej Panny. Odczekawszy dla przyzwyczajenia długą chwilę, ksiądz Jimmy odciągnął zasłonę konfesjonatu i wyjrzał, żeby się upewnić, że kościół jest pusty. Według zegarka, do końca dyżuru pozostało mu jeszcze piętnaście minut. Innego dnia pewnie zamknęłyby warsztat, by tak rzec, widząc, że żadna więcej dusza nie chce zrzucić z siebie ciężaru win.

Lecz pozostał na miejscu. Tym razem sam pragnął zrzucić z siebie brzemię.

Czy proboszcz miał rację, twierdząc, że diabeł działa za pośrednictwem ludzi słabych? Nigdy nie myślał o sobie jako o kimś słabym, ale jak miał pojąć targające nim uczucia? Nie było prawie chwili, by nie myślał o Hannah i jej ciężkim położeniu. Czy w ten sposób naraża na szwank własne powołanie? Rzuca się głową w dół prosto w diabelską pułapkę?

Z drugiej znów strony, bez względu na to, co sądzi o niej proboszcz, Hannah nie jest zwykłą neurotyczką, która próbuje zwrócić na siebie uwagę. Jej lęki były uzasadnione. Ktoś powinien ją wyprowadzić z okropnego położenia, w jakim się znalazła.



Przypomniał sobie słowa proboszcza.

„Jesteś kapłanem, Jimmy, nie policjantem”.

Ale tu właśnie o to chodzi. James od zawsze - pragnął być kapłanem. Teraz też. Ale chciał być dobrym kapłanem. Takim, który potrafi współczuć, nie cofa się przed trudnościami, nie unika wyzwań.

Może problem tkwi w tym, że ostatnio za dużo rozmyśla, a za mało się modli. Zakładał, że rozum pomoże mu rozwiązać szarpiący go wewnętrzny konflikt, zamiast udać się wprost do tego Jedyneho, który może służyć prawdziwą pomocą. Nie istnieje tak wielki problem, którego On nie potrafiłby rozwiązać. Ksiądz Jimmy musiał tylko zaufać Jego mądrości, która wszystko rozjaśni.

Kiedy to pomyślał, poczuł, że przyspieszone bicie serca zaczyna się wyrównywać i ogarnął go wewnętrzny spokój. Siedział z zamkniętymi oczyma, próbując doświadczać tylko i wyłącznie obecności Boga. Proboszcz Gallagher miał rację, kiedy mu przypomniał, na czym tak naprawdę powinien się skupić.

Jeszcze raz rozsunął zasłonę i wyjrzał przez kratkę, żeby się upewnić, że nikt nie wpadnie w ostatniej chwili. Potem, zbierając się do wyjścia, przekręcił gałkę drzwiczek do konfesjonału. Zacięła się. Przez chwilę mocował się z rączką, lecz bez większego sukcesu. W niewyjaśniony sposób drzwi nie chciały się otworzyć. Przykucnął i w półmroku zaczął przyglądać się zamkowi.

Wtedy po drugiej stronie dobiegł go gwałtowny trzask. Był to dźwięk, jakiego nigdy przedtem nie słyszał w kościele, metaliczny łomot, któremu towarzyszył brzęk jakby sypiących się monet, który poniósł się echem przez pustkę. Wyprostował się tak gwałtownie, że uderzył głową w tylną

ściankę konfesjonału. Skąd mógł się tutaj wziąć taki dźwięk? Potem usłyszał coś jeszcze, co dało mu do myślenia: tupot uciekających stóp.

- Halo? Jest tu kto?

Trzasnęły głośno drzwi.

- Czego chcecie?

Potem poczuł ostry, drażniący nozdrza zapach, nawet dość przyjemny, dopóki ksiądz nie uświadomił sobie, skąd się bierze. Spod drzwiczek konfesjonału zaczęły się unosić smużki dymu. Przez kratkę dostrzegał żółtawe migotanie. Z przerażeniem zorientował się, że płoną ciężkie kotary po obu stronach konfesjonału. Za chwilę płomień przeniesie się na drewnianą konstrukcję.

Ksiądz Jimmy rozpaczliwie szarpnął gałką; zdał sobie sprawę, że jakimś cudem drzwi zostały zamknięte, a on tkwi uwięziony w skrzynce niewiele większej niż on sam. Napierał całym ciężarem na drzwiczki, lecz było za mało miejsca, aby nabrać odpowiedniego rozpędu. Solidny konfesjonał mógł wytrzymać znacznie poważniejsze ataki.

Jedyną drogą ucieczki było okienko.

Odchylił się w tył na ławce, podniósł obie nogi i z całej siły kopał drewnianą kratkę, dopóki drewno nie zaczęło pękać. Kiedy otwór był dostatecznie duży, przecisnął się na zewnątrz, drąc sutannę i rozdzierając głęboko skórę na lewym przedramieniu. Po obu stronach płomień trzaskała, żarłocznie pochłaniając drewno.

Opadł na podłogę i na czworakach odczołgał się od konfesjonału w tym samym momencie, kiedy płomień zaczęły nadgryzać drewnianą konstrukcję. Dopiero wtedy dostrzegł przyczynę pożaru: przewrócił się stolik ze świecami

wotywnymi, wylewając całe tuziny rozmigotanych płomyków prosto na kotary.

Przewrócił się? Czy może ktoś go popchnął? Przypomniał sobie pospiesznie umykające kroki, trzask drzwi.

Zupełnie bez udziału świadomości popędził do wyjścia i rzucił się na drzwi, które także były zaryglowane. Poodsuwał rygle i zamki i rozwarł je na oścież.

Na zewnątrz, pod sklepieniem wrót, stał proboszcz Gallagher, na jego twarzy malowało się zaskoczenie.

- Wielkie nieba, James! Co ci się stało? Kto zamknął drzwi?

Bez jednego słowa ksiądz Jimmy sięgnął do rączki alarmu przeciwpożarowego i szarpnął z całej siły. Rozległo się przeraźliwe zawodzenie syreny.

## Rozdział 39

Kiedy Hannah spojrzała na stojący przy łóżku zegar, z zaskoczeniem przekonała się, że jest już wpół do dziewiątej. Nie przypominała sobie, aby tej nocy wstawała, lecz nieprzerwany całonocny sen w stadium ciąży była to rzecz zupełnie niesłychana. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie podano jej czegoś przy kolacji.

Nie czuła się oszołomiona, tylko taka jakaś ociężała, jakby wpadła w kadź miodu. Wydało jej się mało prawdopodobne, aby podali jej coś, co mogło zaszkodzić zdrowiu dziecka. Nie, dopóki nosi je w sobie, jest bezpieczna. Ale co potem?

Leżała w łóżku, czekając na tupot stóp na schodach, który obwieści jej przybycie tacy ze śniadaniem. Jolene jakoś się dziś spóźniała. O wiele bardziej prawdopodobne było, że to Judith i że rozmyślnie zwleka. Kiedy wzrok przywykł do panującego w pokoju półmroku, nagle poderwała się.

Taca ze śniadaniem stała już na biurku. Ktoś wszedł, postawił ją i wyszedł, kiedy była pogrążona we śnie. Podeszła bliżej, żeby zobaczyć, co na niej jest. Srebrna pokrywka kryła talerz jajecznicy i dwa tosty z pieczywa z pełnego ziarna. Grzanki wystygły, obok nich spoczywała kosteczka masła i spodeczek zastygłego truskawkowego dżemu. Porcelanowy

imbryk wciąż jeszcze był ciepły, więc nalała sobie filiżankę herbaty i z zadowoleniem odnotowała, że znad bursztynowego płynu unosi się smużka pary.

Taca stała tu pewnie od jakichś piętnastu, dwudziestu minut, co wydało jej się dziwne. Zazwyczaj budził ją nawet najlżejszy dźwięk. Doszła do wniosku, że herbata jest bardziej gorzka niż zazwyczaj, dodała więc dwie łyżeczki cukru, a potem zastygła nagle w bezruchu. Nie chciałaby popaść w manię prześladowczą, ale ten smak jest jakiś inny. Albo zmienili gatunek, albo...

Wzięła imbryk do łazienki wylała zawartość do ubikacji. Potem pokruszyła grzanki na małe kawałeczki, wrzuciła je wraz z jajecznicą do sedesu, a następnie spuściła wodę.

To bez znaczenia. I tak nie ma apetytu.

Spróbowała otworzyć drzwi swego pokoju i bez szczególnego zaskoczenia przekonała się, że są zamknięte na klucz. Judith Kowalski i Whitfieldowie mieli dziś pilniejszą sprawę na głowie niż ciągłe jej pilnowanie.

Odsunęła zasłony i wyrzała przez okno na ogród. Niebo miało kolor kwaśnego mleka. Sádzawka dla ptaków zamrzła, a sosny sprawiały wrażenie tak kruchych, jakby miały lada chwila trzasnąć. Kiedy tak kontemplowała zimową scenę, otworzyły się kuchenne drzwi i wyszła z nich Jolene, niosąc opakowanie karmy dla ptaków, którą zaczęła następnie rozsypywać hojnie wokół sadzawki.

Kobieta uparcie starała się uczynić ze swego ogrodu azyl dla dzikiej fauny. Hannah przypomniała sobie nocne wycieczki do ogrodu oraz dziwny trans, w jaki wtedy zapadała. Była pewna, że Jolene mówiła wtedy o niebezpieczeństwie, o zagrożeniu, które pojawi się w czyjeś imię. Jolene kilkakrotnie wskazywała w głąb Alcott Street, w stronę centrum East

Acton, jakby stamtąd właśnie miało nadejść. Nieoczekiwanie Hannah uświadomiła sobie, że Jolene wcale nie bała się miasta. Bała się kościoła. Pokazywała na kościół Najświętszej Panny Wieczystego Światła. To ksiądz Jimmy był tym zagrożeniem, o którym mówiła, chyba że bała się gniewu samego Boga.

Teraz, kiedy wróciła myślą do tamtych wydarzeń, przypomniawszy sobie, że Jolene kilkakrotnie zjawiała się w kościele, twierdząc, że jej szuka. Zawsze w kościele, nigdy w bibliotece czy w lodziarni. Wyraźnie nie podobało jej się to, że Hannah rozmawia z księdzem. Hannah bardzo pragnęła zadzwonić do księdza Jimmy'ego, ale nie mogła tego zrobić, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie u Teri. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobi po przyjeździe.

Jolene rozszarpała resztkę karmy i wróciła do domu.

Przez resztę poranka niewiele się działo. Hannah widziała, jak furgonetka znika na końcu podjazdu. Potem Judith ruszyła gdzieś swoim samochodem, ale zaraz wróciła. Cokolwiek się działo, nikt nie uznał za stosowne, by ją o tym poinformować. Może uda jej się czegoś dowiedzieć przed lunchem. Kiedy ranek dobiegał końca, w głowie zagnieździł się kolejny lęk: mogą ją trzymać w zamknięciu przez resztę dnia.

O wpół do dwunastej nie mogła już spokojnie usiedzieć i zaczęła krążyć po pokoju. Za pół godziny przyjedzie Teri, a tu wciąż nie ma żadnego znaku od tych na dole. Zaczęła łomotać w drzwi, dopóki nie usłyszała kroków na schodach.

Przekręcono klucz w zamku. W drzwiach stała Judith, ubrana w robocze ciuchy, które kontrastowały z jej codzienną elegancją i nadawały jej znacznie bardziej prole-

tariacki wygląd. Bez biżuterii i starannego makijażu rysy jej twarzy wyglądały dość topornie.

- Tak? - rzuciła sucho.

- Bałam się... bałam się, że o mnie zapomnieliście - żartowała Hannah.

- Czy to już wszystko?

- Jeszcze się z nikim dzisiaj nie widziałam. I... no... pomyślałam sobie, że mogłabym pomóc w kuchni.

- Jolene nie zaczęła jeszcze gotować. Będziemy jeść o pierwszej. - Judith już chciała zamknąć drzwi z powrotem.

Hannah wsunęła się we framugę.

- Założę się, że przydałaby jej się para rąk do pomocy.

Judith puściła klamkę.

- No, może by się przydała - przyznała po chwili namysłu. - Właściwie możesz już zejść. Oszczędzisz mi biegania po schodach.

Puściła Hannah przodem, a potem ruszyła za nią po schodach tak blisko, że Hannah czuła oddech, owiewający delikatne włoski na karku.

Przed frontowymi drzwiami stało kilka walizek, a z półek w pokoju dziennym znikły ozdoby.

Jolene stała przy zlewie, myjąc warzywa.

- Dzień dobry, Hannah. Dobrze spałaś? - zagadnęła, obracając się ku niej.

- Tak, dziękuję. W czym mogę ci pomóc?

Hannah dostrzegła, że Jolene rzuca szybkie spojrzenie Judith.

- To tylko zapiekanka z kurczaka i warzyw. Gdyby chciało ci się obrać i pokroić kilka marchewek i rzepę, chyba nic strasznego by się nie stało, prawda, Judith? Jest też parę buraków. - Wskazała jej drewnianą deskę do krojenia, na

której leżał nóż kuchenny z nierdzewnej stali. Nie czekając na reakcję Judith, Hannah podeszła do blatu i złapała narzędzie w prawą dłoń.

- Doskonały dzień na zapiekankę z kurczaka - zaświergotała, żeby coś powiedzieć. —To bardzo pożywne, Ciotka Ruth też ją czasem robiła. No, właściwie nie robiła, tylko kupowała mrożoną w supermarkecie. Wujek Herb bardzo ją lubił.

- To jedna z ulubionych potraw Marshalla - zauważyła Jolene, powracając do przerwanej pracy.

Kiedy Judith przekonała się, że w kuchni wszystko przebiega jak należy, odwróciła się i wyszła. Jej kroki szybko ucichły. Hannah nie potrafiła się domyślić, dokąd mogła pójść. Dzisiaj wszystko okryte było tajemnicą. Można było jednak bezpiecznie założyć, że nie mają zamiaru dłużej przebywać w tym domu.

Zegar kuchenny wskazywał za sześć dwunastą. Jeśli spojrzy na prawo, przez kuchenne okno będzie widziała część podjazdu. Teri lada chwila będzie. Hannah skrobała marchewkę, nakazując sobie w duchu skupić się na robocie. Nóż był ostry, więc uważała, żeby się nie zaciąć.

Jolene włączyła piekarnik i przygotowywała na blaszce cztery porcje francuskiego ciasta.

- Gdzie Marshall? - zapytała Hannah.

- Wyszedł. Powiedziałam mu, że jemy o pierwszej. Powinien wkrótce wrócić.

- Chyba nie jesteś na mnie zła, co, Jolene?

- Zła? - Kobieta zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała: - Nie, nie jestem zła. Złość to grzech. Chyba raczej rozczarowana. Mieliśmy nadzieję, że wykazesz więcej entuzjazmu dla tego, co robimy.



- Ale ja wykazuję, naprawdę.
- No, może i tak. Judith sądzi inaczej.
- Oczywiście byłam zaskoczona i przestraszona, kiedy mi powiedzieliście. Chyba to rozumiesz, prawda? Ale teraz przywykłam już trochę do tej myśli...
- Czy teraz już rozumiesz, jaki to chwalebny obowiązek?
- Tak, i bardzo szczególny zaszczyt.
- Mam nadzieję. - Kiedy nie było z nimi Judith, Jolene pozwalała sobie na okazanie własnego entuzjazmu. - Przypadł w udziale tylko tobie jednej, Hannah. Tobie spośród wszystkich młodych kobiet. Tyle innych miało nadzieję, że wybór padnie na nie.
- Czy jest was wielu?
- O, tak. Tylu, że otoczymy Go armią i wcielimy w czyn Jego wolę. - W oczach pojawił się blask egzaltacji. - Ale kiedy tym razem przyjdzie, tylko wierni zostaną dopuszczeni w Jego szeregi. Nikt inny, tylko wierni!
- Na zegarze była za minutę dwunasta.
- A co z resztą? - zapytała Hannah.
- Reszta...? Reszcie pozwolimy zmarnieć i szczeznąć. Bo tak właśnie powinno być.
- Rozumiem.
- Jolene urwała i przebiegła wzrokiem składniki.
- Ojej, zapomniałam o selerze. Mam w lodówce kilka łyżeczek. Mogłabyś je pokroić?
- Oczywiście. - Nóż zastukał rytmicznie o deseczkę.
- Minęło południe, a Teri wciąż nie ma.
- No, gotowe - oznajmiła Jolene, z aprobatą przyglądając się dziełu Hannah. - Może usiądziesz sobie w pokoju dziennym? Te zapiekanki będą się piekły przez czterdzieści minut.

- Może pomóc w czymś jeszcze?

- Chyba nie. Idź już.

Słyszac zbliżający się po żwirze samochód, Jolene podniosła wzrok.

- To pewnie Marshall. Wcześniej wrócił. - Wyciągnęła szyję i wyjrzała przez okno. - Nie, to nie on. To nie furgonetka. Ciekawe, kto to taki...

Obróciła się akurat w chwili, kiedy Hannah zmagala się z kuchennymi drzwiami.

- Co robisz, Hannah? Na dworze jest mróz.

Kiedy dziewczyna otwarła szarpnięciem drzwi, serce zamarło jej z przerażenia. Na progu przed nią, blokując przejście, stała Judith Kowalski. Twarz ścignął jej gniewny grymas.

- Już wystarczy - rzuciła. - A teraz wróćmy do środka, dobrze?

Hannah próbowała wyrwać się z jej uchwytu, lecz szybko, gwałtowne ruchy przekraczały obecnie jej możliwości. Cały organizm poruszał się w zwolnionym tempie, jak szykujący się do snu zimowego niedźwiedź. Judith złapała ją brutalnie pod ramię i obróciła w miejscu, jakby Hannah była niegrzeczną uczennicą, którą prowadzi się na dywanik do dyrektora.

- Kto to jest, Judith? - zapytała Jolene.

- Nie wiem. Jakaś kobieta. Odeślij ją stąd.

Hannah pociągnęła ją w bok i wolną ręką uczepiła się framugi drzwi. Na desce do krajanania leżał zostawiony przez nią nóż. Wyciągnęła rękę, już prawie go dotykała, kiedy Judith znów szarpnęła ją ku sobie. Nóż wysliznął się spod palców i spadł do zlewu.

Mogła już tylko krzyczeć. Jeśli będzie wrzeszczeć dostatecznie długo i głośno, Teri usłyszy i przybiegnie pędem.

To jej jedyna szansa. Wzięła głęboki wdech, potem z całej siły wyrzuciła powietrze z płuc.

-Teri!!!

Krzyk stłumiła natychmiast ścierka kuchenna, którą zatkano jej usta. Hannah dławiała się. Zamgliło jej się w oczach, ramiona zaczęły bić bezładnie dookoła, jakby kierowane własną wolą. Zaraz się udusi.

- Oddychaj przez nos - syknęła jej do ucha Judith. – Nic ci nie będzie, jeśli zaczniesz oddychać przez nos. - Napór na usta Hannah jeszcze się wzmógł, przestała więc walczyć. Jednocześnie nogi ugięły się pod nią i opadła na podłogę.

- Wydawało ci się, że jesteś strasznie cwana, co? - mruknęła stojąca nad nią Judith.

Na dworze Teri wyłączyła silnik samochodu, owinęła się połami płaszcza, szykując się do wyjścia na chłód, kiedy nagle dojrzała idącą w jej stronę Jolene Whitfield. Teri opuściła szybę w oknie.

- Jak miło panią widzieć! - zawołała, zbliżając się Jolene.

- Teri, prawda? Przyjaciółka Hannah z Fall River. Co za miła niespodzianka!

- Jak się pani miewa, pani Whitfield?

- Na nic nie narzekam. Z wyjątkiem tego chłodu, rzecz jasna. Przypuszczam, że przyjechała pani zobaczyć się z Hannah. Szkoda, że nas pani nie uprzedziła wcześniej. Hannah nie ma.

- A kiedy wróci?

- Wyszła dosłownie przed chwileczką i zapowiedziała, że nie wróci przed kolacją. Czyli około siódmej. Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby zechciała pani zostać i zjeść z nami.

Jolene uśmiechnęła się, pocierając ramiona dłońmi i podskakując w miejscu dla rozgrzewki. Propozycja zabrzmiała dość szczerze.

- To dziwne. Umówiliśmy się na to spotkanie już kilka dni temu.

- Naprawdę? Nic mi o tym nie wspominała.

Nic dziwnego, pomyślała Teri. Jesteś ostatnią osobą na świecie, której by o tym wspomniała.

- Jutro wyjeżdżają państwo na wakacje, prawda?

- Chciałabym. Ale Hannah bała się podróżować w tym stanie, więc odłożyliśmy te plany. Trudno nawet mieć jej za złe. O co tu chodzi? - zastanawiała się Teri. - Bała się? Może przy tej nagłej zmianie planów Hannah po prostu zapomniała o jej przyjeździe. Kiedy rozmawiały przez telefon, Teri odniosła wrażenie, że Hannah jest mocno rozstrojona, a Jolene nie była raczej osobą, która wywierałaby kojący wpływ.

- Ale wszystko jest w porządku, prawda? - zapytała.

- Mój Boże, tak! Po prostu Hannah woli teraz przebywać w samotności. Trochę się odizolowała. No, ale skoro rozwiązanie za niespełna miesiąc, to chyba ma o czym myśleć. Dajemy jej spokój i tolerujemy humory... A jak tam pani chłopcy? Ma pani dwóch chłopców, prawda?

- Tak. Nazywamy ich „młodociani”. Jak zawsze, pełni energii. Proszę posłuchać, pani Whitfield, poczekałabym z przyjemnością, ale jutro pracuję na rano. Jeśli Hannah nie ma zamiaru wrócić wcześniej niż późnym popołudniem...

- Tak mi właśnie powiedziała.

- No cóż, proszę jej powiedzieć, żeby jutro rano do mnie zadzwoniła.

- Przekáže. Przykro mi, że się pani nadaremnie fatygowawała.

Jolene przyglądała się, jak samochód zawraca podjazdem, przystaje na chwilę przy ligustrowym żywopłocie, a potem wyjeżdża w Alcott Street. Zanim zniknął jej z oczu, uniosła rękę i pomachała lekko na pożegnanie.

Teri zauważyła zjazd na drogę numer 128 i już miała skręcać, gdy dopadł ją nagły impuls. Zwolniła, zjechała na pobocze i zostawiła silnik na jałowym biegu. Potem, nie bardzo wiedząc, co ma zamiar zrobić, zawróciła i ruszyła z powrotem w stronę East Acton.

Zaparkowała obok kościoła Najświętszej Panny Wieczystego Światła i siedziała przez chwilę w samochodzie, usiłując pozbierać myśli. Nie mogła sobie przypomnieć imienia tego młodego księdza. W każdym razie jakieś bardzo pospolite - ksiądz Willy czy ksiądz Joey. Jak na księdza, brzmiało trochę głupio.

Zadzwoniła kilkakrotnie do drzwi plebanii. W końcu drzwi uchyliły się i wyjrzała starsza, siwowłosa kobieta.

- W jakiej sprawie?

- Dzień dobry. Czy mogłaby mi pani pomóc? Szukam młodego, atrakcyjnego księdza.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej, ukazując gospodynię w czarnej sukni i wyblakłym perkalowym fartuchu. Na twarzy kobiety malowało się zdziwienie.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze to ujęłam – dodała Teri. - Chodziło mi o to, że szukam pewnego księdza, który pracuje w tej parafii. Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa. Wiem tylko, że jest młody i... no, wie pani, przystojny.

Czy jest tutaj ktoś taki? Chciałabym z nim porozmawiać w bardzo ważnej sprawie.

- Pewnie chodzi o księdza Jimmy'ego - odparła kobieta i cofnęła się, by wpuścić Teri do sieni. - Co nie znaczy, że proboszcz nie prezentuje się dobrze jak na swój wiek. Zechce pani usiąść, zobaczę, czy nie jest zajęty.

Wskazała jej gestem coś w rodzaju poczekalni i szurając nogami wspięła się po schodach.

A więc Jimmy, pomyślała Teri. Niewiele się pomyliła. Ledwie zdążyła rozejrzeć się po tych, w jej mniemaniu raczej odpychających meblach, kiedy usłyszała, że ktoś szybko zbiega po schodach. Hannah wcale nie przesadziła, kiedy go opisywała. Miły uśmiech, długie nogi, smukły: miał ten rodzaj ciemnych oczu, jaki powszechnie określa się mianem „łózkowych”. Co za marnotrawstwo, pomyślała Teri.

- Chciała się pani ze mną widzieć? Jestem ksiądz Jimmy - rzucił na powitanie.

- Witam księdza. Nazywam się Teri Zito. Jestem przyjaciółką Hannah Manning.

- Chyba nic się nie stało?

- Miałam nadzieję, że ksiądz coś o tym wie. Może to, co powiem, zabrzmii głupio, ale właśnie wracam z tego domu przy Alcott Street, a jej tam nie było. Umówiliśmy się, że dziś zbiorę ją do siebie. Mieszkam w Fall River. Kiedy po nią przyjechałam, pani Whitfield powiedziała, że wyszła z domu na cały dzień.

- A pani się o nią martwi.

- To niepodobne do Hannah. Wiem też, że ostatnio nie czuła się najlepiej w tamtym domu. Tak czy owak, opowiadała mi o księdzu, więc pomyślałam sobie, że ksiądz może

wiedzieć, dokąd poszła. A właściwie chciałam po prostu z kimś porozmawiać.

- Potrafię zrozumieć tę troskę, pani Zito - w myślach znów usłyszał zakaz proboszcza, kategoryczny i głośny. - Bardzo chciałbym pomóc, ale, niestety, nie rozmawiałem z Hannah już od kilku dni. Na pewno jest jakieś wyjaśnienie. Jeśli coś do mnie dotrze, z radością...

- Nic się nie stało. Pewna jestem, że to jakieś nieporozumienie. Uprowadzałam, że to, co powiem, pewnie wyda się księdzu głupie. Przepraszam, że zajęłam czas.

- Ależ skąd.

Odprowadził ją do drzwi i przyglądał się, jak schodzi po schodkach werandy. Kiedy znalazła się na dole, przystanęła i obejrzała się.

- Chciałam tylko, aby ksiądz wiedział, że Hannah wyrażała się o księdzu bardzo ciepło. Dziękuję, że był ksiądz dla niej miły. Jest ksiądz jedyną przyjazną duszą, jaką tutaj ma. No, bo... ona jest młoda i... nie wiem, czy „niewinna” to właściwe słowo, w dzisiejszych czasach nikt już chyba nie jest niewinny. Ale to... dobry człowiek. Rozumie ksiądz, co mam na myśli?

Pokiwał głową. Wydawało jej się, że tak jakby tęsknie.

## Rozdział 40

Kiedy samochód Teri zniknął, obie kobiety zabrały Hannah na górę, do jej pokoju; szły po obu stronach, trzymając mocno pod ramię. Hannah poczuła się jak prowadzony do wieży zdrajca.

- Przykro mi, że musimy to robić, Hannah - tłumaczyła Jolene, kiedy dotarły na facjatkę. - Podzieliłyśmy się z tobą pewnymi poufnymi informacjami, a ty pozwoliłaś nam wierzyć, że doceniasz wagę roli, jaką ci przypisano. Nie spodziewaliśmy się, że będziesz się tak zachowywała. A teraz musimy bronić tego, co do nas należy. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

- Nie marnuj słów - przerwała jej Judith.

Drzwi zamknięto, a Hannah została sama na resztę popołudnia. Jedyne, co teraz zajmowało jej myśli, to jak dostać się z tego domu i kiedy to może nastąpić. Jeśli wnioskować z tego, co się dzieje, nie mają zamiaru jej tu długo trzymać. A po tym incydencie kto wie, gdzie może wylądować?

Mogła oczywiście otworzyć okno i zacząć znów krzyczeć. Ale dom sąsiadów ledwie było stąd widać, zaś w domu Jolene i Marshalla nie brakowało ścierek kuchennych. Mogła



też próbować sforsować zamek w drzwiach, ale nie miała pojęcia, jak się to robi, a jedyne dostępne narzędzia - para nożyczek, pincetka i sztućce na tacy ze śniadaniem - raczej nie należały do standardowego wyposażenia włamywacza.

Nie wyobrażała sobie, że zdołałaby wyjść przez okno na dach. Niebo na zewnątrz przybrało ponury wygląd, zaczął siąpić drobny deszcz. Przy tym spadku temperatury deszcz wkrótce przejdzie w deszcz ze śniegiem, a dach stanie się śliski jak plama oleju. Nawet nie śmiałyby próbować.

Musi wymyślić jakiś plan.

Kiedy Marshall przyniósł jej kolację, zapytał, czy wszystko u niej w porządku.

- Tak.

- Nic ci się nie stało?

- Nie.

- Cieszę się.

Wychodząc z pokoju przystanął, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił. Zamknął za sobą drzwi na klucz.

Hannah wróciła do łóżka, umysł miała jakby odretwiąły, niezdolny do jakiegokolwiek aktywności. Wielki plan ucieczki jakoś nie pojawił się w jej głowie i pewnie już się nie pojawi. Jak mogła się zmierzyć z trzema zdrowymi dorosłymi? Z czterema, jeśli doliczyć doktora Johansona. W ósmym miesiącu ciąży, niezdarne, wiecznie zmęczona, na skraju hysterii! A do tego wciąż musiała sikać! Ostatnio główka dziecka zaczęła naciskać na pęcherz, więc częsta potrzeba wydalania moczu ogromnie komplikowała jej życie.

Wytoczyła się z łóżka, poczłapała do łazienki, wróciła do łóżka.

Dwie godziny później zbudziła ją sama potrzeba, a było zaledwie wpół do drugiej. Znów powlokła się ze zmęczeniem do łazienki. I to właśnie wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Nie był dziecinnie prosty, to fakt, ale jeśli dobrze to rozegra... Poza tym, chyba nie ma innego wyboru.

Włączyła lampkę na nocnej szafce. W szufladzie znalazła parę starych, prujących się wełnianych skarpet. Co jeszcze? Obiegła wzrokiem pokój. Notes się nada!

Wyrwała kilka stron i zmięta je w ciasne kulki.

Teraz będzie potrzebowała jeszcze długiego, prostego kija. Musi się zadowolić wyjętą z szafy parasolką. Zaniósła wszystko do łazienki i uniosła klapę sedesu.

Najpierw wrzuciła skarpetę, wepchnęła ją jak głęboko się dało, potem korzystając z końcówki parasola, wepchnęła ją jeszcze głębiej. Owineła zmięte kartki z notesu papierem toaletowym i utknęła w ślad za skarpetą, a potem, żeby zwieńczyć dzieło, dopchała tym, co pozostało z rolki. Usatysfakcjonowana, odsunęła się o krok i spuściła wodę.

Poziom wody w muszli podnosił się z wolna, aż zatrzymał się tuż przy samej krawędzi. Oczekała chwilę, żeby zobaczyć, czy opadnie. Kiedy nie opadła, jeszcze raz uruchomiła spłuczkę i tym razem woda spłynęła kaskadą na podłogę. Pociągnęła raz jeszcze i woda pokryła kafelki.

Teraz musi kogoś obudzić. Jolene i Marshall spali w sypialni znajdującej się bezpośrednio pod jej pokojem, podczas gdy Judith zajęła pokój gościnny po przeciwnej stronie holu.

- Halo! - krzyknęła. - Mam tu problem. Pomocy! - Odgłos jej towarzyszących o drzwi pięści niósł się po całej klatce

schodowej. Rozbolały ją ręce, zanim wreszcie na dole dał się słyszeć jakiś ruch.

- Może ktoś się wreszcie obudzi! - wołała.

- O co chodzi? Czy coś się stało? - To był Marshall. Szczęknął klucz w zamku i po chwili mężczyzna wetknął głowę przez drzwi.

- Chodzi o toaletę. Cała się zatkała. Wszędzie pełno wody. A mnie się tak strasznie chce sikać, że chyba zaraz pękne.

- Przeszłowała z nogi na nogę, jakby tańczyła na rozżarzonych węglach.

Spojrzał na ten absurdalny taniec zapuchniętymi od snu oczyma, które nie zdążyły jeszcze całkiem przywyknąć do światła i powlókł się do łazienki, żeby zbadać sprawę.

- Zobaczę, co da się zrobić. Możesz skorzystać z łazienki na dole.

- Przyszedłeś w samą porę.

Whitfieldowie mieli osobną łazienkę, lecz na końcu korytarza znajdowała się łazienka dla gości. Kiedy Hannah przemykała na paluszkach, zobaczyła, że Jolene siedzi na swoim łóżku. Przesiedziała w łazience dziesięć minut, najpierw spuściła wodę w ubikacji, potem puściła głośno wodę z kurka. Potem wróciła na górę.

Marshall powycierał już większą część podłogi papierowymi ręcznikami, lecz nie zdołał odetkać muszli. Frustrację potęgowała późna godzina i brak odpowiednich narzędzi.

- Cóż ty tam u diabła wsadziłaś? - mruknął.

- Za dużo papieru toaletowego. No wiesz, nocne przypadłości - odparła Hannah przeproszającym tonem. - Korzystam z toalety chyba co godzinę.

- Będę mógł to naprawić dopiero rano.

- A co mam zrobić do tego czasu?

Wzruszył ramionami, nie chciało mu się teraz nad tym rozmyślać.

- Nie mam pojęcia. Pewnie będziesz musiała dalej korzystać z tej na pierwszym piętrze.

Przemoczone kapcie zostawiały mokre ślady na podłodze.

- Dzięki - rzuciła Hannah w stronę jego oddalających się pleców. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na znajomy odgłos przekręcanego klucza. Ale słyszała tylko - albo tak jej się przynajmniej wydawało - tylko mokre człapanie jego oddalających się kroków.

Drzwi nie zostały zamknięte!

Liczyła na to, że wszystkim dobrze wiadomo, jak często musi korzystać z łazienki i że wszyscy pogodzili się z tym jako z nieuniknioną konsekwencją ciąży. Udało się. Chyba że Marshall wcale nie położył się do łóżka, tylko zaczął się na nią gdzieś w ciemnościach. Ale szczerze w to wątpiła. Tylko w horrorach zdarza się, że napastnicy wyskakują na kogoś z krzykiem w środku nocy.

Minęło czterdzieści pięć minut, zanim powtórzyła mistyfikację - zeszała po cichutku po schodach, zniknęła w łazience, spuściła wodę, otworzyła i zamknęła kran. Gdyby ktoś nie spał, pomyśli sobie, że odbywa właśnie przymusową wycieczkę do łazienki. Kiedy wróciła do pokoju, postarała się zamknąć drzwi tak głośno, żeby było słychać piętro niżej.

Była już prawie czwarta, kiedy znów wstała, tym razem starając się robić jak najmniej hałasu. Sądząc po panującej w domu ciszy, wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie. Ustała mżawka i niebo trochę się rozjaśniło. Trawnik lśnił tak, jakby

ktoś go posypał szklanym pyłem. Nie włączając światła Hannah po cichu włożyła na siebie kalesony i kilka par rajstop. Potem dwie bluzy, dziergany w warkocze sweter, spodnie i szalik, cała się jak Charlie Brown ubrany na śnieżną zamieć. Podwinęła nogawki spodni, tak żeby spod szlafroka widać było tylko nogi w rajstopach. W rajstopach i butach. Miała nadzieję, że nikt nie będzie patrzył jej na stopy. Miała nadzieję, że nikt w ogóle nie będzie na nią patrzył.

Wsunęła do kieszeni portmonetkę ze wszystkimi pieniędzmi, jakie miała, i odmówiła krótką modlitwę.

Zaplanowała, że schodzenie odbędzie się w kilku etapach. Pierwsza, najłatwiejsza część, to zejście do łazienki - gdyby ją złapali, dziecko zawsze dostarczy gotowej wymówki. Kiedy dotarła piętro niżej, cała była zlana potem, a serce waliło jej tak głośno, iż bała się, że pobudzi wszystkich w okolicy. Stała w łazience z uchem przyciśniętym do drzwi i nasłuchiwała dźwięków otoczenia - poskrzypywań i pojękiwań stu pięćdziesięcioletnich belek i desek podłogi, kiedy wyłączył się grzejnik olejowy. Nie udało jej się wychwycić żadnych odgłosów, które mógłby wydawać człowiek.

Odczekała jeszcze pięć minut, by zyskać całkowitą pewność, a potem - jak pływak próbujący stopą lodowatej morskiej wody - zrobiła ostrożnie pierwszy krok po ostatniej kondygnacji schodów. Doszła do wniosku, że kiedy już zacznie schodzić, lepiej będzie się nie zatrzymywać. Musi się skoncentrować wyłącznie na swoim celu - na frontowych drzwiach. Teraz albo nigdy.

W połowie drogi schody zaskrzypiały pod jej ciężarem, a ona zamarła. Po plecach przebiegł dreszcz przerażenia.

Ale zmusiła się, by iść dalej. Kiedy dotrze do holu, chodniki wyciszą odgłos jej kroków. Widać już było zarys frontowych drzwi w mlecznym świetle, które wpadało przez drzwi, tworząc na podłodze srebrne plamy w kształcie trumien. Przeszła przez hol i ledwie dosłyszalnie odsunęła zasuwę (drzwi kuchenne, świadkowie jej ostatniej nieudanej próby, nie były naoliwione, a więc należało ich unikać).

Ostrożnie uchyliła drzwi i przygotowała się w duchu na lodowaty powiew. Kiedy tylko zrobiło się dość miejsca, wysliznęła się na zewnątrz - a w jej stanie oznaczało to, że musiała otworzyć drzwi do połowy. I właśnie wtedy czyjaś ręka złapała ją za włosy.

- Marshall! Szybko!! - rozdarła się Judith Kowalski, wciągając Hannah przez próg z powrotem do holu. Ciągnęła tak mocno, że Hannah miała wrażenie, iż zaraz oderwie jej włosy razem ze skórą. Głos kobiety i ostre dźgnięcie bólu wyzwoliło przypływ adrenaliny. Już nie pozwoli się zamknąć, nie da się zakneblować i związać jak zwierzę. Nie mają prawa tak jej traktować.

Obróciła się i młóćąc ramionami zdzieliła kobietę w twarz. Raczej z zaskoczenia niż pod wpływem siły ciosu, Judith rozluźniła nieco chwyt. Hannah udało się wydostać z powrotem za próg. W tym momencie Judith doskoczyła do niej od tyłu, jedną ręką otoczyła jej szyję w dławiącym chwycie, a drugą przytrzymała, paraliżując na miejscu.

Hannah zaczęła się dusić. Walka trwała ledwie kilka sekund. Złączone ze sobą ciała obróciły się kilka razy dookoła jak w pijackim tańcu, tak że Hannah straciła orientację i nie miała pojęcia, iż znalazły się na samej krawędzi schodów. Płuca błagały o wdech. Czyniąc ostatni, rozpaczliwy wysiłek, by się uwolnić, z całej siły wbiła łokieć w żołądek Judith.

Uderzenie oraz lód, który się utworzył na krawędzi stopni, sprawiły, że Judith runęła do tyłu, w dół schodów i lupnęła z całej siły na lśniący glazurą lodu chodnik.

Hannah zaczęła biec dopiero wtedy, kiedy znalazła się na trawniku, który chrząścił jej pod stopami; biegła w stronę rosnącego przy domu zagajnika. Kiedy dotarła do kępy sosen, obejrzała się tylko raz i tylko po to, aby sprawdzić, jak daleko zdołała odsądzić Judith.

Zaświecono lampiony na werandzie, w drzwiach stał ubrany w szlafrok Marshall. Judith leżała nieruchomo na płytach chodnika, koszula podwinęła jej się do ud, odsłaniając zgiętą kokieteryjnie nogę. Wyglądała jak szmaciana lalka, rzucona w kąt przez rozpieszczone dziecko, które dostało jakąś bardziej intrygującą zabawkę.

Hannah trzymała się laski, który rósł na granicy domów wzdłuż Alcott Street, wiedząc, że nie będzie musiała z niego wychodzić, dopóki nie dojdzie do skrzyżowania Alcott Street i Main. Ziemia między drzewami nie była tak śliska, więc mogła poruszać się dość prędko. W pewnej chwili szlafrok zaczepił się o jakieś ciernie, więc musiała przystanąć, żeby go odczepić.

Wyglądało na to, że nikt jej nie goni.

Czyżby zajęli się Judith? Pewnie już wnieśli ją do środka i wezwali ambulans. Hannah nie słyszała żadnego sygnału, może kobieta była tylko oszołomiona upadkiem. Wszystko działo się tak szybko, kiedy niespodziewanie wyskoczyła z ciemności i szarpnęła ją za włosy. Hannah wróciła myślami do terażniejszości.

Drzewa się przerzedziły; za laskiem była łąka, na której dzieci w lecie grywały w piłkę nożną. Wiatr zerwał część

siatki odgradzającej ją od ulicy, siatki pokrytej teraz lodem. Po drugiej stronie jezdni lśniła w księżycowym blasku wieża kościoła Najświętszej Panny.

Hannah znalazła się w połowie opustoszałego skrzyżowania. Kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód. Schyliła nisko, pomknęła za kościół, potem przez ogród przy plebanii, omal nie wpadając na kamienną ławkę, na której swego czasu ksiądz Jimmy wysłuchał jej spowiedzi. Wielki krzak hortensji posłużył jej za chwilowy kamuflaż. Mimo wielu warstw odzieży zaczynała odczuwać przenikliwy ziąb.

Przed plebanią zatrzymała się furgonetka, z której wyskoczył Marshall. Kilkakrotnie nacisnął ostro dzwonek, potem nerwowym gestem wytarł buty w wycieraczkę przed drzwiami. Na górze zapaliło się światło, potem drugie, w holu. Wreszcie drzwi otworzył proboszcz Gallagher i między tymi dwoma mężczyznami wywiązała się krótka rozmowa.

W pewnym momencie proboszcz zdawał się zapraszać Marshalla do środka, na co ten energicznie pokręcił głową i wskazał na zegarek. Widać było, że jest coraz bardziej zdenerwowany.

Proboszcz ojcowskim gestem poklepał go po ramieniu.

- ... oczy i uszy otwarte... może pan liczyć...

- ... miło z księdza strony... niezmiernie zobowiązany...

Wymienili pospieszny uścisk dłoni, po czym ksiądz wycofał się za drzwi, a Marshall wrócił do furgonetki. Hannah odczekała, aż zmaleją widoczne w ciemności tylne światła, zanim zdecydowała się wyjść zza krzaku hortensji. Przez boczne okno zobaczyła, że proboszcz z kimś rozmawia, więc zdała sobie sprawę, że ksiądz Jimmy także się obudził. Potem w sieni znów zrobiło się ciemno.



Ledwie doszła do wniosku, że obaj wrócili już na piętro, kiedy ktoś włączył światło na tyłach budynku, gdzie znajdowała się kuchnia. Ostrożnie podkrađła się w tamtą stronę. Ksiądz Jimmy wyjmował właśnie coś z lodówki, kiedy zwróciła jego uwagę stukając leciutko w zewnętrzne drzwi. Z początku sprawiał wrażenie zaskoczonego, lecz zaraz na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej ulgi.

- Mogę wejść? - przekazała przez szybę ruchem warg.

Przyłożył palec do ust i wskazał na sufit, co jak sądziła, miało oznaczać, że sypialnia proboszcza znajduje się bezpośrednio nad nimi i że należy być cicho.

Policzki miała zaróżowione od chłodu, a jej włosy lśniły w kuchennym świetle. Była tak ożywiona, zdyszana i podkscytowana, jakby wróciła właśnie z lodowiska. Natychmiast jednak zorientował się, że ten stan euforii wywołany jest strachem. Ubrana była jak bezdomna, a szlafrok, który miała na sobie zamiast płaszcza, był podarty.

- Muszę się stąd wydostać - wyszeptwała. - Czy ksiądz może mi pomóc?

Ująwszy za rękę poprowadził ją przez kuchnię, a potem po schodach do piwnicy, gdzie przechowywano nieużywane meble, stare kościelne ławy i połamane rzeźby. Zimne powietrze cuchnęło pleśnią.

Dopiero tutaj ksiądz Jimmy się odezwał.

- Co się stało?

- Czy proboszcz księdzu nie powiedział?

- Powiedział tylko, że pan Whitfield przyszedł pani szukać. Wygląda na to, że w domu wywiązała się jakaś kłótnia, a pani się zdenerwowała i uciekła. Kiedy pani nie wróciła, wszyscy zaczęli się martwić.

- Martwić? Ja ich nic nie obchodzę. Zabiliby mnie bez wahania, gdyby nie to, że mam w brzuchu to dziecko. Zamknęli mnie na klucz. Jak zakładniczkę.

- Proszę się uspokoić, Hannah. Przesada tu w niczym nie pomoże. - Mimo że ją karcił, sam siebie pytał w duchu, dlaczego jest taki surowy. Przecież natychmiast jej uwierzył.

- Niech ksiądz przestanie mnie traktować jak stukniętą histeryczkę. Miałam rację, kiedy ich podejrzewałam. Teraz nawet nie muszę niczego udowadniać. Wiem to na pewno. Wczoraj sami mi wszystko powiedzieli.

Ksiądz uczył nagły ucisk w gardle.

- Co pani powiedzieli?

- Pomyśli ksiądz, że oszalałam. Wiem, że tak ksiądz pomyśli. Nikt nie weźmie tego na poważnie, ale nic mnie to nie obchodzi. Muszę się stąd wydostać i chronić swoje dziecko. Niedługo znów przyjdą tu mnie szukać. Miałam nadzieję, że ksiądz mi pomoże.

Stanął na schodach, aby zablokować wyjście. - Niechże mi pani opowie, co mówili. Proszę.

Hannah przekonała się nagle, że nie potrafi tego z siebie wykrztusić. Objęła rękoma brzuch i zaczęła kołysać się w przód i w tył, a z jej ust wydobył się cichy jęk. Oczy zaszyły łzami. Ksiądz Jimmy podszedł i ujął ją za obie dłonie. Położyła mu głowę na piersi i otwarcie załkała.

- Co mówili? - mruknął, czując na wargach jej miękkie włosy.

- Mówili... że zostałam wybrana. - Hannah ostrożnie uniosła głowę. - Wybrana na naczynie powtórnego przyjścia.

Później ksiądz Jimmy nie był w stanie opisać fizycznego odczucia, jakie go wtedy ogarnęło. Było jak fala oceanu,

zanim się rozbije, wciąż nabierająca pędu, która otacza ciało pływaka tam i z powrotem, przepływa przez niego na wskroś, tak że ciało i woda na moment stają się jednością. Nigdy przedtem nie doświadczył niczego podobnego. Zakręciło mu się w głowie, a piwnica na moment zniknęła.

Kiedy odczucie minęło i odzyskał ostrość widzenia, zobaczył przed sobą twarz Hannah, jej błękitne spojrzenie utkwione w jego oczach. Była to, pomyślał, najbardziej świetlista twarz, jaką widział w życiu.

## Rozdział 41

**C**hrystus umarł. Chrystus zmartwychwstał. Chrystus przyjdzie ponownie.

Z rękoma wyciągniętymi w stronę kielicha ksiądz Jimmy wygłaszał tajemnice wiary, wraz z nim recytowali je stojący grupkami w kościele nieliczni parafianie, którzy zdołali wstać, by przyjść na poranną mszę. Tej niedzieli zjawilo się jeszcze mniej ludzi niż zazwyczaj, bo pogoda była bardzo nieprzyjemna, a drogi po wczorajszym deszczu ze śniegiem bardzo śliskie, więc pojedyncze głosy musiały nadrabiać przeredzoną materię chóralnych odpowiedzi.

Odkąd był ministrantem, powtarzał sobie - podobnie jak wszystkim naokoło - że kościół jest jego domem. Takie było jego powołanie, które odczuwał zupełnie tak samo jak prawdziwy artysta, lekarz czy nauczyciel. Nigdy tego nie kwestionował, nie miał żadnego alternatywnego planu, nie trzymał niczego w odwodzie. Codziennie dziękował Bogu za tę pewność.

A teraz coś takiego.

Przebiegł wzrokiem po twarzach wpatrzonych w niego parafian: na jednych malowało się znudzenie, na innych żywe pragnienie, by doznać olśnienia, jeszcze inne mówiły

jasno, że przywiódł je tu jedynie utrwalony nawyk. Ciekawe, jakby zareagowali, gdyby wystąpił teraz przed nich i obwieścił, że wkrótce czeka ich powtórne przyjście? Że Jezus jeszcze raz będzie stąpał po ziemi i poprowadzi nieszczęśliwych i uciśnionych do zbawienia? Czy w jednej sekundzie odmieniają swoje życie, czy tylko przeżegnają się tylko odruchowo i powrócą do domów, do swych bezmyślnych programów telewizyjnych i ciepłych posadek?

Kiedy zakończył mszę, w zakrystii czekał na niego proboszcz Gallagher.

- Ależ mieliśmy niespodziankę wczoraj w nocy - zagadnął, wyjmując z szafy komżę, kiedy ksiądz Jimmy zdejmował swoją. - Choć nie powiedziałbym, że tak całkiem niespodziewaną. Miałeś jakieś wieści od tej dziewczyny?

- Słucham? - odezwał się ksiądz Jimmy, z głową spowitą w ściaganą właśnie komżę.

- Od tej Manning. Miałeś od niej jakieś wieści?

Młody ksiądz długo zaczesywał rękoma rozburzone włosy.

- Nie, nie miałem. Żadnych.

- Co za nieprzyjemna historia. Nie muszę ci chyba mówić, żebyś miał oczy otwarte?

- Nie, nie musi ksiądz.

Tak to się właśnie zaczyna erozja, pomyślał. Od pierwszego kłamstwa. Zaczyna się od „Nie, nie miałem”. Pierwszy uszczerbek w spoinie, która trzyma razem cegły tego muru. Ledwie zauważalny. Bo w końcu mur nadal stoi, prawda? Lecz następny ukruszony kawałek będzie większy, a kolejny jeszcze większy.

Wręczył biało-złote szaty ministrantowi, który odwiesił je do szafy.

- To już wszystko, Michaelu. - Proboszcz odprawił chłopca. - Wiesz, że dziś rano pan Whitfield przyszedł na plebanię jeszcze raz?

- Nie, nie wiedziałem.

- Dziewczyna wciąż jeszcze nie wróciła. Nie było jej całą noc, i to w jej stanie! Poradziłem mu, żeby zadzwonił na policję, jeśli wkrótce nie wróci. Co mogło ją opętać, że wypadła tak w środku nocy?

- Nie... nie wiem dokładnie, ale mówiłem księdzu, co według niej się zdarzyło. Zakazał mi ksiądz o tym więcej wspominać.

Proboszcz cofnął się, potwierdzając skinieniem głowy.

- Owszem, zakazałem. Ale w świetle obecnych okoliczności wychodzi na to, że mogłem pobrać.

- No cóż... Nie wiedziała, co ma robić. Boi się o dziecko, które w sobie nosi. Od samego początku targają nią bardzo silne uczucia i rozterki w kwestii zatrzymania dziecka dla siebie. A teraz, w świetle tej... informacji, nie chce, aby dziecko wpadło w ich ręce.

- Jak sądzisz, co należałoby teraz uczynić?

- Mówiąc szczerze, nie wiem.

- Czy ona ma jakieś dowody, na których opiera swoje przekonanie? Czy to tylko, jakby to powiedzieć... teoria?

- Teoria, księżo proboszczu?

- Tak, czy ona mogła sobie to wszystko wymyślić?

- Ostry ton odpowiedzi zdradził, iż cierpliwość starszego księdza jest już na wyczerpaniu. W zakrystii panowała zbyt wysoka temperatura, a suche powietrze drażniło mu nos.

- Nie, nie sądzę, aby to wymyśliła. Przeprowadziła z tymi ludźmi coś w rodzaju konfrontacji. A oni potwierdzili jej podejrzenia.

Nie taką odpowiedź pragnął proboszcz usłyszeć. Złudzenia znerwicowanej dziewczyny, stanowiły wystarczająco poważny problem. A jeśli to nie są złudzenia, to sytuacja może mieć bardzo poważne konsekwencje. Przypomniawsobiesobie wszystkie wyjaśnienia, jakich ostatnim razem udzielił mu ksiądz Jimmy.

- Ale jakim sposobem ci ludzie uzyskali krew Jezusa, to DNA, czy to coś, czego, twoim zdaniem, użyli?

- Mogę tylko zgadywać na podstawie tego, co wyczytałem. Sudarium przechowywane jest w ścisłym zamknięciu w krypcie pod katedrą w Oviedo. Z rzadka jest wyjmowane, pokazywane przez chwilę wiernym, a potem wraca do relikwiarza. Przy jednej z takich okazji, w Wielki Piątek siedem lat temu, wydarzył się dziwny wypadek. Ksiądz, który odnosił je do krypty, zmarł na atak serca i przez kilka minut płótno było niestrzeżone. To wystarczający czas, aby pobrać próbkę krwi.

- Ale przecież zgłoszono by, gdyby brakowało kawałka materiału.

- To nie musiał być kawałek. Mogła to być nitka. Potrzeba tylko odrobinki. Naukowcy pobrali próbki krwi z kałunu turyńskiego za pomocą taśmy klejącej. Może i tutaj postąpiono w podobny sposób? Przecież to praktycznie nie do wykrycia.

- Tak więc w twoim przekonaniu jest to zupełnie prawdopodobne z naukowego punktu widzenia?

- Więcej niż prawdopodobne. Wierzę, że to się już dokonało.

Proboszcz Gallagher przeciągnął palcem po koloratce. Dlaczego kościelny tak mocno tutaj grzeje? W tej zakrystii można się udusić. Po karku spłynęła mu strużka potu.

- Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, nie oznacza jeszcze, że mamy do czynienia z powtórным przyjsciem. Nie mamy żadnego konkretnego dowodu na to, że płótno splamiła krew Chrystusa. To tylko przekazywana z pokolenia na pokolenie opowieść. Tradycja. Coś, w co w głębi serca chcielibyśmy wierzyć.

- Sam papież modlił się przed tym całunem - zaprotestował ksiądz Jimmy.

- A dlaczego nie miałby się przed nim modlić? Modlitwa jest dobra zawsze i wszędzie. A jeśli to nie jest krew Chrystusa? A jeśli to jest, boja wiem, krew jakiegoś rzymskiego żołnierza, który padł w bitwie, albo jakiegoś średniowiecznego awanturnika? Albo krew zwykłego kryminalisty? Przecież obok Jezusa ukrzyżowano dwóch łotrów, prawda? Może tym, który narodzi się ponownie, będzie jeden z nich?

Przyglądał się, jak na twarzy młodego księdza ukazuje się wyraz przerażenia, jak odpływa z niej cała krew. Wcale nie chciał potraktować go tak ostro. Ksiądz Jimmy łatwo ulegał wpływom, pod pewnymi względami nadal był niewinny.

- Przyjmijmy jednak na razie, że tradycja w tym przypadku się nie myli i że naprawdę ten kawałek materii spowijał twarz Chrystusa w chwili Jego śmierci. Ci ludzie zdolają wskrzesić jedynie jego cielesną powłokę, tę skorupę, którą zamieszkiwał podczas swego krótkiego pobytu na ziemi, ciało, które pokonał. Ale przecież nie jego pierwiastek duchowy, jego duszę, jego boskość.

- Chyba że, tak jak twierdzą, działają z boskiej inspiracji.

- Ach, boska inspiracja! Ilu się już do niej przyznawało i ilu dało się sprowadzić na manowce? - Zamyślił się głęboko. Pochylił głowę i nieświadomie potarł kciukami skronie.



Ksiądz Jimmy czekał w niezręcznym milczeniu, nie śmiejąc zakłócić ciężkiej ciszy, jaka zapanowała w zakrystii.

W końcu stary proboszcz przemówił.

- Jeśli taka jest wola Boga, ani ja, ani ty. ani nikt nie może nic na to poradzić. Lecz jeśli tak nie jest, mamy przed sobą święty obowiązek. James.

- Jaki?

- Myślę... myślę, że musisz odnaleźć tę dziewczynę.

- Dlaczego ja?

- Ufa ci, prawda?

- Tak, ale nie zgodzę się, aby została wydana tym ludziom.

- Nie mówię przecież o wydawaniu. Mówię, musisz ją znaleźć. A jeśli ci to się uda, zabraniam ci informować o tym Whitfieldów. Teraz to jest już sprawa władz kościelnych. Teraz one się nią zajmą.

- W takim razie ksiądz wierzy w to, co mówię, co ona mówi?

- Wierzę, że jacyś fanatycy podjęli się misji, która może wyrządzić Kościołowi ogromne szkody. To wystarczy. W tej chwili światu nie jest potrzebny kolejny fałszywy prorok, zwłaszcza zrodzony za pomocą nauki. Pomyśl tylko, co mogłoby wyniknąć, gdyby się to rozniosło. Każda zagubiona i samotna dusza stąd do Timbaktu przybiegnie pędem, aby czcić to dziecko, kimkolwiek by było. Media już by dopilnowały, żeby ta historia dotarła aż na krańce świata. Wyobraź sobie tę powszechną histerię! Co w tym całym zamieszaniu i chaosie stałoby się z Kościołem?

Większość przedstawicieli stanu kapłańskiego wie dziebardzo zwyczajny żywot, James. Uprawiamy swoje małe ogródki i zbieramy swoje skromne żniwo. Ale ciebie po-

wołano do czegoś ważnego. Bóg sprowadził do ciebie tę dziewczynę, abyś zapobiegł wybuchowi chaosu. Teraz to widzę. I ty także musisz to dostrzec. To sprawka szatana. Zatem znajdź ją, James. Powstrzymaj herezję. Chroń Kościół, który jest ci tak drogi.

Przejęty żarliwością w głosie proboszcza, udręczony z powodu tajemnic, jakie przed nim krył, ksiądz Jimmy poczuł, że oczy ma pełne łez.

- Spróbuję, proszę księdza. Zrobię, co będę mógł.
- Proboszcz położył dłoń na głowie młodego księdza.
- Bóg o nic więcej nas nie prosi, James.

## Rozdział 42

To wina niewłaściwego kontekstu. Tak właśnie Teri to sobie później tłumaczyła. Tam, w jadalni „Błękitny Świt”? Nic dziwnego, że z początku wcale nie poznała tej kobiety.

Stała przy kasie, ubrana w gruby, niebieski płaszcz z wełny i futrzaną czapkę uszankę (może zresztą przyczyniła się do tego także ta idiotyczna czapka) i starała się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę Teri. W ten niedzielny poranek w jadalni panował wyjątkowo duży ruch. Pomocnik zadzwonił rano, że jest chory. Nikt mu nie uwierzył. Jeśli wyciągnąć wnioski z historii, to pewnie odsypiał szalony sobotni wieczór, jaki spędził w gronie kolegów.

Niemniej oznaczało to, że Teri musi samodzielnie obsłużyć wszystkie stoliki w swoim rewirze. Nowa kelnerka wciąż jeszcze nie nabrała odpowiedniego tempa, a przecież wcale nie była już taka nowa. Pracowała tu od siedmiu miesięcy! Natomiast Bobby otrząsnął się z depresji i znów zachowywał się równie wrednie, jak poprzednio.

A teraz - dodając obrazę do tego ledwie kontrolowanego szaleństwa - kobieta zaczęła pstrykać na nią palcami, za każdym razem, kiedy Teri ją mijala.

- Przyjdę do pani, jak tylko będę mogła, złotko. Nie widać pani, że staram się jak mogę? - Wszystkie stoliki były zajęte. Gdzie ta kobieta chce usiąść? Komuś na kolanach -

Teri pospiesznie zebrała brudne talerze z czwórki, wzięła zamówienie na desery, a potem ostrożnie unosząc w prawej ręce stertę naczyń sięgającą ramienia, ruszyła do kuchni. Tym razem kobieta nie zadowolila się pstryknięciem. Szturchnęła kelnerkę, a ta aż podskoczyła. Jeden z talerzy zsunął się ze sterty i rozbił się na podłodze.

- Strasznie przepraszam - rzuciła kobieta, pochylając się, by zebrać stłuczone kawałki. Dopiero wtedy Teri rozpoznała, że to Jolene Whitfield. Tu, w „Błękitnym Świecie”!

Z kuchni wytoczył się Bobby ze zmiotką i szufelka w ręku.

- Ja się tym zajmę, proszę pani. Nie chcę, żeby się pani zacięła, a potem w sądzie zdarła mi z grzbietu ostatnią koszulę.

Bobby wcale nie miał na sobie koszuli, tylko ten sam co zwykle wytłuszczony podkoszulek, lecz i tak wydał z siebie zadowolony śmieszek, który natychmiast przeszedł w paskudny nikotynowy kaszel.

- To był wypadek - rzuciła przepaszająco Jolene, kiedy Teri, bojąc się o resztę naczyń, zniknęła przezornie w kuchni.

- Nic się nie stało - odparł Bobby z filozoficznym spokojem. - Staramy się tu nie używać talerzy więcej niż raz. Jeśli zechce pani chwilę poczekać, zaraz znajdę pani jakiś stolik.

- Och, nie potrzebuję stolika. Przyszłam tylko porozmawiać z Teri.

Pozbierał na szufelkę rozbite skorupy i zaniósł je do kuchni.

- Hej, Teri. To nie jest najlepsza pora na towarzyskie wizyty. Mamy spory ruch.

- No coś ty, Bobby. Nic nie zauważyłam. Przez ostatnie dwie godziny malowałam paznokcie w łazience.

- Jezu, rusz się wreszcie, co? Jedno zamówienie czeka tu już chyba od wtorku!

Teri złapała z okienka cztery hamburgerowe specjały, wtknęła w kieszeń fartucha butelkę sosu tabasco i ruszyła przed siebie pewnym krokiem osoby, która potrafiłaby wykonać te czynności z zawiązanymi oczyma.

Kiedy podała jedzenie matce o przytępionym spojrzeniu z trójką równie tępo patrzących dzieci, zwróciła się do Jolene.

- Co panią tu sprowadza, pani Whitfield?

- Szukam Hannah.

- A, to dziwne! Wczoraj ja jej szukałam u pani w domu. Dziś pani robi to samo. Co się właściwie dzieje?

- Mam nadzieję, że nic poważnego. Hannah dziś rano trochę się zdenerwowała i wyszła.

- Naprawdę? Biedactwo. A czym się tak zdenerwowała?

- Właśnie o to chodzi, że nie wiem. Emocje. Zrobiła się tak chwiejna emocjonalnie, że nie sposób przewidzieć, jak się zachowa. Miała pani od niej jakieś wieści?

- Ostatnio nic. Ale chciałabym. Mogę panią na chwilkę przeprosić?

Teri wykonała rundkę po swoim rewirze, dolewając kawy do kilku filiżanek. Aby pokazać, że nigdzie się na razie nie wybiera, Jolene zdjęła futrzaną czapę i potrząsnęła włosami.

Niech sobie poczeka, pomyślała Teri. Złapała ją na tym, że zerka za okno, na zaparkowaną przed budynkiem

furgonetkę. Za kierownicą siedział szpakowaty mężczyzna w średnim wieku. Pan od Jolene, domyśliła się Teri. Niech sobie teraz trochę oboje poczekają!

Minęło jakieś dziesięć minut, zanim Teri znów podeszła do lady.

- Proszę posłuchać, szczerze wątpię, aby Hannah miała się wkrótce pokazać w jadłodajni. Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić?

Jolene wyglądała na załamana.

- Może jest jeszcze jedno wyjście. Jej ciotka i wujek mieszkają w Fall River, prawda? Nie ma pani przypadkiem ich adresu? Nigdy nie przyszło mi na myśl, że mogą mieć inne nazwisko. A przecież to oczywiste.

- Jeśli Hannah potrzebuje trochę samotności, lepiej będzie zostawić ją w spokoju. Nie ma jej dopiero od kilku godzin, prawda? Na pewno zadzwoni, kiedy tylko się trochę uspokoi. Szalejące hormony, wie pani, jak to jest. Poza tym, jeśli potrzebuje ciszy i spokoju, to raczej nie udała się do Ruth i Herba, jeśli rozumie pani, o czym mówię.

- To co ja mam zrobić? Jestem w kropce. Naprawdę myślałam, że będzie pani w stanie nam pomóc. - Jolene ostatkiem sił starała się zachować spokój. - Hannah ma ostatnio jakieś dziwne pomysły. Nie zdołam nawet wytłumaczyć. Nie wiem, skąd one jej się biorą. To... po prostu śmieszne. Och, nie chce źle się wyrażać o pani przyjaciółce. Kocham ją tak samo jak pani, ale... ale...

Kobieta przestała hamować łzy, które spłynęły po policzkach strużkami rozmazanego tuszu. Grzebała przez chwilę w kosmetyczce w poszukiwaniu chusteczki. Widząc, że poszukiwania są bezskuteczne, Teri podała jej jedną z leżących na ladzie serwetek.

- Dziękuję. Przepraszani, że robię takie przedstawienie. Ale tak bardzo się boję o Hannah. Jest teraz tak rozchwiana emocjonalnie, że... że wszystko może się wydarzyć.

Panujący w jadalni szum już nie zagłuszał jej łkań, więc kilku klientów zaczęło zerkać w ich stronę. Porzuciwszy wszelkie konwenanse, Jolene złapała Teri za rękę, jakby się bała, że zmiecie ją nagła fala powodzi.

- Proszę... niech mi pani pomoże... Ona ma moje dziecko, a ja się tak boję... Niech pani nie pozwoli, aby coś jej się stało... Błagam panią...

Teri czuła się idiotycznie i niezręcznie, częściowo dlatego, że coraz więcej osób odkładało noże i widelce i zupełnie otwarcie zaczynało się na nie gapić. Lecz kurczyła się w sobie także i z innego powodu.

Choć wcale się tego nie spodziewała, poczuła w sobie przyływ współczucia dla tej nieszczęsnej kobiety, która tak mocno trzymała ją za rękę i w widoczny sposób cierpiała.

## Rozdział 43

**W** domu wreszcie się uciszyło. Hannah leżała na szerokim małżeńskim łóżku, ale była tak wyczerpana, że nie mogła zasnąć. Myślami wybiegała w przyszłość. Tyle rzeczy należało przemyśleć: gdzie urodzi swoje dziecko, gdzie będzie potem mieszkać, jak ma znaleźć dobrego prawnika, bo jedynym sposobem, aby mogła zatrzymać to dziecko, było wygranie sprawy w sądzie.

Nie mogła liczyć na nikogo poza Teri i księdzem Jimmym. Ksiądz Jimmy w środku nocy wywiózł ją potajemnie z East Acton, lecz musiał natychmiast wracać, żeby zdążyć na poranną mszę. Teri tyrała w jadłodajni. Jeśli zaś chodzi o pozostałych... Wciąż jeszcze miała przed oczyma obraz Judith Kowalski rozciągniętej na zaśnieżonym chodniku i wpatzonego w nią w niemym przerażeniu Marshalla. Na śniegu widać było krew, a kiedy schylił się, żeby podnieść leżącą, dłonie także uwalną sobie krwią, tak że wyglądał, jakby miał jasnoczerwone rękawice - jak człowiek, który kroczy na końcu trupy minstrelów w jakimś diabolicznym przedstawieniu, błyskając obleśnym uśmiechem i wymachując rękoma...



Gdy zadzwonił telefon, Hannah aż podskoczyła z przestraszu. Widać, mimo wszystko jednak zasnęła.

Wahała się chwilę, zanim odebrała, starając się najpierw do końca rozbudzić. Może to dzwoni ksiądz Jimmy. Sięgnęła po słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

To była Teri.

- Wszystko dobrze, złotko? Nigdy nie zgadniesz, kto w tej właśnie chwili siedzi sobie w samochodzie na parkingu jadłodajni, próbując wpaść na pomysł, gdzie mogłaś się podziać.

- Nawet nie mów. Jolene?

- I jakiś facet. Zakładam, że jej mąż.

Hannah poczuła nagły ucisk w gardle.

- Długo im to nie zabrało! Co mam robić?

- Nic. Zostań tam, gdzie jesteś. Udawałam, że nie mam pojęcia, gdzie możesz być. Niesamowita baba. Nie dałabym głowy, czy nie zechcą mnie śledzić, kiedy będę wracała do domu. Czekaaj, odjeżdżają z parkingu.

- A co będzie, jeśli jada tutaj?

- Po prostu nie otwieraj drzwi. Każ Nickowi powiedzieć, że cię tu nie ma. Już on im wpoi trochę bojaźni bożej.

- Nicka tu nie ma, Teri.

- No tak! Zapomniałam, że ma dziś zabrać chłopaków na mecz baseballowy. Dobry, stary Nick! Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny.

- Nie mogę tu zostać sama.

Teri wyczuła narastający strach Hannah. Głos dziewczyny nawet nie zadrżał, lęk zdradzał przyspieszony oddech, który sprawiał wrażenie, jakby po każdym słowie musiała zaczerpnąć powietrza.

- Ależ możesz. Posprawdzaj tylko, czy drzwi są pozamykane na klucz. A, i nie zapomnij o drzwiach od piwnicy. Dzieci bawiły się dziś rano na podwórku i mogły je zostawić otwarte. Jeśli w ten sposób poczujesz się bezpieczniejsza, możesz też zaciągnąć zasłony w pokoju dziennym.

- Oni wyłamią drzwi, Teri. Wiem, że tak zrobią.

- Nie...

- Teri, wczoraj wieczorem wydarzyło się sporo rzeczy o których ci jeszcze nie opowiedziałam. Jest gorzej, niż myślisz. Potrzebuję ochrony.

- To dzwoń na policję.

- Ja... wołałabym tego nie robić.

- Znów tajemnice, co? Posłuchaj, jesteś zmęczona i zbyt mocno reagujesz. Uspokój się trochę, a wszystko będzie dobrze. Najważniejsze, żebyś nie wychodziła teraz z domu. Zapamiętałaś?

Uwagę Hannah przyciągnął trzask drzwiczek samochodu przed domem. Whitfieldowie nie mogli tu jeszcze dojechać, pomyślała, nie zdążyłam nawet posprawdzać zamków.

- Słyszałaś mnie, Hannah? Hannah? Jesteś tam jeszcze?

- Tak... - Wciągnęła z sykiem powietrze.

- Wrócę do domu, kiedy tylko skończy mi się zmiana. Hannah odwiesiła słuchawkę i wyjrzała przez okno w samą porę, by zobaczyć, że sąsiad z naprzeciwka znika we własnym domu. To był fałszywy alarm. Whitfieldowie z pewnością wpadną na jej trop, to tylko kwestia czasu. Gwałtownym szarpnięciem zaciągnęła zasłony. Czowała się okropnie ciężka. Tyle dziś przeszła, tak mało spała. Była już tak zmęczona, że prawie nie miała siły dalej walczyć. Nie, musi walczyć. Przez wzgląd na dziecko musi udać się tam, gdzie są jacyś inni ludzie. Zdana na siebie, była zupełnie bezbronna.

Bezpieczeństwo jest w przewadze. Bezpieczeństwo to książdz Jimmy. Dlaczego nie ma go przy niej? Wiedziona impulsem, podniosła znów słuchawkę telefonu, zadzwoniła na informację i poprosiła o numer radio taxi.

Kiedy taksówka mknęła obok dobrze jej znanych, zniszczonych domów, Hannah zastanawiała się, czy nie powinna najpierw zadzwonić. W zasadzie przez ostatnie kilka miesięcy wcale się nie kontaktowała z Herbem i Ruth, a przedtem też ledwo-ledwo. Pamiętała, aby wysłać im kartki z życzeniami na urodziny, zadzwoniła też raz czy drugi, aby zapewnić, że u niej wszystko w porządku. Odbyla przy tej okazji coś, co jednak trudno nazwać pogawędką. Była to krótka wymiana zdań, podczas której wymieniono informację, że wszyscy są żywi i jeśli nie całkiem zdrowi, to „na tyle zdrowi, na ile można - jak ujmował to Herb.

Doszła do wniosku, że jeśli okażą jej wrogość, zbierze po prostu te rzeczy, których nie zabrała wcześniej (jeśli jeszcze da radę się w nie wcisnąć) i każe taksówkarzowi zawieźć się do jednego z moteli przy autostradzie międzystanowej. Kiedy podjęła decyzję, oddech zaraz się uspokoił. Od razu poczuła się lepiej.

Gdy taksówka zajęchała pod dom, Herb stał akurat na podjeździe i zeskrobywał szron z przedniej szyby samochodu. W pierwszej chwili jej nie poznał, lecz coś musiało odezwać się w podświadomości, bo znieruchomiał i zmierzył ją drugim, uważniejszym spojrzeniem. Hannah wydawało się, że na tej skórzastej twarzy wypatrzyła nikły cień uśmiechu.

Wręczyła taksówkarzowi banknot dziesięciodolarowy, a kiedy szukał reszty, zlustrowała ulicę, czy przypadkiem nie widać gdzieś śladów Jolene i Marshalla. Ulica jednak była

jak wymarła. Jedną z zasłon w pokoju dziennym Ritterów odsunięto na bok, z czego Hannah wysnuła wniosek, że Ruth wyjrzała przez okno.

Herb nie krył zaskoczenia, kiedy Hannah gramoliła się cięższe z taksówki.

- Boże złoty, jak ty wyglądasz! - Cięża widziana naocznie, a cięża, o której mówiło się przez telefon, to w jego umyśle dwie odrębne rzeczywistości. - Ostrożnie. Chodnik jest śliski.

Podał jej ramię, żeby mogła się oprzeć i podprowadził do frontowych drzwi. Nie przypominała sobie, aby wuj kiedykolwiek wcześniej dotykał jej z tak życzliwą troską.

- Myślisz, że ciotka Ruth zdenerwuje się na mój widok?

- Było, minęło. Jeśli chcesz znać prawdę, to moim zdaniem żałowała, że kazała ci się wyprowadzić, choć pewnie w życiu się do tego nie przyzna. Gdy dzwoniłaś, zawsze zamęczała mnie później pytaniami o wszystko, co powiedziałaś. Mówiłem jej, żeby złapała za telefon i sama z tobą pogadała, jeśli ją to tak bardzo ciekawi. Ale wiesz, jaka jest Ruth.

Jak na zawołanie, w drzwiach pojawiła się Ruth. Pierwsza myśl, jaka przyszła Hannah do głowy, to że się strasznie postarzała. Obraz, jaki utrwalił się jej w pamięci, przedstawiał twardszą, surowszą kobietę. Teraz rysy Ruth zmiękły, jakby powoli topniały. Usta zaczynały zapadać się do środka, szczęka trochę opadła, a oczy w widoczny sposób utraciły swój drapieżny blask.

- Co to, nowy płaszcz? - Tyle tylko powiedziała, kiedy Hannah weszła do domu.

- Ten? Nie, to płaszcz Teri. Pożyczyłam. Niezbyt dobrze leży, prawda? - zachichotała nerwowo i próbowała obciągnąć poły na brzuchu.

- Nie bardzo w twoim stylu. Zbyt krzykliwy. Nigdy się tak nie ubierałaś, kiedy tu mieszkałaś.

- Chyba nie.

- Zbyt czerwony. - Wzięła od niej płaszcz i odwiesiła do szafy w przedpokoju.

- No to jak ci się wiodło? - zapytał Herb, żeby przerwać niezręczne milczenie.

Od czego powinna zacząć? Co mogłaby im powiedzieć o swym przykrym położeniu tak, aby byli w stanie zrozumieć? Z pewnością nie ma potrzeby wdawać się teraz w szczegóły na temat doktora Johansona, Judith Kowalski alias Letycji Greene, DNA i relikwii zawierających na sobie krew Jezusa.

- Fizycznie nic mi nie dolega... Jestem strasznie gruba, ale czuję się dobrze... a tak poza tym... niełatwo jest żyć z ludźmi, których się zupełnie nie zna... Pomyślałam sobie, że potrzebuję trochę odmiany... Więc kiedy Teri zaprosiła mnie do siebie...

- Czy u Teri masz gdzie spać? - przerwała jej Ruth.

- Na kanapie.

- W twoim stanie? - W głosie Ruth zadźwięczał ton dawnego oburzenia. - To śmieszne! Czemu nie miałabyś spać w swoim dawnym pokoju?

- Nie wiedziałam, czy nie będziecie mieli nic przeciwko temu. Zresztą, nie zostaną długo.

- Nonsens. To przecież twój pokój. Przecież skoro tu jesteś, możesz z niego korzystać.

Trudno to było uznać za zaproszenie, ale Hannah doszła do wniosku, że to najlepsze, na co stać Ruth. Postanowiła się zachowywać tak, jakby to była zupełnie normalna niedziela i wszystkie bolesne sprzeczki zostały pogrzebane w przeszłości.

Oboje wujostwo się starali i ten ich wysiłek sprawił, że Hannah się wzruszyła.

- Mogłabym dostać gorącej herbaty? Nadal pijecie herbatę, prawda?

- To chodź do kuchni.

- Chyba nie zapomniałaś jeszcze, gdzie jest kuchnia, co, Hannah? — zażartował Herb.

Siedząc przy kuchennym stole, siorbiąc herbatę z kubków i zjadając resztę porannych drożdżówek, wymieniali wieści. Herb i Ruth słuchali opowieści o East Acton, o księdzu Jimym i o kościele. A Hannah słuchała historyjek o nowym sąsiedzie, który wprowadził się dwa domy dalej i pomalował budynek na jaskrawoniebieski kolor - pewnie zauważyła, kiedy tu jechała - całe sąsiedztwo strasznie się tym oburzyło.

Ruth zwierzyła się, że ostatnio coś dziwnego porobiło jej się z nogami, a lekarze nie wiedzą, co to może być. Herb dodał, że skoro nie chcą ich od razu odciąć, to powinna uznać się za szczęściarę.

O dziecku nie rozmawiali. Ale Hannah wcale to nie przeszkadzało. W końcu dojdą i do tego. Na razie chciała się nacieszyć szczególnym poczuciem komfortu, jakie ją ogarnęło. Akurat tutaj, u Ruth i Herba! Próbowwała się nad tym zastanowić. Dzieciństwo nie było dla niej zbyt przyjemne, trudno też udawać, że łączyła ją z wujostwem bliska więź.

Jednak to jej rodzina, na dobre i na złe, i tu jest jej dom. Tego już nie da się zmienić. Skumulowane tutaj wspomnienia należą tylko i wyłącznie do niej i tylko ją ukształtowały. Można uciec od przeszłości, tak jak to zrobiła, ale nie można udawać, że nigdy nie istniała. Ruth i Herb stanowią

część jej życia, tak samo jak ona stanowi część ich rzeczywistości. Może odejście Hannah pozostawiło w ich życiu pustkę i dlatego ten powrót do domu, jeśli to właśnie było to, nie odbył się boleśnie, jak się tego obawiała.

- Coś marnie wyglądasz, Hannah - zauważyła Ruth.  
- Nie chciałybyś się położyć i zdrzemnąć przed obiadem? Muszę przyznać, że trochę nas zaskoczyłaś, ale jestem pewna, że damy radę wykombinować coś jadalnego. Jest coś, czego nie możesz jeść? Ze względu na dziecko?

No proszę! Ruth nawet wspomniała o dziecku.

- Nie, ciciu Ruth- odparł miękko Hannah. - Cokolwiek przygotujesz, na pewno będzie dobre.

Jej pokój wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy go opuszczała. Pluszowy pingwin nie ruszył się z grzędy na parapecie, a tanie wydania książek, które czytała zeszłej zimy, nadal spoczywały na szafce nocnej przy łóżku. Szuflady biurka, które opróżniła, pozostały puste, nie wykorzystano ich na magazyn starych ozdób świątecznych lub numerów „National Geographic”.

Czyżby przed cały czas spodziewali się, że wróci?

Położyła się ostrożnie na łóżku i zatonęła w miękkiej pościeli, ciesząc się poczuciem, że wreszcie może przestać się niepokoić. Uświadomiła sobie, że z powodu wydarzeń ostatniej doby nerwy ma wciąż napięte, w dodatku bolały ją wszystkie mięśnie. Starła się odsunąć od siebie myśli o genetyce i szaleńczych spiskach, koncentrując się na błogim odczuciu, jakie ogarnęło ją w łóżku, w którym sypiała przez tyle długich lat.

Miała poczucie, że w pokoju jest obecna jej matka, która pomrukuje śpiwnie: „Aaa, kotki dwa, szarobure obydwaj, nic nie będą robiły, tylko Hannah bawiły...”

A potem nagle jakby runęła z wysokiej skały, Hannah zapadła w głęboki, czarny sen.

Matka wciąż jeszcze tu była, nadal nuciła, ale teraz jakby trochę dalej, jakby z innego pokoju, zza okna. „Aaa, kotki dwa... Aaa, kotki dwa...” Głos miękki jak pozytywka, hipnotycznie uspokajający.

Potem matka zniknęła, a na jej miejsce pojawili się Jolene, Marshall i doktor Johanson. Stali nad jej łóżkiem i patrzyli na nią z uśmiechem. Marshall już nie miał czerwonych rękawiczek. Zmienił na białe. Nie, to gumowe rękawiczki. I to nie Marshall je nosi, a doktor Johanson. Co on tu robi w jej śnie?

Próbowała zawołać matkę, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk, mimo że wargi starannie wypowiadały słowa. Będzie musiała wezwać ją gestem, a wtedy matka wróci. Ale ręce tkwiły nieruchomo po bokach, ciężkie, jakby zatopiono je w betonie.

„Aaa... kotki dwa, szarobure obydwu...” - refren podzwaniał już tylko z daleka. A potem zamienił się w zupełnie inny refren.

- Dwa... trzymajcie obydwu... nie pozwólcie jej wstać... to powinno ją uspić...

Czyżby była w szpitalu? Spojrzała poza te trzy wpatrzone w nią twarze, starając się rozpoznać otoczenie i zobaczyła, że są tu również inni ludzie. To wujek Herb! I ciotka Ruth. Twarz ciotki wykrzywiona była ze złości, tak samo jak zawsze, w oczach malowała się niechęć. To była dawna Ruth, nie ta, która witała ją dzisiaj. Co się tu dzieje?

Jeśli uda jej się zasnąć, ci ludzie znikną i zostawią ją w spokoju. Ale to nie ma sensu, bo przecież ona już śpi.



Śpi w swoim dawnym pokoju w Fall River. Poznaje przecież pingwina na parapecie.

Poczuła ostre ukłucie w rękę, potem pieczenie i dotarło do niej, że użądliła ją osa. Zawsze kąsały ją osy. Przyciągały je malwy w ogrodzie. Ciotka Ruth wciąż powtarzała wujkowi, że musi spalić im gniazdo, bo nigdy stąd nie odejdą. Ale wujek Herb nigdy z tym nic nie zrobił.

A teraz znów coś ją użądliło.

Może dlatego wezwali doktora Johansona. Musi coś zrobić, żeby te ukąszenia przestały boleć.

Podniosła na niego pełen aprobaty wzrok i zobaczyła, że trzyma w ręku strzykawkę. I dopiero w tej chwili Hannah zrozumiała, że to wszystko wcale jej się nie śni.

## Rozdział 44

Jeden jedyny raz ta dziewczyna będzie musiała pomyśleć o kimś innym, a nie tylko o sobie. Nie ucieknie przed swoimi zobowiązaniami, tak jak uciekła stąd.

Teri nie wierzyła własnym uszom. Hannah nie było. Herb i Ruth osobiście wydali ją Whitfieldom, a z chełpliwego tonu, który słycać było nawet przez telefon, wynikało, że Ruth jest z tego dumna.

- Hannah wcale nie uciekła, sami wywaliliście ją z domu - upierała się Teri, choć i tak wiedziała, że szkoda słów. W kwestii dobra i zła nikt nie miał równie zdecydowanych poglądów co Ruth Ritter, może z wyjątkiem tego całego Jerry'ego Fallwella, ale teraz Ruth robiła mu konkurencję.

- Tak pani powiedziała? Kłamstwa, same kłamstwa! Ta dziewczyna wciąż tylko kłamie.

- To nie Hannah kłamie. Czy pani nie rozumie, co ci ludzie z nią robią?

Pytania i wątpliwości nie leżały jednak w naturze Ruth.

- Nie pozwolimy, żeby zniszczyła tę nieszczęsną kobietę. Wiem, jak to jest, kiedy się nie może mieć własnego dziecka. Nie będę się biernie przyglądać, jak Hannami wnosi jeszcze więcej cierpienia w ich życie!

- Ci ludzie ją wykorzystują.
- Zapłacili jej trzydzieści tysięcy, karmili, ubierali i zapewnili dach nad głową. To nazywa pani wykorzystywaniem?
- Zamykali ją na klucz. Nie opowiedziała pani o tym?
- Kolejne kłamstwo.
- Dobra! Niech mi pani tylko powie, dokąd pojechali. Chętnie ton zastąpiło lodowate milczenie.
- Nie pytałam. Nie mieszam się w sprawy innych ludzi, jeśli da się tego uniknąć, pani Zito.
- Nawet wtedy, gdy dotyczy to pani siostrzenicy?
- To egocentryczny bachor. Sama posłała sobie łóżko, więc niech się teraz w nim wyśpi. I tyle mam do powiedzenia na ten temat.

- A wie pani, kim pani jest? Niebotycznie głupią babą! I miałabym jeszcze cholernie dużo do powiedzenia na ten temat, może mi pani wierzyć! - Teri trzasnęła słuchawką. Musiała pójść do kuchni i wypić szklanekę wody, żeby się uspokoić. Piętnaście minut później pędziła samochodem na północ.

Kiedy dotarła do East Acton, adrenalina pulsowała jej w żyłach, więc była w pełni gotowości bojowej do solidnej awantury. Ale kiedy tylko wpadła na podjazd, duch walki nagle ją opuścił. Przed wejściem nie stały żadne samochody, drzwi garażu zamknięte były na głucho, a cały dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Wyłączyła silnik i wysiadła, lecz nikt nie wyszedł jej na spotkanie lub też - co bardziej prawdopodobne - nikt nie wyszedł, żeby ją stąd pogonić.

Przycisnęła twarz do szyby okna na werandzie. W środku było ciemnawo, a wszystko wskazywało na to, że państwo

Whitfieldowie właśnie się stąd wyprowadzają. Rzeczy popakowano w kartonowe pudła, dywany zwinięto. Przemierzyła trawnik, żeby zajrzeć do pracowni Jolene, lecz zobaczyła tylko gołe ściany. To jak w kiepskim żarcie: szturmujesz zamek, a tam nikogo nie ma.

Pozostawiona sam na sam z własnym gniewem, bez celu, na którym mogłaby go wyładować, skierowała go przeciwko sobie. Rzeczywiście, okazała się wspaniałą przyjaciółką, kiedy kazała Hannah siedzieć cicho i zachować spokój. Zawiodła na całej linii. Wsiadła z powrotem do samochodu i z frustracji uderzyła pięścią w kierownicę.

Już drugi raz w ciągu dwóch dni Teri znalazła się przed drzwiami plebanii Najświętszej Panny Wierzytostego Światła i zapukawszy, zapytała o księdza Jimmy'ego. Tym razem nie musiała go przekonywać o powadze sytuacji.

- Chodzi o Hannah, prawda? Coś się stało - rzucił, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Zniknęła. Nie wiem, gdzie jest.

Teri szybko streściła, co się wydarzyło po tym, jak przywiózł Hannah do Fall River.

- Kiedy się dowiedziała, że Whitfieldowie są w mieście, bała się zostać sama. Próbowałam ją uspokoić przez telefon. Powinam była wyjść z pracy. Kurwa mać! Niech szlag trafi Bobby'ego, tę jadłodajnię i wszystkie specjalności jej kuchni! Och, proszę wybaczyć. Po prostu wściekła jestem na siebie, że nie potraktowałam jej poważnie. Mówiła, że nie mam pojęcia, jacy ci ludzie mogą być niebezpieczni i że później mi o wszystkim opowie. Czy to prawda? Czy są niebezpieczni?

- Są bardzo wzburzeni.

- Cudownie! Zostawiłam przyjaciółkę na łasce jakichś psycholi, żeby podawać hamburgery pani McLintock i trójce jej łypiących spode łba bachorów!

- Przecież nie mogła pani wiedzieć, co się...

- O czym ksiądz w ogóle mówi? Dokładnie wiem, kiedy mój mąż Nick gapił się na inną babę, prawda? Wiem, kiedy jeden z bliźniaków znokautuje dziewczynkę na szkolnym podwórku. To szósty zmysł. To się po prostu ma, kiedy jest się matką. Więc dlaczego nie wiedziałam, kiedy moja najlepsza przyjaciółka ma kłopoty? Czy nie powinniśmy pójść na policję?

- Nie, jeszcze nie teraz. Proszę mi zaufać. Musimy wierzyć, że dopóki dziecko się nie urodzi, nie zrobią jej żadnej krzywdy. Dzięki temu mamy trochę czasu. Prędzej czy później Whitfieldowie gdzieś się ujawnią. Albo Hannah wpadnie na jakiś sposób, żeby się z nami skontaktować. A tymczasem...

- Co tymczasem?

- Będziemy szukać... - dokończył ksiądz Jimmy, a pod nosem dodał: - I się modlić.

I tak właśnie robił. O najróżniejszych porach dnia i nocy sprawdzał dom przy Alcott Street, żeby zobaczyć, czy nie ma tam jakichś oznak życia. Raz, późno w nocy, wydało mu się, że w jednym z pokoi zobaczył światło, zaparkował więc samochód po drugiej stronie ulicy i trzymał straż, dopóki raniem nie zatrzymał się przy nim policjant, żeby zapytać, czy wszystko w porządku. (Pewnie któryś z sąsiadów zgłosił, że w pobliżu czai się podejrzany osobnik.) Ksiądz Jimmy opowiedział mu jakąś kulawą historyjkę o tym, że czeka na parafianina, lecz bardziej od tej opowieści uspokoił policjanta widok koloratki.

Jednego dnia udał się na pocztę, aby zapytać, czy Whitfieldowie nie zostawili adresu, pod który należałoby przekierowywać ich pocztę. Urzędniczka twierdziła, że nie zostawili. Wydzwaniał do linii lotniczych, prosząc o informacje o pasażerze nazwiskiem Hannah Manning, która w ciągu ostatnich kilku dni mogła lecieć do Miami, ale wszędzie spotkał się z ostrą odprawą. Minęło święto Dziękczynienia, w sklepach w East Acton pojawiły się świąteczne dekoracje, a od Hannah wciąż nie było żadnych wieści.

Nie był w stanie usunąć z myśli jej obrazu - nie tamtej świetlistej Hannah, lecz skurczonej, przerażonej kobiety, którą w noc ucieczki wiozł do Fall River. Wciąż widział w myślach, jak opiera głowę o szybę, obserwuje światła mijanych samochodów, które przelatują po szybach jak robaczki świętojańskie, niewiele się odzywa i wygląda jeszcze bardziej krucho niż zwykle.

Co też ci ludzie szykują dla niej i dla dziecka? Jak ostrzeżał proboszcz, w takiej sytuacji stworzą się wprost niezmierne potencjalne możliwości dla demagogii i wyzysku. Zapomnijcie o starym Chrystusie, macie oto nowego! Spełniły się stare przepowiednie. Porzućcie kościoły i przyjdźcie oddać mu cześć. Zabierze was triumfalnie w nowe tysiąclecie. Ruszcie za nim! Ruszcie za nim! Za nim!

Jak to się mogło stać? Poszedł po teczkę, w której trzymał zgromadzone informacje o sudarium, Owiedo i DNA. Z rozragnieniem przekładał stertę papierów, kiedy wpadło mu do głowy! Narodowe Stowarzyszenie Całunu! Z bijącym sercem jeszcze raz przeszukał stertę, aż wreszcie znalazł - wydruk komputerowy ze zdjęciem Judith Kowalski.

Nie tylko z jej zdjęciem, ale z jej adresem korespondencyjnym!

Waverly Avenue w Watertown, to niczym się niewyróżniająca uliczka, wzdłuż której ciągnęły się dwa rzędy standardowych piętrowych domków. Numer 151 nie różnił się wcale od sąsiednich budynków - solidna drewniana konstrukcja. mały ganek od frontu, z boku podjazd z miejscem na samochód, gdzie obecnie stała zaparkowana furgonetka, z tyłu podwórko, wydzielone niskim ogrodzeniem z drucianej siatki.

Nie było tam nic, co mogłoby przyciągać spojrzenia, i chyba o to właśnie chodzi, myślał ksiądz Jimmy, przejeżdżając wolno obok posesji. Przy końcu ulicy znajdowała się mała stacja benzynowa, obok drugstore i spożywczy z sieci Seven-Eleven zaspokajały podstawowe potrzeby okolicznej ludności. Zaparkował przed drugstorem i wszedł do środka. Dwa porysowane stoły z formiki i kilka winylowych krzeseł świadczyły, że kiedyś można tu było zjeść lunch. Ksiądz Jimmy zamówił filiżankę kawy i, przygotowując się na długie oczekiwanie, zajął stolik przy samym oknie. Stąd miał doskonały widok na Waverly numer 151.

Nie minęło wiele czasu, a drzwi się otworzyły i po frontowych schodach zeszło około trzydziestu osób, rozmawiających przyciszonymi głosami. Wyglądało na to, że właśnie skończyło się jakieś zgromadzenie. Przyglądał się bardzo uważnie twarzom tych ludzi, w nadziei, że wypatrzy kogoś znajomego. Wyglądali jednak zaskakująco normalnie, może z wyjątkiem kobiety z jasnymi warkoczami upiętymi na czubku głowy i starszej pani, która niosła ze sobą, przewieszoną

przez ramię, dużą torbę podróżną w kwieciste wzory. Większość pozostałych osób prezentowała się jak typowe urzędnicy z bostońskich biur. Ich twarze pokrywała bladłość właściwa księgowym i referentom, którzy zbyt długo przesiadują w pracy przy blasku świetlówek.

Grupa rozproszyła się szybko, ludzie przystawali tylko na chwilę, by wymienić pełne powagi słowa pożegnania, w tonie charakterystycznym dla pogrzebów i czuwań. Kilkoro wymieniło uścisk. Niektórzy chyba płakali. Ulica ucichła. Ksiądz Jimmy zastanawiał się, czy dom stoi teraz pusty. Dwadzieścia minut później, kiedy już chciał zrezygnować z obserwacji, drzwi frontowe otworzyły się ponownie i wyszła stamtąd jakaś kobieta. Zabezpieczywszy dokładnie górny i dolny zamek w drzwiach, wsunęła się za kierownicę furgonetki. Kiedy mijała drugstore, ksiądz Jimmy dostrzegł, że to Jolene Whitfield.

Wetknął pod spodeczek banknot dolarowy, przeszedł szybko na drugą stronę ulicy i pomknął żwawo w stronę tamtego domu. W pobliżu nie widać było nikogo. Większość z mieszkających tutaj ludzi była jeszcze w pracy, a ci, którzy nie pracowali, siedzieli - jak miał nadzieję - przed ekranami telewizorów lub akurat drzemali. Kiedy doszedł do podjazdu, schylił się i pomknął jak strzała na tyły budynku. Korzystając z częściowej zasłony, jaką oferował żywopłot, podkraść się do okna.

Na drewnianym krześle, odwrócony plecami do okna, siedział jakiś szpakowaty mężczyzna. Czytał na głos. (Ksiądz Jimmy słyszał przez szybę dostatecznie dużo, by domyślić się, iż czytał Biblię.) Od czasu do czasu mężczyzna podnosił głowę, by zerknąć na leżącą na kozetce kobietę. Leżała z twarzą obróconą ku ścianie, lecz ksiądz rozpoznał natychmiast te



jasne włosy, mimo że były rozczochrane i zmierzwione.

Wpatrywał się w leżącą postać, póki nie upewnił się, że sterczący brzuch porusza się w rytmie oddechu. A więc przynajmniej Hannah jest żywa. Nic poza tym nie dało się wynioskować na temat stanu, w jakim się znajduje. Rozwiązanie pewnie ma nastąpić lada dzień. Nagle uświadomił sobie, że minęło już dobrych kilka minut. Poczł, że za bardzo rzuca się w oczy, więc odsunął się od okna i tą samą drogą wrócił na ulicę.

Na chodniku pozdrowiła go wesoło okrągłutka Włoszka z nikłym wąsikiem nad górną wargą.

- Wesołych świąt, proszę księdza.

Był już w samochodzie i zdążył zapuścić silnik, kiedy uświadomił sobie, że nie odpowiedział najej pozdrowienie.

## Rozdział 45

**P**anie Boże, zawsze miałem w sobie pewność, że pokieruje mną Twoja niezawodna ręka. Daj mi, proszę, jakiś znak - modlił się szeptem ksiądz Jimmy.

Zza barierki otaczającej ołtarz wyszedł ku niemu proboszcz Gallagher. Zasapany i zdyszany, nie zauważył udręki malującej się na twarzy młodego księdza.

- Tutaj jesteś, James! Widziałem twój samochód, więc przeszukałem plebanię od góry do dołu. To dziwne, ale kościół to ostatnie miejsce, które przyszło mi do głowy! Udało ci się zlokalizować dziewczynę?

- Tak. Jest w Watertown. Sadzę, że przetrzymują ją tam siłą.

- Watertown? Zgodzi się wyjechać z tobą?

- Jeśli w ogóle uda mi się z nią porozmawiać.

- Musisz. Rozmawiałem o tej sprawie z władzami kościelnymi w Bostonie. Nie potrzebuję chyba mówić, że wzbudziła spory niepokój. Ale wszystko zostało już załatwione. - Podał mu wąski pasek papieru. - To jest adres, pod który możesz ją zawieźć, kiedy będzie gotowa.

Ksiądz Jimmy spojrział na trzymany przez proboszcza papier.

- Tu mam ją zabrać?
- Tak. Są w pełni świadomi sytuacji. Będą wiedzieli, co robić.
- Nie rozumiem księdza.
- Zajmą się nią i dzieckiem.
- Ale co to oznacza? Czy będzie mogła je zatrzymać?
- James, ciszej. Wiesz, że to niemożliwe. Tak po prostu musi być.
- Ale kto będzie wychowywał to dziecko?
- Dziecku zapewni się dom i kochającą rodzinę, która nie będzie miała pojęcia o jego pochodzeniu.
- Hannah się na to nie zgodzi, księżu proboszczu.
- W takim razie musisz ją do tego przekonać. Chyba że uważasz, że powinni je wychować Whitfieldowie, a reszta świata ma ponieść wszystkie tego konsekwencje.
- Z całą pewnością tak nie uważam.
- Uświadom jej, że tak będzie najlepiej dla dziecka, najlepiej dla niej i najlepiej dla Kościoła. Wierzysz w to, prawda, James?

Proboszcz badał wzrokiem twarz Jimmy'ego.

- Tak, wierzę.
- To dobrze. Będę szczęśliwy, mogąc ci towarzyszyć.
- Nie, proszę księdza. Najrozsądniej będzie, kiedy pojedę sam. - Wziął od proboszcza kartkę z adresem i włożył do kieszeni. - Spotkamy się w Bostonie.
- Jak sobie życzysz. Mam do ciebie pełne zaufanie, James.

Chwilę później ksiądz Jimmy skorzystał z telefonu na plebanii, by zadzwonić do Teri. Rozmawiali przyciszonymi głosami przez bite piętnaście minut. Potem, przygotowawszy

się w duchu na to, co go czeka, udał się do swego pokoju i z najwyższej półki szafy ściągnął torbę. Wkrótce miał się znaleźć w zupełnie innym świecie.

Hannah nie wolno było wychodzić z domu, z domu Letycji Greene, w którym mieściło się teraz przeniesione biuro „Partnerstwa dla rodzicielstwa”, tyle że ani taka osoba, ani taka organizacja wcale nie istniały. Powstały tylko i wyłącznie po to, by znaleźć idealną zastępczą matkę, a kiedy cel został osiągnięty, przestały istnieć. „Partnerstwo dla rodzicielstwa” przetrwało tylko w nagłówkach starych firmowych papeterii. Letycja Greene stała się na powrót Judith Kowalski. Ricky, piegowaty syn Letycji, radość jej życia i źródło inspiracji w krucjacie, w ogóle nigdy nie istniał.

Teraz Hannah o tym wszystkim wiedziała.

- Wiedziała też, że w całą sprawę zamieszanych jest znacznie więcej osób. W suterenie domu odbyło się już kilka dużych zebrań. Zamknięta w swoim pokoju, nie była w stanie dosłyszeć, o czym tam mówiono, z wyjątkiem - od czasu - do czasu - zbiorowego „amen”. Jednak kiedy się przyglądała, jak cała grupka wysypuje się przez frontowe drzwi, zdała sobie sprawę, że wszyscy byli obecni na otwarciu wystawy Jolene. Przyszli wtedy zobaczyć Hannah – ujrzeć „naczynie”.

Sam dom pełnił funkcje ściśle użyteczne, nie nosił najmniejszych śladów osobowości zamieszkujących go osób. Suterene poświęcono na zebrania i bieżące sprawy Narodowego Stowarzyszenia Całunu. Parter zajmowały biura. Pokoje mieszkalne na piętrze umeblowane były w stylu motelowym i utrzymane w doskonałej czystości, choć - co dziwne - podkreślało to tylko ich paskudny wygląd.

Hannah przez większość czasu pozostawała w swoim pokoju, a Jolene i Marshall pilnowali jej na zmianę. Podejrzewała, że podają jej jakieś łagodne środki uspokajające. Buntowniczy nastrój minął bez śladu, za to niemal bez przerwy czuła się senna. Spała, jadła i spała. Czasami wstawiała i szła do drugiego pokoju, żeby popatrzeć przez okno, nigdy jednak nie schodziła z oczu strażnikom.

Nie знаła tej ulicy. Przez chwilę była w Fall River, u Ruth i Herba, potem nieoczekiwanie znalazła się tu. Gdziekolwiek było owo „tu”! Dom po drugiej stronie ulicy udekorowany był bożonarodzeniowymi światełkami, które zawieszono nad gankiem; ten widok uświadomił jej, ile mogło upłynąć czasu. Dziecko już wkrótce się urodzi, bo niedawno, któregoś wieczoru podsłuchiwała, jak doktor Johanson i Whitfieldowie rozmawiają o sztucznym wywołaniu akcji porodowej.

- Im szybciej zniknie ze sceny, tym lepiej - oznajmił Marshall.

- Co będzie, jeśli coś się stanie dziecku? – pytała Jolene.

Doktor Johanson zapewnił, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Mimo wszystko nie można przyspieszać akcji porodowej - upierała się Jolene. - To nie tak miało się odbyć.

A potem odpowiedź Marshalla, która zmroziła ją do kości:

- Od czasu pierwszego nawiedzenia wiedzieliśmy, że czeka nas walka. Teraz nie mamy wyboru, Ta dziewczyna stanowi dla nas zagrożenie.

Zagrożenie?

Wyglądając przez okno, Hannah czuła na sobie jego wzrok.

Przez cały dzień niebo zwieszało się nisko, zapowiadając śnieg, który właśnie teraz zaczął padać. Ulice ogarnął zmierzch, a jedyne światło dochodziło od lamp stacji benzynowej na rogu, która jaśniała jak sala operacyjna. Jeden z pracowników zaczął już zgarniać śnieg szuflą, a dwóch klientów, stojących pod zadaszeniem, rozmawiało chyba o pogodzie. Hannah miała wrażenie, że śnieg i światło łudzą jej wzrok, gdyż z daleka para ta wyglądała jak ksiądz Jimmy i Teri.

Czy to możliwe? Mężczyzna miał czarne włosy, a kobieta czapkę podobną do tej, jaką nosiła Teri. W pierwszym impulsem miała ochotę otworzyć okno i wrzasnąć, ale się powstrzymała. Zamiast tego wróciła spokojnie do łóżka i złożyła głowę na poduszce. Jeśli to naprawdę ksiądz Jimmy i Teri i jeśli są tak blisko, może to oznaczać tylko jedno: wiedzą, gdzie ona jest, i przybyli jej na ratunek.

## Rozdział 46

**J**ak to: nie ma ksiądz planu? Teri kopnęła pompę przy stacji benzynowej, otrzepując śnieg z butów, ale przede wszystkim po to, by rozładować wzbierającą w niej frustrację. Nie po to przejechała taki kawał drogi, żeby teraz sterczeć i czekać na boską inspirację. Spokój księdza Jimmy'ego wyprowadzał ją z równowagi.

- Musimy zabrać stamtąd Hannah - oznajmił.
- Tyle to sama jestem w stanie pojąć, proszę księdza. Ale jak?
- Chyba trzeba będzie z nimi porozmawiać.
- Co takiego? - Przez moment zastanawiała się, czy dobrze usłyszała. - Ma ksiądz zamiar tam wmaszerować i oznajmić, że przyjechał po Hannah, a ci ludzie odpowiedzą „Och, jasne, padre, czemu to tak długo trwało?” Niech mi ksiądz wybaczy śmiałość, ale czy ksiądz oszalał?
- Bóg nas poprowadzi.
- No, super! Bóg może poprowadzi księdza. Ale coś mi się wydaje, że co do mnie nie ma żadnych wielkich planów.
- Mogą przynajmniej z nami porozmawiać.
- Nie chciałabym psuć imprezy, ale czy naprawdę przyjechaliśmy tu z wizytą towarzyską?

- Czasem trzeba mieć ufność, że wszystko samo się ułoży.

- Dobra, mam ufność! Miałabym jej więcej, gdybyśmy mieli jakiś plan. Ale dobra, mam ufność!

Podjechali samochodami nieco dalej i zaparkowali przed numerem 151.

Po całym domu rozniósł się ostry dźwięk dzwonka. Hannah podniosła głowę z poduszki, a Marshall wstał i powędrował na parter. Przy schodach spotkał się z Jolene, która patrzyła na niego ze zdumieniem na twarzy.

- Bądź cicho i nie otwieraj - polecił.

Dzwonek jeszcze raz przeszył ciszę.

- Halo? - zawołał ksiądz Jimmy. - Jest tam kto? Chcę porozmawiać z Hannah Manning.

Żadnej odpowiedzi.

- Wiem, że tam jest. - Kilka razy szarpnął za klamkę. Wyczuwał obecność ludzi po drugiej stronie drzwi, tak jak czasem w ciemności wyczuwa się obecność napastnika, mimo że jest ubrany na czarno i nieruchomy.

- Proszę postuchać, nie ruszę się stąd, dopóki nie dacie mi z nią porozmawiać, więc lepiej otwórzcie drzwi.

Wreszcie dał się słyszeć czyjś niewyraźny głos.

- Kto tam?

- Ksiądz James Wilde. Przyjechałem się zobaczyć z Hannah Manning.

- Obawiam się, że ma pan zły adres.

Teri, dając wyrazowemu oburzeniu, dała księdzu sójkę w bok.

- Jeśli mnie nie wpuscicie, udam się natychmiast na policję i zgłoszę, że przetrzymujecie tu kogoś wbrew jego woli.



Nastąpiła długa chwila ciszy, potem szcękniętą odsuwany zamek. Drzwi otworzyły się. Na próg wyszedł Marshall Whitfield.

- W takim razie proszę wejść. Telefon jest w kuchni. Proszę swobodnie z niego korzystać. - Jak przystało na dobrego gospodarza, odsunął się, by wpuścić księdza Jimmy'ego do sieni. Teri, zupełnie nic z tego nie rozumiejąc, weszła w ślad za nim.

- Tędy - oznajmił Marshall, wskazując im jasno oświetlone pomieszczenie w głębi korytarza.

Widząc Jolene, Teri powitała ją skinieniem głowy, na co tamta nie odpowiedziała. Ani ona, ani Marshall nie starali się niczego wyjaśnić, ale też nie zagradzali im drogi. Nie wiadomo dlaczego Marshall po prostu otworzył im drzwi i zaprosił do skorzystania z telefonu. Dla Teri nie miało to żadnego sensu. Czy nie pakują się czasem w jakąś pułapkę?

- Rozumie pan, dlaczego to robimy? - odezwał się ksiądz Jimmy, ruszając w głąb korytarza.

- Ależ proszę czynić, co ksiądz uzna za stosowne.

- Nie wolno zatrzymywać ludzi wbrew ich woli.

- Ma ksiądz całkowitą rację - odparł ze znużeniem Marshall. - Sam powinienem zadzwonić na policję już dawno temu. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze uda nam się ją chronić.

Ksiądz Jimmy zatrzymał się w pół kroku.

- Owszem, robimy to dla jej własnego bezpieczeństwa.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał ksiądz.

- To bardzo proste. Przez Hannah zginęła kobieta. Powiedziała o tym księdzu? Chyba raczej nie. - Widać było, że Marshallowi sprawia wielką przyjemność obserwowanie

ich zaszokowanych min. - Od tamtego czasu staramy się ją chronić, bo... no cóż, to sprawa osobista. Jak wiadomo, Hannah jest osobą bardzo nie zrównoważoną nerwowo, a ciąża tylko pogłębiła ten stan. Tamtej nocy, przykro mi stwierdzić, jej zachowanie miało charakter zbrodniczy.

Ze szczytu schodów, skąd Hannah przysłuchiwała się tej wymianie zdań, dobiegł teraz pełen cierpienia okrzyk:

- To nieprawda! Słyszałam, co mówiłeś. Z Judith to nie była moja wina. Pośliznęła się i spadła ze schodów.

- Czy nie powinnaś być w swoim pokoju? - warknęła Jolene.

- Niech im ksiądz nie wierzy - mówiła Hannah, podbiegając do kapłana.

- W takim razie czemu wtedy uciekałeś? - odparował Marshall. - Dlaczego nie zostałeś, żeby jej pomóc?

- Sam wiesz dlaczego.

- Naprawdę? A jak to teraz wygląda? W co uwierzy policja? Kobieta zostaje napadnięta w środku nocy, a napastniczka zaraz potem zrywa się do ucieczki, zostawiając na śniegu krwawiącą ofiarę. Bardzo podejrzane.

- To ona na mnie napadła!

Marshall posłał jej ironiczny uśmiešek.

- To ty tak twierdzisz. Ale co będzie, jeśli naoczni świadkowie stwierdzą co innego? Świadek, który w tamtym czasie bał się wystąpić w tej sprawie, bo nie chciał, że by dziecko urodziło się w więzieniu? Dziecko, za które od dalibyśmy wszystko, miałoby przyjść na świat za kratkami? Sama rozumiesz, że dla tej osoby sama myśl o tym byłaby nie do zniesienia. A gdyby taka osoba nagle przejrzała na oczy i poczuła, że musi opowiedzieć policji o wszystkim, co widziała tamtej nocy?

- A jeśli im powiem, dlaczego wam tak strasznie zależy na tym dziecku?

- A kto ci uwierzy? - odparł Marshall. - Uznają to za bredzenie wariatki... albo młodej, nadmiernie podekscytowanej kobiety, którą przeraża wizja niedalekiego porodu.

Marshall zwrócił się teraz bezpośrednio do księdza Jimmy'ego.

- A więc oto, co proponuję: Hannah zostanie z nami i urodzi nam dziecko. Natomiast wy oboje zaraz stąd wyjdziecie. Nikt nie będzie zawracał głowy policji. W ten sposób wszyscy możemy żyć dalej przy minimum zamieszania.

- Wracaj na górę. - Jolene ujęła Hannah pod rękę i zaczęła ją prowadzić.

- Nie dotykaj mnie! - Hannah wyrwała jej się z uścisku i pobiegła do kuchni. Jolene ruszyła za nią i przy kuchennym stole wywiązała się szarpanina. Ramiona młóciły jak oszalałe skrzydła wiatraka.

- Marshall, zrób coś! - wrzasnęła Jolene.

Marshall i ksiądz Jimmy próbowali interweniować, ale zamiast przywrócić porządek, pogłębili tylko ogólne zamieszanie, a szarpanina w każdej chwili mogła się przerodzić w ponizającą knajpianą burdę, w której duma cierpi znacznie bardziej od ciała.

Teri uświadomiła sobie, że jedyną osobą, której naprawdę coś zagraża, jest dziecko. Z rosnącym niepokojem obserwowała przepychankę. Przypadkowy cios lub kopniak mógł wyrządzić nieobliczalną szkodę. Co oni wszyscy sobie myślą!

- Dajcie jej spokój! - wrzasnęła, przekrzykując hałas.

Nikt jednak nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, póki Jolene nie krzyknęła:

- Marshall! Ta kobieta jest uzbrojona!

Szarpanina natychmiast ustała, a w kuchni zapanowała niesamowita cisza, przerywana tylko zdyszanyymi oddechami. Wszystkie cztery pary oczu utkwione były w Teri, która z pistoletem w dłoni powoli okrążała kuchnię, dopóki nie stanęła plecami do drzwi.

- Skąd to wzięłaś? - spytała Hannah, oszołomiona tym surrealistycznym obrotem spraw.

- Nie ma w tym kraju kierowcy ciężarówki, który nie miałby pistoletu. Nick ma dwa. Jeden bierze ze sobą. Jeden trzyma w domu. Ten dzisiejszy świat jest niebezpieczny - zwróciła się przepaszająco do księdza. - Wiem, mówił ksiądz, że Bóg nas poprowadzi, ale pomyślałam, że może przyda Mu się drobna pomoc.

Lufą wskazała na kuchenne krzesła, dając do zrozumienia, że Marshall i Jolene mają na nich usiąść.

- A oto mój plan. Ksiądz Jimmy i Hannah natychmiast wychodzą. Ja zostaję i ucinam sobie małą pogawędkę z państwem Withfieldami. Powiedzmy, piętnastominutową. Tyle powinno wystarczyć. Weź swój płaszcz, Hannah. Na dworze jest mróz. A kiedy mnie, Jolene i Marshallowi wyczerpią się tematy, pojedą za wami.

Jak niesforne uczniaki, którym dyrektor kazał zostać po lekcjach, Marshall i Jolene wykonali posłusznie polecenie, podczas gdy ksiądz Jimmy wyciągnął z szafy w sieni jakiś płaszcz i pomógł Hannah się ubrać.

- A teraz się pospieszcie - zawołała za nimi Teri. Nie odrywała wzroku od Whitfieldów, lecz powiew zimnego powietrza potwierdził, że ksiądz Jimmy otworzył drzwi wej-

ściowe. W wyniku tego źle zinterpretowała wyraz zaskoczenia, jaki rozświetlił na krótko twarz Marshalla. Teri założyła, że to reakcja na odejście Hannah. Nie podejrzewała, że w kuchennych drzwiach za jej plecami pojawiła się jakaś postać.

Nie słyszała szczęki obracanej gałki.

Kiedy drzwi z całym rozmachem uderzyły ją w plecy, popychając gwałtownie do przodu, Teri poczuła, że traci dech.. Pistolet z trzaskiem spadł na podłogę. Na moment zrobiło się jej ciemno przed oczyma, a postacie Jolene i Marshalla zamigotały jak obraz w starym telewizorze. Zanim zdołała się pozbierać, do kuchni wpadł doktor Johanson i porwał broń z podłogi.

Wycelował prosto w jej pierś.

- I co my tu robimy? Urządzamy awantury, co? - odezwał się. - To niemądrze. Bardzo, bardzo niemądrze.

Teri zerknęła w stronę frontowych drzwi i pędem rzuciła się w ich stronę.

- Nie ruszać się!

Puściła mimo uszu tę komendę i biegła dalej.

Doktor Johanson, doprowadzony do ostateczności, wycelował broń i pociągnął za spust. Nic. Spróbował jeszcze raz, potem drugi - z tym samym skutkiem. Potrząsnął gwałtownie pistoletem, kierując całą wściekłość na niesprawne narzędzie mordu.

Wybiegając za frontowe drzwi, Teri krzyknęła:

- Przykro mi! Nie ma nabojów. Nie chciałam, żeby komuś stała się krzywda!

Omam się nie poślizgnąwszy, przebiegła chodnik przed domem. Poprzez wirujące płatki widziała, jak w oddali znikają tylne światła samochodu księdza Jimmy'ego. Wskoczyła

za kierownicę swojego wozu i błyskawicznie uruchomiła silnik. Tylne koła wpadły w poślizg, kiedy ruszała gwałtownie z krawężnika. Teri postanowiła ani na moment nie tracić Hannah z oczu.

Na podjeździe przy domu doktor Johanson i Whitfieldowie pakowali się do furgonetki.

## Rozdział 47

Śnieg padał coraz gęściej, utrudniając Teri śledzenie mknącego z przodu białego forda księdza Jimmy'ego. Zdawała sobie sprawę, że choć na razie główna droga jest w miarę przejezdna, wkrótce wszędzie zrobi się ślisko. Nie miała pojęcia, dokąd zmierzają ksiądz i Hannah, więc nie chciała tracić ich z oczu. Niemniej jednak wcale nie zamierzała przy tej okazji wpakować się na uliczną latarnię.

Zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła za sobą światła kilku samochodów, jednak nie sposób było poznać, czy wśród nich znajduje się tamta furgonetka.

Jedźcie prosto na policję, napominała w duchu tylne światła forda. Tam przynajmniej Hannah będzie bezpieczna. Tym ludziom całkiem odbiło.

Jednak ford przemknął obok posterunku policji w Watertown i, wkrótce potem, także obok komendy straży pożarnej. Co ten ksiądz sobie myśli? Kiedy zobaczyła drogowszak obwieszczający zjazd na roгатki Massachusetts, odetchnęła z ulgą: najwidoczniej ma zamiar wrócić na plebanię. Jednak ford minął także zachodni wjazd, który zawiódłby ich wprost na przedmieścia. Zamiast tego skręcił na wschód, co oznaczało, że zmierza do Bostonu.

Dlaczego do Bostonu? Czego mogliby się spodziewać w Bostonie o tak późnej porze?

Na rogatekach panował umiarkowany ruch, samochody poruszały się z przyzwoitą prędkością, choć - jak zwykle - znalazł się jakiś wariat, który przemknął obok reszty, zupełnie jakby panowały idealne warunki drogowe. Tymczasem zerwał się wiatr, co sprawiło, że jechało się znacznie gorzej. Teri zdołała przybliżyć się do forda na tyle, że widziała już tył głowy młodego księdza i skuloną obok na przednim siedzeniu Hannah, która zapewne była tym wszystkim przerażona. Gdyby udało jej się utrzymać jeszcze chwilę dłużej... Jednak kłopot w tym, że z tyłu, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów widziała już furgonetkę.

Kiedy ta dziwna kawalkada zbliżyła się do skrzyżowania z 1-93, Teri domyśliła się, że młody kapłan wiezie Hannah do Fall River. Pewnie do niej do domu. Poczowała głęboką ulgę, bo wiedziała, że Nick jest w domu z dziećmi. Rozlazły z niego kloc, ale facet jest twardy jak rzemień, muskularny jak koń i nikomu nie da sobą pomiatać. Nick będzie wiedział, jak to rozegrać.

Tymczasem ksiądz Jimmy zaskoczył ją raz jeszcze, ignorując zjazd na południe. Nie wiadomo czemu postanowił jechać na północ.

Przesłaniające szybko ławice białych płatków działały na Hannah hipnotycznie, przymknęła więc oczy, nie chcąc dłużej patrzeć na śnieg, znikającą w tyle drogę i na samochody, które mimo wszystko parły do przodu, jakby ten tunel wśród zamieci miał się kiedyś skończyć, a one - wyjechać na światło dzienne. Wołałaby, aby ksiądz Jimmy zjechał pod jakiś



most i przeczekał najgorszą śnieżycę. Ale wiedziała, że to niemożliwe. Whitfieldowie i doktor Johanson na pewno są już za nimi. Głupotą byłoby się zatrzymać.

Ale głupotą także była ta nieprzerwana jazda przed siebie.

Z lewej strony minęła ich ogromna ciężarówka z naczepą, wielkie koła obrzuciły forda rozmiękłym śniegiem. Ten odgłos wilgotnego chlapnięcia wystraszył Hannah, która odruchowo otworzyła oczy. Już sama nie wiedziała, co bardziej szarpie jej nerwy: czy kiedy patrzy, czy kiedy nie patrzy.

Kiedy patrzyła, widziała szalejącą dookoła śnieżycę. Ale kiedy zmykała oczy, widziała inną śnieżycę, tę sprzed siedmiu lat, z początku piękną, póki śnieg nie zaczął zasypywać samochodu, a dorośli nie zaczęli się niepokoić z powodu ślizgawicy i słabej widoczności. Ona sama siedziała wtedy z tyłu, co chwila zapadała w drzemkę, a budząc się, wychwytywała strzępki rozmów i dziwiła się milionom płatków spadających z nieba.

- Ile to milionów? - zapytała matkę, która się wtedy roześmiała.

- Wystarczyłoby, żeby wypchać wszystkie poduszki świata.

Hannah zawtórowała jej śmiechem i znów zapadła w drzemkę.

Potem nastąpiło zderzenie, Hannah rzuciło na podłogę. Matka już się nie śmiała. Błagała: „Nie patrz tutaj. Zostań tam, gdzie jesteś. Nie patrz”. Bo piękno przemieniło się w horror. Ojciec nie żył, dookoła było pełno krwi. Matka później umarła w szpitalu, ale przed śmiercią zdążyła jeszcze ująć córkę za rękę i powiedzieć: „Tak mi przykro, skarbie. Tak mi przykro”.

Hannah dopiero teraz zrozumiała, co matka miała wtedy na myśli. Przepraszała swoje dziecko za to, że będzie musiało wzrastać samo w świecie, bez rodziców, bez opieki ojca i bez miłości marki, że: będzie zdane tylko na siebie. To zbyt ciężkie zadanie dla dziecka. Nawet na łożu śmierci matka myślała tylko o niej, o swojej córce, tak samo jak Hannah myśli teraz wyłącznie o swoim dziecku i o jego przyszłości. Teraz wiedziała, że jeśli by nie mogła się nim opiekować, karmić go i kochać, to wołałaby nie żyć.

Czuła teraz dokładnie to samo, co jej matka.

- Księżę Jimmy, proszę zwolnić - wyszeptwała.

- Chyba nie powinniśmy zwalniać. Oni są... — Nie do końca zdania.

- Proszę w takim razie jechać bardzo ostrożnie.

Ciężarówka, która ich mijiała, była tak strasznie blisko.

Czy to kolejna śnieżna noc, która nieodwołalnie odmieni jej życie?

Oświetlona rzeźbiście tablica na poboczu informująca, że przekraczają granicę stanu i wjeżdżają do New Hampshire, była cała zalepiona śniegiem, nie można było na niej przeczytać ani jednej litery, Hannah widziała przed sobą tylko prostokąt jasności. Po chwili go minęli i zanurzyli się w ciemność.

Teri doskonale zdawała sobie sprawę z absurdalności całej sytuacji: w samochodzie na czele jadą ksiądz Jimmy i Hannah, za nimi ona, a tuż za nią - nie było mowy o pomyłce — jechała teraz furgonetka wioząca doktora Johansona i Whitfieldów. Wyglądało to zupełnie jak filmowy pościg samochodowy, tyle że poruszający się w tempie orszaku pogrzebowego.

Jakim sposobem te wielkie ciężarówki są w stanie do-  
trzymać im kroku? Musi zapytać o to Nicka.

A jednak okazało się, że pomysł z pistoletem wcale nie  
był taki zły. Szkoda, że już go nie ma. Nick oczywiście się  
wścieknie, że go straciła, ale nie o to chodzi. Teraz jego od-  
czucia nie są tu najważniejsze.

Powietrze z podgrzewacza do szyb było ledwie ciepławe,  
wycieraczki zaczęły zostawiać za sobą śnieżne zacieki. Teri  
rozboląła głowa od intensywnego wpatrywania się w drogę.  
Na pewno byłoby znacznie lepiej, gdyby wiedziała, dokąd  
zmierza ksiądz Jimmy. Pod warunkiem, że on sam to wie.

Dobrze jest pokładać ufność w Bogu, myślała. Ale ktoś  
będzie musiał coś począć z tą furgonetką, którą mają za ple-  
cami. Co zrobią, kiedy dotrą na miejsce? Zaczną się wy-  
kłócać? Może znów się pobiją? Szczerze mówiąc, nie liczyła  
na to, że przyjdzie im z pomocą w porę ciśnięty grom z ja-  
snego nieba. Ksiądz Jimmy to kochany człowiek, a ona sza-  
nuje jego wiarę. Ale tu wiara nie wystarczy; potrzebny jest  
plan. A jej skromnym zdaniem jazda na północ wśród ośle-  
piającej śnieżycy to nie jest plan!

Zorientowała się, że ford zwalnia i zjeżdża na prawy pas.  
Przed nimi skrzyżowanie z 1-89. To okolice turystyczne.  
Góry! Wąskie drogi! Stare szopy! Idealne miejsce, w które  
człowiek powinien się wybrać koniecznie właśnie wtedy, gdy  
dmie ostry, północno-wschodni wiatr, śnieg kłębi się jak  
pranie w bębnie suszarki, a na przedniej szybie nawarstwia  
się złodowaciała śniegowa skorupa!

Cóż, pomyślała Teri, przynajmniej będą ładne widoki.  
oczywiście jeśli w ogóle uda się coś dojrzeć. Ale czy nie by-  
łoby mądrzej zostać tam, gdzie są ludzie, gdzie coś się dzie-  
je, gdzie można liczyć na pomoc?

Skrzyżowanie miało kształt czterolistnej koniczynki, zjazd prowadził w dół i dookoła, tak że trzeba było zatoczyć niemal pełne koło, zanim wjechało się na drugą autostradę. Po obu stronach ciągnęły się metalowe barierki. W normalnych warunkach było tam dość miejsca na dwa jadące obok siebie samochody, lecz teraz przejechał pług śnieżny, tworząc pojedynczy pas ruchu, obwiedziony z obu stron zaspami.

Nieoczekiwanie Teri stwierdziła, że wie, co należy zrobić. Zdjęła stopę ze sprzęgła i leciutko przycisnęła hamulec. Wyhamowała do 40 kilometrów na godzinę. Z początku wyglądało to tak, jakby po prostu ostrożnie brała zakręt. Potem szybszociomierz pokazywał już 30 km na godzinę. Potem 25. Furgonetka była tuż za jej tylnym zderzakiem, zaś biały ford wyrwał się do przodu i z każdą sekundą oddalał się coraz bardziej.

Zwolniła do 15 kilometrów na godzinę i widziała już we wstecznym lusterku twarz doktora Johnsona. Natychmiast zorientował się, co ona knuje. Nie mogąc jej wyminąć, zgarbił się nad kierownicą i bez ostrzeżenia przycisnął pedał gazu. Furgonetka skoczyła, wpadając przodem maski w zderzaki samochodu Teri. Dziewczyna usłyszała chrupnięcie i poczuła gwałtowny wstrząs; głowa poleciała jej do przodu, pierś wałnęła w kierownicę.

- Jasna cholera! Ten cały doktor Johnson chce mnie zepchnąć z drogi. Nick na pewno będzie zachwycony!

Biały ford nadal jeszcze był widoczny, więc musiała trzymać się swego planu. Jeszcze minuta lub dwie, a ksiądz Jimmy i Hannah będą mieli znacznie większe szanse ucieczki. Zatrzymała samochód i przygotowała się w duchu na kolejny wstrząs.

Był o wiele silniejszy niż poprzedni, a odgłos tłuczonego szkła wskazywał, że rozwalili jej tylne światła.

- Te dupki mnie zaraz zabiją! - mruknęła pod nosem. - Zaraz zginę tutaj, na zjeździe z autostrady, w samym środku Zadupia Wielkiego w stanie New Hampshire.

Doktor Johanson już cofał samochód do trzeciego uderzenia. Widać było wyraźnie, że blaszane pudełko Teri nie jest żadnym przeciwnikiem dla ciężkiej furgonetki, ale teraz już nie było czasu, by wyskoczyć z samochodu i uciekać.

Usłyszała zgrzyt giętego metalu, potem samochód ruszył do przodu, jak wyrzucony z gigantycznej procy. Poczowała, że tył zjeżdża na prawo, przez jedną sekundę samochód szedł bocznym ślizgiem. Potem przód zarył głęboko w śniegową zaspę, tył zatoczył półkole, a następnie zarył w śnieg. Teri otworzyła oczy i zobaczyła, że stoi zwrócona tyłem do przodu.

Miejsca było akurat tylko tyle, by furgonetka mogła się z trudem precyzyjnie. Przez krótką chwilę Teri widziała wyraźnie oddaloną kilka cali twarz doktora Johansona, rozdzieląły ich tylko cienkie szyby okien. Miała wrażenie, że patrzy na jakiegoś potwora zamkniętego w terrarium. Jego twarz pokrywała łuska nienawiści.

Po chwili furgonetka ją wyminęła.

Teraz Teri mogła już tylko modlić się, by ksiądz Jimmy i Hannah zdołali uzyskać potrzebną im przewagę. Potem uczucia wzięły górę i Teri wybuchnęła płaczem.

## Rozdział 48

Ksiądz Jimmy nie zamierzał ryzykować, pozostając dłużej na głównej drodze. Przez chwilę we wstecznym lusterku nie widział za sobą nikogo, ale przy takiej zamieci widoczność była bardzo ograniczona. Furgonetka może siedzieć im na ogonie, tuż poza zasięgiem jego wzroku.

- Daleko jeszcze? - zapytała Hannah.

- Zazwyczaj z domu moich rodziców do domku w górach jedzie się dwie i pół godziny. Ale przy tej pogodzie ciężko oszacować.

Chatka, zbudowana przez dziadka księdza Jimmy'ego, a docieplona przez jego ojca, leżała na położonej nad jeziorem działce w pobliżu Laconii. Większość tamtejszych terenów dopadł już postęp, lecz jego rodzina, ceniąc sobie prywatność, trzymała się swej pięćdziesięcioakrowej działki przez całe lata. Nikomu nie wpadnie do głowy, aby tam szukać Hannah, rozumował ksiądz Jimmy, a do miasta jest dostatecznie blisko, by uzupełniać zapasy żywności i innych niezbędnych rzeczy - i, oczywiście, aby we właściwym czasie można było wezwać lekarza.

- Boję się.

- Nie ma czego, nikt za nami nie jedzie.

Nie było potrzeby dzielić się z nią własnymi obawami. Teraz najważniejsze to zjechać z głównej drogi w boczną, którą znają i wykorzystują tylko miejscowi oraz przyjeżdżający od lat letnicy. Ale pogoda sprawiała, że ksiądz Jimmy z trudem rozpoznawał krajobraz, który w miesiącach letnich znalazł po prostu na pamięć.

Przed sobą widział wystające skały, a tuż za nimi dwupasmówkę, która wiła się wśród pól i łąk, by skończyć się jakieś kilka mil na południe od Laconii. Skręcił w prawo i od razu poczuł się bezpieczniej. Śnieg wkrótce zasypie ślady opon. Furgonetka pojedzie dalej główną drogą, a w końcu da sobie spokój z pościgiem. Odczekał, aż dostanie się na prosty kawałek drogi i będzie mógł trzymać kierownicę tylko jedną ręką.

- Teraz może się już pani rozluźnić - powiedział, uspokajająco klepiąc Hannah po ramieniu. - Pojedziemy skrótem. W lecie jest tu bardzo pięknie. Teraz tego nie widać, ale w całym regionie jest bardzo wiele małych jezior. Jako dziecko przewędrowałem tu każdą piędź ziemi.

Droga prowadziła ostrymi zakrętami, więc ksiądz Jimmy znów uchwycił kierownicę w obie dłonie. Drogi takie jak ta odśnieżano w ostatniej kolejności, więc czuł pod kołami ślizgawkę. Po obu stronach ciągnęły się kępy ciemnych świerków, których gałęzie obwisły pod ciężarem grubych śniegowych czap. Reflektory nie na wiele się już zdawały. Ksiądz Jimmy musiał się zdać na instynkt i na własną znajomość terenu.

Zjeżdżali teraz dość stromym spadkiem, lecz na szczęście ford dobrze trzymał się jezdni. Pamięć podpowiadała, że przed nimi, po prawej, powinna się znajdować farma i pole

kukurydzy, potem droga się wyprostuje i będzie łatwiej prowadzić.

- Stop! - Ostry głos Hannah wbił się w jego myśli jak nóż.

Odruchowo przycisnął hamulec, a samochód wpadł w poślizg.

Drogę zagradzała drewniana barierka, pośrodku przybito ośmiokątny znak, który trudno było odczytać w tej śnieżycy.

- Co tu jest napisane? - zapytała Hannah.

Ksiądz Jimmy przetarł zaparowane przednie szyby.

### **Zakaz wjazdu poza ten punkt!**

Zdziwiony, otworzył drzwiczki i wysiadł. Po drugiej stronie barierki ciągnęła się otwarta, pusta przestrzeń. Czyżby przejechali już obok zabudowań farmy, nie widząc jej w kurzawie? Szczerze wątpił. Dom był piętrowy, stał tuż przy drodze i naprawdę trudno go było przeoczyć. Co się mogło stać?

- Jakież roboty drogowe? - zastanawiała się Hannah.

Bardziej prawdopodobne, pomyślał sobie ksiądz Jimmy, że droga tutaj po prostu się kończy. Coś tu nie gra. Czyżby za szybko zjechał z autostrady, pomyliwszy grupkę skał z inną? W taką śnieżycę wszystko możliwe. Tak czy owak, nie pozostało im nic innego, jak tylko się wycofać.

Nie chcąc budzić w Hannah niepokoju, powiedział:

- Pojechałem za daleko, to wszystko. To nic poważnego. Chwila nieuwagi.

- Proszę wracać do środka. Przezięb się ksiądz.

Kiedy się odwrócił, zobaczył najpierw żółtawą poświatę, przebijającą przez zamieć mglistą kulę światła, która jednak -



potężniała z każdą sekundą. Ukazała się złowieszcza sylweta furgonetki. Poczuł, że serce zaczyna mu walić jak oszalałe. Poruszające się wycieraczki raz po raz odsłaniały twarz kierowcy, jego pewny siebie uśmiech.

Furgonetka zwolniła, zatrzymała się, a doktor Johanson i Marshall Whitfield wysiedli na zamarznięty grunt.

- Jakie szczęście, że się tu spotykamy - krzyknął doktor Johanson. - Utknęliście może? Potrzebujecie pomocnej dłoni? - Ostrożnie ruszył po nierównym podłożu, zbliżając się niepewnym krokiem do księdza Jimmy'ego. Na jego twarzy ukazał się uśmiech triumfu.

Ksiądz nie zastanawiał się długo. Siadł za kierownicą i wrzucił wsteczny bieg, ruszając samochodem gwałtownie do tyłu, tak że niemal wpadł na obu mężczyzn, którzy w ostatniej chwili uskoczyli z drogi. Zmienił bieg i wcisnął pedał gazu niemal w podłogę. Koła zabuksowały wściekle, podrywając w górę ścianę śniegu i ziemi.

Wymijając drewnianą barierkę, zwrócił samochód na puste pole. W lecie porastały je wysokie, grube łodygi kukurydzy, lecz teraz pole było zupełnie płaskie i wolne od przeszkód. Tył samochodu zamajtał jak rybi ogon. Ksiądz Jimmy skręcił energicznie kierownicą w jedną stronę, potem w drugą, dopóki nie odzyskał kontroli nad pojazdem. Po drugiej stronie pola wypatrzył jakąś przerwę wśród drzew. Zgadywał, że tam właśnie znajdzie dalszy ciąg przerwanej drogi. Jeśli to pomyłka, nie miał pojęcia, co dalej poczynić. Ale innej drogi ucieczki nie było.

Dotarli już na środek pola, kiedy Hannah obróciła się na siedzeniu, żeby spojrzeć do tyłu.

Furgonetka, większa i mniej zwinna, objechała drewnianą zaporę z niejakim trudem. Teraz znalazła się już na polu,

a jadąc po zostawionych przez samochód księdza koleinach, szybko ich doganiała.

Przydusił pedał gazu całym ciężarem i poczuł, że tylne koła buksują. Bez napędu na cztery koła wszelkie próby uzyskania większej prędkości z góry były skazane na niepowodzenie.

Furgonetka już ich doganiała.

Dobiegł ich dziwny hałas, jakiego jeszcze dotąd nie słyszeli. Początek przypominał odgłos dalekiego grzmotu, potem nastąpiła seria trzasków, ostrych i krótkich jak stokrotnie wzmacnione serie z karabinu maszynowego. Dźwięk ten przetoczył się przez pole, odbił się echem od pobliskich wzgórz i wrócił, rozbrzmiewając to z prawa, to z lewa, jakby znajdowali się w samym środku oblężenia, a ów dźwięk szturmował ich ze wszystkich stron. Księdza Jimmy'ego przeszył dreszcz przerażenia. Natychmiast bowiem pojął, co to jest.

Tego pola wiosną nie zaorze żaden rolnik. Wcale nie jadą przez leżące odłogiem pole kukurydzy. Znaleźli się na zamrzniętym jeziorze, a lód pod nimi właśnie zaczął pękać.

Kiedy był młodszy i chodził na łyżwy na zamrznięte jeziorka, ten dźwięk sprawiał, że on i jego koledzy co sił w nogach pędzili ku brzegowi.

Znów skupił uwagę na widocznej z przodu przerwie wśród drzew. Uświadomił sobie, że nie był to dalszy ciąg drogi, lecz letnia przystań dla łódek. Ruszył na oślep w tamtą stronę, wyteżając słuch na huczące werble gromu, które wyębnią im los.

Za nimi pojawiła się już pierwsza szczelina - jak zygzak na śniegu, jak błyskawica wyrysowana na pergaminie. Kilka

sekund później przez pęknięcie zaczęła się przesączać woda, zaczerniając je i poszerzając. Przed nimi śnieg wciąż jeszcze był nieskazitelnie biały, a jego powierzchnia jednolita i nie-naruszona. Jednak ksiądz Jimmy wiedział, że pęknięcia rozchodzą się na podobieństwo gałęzi. To tylko kwestia czasu, zanim ciężar forda wywoła kolejną rysę na białej tafli dzielącej ich od mrocznej głębinie jeziora.

W tym właśnie momencie nastąpił ogłuszający wybuch, głęboki, pierwotny huk, jakby burzyła się sama natura. Na środku jeziora łódź się rozstała, ukazując kocioł chłostanej wiatrem wody, usianej lodowymi odłamkami. Furgonetka, nie mogąc się zatrzymać, sunęła nieuchronnym ślizgiem przed siebie. Przez chwilę jej przód unosił się nad krawędzią próżni, jakby utrzymywany magiczną siłą.

Podwodzie furgonetki zazgrzytało przeraźliwie, niemal jakby krzyknęło; samochód i jego pasażerowie z wolna pochyłali się w przód na ostrym, postrzępionym lodzie, a potem pochyłili się nad wodą, jak onieśmielony, niechętny pływak, który sprawdza temperaturę przed zanurzeniem. A wówczas siła ciężenia przeważała, szybko i śmiercionośnie egzekwując swe prawa. W ciągu kilku sekund tył samochodu uniósł się w powietrze, zaś przód runął ostro w wodę, wprost w kłębiące się od wodorostów wody jeziora, gdzie w czerwcu będą się zbierać stada młodych szczupaków, szukające ucieczki przed upałem, aż z niemym trzaskiem opadł na samo dno. Od zderzenia roztrzaskała się przednia szyba, a grube okruchy szkła osiadły w szczelinach i nierównościach, gdzie można je było wziąć za pogubione skarby nieuważnego pirata.

Ksiądz Jimmy szacował, że od przystani dzieli ich teraz około trzydziestu metrów. Jeśli szczęście ich nie opuści,

powinno się udać. Do lądu pozostało już tylko piętnaście metrów. Samochód zdrygnął się gwałtownie, uderzając kołami w betonowy zjazd. Koła wczepiły się w grubą warstwę śniegu, a ford wspiął się rozpaczliwie po brzegu jak szukające kryjówki zwierzątko.

Po przeciwnej stronie jeziorka przystanął jakiś poważnie nadwierzony automobil. Przy drewnianej barierce stała Teri, która przyglądała się z niedowierzaniem, jak tył furgonetki unosi się w powietrze, a potem, wciąż jeszcze migając czerwonymi tylnymi światłami, zapada się i niknie z oczu.

Zobaczyła też, jak auto księdza Jimmy'ego wspina się bezpiecznie na drugi brzeg.

- A mówiłeś, że nie masz planu - mruknęła pod nosem.

## Rozdział 49

Potem przez długą chwilę jechali w całkowitym milczeniu. Wreszcie mężczyzna wyciągnął rękę i ujął dłoń Hannah. Dłoń była gorąca i wilgotna. Dziewczyna nie wyglądała najlepiej. Zapytał, czy zrobiło jej się niedobrze i zaproponował, że zatrzyma się na chwilę na poboczu.

- Nie. Zaraz przejdzie. Zawsze przechodzi. Proszę jechać dalej. Proszę.

- Już dobrze. Już nikt pani nie skrzywdzi.

- Nie o tym teraz myślałam. Co zrobię, kiedy ksiądz odjedzie? Zostanę całkiem sama na tym pustkowiu. A co będzie, jeżeli znajdą mnie pozostali?

Ksiądz Jimmy przypomniał sobie ludzi wychodzących z domu na Waverly Avenue. Z pewnością znajdą sobie nowych przywódców swej słusznej sprawy, a ich zapach tylko się spotęguje.

- Nie zostanie pani sama - odparł. - Będę przy pani.

- Jak długo?

- A jak długo mam zostać?

- Na zawsze. - Śmiechem podkreśliła absurdalność swej prośby.

- A więc zostanę na zawsze - odparł, nie odrywając wzroku od drogi przed sobą.

Choć zaskoczyła ją ta odpowiedź, wydała się jednocześnie zupełnie naturalna. Przecież to właśnie chciała usłyszeć. Nie potrafiła powiedzieć, czy kocha księdza Jimmy'ego, lecz na pewno kochała jego delikatność i czuła się bezpiecznie w jego obecności. Zastanowiła się, czy to nie wystarczy za swego rodzaju miłość.

- Żartuje ksiądz?

- Nie.

- Mówi ksiądz poważnie?

- -Jak najbardziej.

- Ależ, proszę księdza...

- Nie, od teraz proszę mówić mi Jimmy.

Dopiero wtedy zauważyła, że nie nosi już koloratki. Miał na sobie sportową koszulę w kolorze khaki i sweter z wycięciem w szpic. Wyglądał przez to inaczej. Młodziej. Bardziej niewinnie.

- Chyba nie...

- Owszem. Ja też nie mam zamiaru wracać - oznajmił.

Ciszę przerywało tylko szuranie spracowanych wycieraczek.

W końcu odezwała się Hannah:

- Jimmy, czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Jak myślisz, czyje to naprawę jest dziecko?

- Myślę, że twoje.

- Ja też. Nie zniosłabym, gdyby mi je odebrano.

- Nigdy na to nie pozwolę.

Choć ford jechał teraz z szybkością nieprzekraczającą trzydziestu kilometrów na godzinę, Jimmy zwolnił nieco pedał gazu. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będą musieli

jechać. Już od dłuższego czasu nie minął ich żaden samochód. Wyglądało to tak, jakby zjechali z drogi na końcu świata. - Jimmy?

- Tak?

- Wierzysz, że to dziecko naprawdę jest... no wiesz, tym, kim miało być według Whitfieldów?

- Nie sposób tego wiedzieć.

- Ale co o tym sądzisz?

- Myślę... - Co właściwie myślał? Jeśli krew na sudarium naprawdę była krwią Chrystusa, może dziecko będzie boskiego pochodzenia. Lecz równie dobrze mogli tym płótnem owinać głowę nędzarza lub otrzeć ranę centuriona. A jeśli ta krew była krwią trędowatego, który podszedł do Jezusa, aby go uzdrowił? Albo szarlatana, który tamtego dnia na Golgocie sprzedawał swoje amulety? Albo może pochodziła z zupełnie innego czasu i miejsca, była krwią kogoś, kto orał pole, zabijał ludzi, budował domy albo pisał wiersze? Nie sposób wiedzieć. Wszystko było możliwe. Jediną wskazówkę stanowiła wiara.

- Myślę - odparł w końcu - że to dziecko będzie tym, kim będzie, i zrobi to, co mu przeznaczono. Jak każde narodzone dziecko, otrzyma szansę, by zbawić świat lub aby go zniszczyć.

Pierwszy paroksyzm bólu przeszył Hannah z siłą wbijającej się w żołądek pięści. Krzyknęła. Potem wszystko przeszło i przez chwilę sama się zastanawiała, czy naprawdę coś poczuła.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Długo jeszcze?

Udawała, że nic się nie stało, ale dosłyszała w jej głosie ton skargi.

- Nie jestem pewien. Może trzeba będzie się zatrzymać w motelu. Zamieć się nasila.

Przyjęła tę propozycję z wdzięcznością.

- Moglibyśmy?

Dziesięć minut później wypatrzyli szyld motelu „Szóstka”, Jimmy zatrzymał samochód tuż przed głównym wejściem. Czuł ulgę, mogąc wyłączyć silnik i przetrzeć oczy. Hannah pochyliła się, próbując rozruszać zeszywniały kręgosłup.

Siedzący za biurkiem recepcjonista oglądał program na małym telewizorku. Nieco zirytowany, oderwał się od rewelacji na temat silikonowego biustu pewnej gwiazdy.

- Potrzebuję dwóch pokojów na dzisiejszą noc.

- Dwóch? Chłopie, miałbyś sporo szczęścia, gdyby się znalazł choć jeden. Jest komplet.

- W taką pogodę?

- Żartuje pan? Zaczęli się zjeżdżać już od rana, zanim zaczął padać śnieg. Jasny szlag, kiedy tylko ogłosili prognozę pogody, telefon dosłownie zaczął się urywać. Jutro od rana będą tu fantastyczne warunki narciarskie.

- Gdzie jest najbliższy hotel?

- Kawałek dalej w Radisson, ale daję gwarancję, że tam również brak miejsc. Sami przysyłałi do nas ludzi.

Recepcjonista miał rację.

- Chyba nie mamy innego wyboru, musimy jechać dalej - zwrócił się Jimmy do Hannah.

- W takim razie wolałabym jechać raczej na tylnym siedzeniu, jeśli można.

Brzuch wyglądał teraz jakoś inaczej - dziecko spoczywało o wiele niżej niż przedtem. W każdym razie tak jej się wydawało.



W normalnych warunkach omówiłaby wszystko szczegółowo z doktorem Johansonem, ale odkąd ich stosunki się popsuły, przestała mu zadawać jakiegokolwiek pytania, a potem... Cóż, stało się to, co się stało.

Pamiętała, że kiedy dziecko w końcu znajdzie się w niższej pozycji, może to oznaczać, że do porodu zostały ostatnie tygodnie lub ostatnie dni. Nie chciała niepotrzebnie niepokoić Jimmy'ego. To na pewno jeszcze nie ta chwila, bo przecież termin wypadał dopiero w przyszłym tygodniu. Według jej obliczeń w środę. A może we wtorek? A dzisiaj jest... Co właściwie za dzień? Z ostatnich zachowało się w jej pamięci tylko mgliste wspomnienie strachu i zmęczenia.

Jimmy zwinął kurtkę na kształt poduszki i pomógł Hannah ułożyć się na tylnym siedzeniu. Potem wolniutko zawrócił na drogę. Dookoła nie było jednej żywej duszy. Latarnie rzucały blade kręgi na śnieg dookoła słupów, a światła forda nie były w stanie przebić się dalej niż na sto dwadzieścia metrów, potem się urywały tak gwałtownie, jakby trafiały na mur. Jimmy poprawił wsteczne lustro, aby widzieć Hannah.

Oddychała ciężko i wierciła się na tylnym siedzeniu, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Od czasu do czasu z jej ust wyrывał się cichy jęk.

Nigdy przedtem nie czuł się tak całkowicie bezradny, tak całkowicie odcięty od reszty wszechświata. Zaczął się modlić. Przez ciemną noc i biały śnieg nagle przesączył się nikiły czerwony blask neonu. Ford znalazł się już prawie pod samym znakiem, kiedy Jimmy zdołał przeczytać napis:

DOMKI NARCIARSKIE COLBY'EGO

- Proszę, niech mi pani powie, że macie wolny pokój - rzucił błagalnie, zanim jeszcze zamknął za sobą drzwi.

Korpulentna kobieta koło sześćdziesiątki podniosła wzrok znad czytanej właśnie książki.

- Przykro mi, kochany, nic nie mam.

Opuściła go cała nadzieja. Dalej już nie są w stanie jechać.

- Cokolwiek, wszystko mi jedno.

- Niestety, to początek sezonu narciarskiego. Pierwsza solidna śnieżycy ściąga tu całe tłumy. Trzeba było zarezerwować wcześniej.

- I co ja teraz zrobię? - rzucił nie bardzo wiadomo do kogo. Popatrzył na żalną choinkę stojącą na ladzie recepcji. Malutkie, kolorowe światełka odbijały się w okularach, usadowionych na czubku nosa kobiety.

- Moja... moja żona... chyba będzie rodzic... - wypalił nagle.

- Gdzie ona jest?

- W samochodzie.

- Dobry Boże. - Książka ześliznęła się z kolan kobiety na podłogę. - Niech ją pan tu natychmiast przyprowadzi.

Przez tę krótką chwilę, jaką spędził w recepcji, samochód pokryła gruba warstwa mokrego śniegu. Zobaczył Hannah, dopiero kiedy otworzył drzwi. Miała szeroko otwarte oczy i dyszała ciężko.

- Chyba odeszły mi wody.

Zdumiona kobieta zajrzała Jimmy'emu przez ramię.

- Musimy przenieść panią w jakieś ciepłe miejsce. Niech pani spróbuje wstać, kochana. To tylko parę kroków.

- Nie mogę się ruszyć - jęknęła Hannah. - Już się zaczęło.

- Z tyłu jest garaż - mówiła kobieta do Jimmy'ego. -  
Niech pan tam wprowadzi samochód. Powinno być dość  
miejsca obok mojego auta.

Z niespodziewaną u kobiety o tej taszy i w tym wieku  
zręcznością obiegła budynek dookoła i podciągnęła w górę  
drzwi garażu przed zbliżającym się fordem. Wewnątrz było  
pełno ogrodowych mebli, narzędzi ogrodniczych oraz róż-  
nych innych pozostałości po sezonie letnim. Pod sufitem  
świeciła goła żarówka.

Kobieta uchyliła drzwiczki samochodu i wetknęła głowę  
do środka.

- Czy teraz dasz radę wyjść, złotko?

Hannah w milczeniu potrząsnęła głową. Skurcze były co-  
raz silniejsze, przelewały się przez nią wielkimi falami, a  
kiedy mijały, czuła się całkiem bez sił. Doświadczała swego  
rodzaju pierwotnych przyptyków i odpływów, nad którymi  
umysł nie miał najmniejszej kontroli. Władzę przejęło ciało i  
zdawało się działać niezależnie od jej woli. Czuła przemożną  
potrzebę parcia.

- Zaraz będę z powrotem - rzuciła kobieta, wypadając  
pędem z garażu.

- Jimmy?

- Jestem tu, Hannah. - Wsunął się na tylne siedzenie, uło-  
żył jej wygodnie głowę i ramiona na własnych kolanach.  
Kiedy dopadł ją kolejny skurcz, złapała go kurczowo za rękę  
i ścisnęła mocno.

- Będzie dobrze - mówił, ocierając jej czoło drugą ręką,  
jakby chciał w ten sposób odjąć jej choć trochę bólu. -  
Wszystko będzie dobrze.

Po pewnym czasie wróciła recepcjonistka, prowadząc ze  
sobą około czterdziestoletnią kobietę o kręconych włosach.

- To lekarka - wyjaśniła. - Zwykle przyjeżdża tutaj jeden czy dwóch. Pukałam do każdego domku, aż wreszcie znalazłam. - Była dumna, że w obliczu kryzysowej sytuacji wykazała się taką pomysłowością.

- Czy ma pani skurcze? - zapytała lekarka.

- Tak.

- Pozwoli pani, że spojrzę.

Rajstopy i dresowe spodnie Hannah były kompletnie przemoczone, więc lekarce nie udało się ich ściągnąć. Szybko wypatrzyła stertę ułożonych schludnie w kącie materaców z leżaków i kazała starszej kobiecie rozłożyć je na podłodze.

- Szybko - rzuciła ostro. - Musimy ją wydostać z tego samochodu.

Kiedy Jimmy podtrzymywał Hannah pod pachy, lekarka opuściła dolną połowę jej ciała na materace i szybko zerwała krępujące odzienie. Jimmy jeszcze raz ułożył głowę Hannah na własnych kolanach. Lekarka uklękła, rozsunęła szeroko nogi Hannah i stwierdziła, że już widać główkę dziecka.

- Tutaj już nie da się zwlekać - oznajmiła. - Widać główkę.

Hannah ogarnęła przemożna potrzeba parcia, jakaś rytmiczna moc ogarnęła mięśnie bioder. Twarz złała się potem.

- Dawaj, dziewczyno! Dasz radę. Oddychaj głęboko. Świetnie ci idzie.

Jeszcze jedno, końcowe pchnięcie, Hannah krzyknęła, a dziecko wypadło wprost w ręce lekarki. Materac zalała fala krwi.

Cisza, jaka nastąpiła teraz w garażu, jakby się udzieliła także światu na zewnątrz. Wiatr przycichł na chwilę, a wysokie sosny zamaryły w dostojnym bezruchu. Lekarka podniosła

dziecko i pomasowała mu plecki. Słysząc było pierwszy głośny wdech, a potem zdrowy wybuch płaczu. Lekarka położyła dziecko na brzuchu Hannah i podwiązała pępowinę.

- Moje gratulacje - powiedziała. - Urodziła pani ślicznego synka. — Potem owinęła malca w biały ręcznik z wyhaftowanym wzdłuż brzegu napisem „Domki Narciarskie Colby'e-go” i delikatnie ułożyła dziecko w ramionach matki.

Pierwsze, co rzuciło się Hannah w oczy, to grzywa czarnych włosów, potem niebieskie oczka i zaciśnięta maleńka piąstka... Potem przestała zauważać szczegóły i odczuła w całości tę maleńką istotkę, która wtuliła się w jej pierś.

- Ilekroć to widzę, zawsze narodziny dziecka są dla mnie niezwykłym cudem - stwierdziła lekarka.

- Wygląda zupełnie jak tatuś, prawda? - zagruchała starsza kobieta.

Dopiero wtedy Jimmy spostrzegł, że w garażu są także inni ludzie. Po domkach rozniosło się, że właśnie rodzi się dziecko, więc wiedzeni ciekawością, chcieli się przekonać o tym na własne oczy. W drzwiach, które łączyły garaż z recepcją, stała para z dziesięcioletnim chłopczykiem. Na podjeździe zgromadziła się grupka licealistów i przyglądała się z daleka. Nikt nie odzywał się słowem, wystarczyło, że podziwiają jasnowłosą matkę, przystojnego, ciemnowłosego ojca oraz ich świetliste dziecko.

Chłopczyk, który próbował coś dojrzeć zza pleców dorosłych, nieśmiało podszedł bliżej.

- To dla dzidziusia - powiedział. Wyciągnął przed siebie niebieską piłkę w srebrne gwiazdki. - Mam drugą, taką samą.

- Położył piłkę obok Hannah i odsunął się. - Jakie będzie miał imię?

Hannah popatrzyła na dziecko, a błyszczące oczka zdawały się odwzajemniać jej spojrzenie. Potem przechyliła głowę tak, aby widzieć Jimmy'ego.

- Jak go nazwiemy?

Wszyscy zgromadzeni w garażu Domków Narciarskich Colby'ego czekali na odpowiedź. Na dworze cichutko padał śnieg.

## *Spis treści*

Rozdział 1 .....	5
Rozdział 2 .....	9
Rozdział 3 .....	19
Rozdział 4 .....	23
Rozdział 5 .....	28
Rozdział 6 .....	32
Rozdział 7 .....	43
Rozdział 8 .....	51
Rozdział 9 .....	59
Rozdział 10 .....	67
Rozdział 11 .....	76
Rozdział 12 .....	85
Rozdział 13 .....	91
Rozdział 14 .....	98
Rozdział 15.....	103
Rozdział 16 .....	108
Rozdział 17 .....	120
Rozdział 18 .....	129
Rozdział 19 .....	132
Rozdział 20 .....	141
Rozdział 21 .....	144

Rozdział 22 .....	149
Rozdział 23 .....	152
Rozdział 24 .....	163
Rozdział 25 .....	172
Rozdział 26 .....	181
Rozdział 27 .....	194
Rozdział 28 .....	203
Rozdział 29 .....	210
Rozdział 30 .....	218
Rozdział 31 .....	230
Rozdział 32 .....	236
Rozdział 33 .....	240
Rozdział 34 .....	251
Rozdział 35 .....	256
Rozdział 36 .....	265
Rozdział 37 .....	273
Rozdział 38 .....	280
Rozdział 39.....	284
Rozdział 40 .....	296
Rozdział 41 .....	308
Rozdział 42 .....	315
Rozdział 43 .....	320
Rozdział 44 .....	330
Rozdział 45 .....	338
Rozdział 46 .....	343
Rozdział 47 .....	351
Rozdział 48 .....	358
Rozdział 49 .....	365